

„Zgrabnie skonstruowany thriller. Wyrafinowany i niesamowicie wiarygodny”.

Dagens Nyheter

JOAKIM ZANDER

ISLAMSKI ŁĄCZNIK



JOAKIM ZANDER

ISLAMSKI ŁĄCZNIK

Przełożył ze szwedzkiego
Wojciech Łygaś



WYDAWNICTWO
SONIA DRUGA

Tytuł oryginału:

Orten

Copyright © Joakim Zander 2015, Published by agreement with Ahlander Agency Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga Projekt graficzny

okładki: Szara Sowa Zdjęcia na okładce:

Shutterstock/Lolostock

Shutterstock/Botond Horvath

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski Korekta: Małgorzata Hordyńska, Anna Just ISBN: 978-83-7999-788-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Moim rodzicom

*zapłaciłem za zdradę
lecz wtedy nie wiedziałem
że odchodzicie na zawsze*

*i że będzie
ciemno*

Zbigniew Herbert

1. Przedmieście Sztokholmu, Bergort – 2011 rok

Jest zwykła zimowa noc. Lecimy nad Bergort na niskiej wysokości. Lot jest perfekcyjnie wytyczony, nasza formacja silna i zgrana. Lecimy bezdźwięcznie, nasze oczy przypominają wąskie kreski i kropki. Jesteśmy jednostką X-Men, *Band of Brothers*. Jesteśmy elitą.

Na ulicy Drivvedsvägen płonie samochód, od żaru pękają w nim szyby. Porozrzucane na śniegu szkło – przezroczyste okruchy frustracji i zniszczenia – przypomina lód. Chłopaki obserwujący to zdarzenie nawet nie myślą, żeby cofnąć się na kładkę dla pieszych nad torami. Stoją tak blisko samochodu, że płomienie odbijają się w ich szeroko otwartych oczach i prawie liżą im skórę. Dobrze wiedzą, że za kilka minut usłyszą dźwięk syren. Tym razem nie muszą się spieszyć, bać ani uciekać.

Nie zatrzymujemy się, bo przyświeca nam wyższy cel. Nie jesteśmy już nowicjuszami, którzy podpalają samochody, tylko orłami i jastrzębiami, drapieźnikami z ostrzejszymi niż dawniej szponami i dziobami, z większym apetytem. Odwracam głowę i patrzę na moich braci. W blasku ognia ich sylwetki przypominają cienie. Czuję, jak w moim sercu dokonuje się przemiana. Przestałem cię szukać. Od kiedy zaczęłaś się odsuwać od takich spraw, upłynęło wiele czasu. I chociaż każdego wieczoru, gdy kładę się spać, twój cień nadal pada na szarą ścianę mojego pokoju, to tylko oni – moi przyjaciele i bracia – są mi bliscy. Nieświadomi swoich dążeń, nieświadomi niczego. Równie zmęczeni i puści w środku, jak ja.

– Fadi?

Głos Bounty’ego brzmi pusto, jak gdyby nie miał siły ani powietrza w płucach.

– Zamknij gębę, palancie – syczy Lis i uderza go w ramię z taką siłą, że Bounty wpada w głęboką zaspę śnieżną.

– Opanujcie się – mówię. – Sytuacja jest poważna, nie rozumiecie tego?

– Ale... – chce zaprotestować Bounty.

– Żadnego „ale”, pieprzony palancie.

Lis unosi rękę i znowu syczy.

– Jesteś pewien, że masz właściwy kod? – nie ustępuje Bounty i na wszelki wypadek, żeby uniknąć ciosu, od razu cofa się o krok. – Na pewno go nie zmienili?

Betonowe ściany otaczają nas ze wszystkich stron, zamykają, trzymają w garści.

Temperatura spadła do minus dziesięciu stopni, w powietrzu czuć zapach benzyny. Wzruszam ramionami, czuję, jak kurczą mi się płuca. Doznaję tego samego uczucia co zawsze: niczego nie wiem, niczego nie jestem pewien.

– Tak, jestem pewien – odpowiadam. – A teraz naprawdę się zamknij.

Stoimy ukryci w cieniu po drugiej stronie placu Piratów, chociaż o wpół do drugiej w nocy jest pusty. Czekamy tak długo, aż słyszymy dźwięk syren na autostradzie, a niebo nad placem zabaw rozjaśniają niebieskie światła. W tym samym momencie Mehdi przechodzi chwiejnym krokiem po oblodzonych płytach chodnikowych koło kebabu Samiego. Syreny cichną i teraz słychać już tylko pokrzykiwania chłopaków, którzy idą kładką w przeciwnym kierunku.

– Spokojnie – mówi zdyszczonym głosem Mehdi. Cierpi na astmę, jego płuca świszczą i piszczą. Pochyla się, stęka i jęczy.

– Przyjechała tylko straż pożarna, już nawet nie wysyłają glin.

Kiwamy w milczeniu głową, uroczyście, jak na pogrzebie. Staramy się zachować absolutną powagę. Klucz pali mnie w kieszeni, kod dostępu zżera pamięć. Odchylam się i patrzę na brudne od dotyku dziecięcych palców okienne szyby w budynku po drugiej stronie placu. Przyglądam się górnej części fasady, zniszczonym żaluzjom, prześcieradłom, które udają firanki, antenom satelitarnym i somalijskim flagom. Mój wzrok wędruje aż po dach, a potem wyżej. Niebo jest czarne i mroźne, nie ma na nim gwiazd ani księżyca – są tylko ciemne chmury. Śledzę je spojrzeniem. Jestem tak samo przemarznięty jak ta noc, skostniały jak moje palce. To się nazywa prawdziwy wybór: ja albo bracia.

Zmuszam się, żeby oderwać wzrok od nieba. Czuję się przy tym tak, jakbym odrywał język od lodowatego słupa.

– Na co jeszcze czekacie? – pytam. – Dalej, do roboty!

Biegniemy przez plac w szyku, wszystko odbywa się w zupełnej ciszy. Stanowimy jedność, jesteśmy przestępcami, elitą. Nie wydajemy z siebie żadnych dźwięków, z ust wydobywają się nam tylko kłęby pary, w uszach szumi powietrze, krew krąży szybciej w żyłach. Jesteśmy tylko my i robota, którą mamy do wykonania.

Zadanie jest proste. Wkładam klucz do zamka i robię to bez chwili wahania. Teraz wystarczy wejść do środka. Mam zrobić tylko to, co zawsze robiłaś ty – jak najszybciej przebiec od drzwi do białej skrzynki. Czuję, jak bije mi serce, w głowie mam jedynie kod i to, co pojawi się na wyświetlaczu. Potem już tylko chwila oczekiwania, aż rozlegnie się

długi pisk, który oznacza, że system alarmowy został wyłączony i możemy wejść do środka. Cisi i szybcy jak High 5s. Oświetlamy sobie drogę latarkami, biegniemy korytarzem i wpadamy do studia.

W pomieszczeniu, w którym stoi konsola miksera, na stoliku leżą dwa MacBooki. Szast-prast i już są nasze. Dwa samsungi w trakcie ładowania. Szast-prast i one też są nasze. Trzy małe deski do surfingu. Nasze! Mikrofony i gitary. Patrzymy na siebie z wahaniem. Po co nam taki sprzęt? Jest za ciężki. Pochyliłam się, zaglądam pod konsolę miksera, szukam po omacku i po chwili znajduję to, co chciałem znaleźć. Powoli wyciągam pudełko po butach marki Nike. Otwieram je, pociągam nosem i czuję słodkawy zapach marychy.

– Ey!

Pokazuję braciom gotowego skręta, a oni robią wielkie oczy i w geście triumfu unoszą kciuki. Towaru jest więcej. Kiedy ostatnim razem byłem tutaj z tobą, widziałem, jak Czarne Oko wyjął z niego dwa tysiące koron i dał je jednemu ze swoich przydupasów, żeby kupił mu wódki. To wtedy wpadłem na ten pomysł.

Przechodzę do drugiego pokoju, w którym mieści się biuro. Próbuję wysunąć górną szufladę, ale coś się zakleszczyło. *Jackpot!*

– Lis! – rzucam szeptem przez ramię. – Śrubokręt!

Lis jest specjalistą od śrubokrętów, dłut i łomów. Nie ma takiego okna i drzwi, których nie potrafiłby otworzyć. Tutaj sprawa jest prosta. Podważa tylko blat biurka i wysuwa szufladę. W środku leży ciężka zielona kasetka. Powstrzymuję Lisa, bo zaczyna się do niej dobierać, próbuje wyłamać pokrywę.

– Daj spokój! – mówię. – Później się tym zajmiemy.

Wkrótce jest już po wszystkim. Wybiegamy na dwór obładowani łupem, biegniemy na plac zabaw i dzielimy się zdobyczą. Wybieram kasetkę i MacBooka.

– Teraz musimy się przyczaić. Spotkamy się w czwartek.

Już po wszystkim. Noc jest chłodna i cicha. Nie słychać nawet, żeby ktoś grzał silnik samochodu. Ogarnia mnie zmęczenie – jest jak morze, ciemność albo śnieg. W milczeniu, przepełniony pustką wlokę się z powrotem do domu. Nie jestem w najlepszym humorze, nie sądzę, żebym zrobił coś złego, nie czuję się ani zadowolony, ani silny. Jest zupełnie inaczej, niż się spodziewałem.

Kiedy jestem już w moim pokoju, w zaśnięciu przeszkadza mi żółte światło ulicznej latarni. Wpada do środka, wdziera mi się pod powieki i atakuje źrenice, chociaż oczy mam

zamknięte, a głowę wbijam w poduszkę. Staram się zasnąć, ale ostatnie wydarzenia nie dają mi spokoju. W końcu się poddaję; otwieram oczy, siadam na łóżku, ale nie zapalam światła. Czas wlecze się niemiłosiernie, zmienia kształt, wreszcie całkiem się kończy. Nagle słyszę skrzypienie drzwi i trzeszczenie podłogi w moim pokoju. Nie odwracam się, siedzę ze wzrokiem wbitym w ścianę.

Otwierasz drzwi i wpuszczasz do środka zimę. Siadasz na końcu łóżka. Powietrze stoi nieruchomo.

– Pamiętasz, jak byliśmy mali? – pytasz. – Miałeś wtedy z dziesięć lat. To wtedy zapowiedziałam, że stąd wyjadę.

Wiem, co chcesz powiedzieć – to jedna z naszych historii, część wspólnej mitologii. Mimo to się nie odzywam. Siedzę wyprostowany i milczę.

– Tamtego dnia znowu się pokłóciliśmy. Nie pamiętam, o co poszło. Pewnie o jakieś b z d u r y... Sama nie wiem. Postanowiłam wyjść i wróciłam do domu dość późno. Byłeś wtedy za duży, żeby bawić się swoimi starymi, brudnymi klockami Lego, ale po powrocie zobaczyłam, że wszystkie niebieskie klocki zgromadziłeś na zielonej płycie, dodałeś trochę białych i zanim zasnąłeś, położyłeś to wszystko na moim łóżku. Pamiętasz?

Kiwam potakująco głową. Nie zapominam niczego.

– Pamiętasz, co to było?

Nie odpowiadam. To było dawno temu. Od tamtej pory wydarzyło się wiele rzeczy.

– Powiedziałeś mi, że to morze i że zbudowałeś je dla nas, abyśmy mogli po nim żeglować. Obiecałeś, że naprawisz łódź, którą popłyniemy.

Czuję pieczenie pod powiekami i kłucie w klatce piersiowej. Wszystko się we mnie kurczy, zatapia mnie przeszłość, zatapia mnie przyszłość. Żeby utonąć, nie potrzeba wody.

– Ale nigdy nie naprawiłeś tej łodzi, Fadi. Zrobiłeś tylko morze.

Chcę coś powiedzieć, wyjaśnić albo poprosić o wybaczenie, przepraszam, znowu przepraszam... Wiem jednak, że umiem tylko narzekać, że w efekcie pojawi się tylko chaos i stres. Siedzimy więc w milczeniu, aż w końcu słyszę:

– A może jednak naprawiłeś tę łódź? Tyle że ona i tak może zabrać tylko jedną osobę.

W końcu się odwracam i patrzę na ciebie. Jesteś zmęczona i chuda, twoja skóra lśni blado w słabym świetle. Kiedyś, gdy byłem mały, widziałem, jak prawie umarłaś, ale jeszcze nigdy nie widziałem cię w takim stanie.

– O co ci chodzi? – pytam.

Patrzysz na mnie zatroskanym wzrokiem. Nie jesteś rozczarowana ani zła, tylko po prostu zmartwiona.

– Czy naprawdę myślałeś, że się nie domyślą, do kogo należał klucz? Że nie dojdą, skąd wzięłeś kod dostępu? W studiu każdy ma swój własny kod, dzięki czemu od razu można ustalić, kto tam wchodził i o której godzinie. Pierwszą rzeczą, jaką rano po przyjeździe do studia robi Jorge, będzie sprawdzenie zapisów. Od razu się zorientuje, że użyto mojego kodu. Prawda?

Co mogę odpowiedzieć? Pali mnie wstyd. Co za cholerna głupota. Jestem zdrajcą – *khain*. W końcu pojawia się strach.

– Jorge i Czarne Oko mnie zabiją – mówię.

– Nie oni. Zrobi to Biz, Mahmud albo Rusek.

Czuję, jak łzy płyną mi po twarzy. Wstydzę się nie tylko ich, ale także tego, że paraliżuje mnie strach.

– Fadi, *habibi*, jak mogłeś być aż tak głupi? Przecież wiesz, że nie zadowolą się samym odebraniem skradzionych rzeczy. Ktoś, kto robi coś takiego ludziom z Pirate Tapes, jest zdrajcą. Swoim czynem rzucił wyzwanie całemu Przedmieściu. Nikt im nie przeszkodzi w wymierzeniu kary.

Widzę przez łzy, jak wstajesz z łóżka i idziesz do szafy z ubraniami. Prawie nigdy tu nie bywasz, czasem tylko – raz na tydzień – wpadasz na noc. Wiem jednak, że trzymasz tutaj szkicowniki. Leżą na najwyższej półce. Stajesz na palcach, żeby po nie sięgnąć, zabierasz szkicownik, książki, encyklopedię i wsuwasz je do torby z napisem „Pirate Tapes”. Encyklopedia jest sfatygowana od częstego używania, ma pozaginane rogi. Oglądaliśmy ją dniami i nocami.

Wydaje mi się, że to było dawno temu. Myśleliśmy, że wystarczy nauczyć się wszystkich haseł i będziemy mogli wypowiadać się tak samo płynnie jak wszyscy inni. Przestaniemy w końcu dukać i stękać. Przez chwilę się wahasz, a potem wyjmujesz encyklopedię i kładziesz ją na łóżku.

– Lepiej ją zatrzymaj. Mnie nie będzie już potrzebna.

– Skąd wiedziałaś o Pirate Tapes? – pytam cichym głosem.

Wzruszasz ramionami i kręcisz głową.

– Widziałam was po południu, staliście podenerwowani na kładce i coś paliliście. Domyśliłam się, że coś knujecie. Nie jesteście aż tak *smooth*, Fadi. Potem usłyszałam o

włamaniu. Nie jestem głupia.

– Co zamierzasz zrobić? Dokąd wyjedziesz?

– To bez znaczenia. Lepiej, żebyś nie wiedział. Odezwę się jeszcze.

Kucasz przede mną, odsuwasz moje ręce od twarzy i zmuszasz mnie, żebym na ciebie spojrzał.

– Sprawa jest prosta – mówisz tak poważnym głosem, że powietrze w pokoju aż drży. – Będą przekonani, że to ja byłem w nocy w studiu. Wystarczy, że sprawdzą mój kod. Jeśli więc zniknę bez słowa wyjaśnienia, nie będą mieli podstaw, żeby podejrzewać kogoś innego.

Trzymasz mnie za nadgarstki, patrzysz mi prosto w oczy, przez łzy i wstyd, przez mgliste miraż i przez ból zęba zagładasz w głąb tego, czym być może jestem, na samo dno. Nie wiem, co odpowiedzieć. Otwieram i zamykam usta, próbuję unikać twojego przenikliwego wzroku, ale mnie nie puszczasz.

– Nic z tego nie rozumiem – mówię.

– To proste, *habibi*. W końcu zbudowałeś mi tę łódź.

Głaszczesz mnie po głowie.

– Przepraszam – mówię. – Naprawdę przepraszam.

Zamykam oczy i czuję twoje suche wargi na moim policzku. Kiedy je otwieram, już cię nie ma.

2. Brooklyn, Nowy Jork – czwartek, 13 sierpnia 2015 roku

Betonowa podłoga pod cienkim materacem i ciężarówka na ulicy, która wywołuje brzęczenie zabrudzonych szyb, głosy nielicznych przechodniów i stukot butów o asfalt, dźwięki syren na Atlantic Avenue i duszący, wibrujący upał, puls bijący między ceglanymi ścianami mieszkania i klucz w drzwiach.

Yasmine podnosi się z łóżka. Oczy ma szeroko otwarte, od razu wraca do rzeczywistości. Jest przygotowana na wszystko, a właściwie prawie na wszystko: na dźwięki i światło odbijające się od podłogi, na ciemność, migotanie świateł i impulsy, których nie potrafi od razu zidentyfikować, bo trwają zbyt krótko. Słyszy tylko chrzęst klucza przekręcanego w zamku. Rozgląda się wokół, wciąga przez głowę czarną bluzkę, którą miała na sobie poprzedniego dnia, wciska się w dżinsy, przeciąga rękami po gęstych ciemnych włosach i wstaje. Szorstka podłoga pod jej stopami jest zadziwiająco chłodna.

Zamek chrzęści i zgrzyta, klucz z trudem się w nim przekręca. Dźwięki rozchodzą się echem po pustym mieszkaniu. Z ulicy wpada przez okna niebieskie światło, jego blask pada na niedokończone płótna oparte o ścianę.

Jest środek nocy. Jak długo spała? Czy w ogóle spała? Różnica czasu ciągle daje jej się mocno we znaki. Czuje się tak, jak gdyby wszystkie jej zmysły zostały przefiltrowane przez nieużywaną częstotliwość radiową, która ją hamuje i sprawia, że czuje się zmęczona i spowolniona. Po raz kolejny potrząsa głową, żeby osłabić szum i zacząć trzeźwo myśleć. Idzie miękko w stronę drzwi, robi to instynktownie i odruchowo, jak zwierzę. Milkną syreny samochodów, pozostawiając po sobie coś, co przypomina spokój. Słyszać tylko chrzęst klucza w zamku.

Yasmine podchodzi do drzwi, jej wargi prawie dotykają blachy, gdy szepcze po szwedzku:

– To ty?

Resztką powietrza, którego nawdychała się w samolocie, sprawia, że jej głos jest suchy i ochrypły. Chrzęst klucza w zamku ustaje.

– Yasmine? – słyszy głos zza drzwi.

David wypowiada jej imię w inny sposób niż zwykle. Intonacja jest przerywana,

melodia głosu niecierpliwa. Agresja i chaos. Wszystko, co zbudowali, zawaliło się w jednej chwili. Yasmine naciska klamkę i drzwi się otwierają.

David wygląda prawie tak, jak przed tygodniem. Ma te same miękkie, wykrzywione usta, głębokie bruzdy na czole, ten sam dołek w lewym policzku, tak samo ogoloną głowę, ten sam szary T-shirt z plamami po spreju i tuszu i te same dzinsy z grubego, starego denimu, które kupiła mu w dzielnicy Shibuya podczas ich pierwszego wspólnego wyjazdu do Tokio. Ma też taki sam zarost na brodzie, brudne paznokcie i bystry wzrok.

– Yasmine, kochanie!

David rozkłada ramiona i wchodzi do mieszkania. Światło wpadające z ulicy do pokoju nadaje jego zębom żółty odcień. Yasmine robi krok do tyłu, wymyka mu się, nie chce, żeby ją objął.

– *Baby, I didn't realize... What time is it?*

David zerka na nadgarstek, jak gdyby chciał spojrzeć na zegarek, którego tam nie ma, a potem uderza dłońmi po kieszeniach w poszukiwaniu telefonu. W końcu go wyjmuje i ze złością próbuje wybrać jakiś numer. Niestety, aparat nie reaguje.

– *What the fuck? I'm outta battery, baby! What time is it?*

Rzuca telefon, który z donośnym trzaskiem spada na betonową podłogę, i wykonuje ruch, jakby chciał wziąć jej twarz w dłonie. Yasmine się cofa i zatrzymuje dopiero na środku pomieszczenia, które on nazywa loftem, chociaż jest nie większe od studenckiego pokoju i stoi w nim tylko szafa na ubrania. Mieszkanie jest wysokie, przez okno wpada czasem trochę światła.

– Dlaczego mówisz do mnie po angielsku?

David zatrzymuje się w pół kroku i patrzy na nią, jakby nie zauważył, że przed chwilą też tu była.

– Jak się tu dostałaś? – pyta oskarżycielskim, agresywnym tonem. Jak jakiś paranoik.

– A co się stało? – odpowiada Yasmine, przekrzywiając głowę jak dziecko. Stoi na betonowej podłodze ze skrzyżowanymi rękami na piersiach i czuje, jak ból i zmieszanie odchodzą, a narasta w niej złość. W nich, w niej, w tym pokoju jest jakaś otchłań. Za każdym razem, kiedy jej się wydaje, że znalazła oparcie w jakimś punkcie wokół porowatego otworu, odnosi wrażenie, że otchłań się poszerza, a palce ślizgają się po piasku. Bez względu na to, jak bardzo walczy, kopie albo krwawi, i tak w końcu spada w bezdenną dziurę, machając bezwładnie rękami i nogami.

– Jak to: co się stało? – dziwi się David. – A co się niby miało stać?

Otwiera lodówkę, wysuwa i z powrotem wsuwa szufladę z warzywami i przenosi resztki jedzenia na półki. Na podłogę spadła kostka masła, ale chyba tego nie zauważył.

– Timmy i Aisha mieli imprezę, potem pojechali gdzieś z Rasheedem i kilkoma innymi osobami.

David odwraca się do niej i pyta zdumionym głosem:

– Co ty tu robisz? Miałaś przyjechać w czwartek.

– Już jest czwartek – odpowiada Yasmine, uciskając palcami skronie. – A może piątek?

Szum w jej głowie nie ustępuje, wprost przeciwnie.

– Timmy i Aisha mieli tę imprezę w ostatni wtorek – prostuje Yasmine. – Nie byłeś od tamtej pory w domu?

David wzrusza ramionami i robi taką minę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Czwartek? – pyta. – Razem z Rasheedem zabalowaliśmy w kilku lokalach. Potem wybraliśmy się na jakąś imprezę w Bushwick. Spotkałem tam Lauren.

David robi taką minę, jak gdyby oczekiwał, że Yasmine go pochwali. Wymienił przecież imiona właścicieli galerii, chociaż wie, że i tak nigdy nie wystawią jego obrazów.

– Była cholernie zainteresowana moim nowym stylem. Mówię o ptakach i kościołach. Opowiadałem ci już o tym?

Yasmine przykuca i ukrywa twarz w dłoniach.

– Tak, tysiąc razy. Ale na razie nic nie namalowałeś. Ani jednej pieprzonej kreski!

Yasmine prostuje się i idzie w stronę podwójnego materaca leżącego w rogu pokoju. Bierze dwie cienkie szeleszczące kartki, podchodzi do Davida i bez słowa kładzie je przed nim na stole.

David pochyla się i czyta.

– To nic ważnego – odpowiada. – Zanim sprawa trafi do sądu, upłynie mnóstwo czasu. *We are artists, baby!* Eksmisje to część naszego życia.

– Mamy się stawić w sądzie za dziesięć dni, potem wylądujemy na ulicy. Pamiętam, że co tydzień dawałam ci pieniądze na opłacenie czynszu. Na co je wydałeś? Na amfę? Na imprezy w Bushwick?

Yasmine czuje, że coraz głębiej zapada się w otchłani, ale nie jest w stanie z tym walczyć.

– Muszę się napić – odpowiada David i szarpie za drzwi od lodówki.

Szuka czegoś na oblodzonych półkach, słysząc trzaskanie szkła. W końcu znajduje butelkę pokrytą cienką warstwą szronu i unosi ją nad głowę. Potrząsa nią, obraca na różne strony i nagle z całej siły ciska nią o szarą ścianę. Butelka o decymetr mija okno i rozbija się na tysiąc drobnych okruchów.

– Dlaczego, kurwa, wypijaś wódkę? – syczy David, odwracając się do Yasmine.

Nagle jego groźby zamieniają się w obietnice. Yasmine nie wie, co jest tego przyczyną: spodziewana eksmisja, podróż, efekt różnicy czasu, kłopoty, których doświadczyła w ostatnim miesiącu, otchłani, która się pod nią coraz bardziej rozwiera, narastający chaos, brud pod jego paznokciami... A może wszystko dzieje się bez powodu? Nieważne, bo Yasmine widzi nagle oczami wyobraźni ciemne, krwawe dno otchłani. W tej samej chwili uświadamia sobie, jak powinna się zachować.

– Nie dotykałam twojej wódki – odpowiada.

Ale tym razem nie mówi drżącym głosem, nie unika jego wzroku, nie cofa się przed nim, nie odwraca. Krzyżuje ręce na piersiach i robi krok w jego stronę. Nagle drobny okruch szkła wrzyna jej się w palec lewej stopy. W panującym upale jest chłodny jak krew w żyłach.

David robi zdumioną minę. Słowa i zachowanie Yasmine nie pasują do wielu podobnych epizodów z ich wspólnego życia, kiedy klęczała z szufelką albo z kawałkiem papieru w ręce i posłusznie zgarniała potłuczone szkło. Przez moment jest zmieszany, ale szybko zaciska szczęki, a źrenice rozszerzają mu się tak gwałtownie, jakby za chwilę miały pęknąć.

– Coś ty, kurwa, powiedziała?

David rusza w jej stronę, kąciuki ust zaczynają mu nagle drgać. To pewnie przez amfę, stres albo ze względu na brak snu. Yasmine cofa się przed nim. Czuje pod stopami okruchy szkła, pęka jej skóra, krew sączy się na betonową podłogę.

Wie, że gdyby chciała, mogłaby to momentalnie zakończyć. Ustąpić przed nim, przynieść z łazienki papier i sprzątnąć to pieprzone szkło. Zejść do całodobowego hinduskiego sklepu na Classon Avenue i kupić butelkę Jacka Daniela. David napije się i zacznie krzyczeć, a ona odwróci od siebie jego gniew i skieruje go na agentów, właścicieli galerii i wszystkich tych, którzy ponoszą winę za to, że od kiedy zamieszkali na Brooklynie, nie namalował ani jednego porządnego obrazu. Może powinna pożyczyć trochę pieniędzy od Bretta? Przeznaczyć je na spłatę długu z tytułu czynszu, żeby zapobiec eksmisji, wyjechać

do Tokio albo Berlina, żeby dalej oszczędzać na czarną godzinę albo na własne mieszkanie, w którym będzie mogła się zaszyć ciemną nocą. Może powinna zrobić to, co robiła już setki razy, to znaczy dać się zepchnąć w otchłań, żeby pochłonęła ją przeszłość?

Być może – ale nie tym razem.

– Już ci mówiłam, że na dziesięć dni wyjeżdżam do Tokio – odpowiada. – Poza tym dobrze wiesz, że nigdy nie dotykam twojej pieprzonej wódki.

David wykonuje kolejny krok w jej stronę i robi taką minę, jak gdyby zastanawiał się nad jej słowami.

– W czasie gdy przepijałeś na imprezach albo w klubie dla nieudaczników pieniądze na czynsz, harowałam, żebyśmy mogli się wynieść jak najdalej od tego gównianego miejsca.

Tym razem trochę za bardzo się zapędziła, dalej niż kiedykolwiek wcześniej. Jest niewyspana, a przez to bardziej podatna na zmiany nastroju. Na krótką chwilę przestaje być częścią rzeczywistości, a przynajmniej jest nią nie w pełnym zakresie. Czuje się tak, jak gdyby wydarzenia ostatniego miesiąca sprawiły, że przeszłość na chwilę jej odpuściła, a to, co przeżyli wspólnie z Davidem, przestało być realne, lecz zamieniło się w mit i sen.

Od kiedy Fadi zniknął na dobre, minął miesiąc. Tamtego dnia jej telefon zadzwonił na stacji metra przy Washington Square Park. W tym samym momencie świat wokół niej jakby nagle zwolnił. Miesiąc temu uciekła przed smutkiem i przeszłością, w bardziej odległe miejsce, niż mogłaby przypuszczać. Później, gdy już przestała wierzyć, że może dotrzeć dalej, i poczuła, że wkrótce dopadnie ją żałoba, dostała wiadomość. To było przed czterema dniami. SMS zawierał niewyraźne zdjęcie kogoś, kto przypominał Fadię. Zrobiono je w Bergort. Fadi nie żyje. Fadi żyje. Nic się w tym wszystkim nie zgadza.

– Ty pieprzony bydlaku! – woła Yasmine. Jej głos rani, staje się ostry i ordynarny.

– Zamknij się! – wrzeszczy jeszcze głośniejszym głosem David. Unosi rękę i podsuwa ją Yasmine do twarzy, jak gdyby nie chciał dopuścić do tego, aby jej słowa wypełniły pokój.

– Zamknij się! Za kogo ty się uważasz, kurwa, uważasz? No, słucham! Nie jestem ci nic winien, sama o tym wiesz.

David jest już tak blisko, że Yasmine czuje na twarzy jego oddech i smród potu po trwającej dwie doby imprezie. Niemiła woń bije od jego ubrania i skóry. David ścisza głos, ale za to brzmi on groźniej.

– Za kogo ty się uważasz, żeby opowiadać mi te brednie? Gdybym ci nie pomógł, dalej mieszkałybyś w Szwecji z Arabusami. Bez mojej pomocy dalej malowałybyś paznokcie w

betonowym salonie ojca twojego kumpla. Ty niewdzięczna cipo! Dawno byś zdechła jak twój pieprzony brat. I jeszcze mi tu pyskujesz z wyjazdem do Tokio... Nie zapominaj, że to ja ci go załatwiłem. *Fuck!*

Yasmine czuje na policzku jego ślinę i wie, że David mówi prawdę. Tyle razy jej to wypominał, a ona tyle samo razy się nad tym zastanawiała – że jej dług wobec niego jest tak wielki, że usprawiedliwia nie tylko istnienie otchłani, ale właściwie wszystko. Czuje, że znowu chwyta ją ręka przeszłości, ciągnie ją w swoją stronę i powoli ściąga w dół.

W takich momentach Yasmine zazwyczaj odpuszcza. Znowu niewiele brakowało i by go przytuliła, a on złożyłby głowę na jej ramieniu i objął ją w pasie.

Ale tej nocy jest inaczej – jakby sznurowa drabinka opadła na samo dno otchłani i znalazła się w zasięgu jej ręki. Śmierć Fadiego i jego nagłe zmartwychwstanie. Świat się trzęsie i wiruje, a jej kręci się w głowie. Z powodu przejścia z jednej strefy czasowej do drugiej czuje się taka lekka i nierzeczywista. Wie jednak, że sama nie utrzyma się na drabince, że nawet pod tym względem – zwłaszcza pod tym – jego pomoc jest jej niezbędna. Potrzebuje pomocnej dłoni Davida, żeby wydobyć się z tej bezdennej otchłani i zmienić bieg historii. Potrzebuje go, żeby się uwolnić i móc uratować to, co jeszcze da się uratować.

Dlatego próbuje zapanować nad nerwami, ustępuje i zmusza się, żeby wrażliwość zastąpić nienawiścią. Robi to wyłącznie siłą woli. Odpycha go z całej siły i krzyczy na cały głos z mocą, którą posiadała dzięki ich wspólnemu życiu.

David potyka się i cofa, przez chwilę jest dezorientowany.

– Jesteś pieprzonym oszustem! – krzyczy Yasmine i wybucha pustym, smutnym śmiechem. – Pieprzonym klaunem! Wydaje ci się, że jesteś artystą... Artystą! A to mi żart! Od dwóch lat niczego nie namalowałaś! Jesteś ćpunem. Jeszcze trochę i skończysz na ulicy. Twierdzisz, że mnie uratowałaś? Nie rozumiesz, że już tylko ja stoję między tobą a pieprzoną ławką dla bezdomnych w parku?

Więcej nie zdąży powiedzieć, bo David uderza ją zaciśniętą pięścią w skroń. Yasmine czuje pieczenie i szum w głowie, traci równowagę. Pokój kręci jej się przed oczami i wiruje wokół niej, aż w końcu Yasmine upada na wznak na betonową podłogę. Na języku czuje metal, który ma smak żalu i pustki, jak zakończenie historii.

Czuje się jak zwycięzcy.

3. Bergort – jesień 2000 roku

Dzielnica nazywa się Bergort. To oficjalna nazwa. Właściwie mogą ją nazywać, jak im się podoba, bo nam to zwisa. I nie potrafimy wymówić tej nazwy prawidłowo. Mimo to jesteśmy od nich lepsi. Wiedzą, że już nigdy nie będą mogli tu rozmawiać, że nigdy ich nie zrozumiemy. Za tymi ścianami staną się niemi, a nawet gorzej niż niemi, bo będą próbować mówić. Będą syczeć i dukać, sądząc, że ich dźwięczne spółgłoski i wydłużone samogłoski wystarczą, żeby się tu z nami porozumieć, że swoim jakanem i bełkotem zdołają wyartykułować to, co myślą. Są jednak w błędzie – to nie wystarczy. Nigdy. Te ich niespokojne ręce, rozbiegane oczy, wytarte czarne spodnie, szaliki i biżuteria... Jak coś takiego może wystarczyć? My wiedzieliśmy o tym od pierwszego dnia. A oni? Jak mogli nie zauważyć, że jesteśmy tutaj obcy, że zawsze będziemy tylko sumą naszych ograniczeń, że takim jak my nigdy nie wystarczy działać na zasadzie „zrobimy to możliwie jak najlepiej”?

Dlatego decydujemy się teraz i tutaj, w dużym pokoju dziennym, w nowym i starym mieszkaniu z porysowanym parkietem, dziecięcymi bazgrołami na drzwiczkach w kuchni, z naszymi żalonymi wspomnieniami i przenośnymi kartonami stojącymi przy ścianie, w ciągłym oczekiwaniu, że ktoś się tym w końcu zajmie, spakuje nasze rzeczy i wpasuje nas w nasze nowe środowisko. Siedząc na podłodze, postanawiamy, że nie jesteśmy przedmiotami z kartonów, że nie możemy już na nikogo czekać, że nigdy nie zaufamy w pełni ani tym w kuchni, ani tym, którzy nas tu sprowadzili, a potem skapitulowali, bo są jak stare ubrania, stare myśli i stary język.

Siedzimy w milczeniu, z kuchni dobiegają nas ich dziwne dźwięki. Skarżą się na *tahini* ze sklepu przy placu, na kwaśne pomidory, na pietruszkę, oliwę z oliwek i brak warzyw zasługujących na prawdziwe uznanie. Spoglądamy na siebie, a ty uśmiechasz się do mnie, głaszczesz mnie po policzku i odsuwasz mi kosmyk włosów z czoła. Przed chwilą nauczyłaś mnie zabawnego słowa: *Wienerschnitzel*. To coś, co podają w stołówce. Jest brązowo-szare i chyba zawiera mięso. Nie wolno nam jeść wieprzowiny, ale mamy to gdzieś. Do mięsa są jeszcze ziemniaki. Zawsze i do wszystkiego podają ziemniaki.

Siedzimy na podłodze i przysłuchujemy się ich kłótlivej gadaninie. Wygląda to tak, jakbyśmy byli tutaj sami, tylko ty i ja, a od kuchni oddzielały nas oceany, galaktyki i

wszechświaty. Przez szparę w wypaczonych drzwiach balkonowych wpada podmuch zimnego powietrza. I nagle słyszę twój szept:

– A może tym razem dla odmiany zjemy *Wienerschnitzel*?

Wybuchamy śmiechem i śmiejemy się tak długo, aż zaczyna nam brakować tchu. Właśnie tam się to zaczęło. To tam postanawiamy, że będziemy razem.

Na początku wychodzimy tylko do szkoły. Czekam na ciebie ukryty za krzakami, które jesienią tracą liście i stają się równie zimne i brzydkie, co wszystko inne. Odmierzam minuty na tarczy wielkiego zegara wiszącego na ścianie ceglanoego budynku po drugiej stronie podwórza i zrywam białe kulki rosnące na krzakach. Ściskam je i słyszę, jak pękają mi w palcach.

Zawsze jest tu szaro, a deszcz pada tak długo, aż spadnie śnieg. Z początku nie chce mi się w to wierzyć, bo płatki, które pojawiają się nie wiadomo skąd, są lekkie jak myśl, sen i wiatr. Marznę, więc zaczynam podskakiwać, ale czekam dalej.

Zastanawiam się, kim są ci wszyscy uczniowie, którzy chodzą do dużej szkoły mieszczącej się w ceglany budynku, podczas gdy my siedzimy w barakach. Odliczam sekundy, wloką się jak minuty, godziny i dni, aż w końcu wychodzisz z budynku, zawsze pierwsza, zawsze sama, zawsze ze wzrokiem skierowanym w stronę krzaków, dopóki mnie nie zauważysz. W tym momencie chłód przestaje istnieć, nie czuję się już tak beznadziejnie, sekundy nie trwają tak długo, jak godziny, ale za to popołudnie robi się puste i nieskończone, wykracza poza zegar i czas.

Właśnie tej jesieni i tej zimy zamieniamy ich *Wayed Wayed* na nasze *Razor Tongue*, *7 Days* i *Britney*. Tej samej jesieni i zimy przebiegamy na drugą stronę ulicy, wchodzimy między pozbawione liści żywopłoty i po oszronionej trawie przemierzamy świat, który staje się coraz ciemniejszy. Trwa to tak długo, że w końcu dochodzę do wniosku, że nigdy więcej nie ujrzę słońca, bo gdzieś znikło i zostawiło mnie na pastwę losu. Tak jak zostawili mnie inni. Wszyscy z wyjątkiem ciebie – mojej siostry.

Idziemy powoli do domu, do nich. Stąpamy po skutym lodem asfalcie, kręcimy się między budynkami. Powłóczymy nogami po świeżym śniegu i zostawiamy na nim ślady, żebyśmy mogli wrócić. Jesteśmy jak Jaś i Małgosia – nie potrzebujemy sposobu na znalezienie powrotnej drogi, chcemy się stąd tylko jakoś wyrwać.

Dość szybko robi się chłodno, zaczynam marznąć. Na nogach mam stare buty do gry w tenisa. Śnieg dostaje się do środka, wciska przez dziurę w podeszwie i pod zbyt krótkie

spodnie.

– Za szybko rośniesz – słyszę. – Jeszcze trochę i nie będzie nas stać na kupno spodni dla ciebie.

Chłód wciska się pod kurtkę z poliestru i żółtą kamizelkę z Myrorna. To taki *second hand*. Zimno przenika przez T-shirt i dociera do skóry. Jestem przemarznięty do szpiku kości.

– Zaraz będziemy w domu, *habibi* – mówisz. – Od razu zrobimy sobie ciepłą kąpiel.

Wybuchamy śmiechem, bo w domu nie mamy wanny. Jest tylko prysznic, z którego ledwie ciurka woda. Śmiech sprawia, że od razu robi nam się cieplej.

– *Tambur, tugga, tröja, tycka*.

To nowe słowa, których niedawno się nauczyłaś. W twoich ustach brzmią jak ptasi śpiew, zupełnie obco, nieludzko. Wiemy, że to klucz, bo oznaczają wszystko, dokładnie wszystko. Rozumiemy, że na razie jesteśmy tutaj, że nie mamy innego wyboru i nie możemy liczyć, iż zamiast zbyt krótkich spodni, okropnych butów i ciasnych, brzydkich mieszkań dostaniemy nowe i lepsze. Możemy jednak ćwiczyć melodię, aż będziemy śpiewać piosenki ładniej niż ktokolwiek inny. A gdy w końcu nadchodzi wiosna, chrypimy:

– *Arv, larv, sparv, korv*.

– *Korv* się nie rymuje – protestujesz.

I znowu wybuchamy śmiechem, trzymamy się za brzuchy, zataczamy się wśród topniejących płatków śniegu – dwoje chudych, szczupłych, zdanych na siebie nastolatków w zupełnie obcym im świecie.

Kiedy w niektóre popołudnia wracamy do domu, nie ma ich w nim. Mieszkanie jest ciemne, światła zgaszone, w środku czuć tylko zapachy. W takich chwilach żałujemy, że przychodzimy za późno, że nie szliśmy szybciej, bo dzięki temu moglibyśmy mieć więcej czasu dla siebie.

W popołudnia, gdy jesteśmy sami, układamy obok siebie poduszki na podłodze, tuż przed telewizorem. Jesteśmy prawie szczęśliwi. Uczymy się słowa *zappa*, które oznacza „przeskakiwać z kanału na kanał”, i dokładnie to robimy: przeskakujemy z jednego arabskiego kanału na drugi, oglądamy *Ricki Lake*, *Oprah Show* czy powtórki *Beverly Hills*. Moczymy suchy chleb w hummusie albo w paście z bakłażana, *baba ganoush*, albo po prostu w tym, co znajdziemy wśród zapomnianych resztek jedzenia w głębi lodówki, za zepsutymi pomidorami albo pozbawionymi smaku gnijącymi paprykami. Potem już tylko

leżymy przemarznięci na podłodze. Robimy się ospali, oczy mamy na wpół przymknięte, a ty czytasz mi napisy z pasków na ekranie telewizora; głos masz zmęczony, ale tak ciepły, że zaczynam marzyć, żebym mógł się nim otulić jak kocem albo grubą, miękką kołdrą i zasnąć, aż chłód zniknie, a promienie słońca przebiją się przez zniszczone żaluzje, przywracając świat do życia.

Najczęściej jest jednak tak, że jedno z nich jest już w domu, bo niedawno wróciło z jakiegoś kursu albo z dorywczej roboty. Jęczą na cały głos i marudzą, oczy mają zmęczone, kłócą się o byle co, pytają od niechcienia o lekcje albo oburzonym głosem wygłaszają swoje tyrady. A gdy im mówimy, że nie mamy nic zadane, podnoszą na nas ręce. Czy my się kiedykolwiek czegoś nauczymy, wołają. Społeczeństwo jest słabe i leniwe. Proszę bardzo, niech sobie sami rozwiązują zadania z matmy albo odrabiają prace z arabskiego, przecież słyszą, że nas do tego nie ciągnie, że się od nich oddalamy, że szepczemy i przemykamy się chyłkiem, powtarzając:

– *Äta, räta, fläta, mäta, täta, näta.*

– *Hot, mot, klot, fot, not, rot, sot.*

Przecież słyszą, jak kraczemy i prawie śpiewamy.

Przecież widzą, jak rosną nam skrzydła.

4. Manhattan, Nowy Jork – sobota, 15 sierpnia 2015 roku

Jest szary, mglisty dzień. Słońce już wzeszło, pociąg wjeżdża ze zgrzytem kół na Manhattan Bridge. Na dworze jest już ciepło, lewe oko Yasmine pulsuje i sprawia jej ból. Bardziej jednak niepokoi ją stopa. Poprzedniego dnia od razu usunęła z niej okrusz szkła i założyła czarne adidasy. Nie przemyślała jednak rany, a opatrunek założyła znacznie później, po południu, w toalecie w Prospect Heights, gdzie była na obiedzie. Rana nadal ją rwie, szorstki opatrunek jest przesiąknięty krwią. Jej stan pogorszył się po tym, jak wczoraj wieczorem godzinami włóczyła się po Prospect Park. Przypominała chodzące w transie zombie. W końcu wynajęła pokój w hotelu na Dean Street, na który i tak nie było jej stać. Czekala ją kolejna nieprzespana noc.

Spogląda przez rzekę na pogrążone w szarym poranku zarysy miasta. Czuje się tak, jak gdyby jej życie znowu się skończyło, a ona kolejny raz znalazła się na granicy tego, czym jej życie jest lub było. Dziwi ją, że to uczucie ma niewiele wspólnego z Davidem. Często wyobrażała sobie dzień, w którym odejdzie od niego na zawsze, ale wydawało się jej, że zrobi to inaczej, w bardziej czysty i dobitny, trochę podniosły sposób, żeby ich rozstanie nie stało się częścią czegoś, co jest większe i ważniejsze.

Wszystko, co posiada, znajduje się w torbie leżącej obok niej na siedzeniu. To marynarska torba, kupiła ją pół roku temu przed swoim pierwszym wyjazdem do Lublany. Jest w niej notatnik, komputer, trochę bielizny, parę T-shirtów, kilka par pończoch i granatowa spódnica do kolan od angielskiego designera. Była tak droga, że kiedy kilka miesięcy temu kupowała ją na eBayu, cena przyprawiła ją o zawrót głowy. Jest też kurtka zimowa w najmniejszym możliwym rozmiarze, choć na nią i tak jest za duża. Kupiła ją w tym samym sklepie z końcówkami serii co marynarską torbę. W kieszeni ma też telefon komórkowy i kartę firmy American Express z zerowym kontem. To wszystko, co ze sobą zabrała. Reszta należy do przeszłości. Jej kolejnej przeszłości.

W chwili gdy ponownie wyjmuje komórkę z kieszeni, czuje drżenie pociągu, który właśnie przejeżdża przez most. Drżenie przenosi się na jej dłoń, telefon zaczyna w niej podskakiwać. Jest ciepły, chyba nawet tak samo jak przed miesiącem, gdy jak teraz jechała metrem do centrum miasta na spotkanie z klientem przy Grand Central Station. Już nie pamięta, kim był i o co mu chodziło. Zapamiętała tylko tyle, że telefon zapiszczał w jej

dłoni, a gdy ujrzała na wyświetlaczu, że to SMS od Parisy, poczuła, że ogarnia ją zarówno wstyd, jak i zadowolenie. Wstyd, bo nie odpowiedziała na tyle innych maili. Poza tym ten mail przypominał jej o Bergort, o jej dawnym życiu i wszystkich osobach, które tam zostawiła, o Ignacio i o Fadim.

Poczuła też zadowolenie, że Parisa o niej nie zapomiała i co jakiś czas się odzywa. Raz na rok, chociaż nigdy nie odpowiada na jej listy, a Parisa nawet nie wie, czy ona je czyta. Fadi też przestał do niej w końcu pisać. Na początku chciała mu wysłać wiadomość na jego maila. Leżała na materacu rozłożonym na podłodze w Crown Heights i układała w myślach odpowiedź. Długie i szczegółowe listy pełne wyjaśnień i obietnic powrotu.

Nadal to robi, mniej więcej trzy lata po ostatnim mailu od Fadiego. Nigdy jednak nie wysłała tych wymyślonych listów. Nie dlatego, że nie chciała; nie wiedziała jednak, jak zacząć. Z Bergort zerwała nagle i nieodwołalnie. To był jedyny sposób – zostawiła Fadiego i pojechała z Davidem prosto na lotnisko Arlanda. A Ignacio? Czy wiedział, że wyjeżdża na stałe? Że to dlatego się z nim rozstała, jeszcze zanim poznała Davida? Nawet on przestał do niej w końcu pisać.

Byli z Davidem jak oszołomieni. Za pieniądze ze stypendium David kupił bilety na samolot, a ona zamknęła konta na Facebooku i Instagramie. Wykasowała wszystko, co wiązało ją z Bergort. Wszystko z wyjątkiem adresu mailowego będącego jej ostatnią linią ratunkową. Wszystko z wyjątkiem wstydu.

Jak to możliwe, że w tak krótkim czasie udało jej się zostawić wszystko za sobą? Przecież Bergort ją ukształtowało, Ignacio był jej pierwszą miłością. A Fadi? Jak mogła go porzucić? Brata z krwi i kości, którego od zawsze strzegła jak oka w głowie. Niestety, nie miała innego wyjścia, bo obawiała się, że Bergort się w niej rozrośnie i wciągnie ją w jakąś ciemną otchłań, o której istnieniu zawsze wiedziała, czując lęk, że kiedyś stanie się jej częścią.

Potem poznała Davida i miała wrażenie, że otworzyła się przed nią droga prowadząca w zupełnie innym kierunku, ku nowemu życiu. Wybrała ją prawie bez zastanowienia. Jeśli ktoś chce zajść w życiu dalej, nie powinien o tym tylko myśleć. Powinien działać.

Kiedy przed czterema laty stary samolot linii American Airlines wylądował na lotnisku JFK w Nowym Jorku, jej życie zaczęło się od nowa. Tak jak miliony innych ludzi wtopiła się w miasto, które otuliło ją niewidzialnym płaszczem. Zaczęła nowe życie. Przed

przyjazdem do Nowego Jorku nie istniało nic, ale od chwili gdy samolot wylądował na płycie lotniska, miała przed sobą tylko przyszłość i amerykański sen – mimo Davida, narkotyków i biedy, mimo tęsknoty za rodzinnym domem i poczucia, że to, co ciągnęło ją przedtem w dół i było mroczne i lepkie, nie pochodziło z Przedmieścia, tylko przez cały czas tkwiło w niej.

I nagle przychodzi mail od Parisy – czyli znikąd. Sama nie wie, dlaczego go otworzyła, ale może Bergort wydawało jej się tak odległe, że doszła do wniosku, że zerwała łączące ją z nim więzi na zawsze. Wiadomość była krótka i składała się z kilku zdań:

Cześć, Yazz,

czy ten adres mailowy nadal należy do ciebie? Anyway, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale twój brat nie żyje. Nie wiem, czy słyszałaś, ale wyjechał do Syrii, a teraz na Facebooku pojawiła się informacja, że poległ w walce. Mehdi rozmawiał z twoimi rodzicami. Przykro mi, siostró.

Gdy kończyła czytać treść maila, pociąg zatrzymał się przy 13 Ulicy. Wstała i przecisnęła się do wyjścia, a potem pobiegła ruchomymi schodami w stronę Washington Square Park.

Nie pamięta, co się z nią działo przez cały dzień. Pierwsze jej wspomnienie to David, który znalazł ją późnym wieczorem, gdy skulona leżała przy oknie mieszkania w Crown Heights. Wyglądało to tak, jak gdyby wykasowano jej z życia cały dzień, który nigdy nie istniał.

– Powinnaś zadzwonić do rodziców – szepnął. Potem położył się obok niej, tak samo skulony jak ona. Tym razem nie okazywał zniecierpliwienia, był dla niej dobry i czuły.

Ale ona wysunęła się z jego ramion, pokręciła głową i wbiła wzrok w ścianę. Czuła, jak życie uchodzi z niej z każdym oddechem.

Kiedy obudziła się następnego dnia, ogarnęło ją uczucie pustki, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyła. David znowu gdzieś przepadł, w pustym pokoju panował chłód. Przez brudną szybę przedarł się pojedynczy promień słońca i rozświetlił betonową podłogę. Wyglądał jak rozlany sok pomarańczowy.

Nie opuszczała pokoju przez wiele dni. Ruszyła się dopiero wtedy, gdy odwiedził ją Brett, bo nie przyszła na umówione spotkanie. Zabrał ją do kawiarni, gdzie zjadła kawałek bajgla i siedziała z na wpół przymkniętymi oczami. W zasadzie nigdy nie spotykali się na gruncie prywatnym, a poza tym Brett nie należał do osób, które potrafią pocieszać innych. Zresztą on też nie potrzebuje pociechy. Przez większą część czasu zachowywali więc

niezręczne milczenie, aż w końcu Yasmine otworzyła oczy, bo poczuła na sobie jego zmieszane spojrzenie.

– Załatw mi jakąś robotę – powiedziała. – Cokolwiek, byle jak najdalej stąd.

Cokolwiek, żeby tylko nie myśleć o Fadim i nie rozmawiać z Davidem. Cokolwiek, żeby nie musiała dzwonić do rodziców ani wracać do Sztokholmu. Cokolwiek, żeby uciec od samej siebie i swojej własnej zdrady.

Brett skinął głową i zapłacił za jej skromne śniadanie. Trzy dni później siedziała w samolocie do Detroit. Później poleciała do Baltimore i Tokio. Ledwo zdążyła zrobić pranie między jedną a drugą podróżą. Pusta i mroczna jak zarys albo cień człowieka pozwalała się wozić z lotnisk do hoteli, na spotkania z artystami i agentami reklamy, kompletnie niezainteresowana treścią rozmowy i otaczającym ją światem. Tylko przemieszczanie się z miejsca na miejsce pozwalało jej jakoś funkcjonować.

I właśnie w Shibuya, dzielnicy Tokio, w dusznym i nowoczesnym hotelu pełnym prostych kątów i jasnego drewna, w samym środku nocy przyszedł ten drugi SMS. To było w poprzedni wtorek. Przy okazji poznała adres mailowy swojej mamy. Przez chwilę czuła pokusę, żeby nie czytać wiadomości, tylko od razu ją skasować. Była już jednak tak wyczerpana tym ciągłym uciekaniem od przeszłości, że w końcu się przemogła. Tekst okazał się krótki, składał się z zaledwie kilku zdań: „Na Facebooku napisali, że Fadi zginął przed miesiącem, ale podobno kilka dni temu był w Bergort. Nic nie rozumiem. Wracaj do domu, Yasmine, proszę”.

Usiadła w łóżku i zapaliła lampkę. Do wiadomości były dołączone cztery zdjęcia. Kliknęła w pierwsze z nich i na ekranie pojawił się młody mężczyzna. Przykładał do brudnej ściany długi na metr kwadratowy szablon i spryskiwał go sprejem.

W świetle ulicznej latarni profil mężczyzny rysował się zadziwiająco wyraźnie. Yasmine dotknęła drżącymi palcami zdjęcia i maksymalnie je powiększyła. Mężczyzna był chudy i wyniszczony, szczuplejszy niż w dzieciństwie. Przypominał dawnego siebie tylko w połowie. Ale od razu wiedziała, że to Fadi. Rozpoznałaby go wszędzie, na każdym zdjęciu. Nie miała wątpliwości, że to on.

Metro zatrzymuje się przy Bleecker Street. Yasmine, kulejąc, opuszcza wagon i wjeżdża schodami na Houston Street. Brett stoi na parkingu przy stacji benzynowej oparty o olbrzymiego czarnego SUV-a. *Are you safe tonight?* – pyta wielkimi literami umieszczonymi na wiszącym nad nimi billboardzie firma o nazwie Stirling Security.

Yasmine zaciska zęby, żeby zapomnieć o bolącej stopie. Nie ma na to teraz czasu.

David roztrwonił wszystkie pieniądze, które udało jej się zaoszczędzić. Tylko znajomościom Bretta i jej własnemu sprytowi wyniesionemu z ulicy zawdzięcza, że za chwilę wsiądzie w samolot lecący do Szwecji. Wysłała mu trzy zdjęcia załączone do maila od matki. Wynikało z nich, że w Bergort coś się szykuje. Pieniądzy powinno jej wystarczyć na podróż. To szansa, żeby wyprostować pewne rzeczy.

5. Bergort – wiosna 2007 roku

Zaczęła się wiosna. To prawdziwy cud, aż trudno w to uwierzyć. Jest tak ciepło, że zdejmujemy kurtki, które zwędziliśmy w listopadzie w centrum miasta w jednym ze sklepów sportowych sieci Stadium, bo lepią się na nas od potu. Nie chce nam się nawet ze sobą gadać, bo przez całą zimę graliśmy tylko na komputerze i brakuje nam innych tematów do rozmowy. Jesteśmy w parku zabaw, siedzimy na ławkach popstrzonych graffiti, wystawiając blade twarze i wychudzone po długim okresie ciemności ramiona do słabego słońca. Wspominamy dawne życie i zaczynamy wymyślać nowe.

- Możemy urządzić grilla, człowieku! Kupmy najtańsze kiełbaski!
- Kiedy będziemy się mogli znowu kąpać? W maju?
- Mnie wystarczy, jak obalę browarek.

Do lata jeszcze daleko, więc trzęsiemy się z zimna, ale nie chcemy zakładać kurtek. W drodze na nasze miejscowe Camp Nou kopujemy piłkę. Nogi mamy zeszywniałe, trzeszczy nam w stawach, z ust unosi się para wodna.

Wchodzimy na boisko pokryte sztuczną trawą. W jednym rogu nadal leży kupa brudnego, twardego śniegu. Przepędzamy dzieciaki, które grają plastikową piłką, i dzielimy się na trzyosobowe drużyny. W jednej gra Louis, Lis i ja, w drugiej Mehdi, Bounty i Farsad. Od razu widać, że podział jest niesprawiedliwy – Bounty waży sto kilogramów, podczas gdy Mehdi dyszy i świszczy jak typowy astmatyk. Mam to gdzieś, chcę tylko wygrać, poczuć wiatr na plecach, wiosnę na twarzy i zbliżające się lato, które jest już prawie na wyciągnięcie ręki. Tego popołudnia dużo biegam, zagrywam piętą, a nawet robię przerzutki. Udaję, że jestem Thierrym, Eto’o albo Zlatanem. A kiedy na dodatek udaje mi się strzelić z połowy boiska w okienko, czuję, jak moją pierś przepełnia radość całego świata. Wyciągam ramiona i biegam po wilgotnej trawie, słyszę aplauz publiczności, rosną mi skrzydła, staję się lżejszy, aż w końcu unoszę się w powietrze i szybuję nad ziemią. Nie słyszę astmatycznego oddechu Mehdiego, nie widzę betonowych bloków.

Wczesną wiosną takie dni ciągną się w nieskończoność, nawet po zachodzie słońca, gdy temperatura spada i znowu wraca zima. Kiedy jednak zapada wieczór, zakładamy kurtki i kończymy. To żadna kapitulacja. Siedzimy na ławkach w parku zabaw, palimy i pijemy

cołę, snując fantastyczne marzenia. Po grze w piłkę pot wysycha nam na skórze.

– *Fuck...* Znacie Anę Marię? Młodsza siostrę Jorgego? Ma ładne cycki. *Wallah!*¹, przysięgam, ludzie, to prawdziwa Rihanna.

– Powinniśmy zdobyć forszę i pojechać na jakiś mecz do Barcelony. Słyszałem, że Jorge ma tam wujka.

– Ja zdobędę kasę i pojedę do Afryki. Chcę tam zobaczyć pigmenty. Podobno są super cool.

– Pigmenty? Ale z ciebie pieprzony palant, Bounty. Chyba chciałeś powiedzieć Pigmejów? Ha, ha, ha!

Śmiejemy się z Bounty'ego, pokładamy się ze śmiechu na twardym, zmarzniętym piasku, ryczymy do utraty tchu. Po kilku sekundach Bounty przyłącza się do nas i po chwili on też rży na cały głos. W końcu daje sobie spokój i odchodzi.

Leżymy tak przez jakiś czas, aż w końcu zapada cisza. Niebo nie jest już takie blade, szarość przechodzi powoli w głęboki błękit. Wieczór nie przypomina wiosny, nie jest taki ciepły. Ogarnia nas lodowaty chłód, gwiazdy błyszczą tak jak zimą, są jasne i widać je wyraźnie na tle nieba. Odwracam się i zamykam oczy. Być może dzieje się tak z powodu światła albo wiosny, która nagle się zjawiała i równie szybko odeszła, ale w pewnym momencie zaczyna mnie ogarniać przeszywający strach. Przenika mnie jak fala, z trudem łapię oddech, brakuje mi powietrza. Serce wali mi tak mocno, że muszę się położyć w piaskownicy.

Z braćmi nie wolno o tym rozmawiać, bo zaczną mnie traktować jak Bounty'ego. Dyszę coraz bardziej, wciągam w płuca coraz więcej świeżego powietrza, czuję na wargach zmarznięty piasek, zmuszam się, żeby odzyskać spokój, żeby serce przestało mi tak mocno bić.

– *Ey, Fadi? Co ty, kurwa, robisz?*

Zaciskam oczy, walczę z żołądkiem, zmuszam się, żeby wstać.

– Nic, palancie. Spadamy stąd.

Chwilę później już nas tam nie ma. Przechodzimy przez tory, kierujemy się w stronę kładki. Jesteśmy przemarznięci, pod kurtkami mamy tylko zwykłe T-shirty, ale ciągle czujemy wiosnę. Stoimy na kładce nad torami oparci o poręcz, plujemy i palimy, obserwujemy przejeżdżające pociągi, wsłuchujemy się, jak skrzypią i dudnią rozświetlone jasnym światłem.

Od strony szeregowców idzie w naszą stronę Adde. Przybijamy z nim piątkę. Ubrany jest w kurtkę typu Canada Goose, w ręce trzyma siatkę na zakupy.

– Zimno, kurna – mówi Adde. – A ja myślałem, że to już wiosna.

Kiwamy głowami. Jego widok uzmysławia mi, że nie widziałem cię od tygodnia, nawet przez chwilę. Chętnie bym go spytał, czy spotkał cię w studiu, ale jakoś nie mam odwagi. Ciągnę go tylko za futrzany kołnierz kurtki.

– Cholernie drogi ciuch – mówię. – Wyglądasz w tej kurtce jak Diddy.

Adde wzrusza ramionami i szeleści reklamówką.

– Masz gorzałkę? – pyta Mehdi. – Może nam coś postawisz?

– Odwal się. U Reda jest impreza. Za dwa lata was też tam wpuszczą, gnojki.

Wybuchają śmiechem i odchodzą.

– Pieprzony *taytish!* Snob! – woła za nim Mehdi.

Ale Adde nawet się nie odwraca. Unosi tylko środkowy palec, pokazuje go nam i idzie na dół.

Włączymy się bez sensu po spękanych asfalcie, po zaszronionych, żółtawych trawnikach, mijamy nieczynne latarnie. Na skrzynkach transformatorów i fasadach budynków malujemy nasz nic nieznaczący znak: *Boing*. Zamiast litery „o” jest w nim gwiazdka. Nic nie znaczy, nawet nie wiemy, skąd się wziął, ale zamierzamy nim upstrzyść całą okolicę. Idę ze wzrokiem wbitym w czarny asfalt albo w niebieskoszare fasady bloków, bo nie wiem, co się stanie, jeśli powędruję spojrzeniem w górę, w stronę granatowej pustki.

Coś się musi w końcu zmienić. Nie może być tak wiecznie pusto, cicho i biednie. Zostawiam braci w parku zabaw razem z ich fajkami i głupawymi żartami, zapinam kurtkę i podciągam dzinsy nad biodra.

– Muszę coś sprawdzić – mówię.

– A co konkretnie, bracie?

– Nieważne, zaraz wracam.

Przechodzę przez plac, mijam kebab, w którym Finowie zapijają się na śmierć, lokal Syryjczyka i zejście do tonącej w żółtym świetle stacji metra. Zostawiam za sobą dziesięciopiętrowe budynki i wchodzę między te, które mają tylko trzy kondygnacje. Ich fasady ledwo widać spod gąszczu anten satelitarnych będących czymś w rodzaju zasłony z bluszczu. Przypominają wydrążone przez robaki nostalgiczne tunele prowadzące do minionych czasów. Inny kontekst, inna rzeczywistość, fałszywa i statyczna jak bajka.

Zapomniałem, gdzie mieszka Red, ale to nieważne, bo w jego mieszkaniu na parterze słyhać rap. Ghostface Killah i Trife Da God. Całe towarzystwo śpiewa refren *Be Easy* i nagle widzę ciebie. Stoisz przy poręczy, masz na sobie zapiętą pod szyję flanelową koszulę w zieloną kratę. Pod spodem masz ciasną halkę, nienosisz tak obcisłych dżinsów, jak inne laski, zwisają luźno jak u chłopaków. Włosy masz uczesane prosto, twój twarz oświetla przez chwilę płomień zapalniczki, którą zapalasz skręta. Podchodzę do poręczy, ale robię to ostrożnie, bo nie chcę, żeby ktoś mnie zauważył.

– Sie masz, Yazz – mówię po cichu.

Ale ty mnie nie słyszysz, bo akurat rozmawiasz z Czarnym Okiem i z Igge, to znaczy Ignaciem. Zaciągasz się głęboko i wypuszczasz dym w stronę ulicznej latarni. Stoję tuż pod twoim łokciem, w cieniu. Kiedy kończy się *Be Easy*, słyszę twój śmiech, jeszcze zanim zacznie się kolejna zwrotka. Znowu otwieram usta, wyciągam rękę, żeby cię dotknąć i powiedzieć, że tu jestem. Ale w tym samym momencie odsuwasz rękę, zaciągasz się i oddajesz papierosa Igge. Potem odpływasz z balkonu, wracasz na imprezę, do swojego własnego życia.

Przez chwilę stoję w miejscu. Nie jestem pewien, co mam zrobić i co tu w ogóle robię. W pewnym momencie otwierają się za mną drzwi wejściowe do budynku i wytacza się z nich Adde. Oczy wychodzą mu prawie z orbit, twarz ma skrzywioną i prawie zieloną. Pochyla się nad pozbawionymi liści krzakami i zaczyna wymiotować. Pewnie zwraca całe piwo, które wcześniej niósł w reklamówce. Kiedy jest już po wszystkim, odwraca się nagle, jak gdyby odzyskał nad sobą pełną kontrolę. Na jego twarzy pojawia się słaby uśmiech. Ociera usta wierzchem dłoni, lekko się przy tym zataczając.

– Co ty tu, kurwa, robisz, koleś? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Nic.

– No to spadaj stąd, *abri*. Nic tu po tobie.

Abri? Przecież facet nie jest stąd, mieszka w szeregowcu, to zwykły pieprzony Szwedol. *Fuck him*. Nie odpowiadam, tylko się na niego gapię. Zapinam kurtkę i odchodzę.

Bracia nadal są w parku zabaw i oglądają coś na telefonie Mehdiego.

– Kurwa, w końcu jesteś!

Jorge wstaje z ławki.

– Daj sobie spokój. Idziemy do Bounty’ego, pogramy w gry komputerowe, *FIFĘ* albo

HALO. Jest cholernie zimno.

Kręcę głową, czuję, jak ogarnia mnie pustka.

– Lisie, masz gumowy szlauch? Taki jak do przelewania benzyny – pytam.

Lis kiwa z uśmiechem głową.

– Mam wszystko, brachu. Jak zawsze.

– To dobrze. Przynieś go, i do tego jakiś łom.

Lis potrzebuje pięciu minut, żeby kopsnąć się do domu i znaleźć, co potrzeba. Po następnych pięciu wraca czerwony na twarzy. Oczy ma zwężone, gotów jest zrobić wszystko, byle tylko tu nie tkwić, bo to nuda i beznadzieja.

– Co się szykuje, brachu?

– Czy bardzo nienawidzicie Syryjczyka? – pytam. – Jego chujowego stylu bycia i pieprzonego sklepu?

Bracia kiwają głowami. Każdy z nas tam już wpadł, każdy poczuł na głowie jego twarde ręce, był przesłuchiwany przez gliny.

– Facet powinien w końcu dostać nauczkę. Musimy go uświadomić.

Bracia patrzą na mnie zupełnie innym wzrokiem. Zapomnieli o grach komputerowych i o tym, że jest zimno. Szykuje się coś nowego.

– Widzieliście jego nowe audi? – pytam. – Zresztą... nowe, ten rupieć ma ze sto lat i tylko dla niego jest nowy. Widzieliście, jak nim jeździ? Dumny jak jakiś pieprzony paw, jakby myślał, że jest kimś, pierdolony kutas.

– *Aight* – odpowiada Mehdi. – Masz rację, nadszedł jego czas.

Zbieramy się. Szlauch i łom chowamy pod kurtki, nasuwamy kaptury na głowy, ogarnia nas podniecenie. Czujemy się tak po raz pierwszy od Camp Nou. Przez pewien czas kręcimy się po parkingu, aż w końcu znajdujemy audi. Zwykłe zielone kombi, które ma pewnie z dziesięć lat, jest brudne i szkaradne. Najpierw koło niego przechodzimy, jakby auto nas w ogóle nie interesowało. Robimy dwie dodatkowe rundki, żeby się upewnić, czy na parkingu nie ma nikogo innego. Nie rozmawiamy, nie hałasujemy, poruszamy się spokojnie, jak jacyś gangsterzy albo mnisi z Szaolin czy Wu-Tang. Zatrzymujemy się w cieniu i pytam Lisa: – Ile potrzebujesz czasu?

Lis wzrusza ramionami.

– Dziesięć sekund na zamek, dwie minuty na drzwi. Nie więcej.

– Co potem?

– Potem to już z górki. Kilka minut i fura jest nasza. *Chill, bracie. I got this.*

Patrzemy na siebie i nie możemy się powstrzymać od uśmiechu. Tak długo czekaliśmy na ten moment, na wiosnę, na życie pełne luzu. Suniemy bezszelestnie po zalanym żółtym światłem parkingu, nic innego nas nie interesuje. Jest tylko zemsta i chaos.

Lis to prawdziwy geniusz, więc już po chwili zamek otwiera się z lekkim trzaskiem. Wrzucamy do środka jedną butelkę z benzyną, a potem drugą. Powinno wystarczyć. Potem dajemy sobie znak i Lis uderza w szybę łomem. Bum! Nic. Oczy mu się zwężają, ale w tym momencie Mehdi bez słowa bierze od niego łom.

Sto kilogramów żywej wagi wykonuje swój legendarny skręt, jak przy uderzeniu kijem bejsbolowym. Szyba pęka od pierwszego uderzenia i rozpada się na tysiące drobnych kryształków, które spadają na parking. Jeszcze zanim dotkną ziemi, Lis podchodzi do wozu z dwiema butelkami benzyny, wylewa ją na tylne siedzenia i otwiera drzwi na całą szerokość. Patrzy na nas i podaje mi zapalniczkę.

– To był twój pomysł, brachu. Zaslugujesz na to, żeby spalić to gówno.

Biorę zapalniczkę i patrzę w oczy Mehdiemu i Jorge. Obaj dają mi znak, że się zgadzają. Są czerwoni na twarzy, podekscytowani. Ja też się tak czuję. Zapalam trzy zapałki i przez chwilę trzymam je przed sobą. Potem rzucam je przez drzwi i obserwuję, jak niebiesko-czerwone płomienie unoszą się nad siedzeniem. Odwracamy się i pędzimy przez parking. Płomienie za nami są coraz większe. Kiedy dobiegamy to placu, eksploduje zbiornik paliwa.

6. Manhattan, Nowy Jork – sobota, 15 sierpnia 2015 roku

– Wyglądasz na zmęczoną – mówi Brett. Yasmine siada obok niego w miękkim fotelu z jasnej skóry.

Kiedy pół godziny temu do niego zadzwoniła, właśnie się obudził. Trudno jej w to uwierzyć, kiedy tak siedzi przed nią w skrojonym na miarę garniturze, zapiętej pod szyję białej koszuli i jasnych włoskich pantoflach. Włosy ma ciemne, falujące. Wyglądają tak, jak gdyby ktoś mu je wyrzeźbił nad czołem.

Yasmine opuszcza osłonę na słońce i zerka w umieszczone tam lusterko. Opuchlizna na lewej skroni zmieniła kolor na jasnoróżowy. Yasmine przeciąga po niej palcami i czuje, jak w środku coś się lekko przemieszcza.

– To były dwa długie dni – stwierdza.

Z lekkim trzaskiem zamyka osłonę, przymyka oczy i opiera się o fotel.

Bretta poznała dwa lata wcześniej na wernisażu w Williamsburgu. Prezentowano na nim prace przyjaciela Davida. Przedtem nie znała nikogo takiego jak Brett. Oglądała podobnych mężczyzn tylko na zdjęciach i widywała w Szwecji – w jednym z letnich ogródków na placu Stureplan albo gdy razem z kumplami szła do McDonalda. Siedzieli nad dużymi porcjami skorupiaków i popijali je różowym winem. Tacy jak oni chodzą w eleganckich garniturach i mieszkają w prawie stuletnich domach. Należą do zupełnie innej klasy społecznej, która pędzi życie w samym centrum miasta, w izolacji od zwykłych śmiertelników. Mają mieszkania i wykształcenie, które chroni ich przed chaosem codziennego życia.

Brett jest jednym z nich, a nawet bardziej niż jednym z nich. Jest ucieleśnieniem, a nawet bardziej niż ucieleśnieniem amerykańskiego snu. Brett to Harvard, mokasyny na gołych stopach i dom w Hamptons. W biurze spędza osiemdziesiąt godzin tygodniowo, Boże Narodzenie świętuje na Karaibach. Jednocześnie widać w nim pewien dysonans, jak u buntownika, a spod idealnie czystej powłoki przebija czasem ironia, która objawia się w postaci niespodziewanego żartu albo pełnej rezygnacji miny, gdy podczas prezentacji słyszy beznadziejną wypowiedź któregoś klienta.

Brett z pewnymi kłopotami manewruje swoim SUV-em między dystrybutorami na stacji benzynowej i obrzuca Yasmine szybkim spojrzeniem.

– Widzę, że masz za sobą coś więcej niż kilka długich, męczących dni.

Yasmine udaje, że nie słyszy, i dalej siedzi z zamkniętymi oczami. Brett jest agentem w branży reklamowej. Zajmuje się znajdowaniem – jak sam je nazywa – talentów, to znaczy młodych, kreatywnych ludzi posiadających pewne szczególne uzdolnienia. Potem „sprzedaje” ich firmom reklamowym lub innym klientom, którzy potrzebują do swoich projektów kompetentnych ludzi. Yasmine nigdy wcześniej nie słyszała o takim zajęciu i nic nie wiedziała o branży reklamowej. Kiedy więc wiosną, po wypiciu dwóch kieliszków chardonnay w galerii na Roebing Street, Brett zaczął się chwalić swoją pracą i znajomościami, trochę ją rozbawił. Doszła do wniosku, że ich spotkanie ma przypadkowy charakter, i bardzo musiała się starać, żeby ukryć jego niezręczny performance przed Davidem, który przyglądał im się intensywnie z drugiego końca galerii.

Kiedy po dwóch dniach Brett zadzwonił i powiedział, że może ją wkręcić do pracy w czymś, co nazwał *the street intelligence unit*, uliczną grupę wywiadowczą, i to w jednym z czołowych światowych przedsiębiorstw z branży napojów energetycznych, naprawdę się zdziwiła. Jeszcze bardziej zdziwiło ją to, że ludzie z firmy chcieli się z nią spotkać w tym samym tygodniu, w miejscu, które nazywają swoim „Klubem”. Znajdował się na Bronksie, w dzielnicy, która jest o krok od gentryfikacji. Nie było tam jeszcze ekologicznych sklepów ani barów specjalizujących się w serwowaniu markowych win, ale wydawało jej się, że zauważyła już kilka pierwszych zwiastunów nadchodzących zmian – logo Stumptown Coffee w witrynie kawiarni i brodatych mężczyzn za zakurzoną oknem w roboczych kombinezonach inspirowanych stylem *heritage*. Spytała Bretta, czy pójdzie z nią na to spotkanie, ale zrobił niewyraźną minę i nerwowym ruchem przesunął dłonią po włosach.

– Spotkanie odbędzie się na Bronksie – odparł. Było to jedyne wyjaśnienie, jakiego jej udzielił, po czym zaproponował, że podrzuci ją do najbliższej stacji metra.

Na miejscu okazało się, że klub mieści się w dawnym sklepie z wielkimi oknami wychodzącymi na brudny chodnik i sąsiaduje z knajpą o ironicznej nazwie Energy. Uliczna grupa wywiadowcza składała się z pięciu osób w wieku dwudziestu kilku lat, reprezentujących różne subkultury i grupy etniczne.

Po krótkiej rozmowie na temat Banksy’ego, Sheparda Faireya i ich „ulicznego dorobku”, poproszono ją, aby w kilku słowach opowiedziała o dwóch ulicznych performerach, którzy jej zdaniem zasługują na zainteresowanie. Pracę dostała po dziesięciu minutach, jeszcze zanim skończyła mówić, a tydzień później siedziała w samolocie do Tokio. Zamieszkała w

opłaconym z góry hotelu, zaopatrzona w różnego rodzaju kamery i aparaty cyfrowe, którymi nie umiała się posługiwać. Miała tylko jedno zadanie: znaleźć „nowego artystę klasy Banksy’ego”.

Snuła się więc jak cień po nieznanym ulicach w obcym kraju, jak gdyby trafiła na obcą planetę, gdzie wszyscy posługują się alfabetem z dziwnymi literami. Miała tylko aparaty, kamery i numery telefonów do dwóch agentów reklamowych, z którymi jej nowi koledzy z „grupy” najprawdopodobniej się kumpłowali. Okazało się, że to mili ludzie. Zabrali ją do kilku barów, na parę imprez i pokazali jej największe centra handlowe, które funkcjonowały jak autonomiczne światy. Po pewnym czasie jednak zaczęła odnosić wrażenie, że jej nowi znajomi mają równie mętne pojęcie o tym, czego od nich oczekuje, jak ona sama. W dzielnicach Shimokitazawa i Koenji, które wyglądały jak błyszczące, gęsto zaludnione wersje Hornstull albo Williamsburga, pokazali jej graffiti i olbrzymie murale. Chodziła z nimi posłusznie, aż doszła do wniosku, że wszystko, co widzi, jest płaskie i puste, jak spod sztancy. Przypominało jej to masową produkcję dla brodatych *art directors*. Nie zobaczyła nic, czego nie można znaleźć gdzie indziej, w dowolnym zakątku świata. Nic, co warte było odkrycia i pokazania.

Wreszcie dała sobie spokój i postanowiła olać zlecenie. Jakkolwiek na to spojrzeć, udało jej się pojechać do Tokio i oderwać na jakiś czas od codziennego życia. Na razie jej to wystarczało.

Na szczęście w ostatnim dniu pobytu, na wieczornej imprezie, która odbywała się w miejscu przypominającym studencki korytarz, poznała niewysoką dziewczynę o imieniu Misaki. Wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia lat. Wprawdzie Yasmine szykowałą się już do wyjazdu na lotnisko, ale zostało jej jeszcze kilka godzin, a jej japońscy znajomi postanowili pokazać jej wszystko, co się tylko da.

Misaki była cicha i poważna i miała w sobie coś, co przemawiało do Yasmine. Już samo przebywanie w jej towarzystwie sprawiało jej przyjemność. W pewnym momencie Misaki odwróciła się do niej i łamanym angielskim powiedziała, że słyszała, że Yasmine jest kuratorką, i dlatego chciałyby ją spytać, czy może jej pokazać swoją *architectural art*. Yasmine się roześmiała, bo nawet nie wiedziała, co oznacza słowo „kuratorka”, ale się zgodziła. Misaki wyczarowała nie wiadomo skąd laptopa i chwilę potem obie siedziały na brązowej kanapie w miejscu wyglądającym jak oszklony wykusz, który wychodził na ciemny, ponury zaułek.

Misaki pokazała jej skanowane, ręcznie wykonane rysunki identycznych, prostokątnych kostek. Były ze sobą połączone w taki sposób, że tworzyły kanciaste, przypominające roboty ludzkie postacie, które zdawały się wykonywać różnego rodzaju ćwiczenia. Jedne z nich kucąły z rozpostartymi ramionami, co przypominało tradycyjną gimnastykę albo jogę, inne klęczały z ramionami rozłożonymi jak do modlitwy. Kilka „robotów” stało na wyprostowanych nogach. Yasmine naliczyła w sumie kilkanaście różnych figur.

Nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć. Projekt wyglądał na dokładnie przemyślany i świetnie zrealizowany, a zarazem prosty. Przypominał coś, co mogłoby wykonać utalentowane dziecko z lekkim autyzmem. Yasmine uśmiechnęła się więc zachęcająco i skinęła głową. Misaki wskazała na figury i pochyliła się w jej stronę.

– Architekt – powiedziała. – Są trwałe. Kontenery.

Yasmine dopiero po chwili zrozumiała, co Misaki miała na myśli: rysunki zawierały wyliczenia, jak poszczególne figury można złożyć ze zwykłych, tradycyjnych kontenerów. Dziewczyna opowiadała jej o monumentalnych, kilkunastometrowych rzeźbach. Yasmine poczuła, że pierwszy raz podczas tego wyjazdu znalazła coś naprawdę ciekawego. Poprosiła więc, aby Misaki przesłała jej rysunki mailem, i pojechała na lotnisko.

Kiedy wróciła do Nowego Jorku, okazało się, że rysunki Misaki spodobały się firmie produkującej napoje energetyczne.

– Właśnie tego szukamy! – zawołał brodaty mężczyzna o nazwisku Rainbow. Objął Yasmine i dodał: – To jest niesamowicie świeże, nowe!

Brett nazwał ją Rebel Curator. Wydrukował jej nawet wizytówkę, na której umieścił ten tytuł. Yasmine była tak zażenowana trywialnością tego określenia, że nikomu nie chciała tej wizytówki dawać. Po wykonaniu zlecenia w Tokio weszła w skład stajni Brett'a, stała się jednym z wrażliwych poszukiwaczy trendów z całego świata, którzy przyjechali do Nowego Jorku z tysiąca różnych powodów. Brett dał jej namiary na kilka innych przedsiębiorstw szukających czegoś świeżego, i ubranych w garnitury mężczyzn z Midtown, którzy chcieli zrozumieć u l i c ę. Dzięki jego poparciu Yasmine stale wyjeżdżała w różne miejsca: do Lublany, Detroit i ponownie do Tokio. Zawsze do nowych firm, zawsze z równie niejasnymi zleceniami.

Od czasu do czasu znajdowała coś naprawdę ciekawego – na przykład kogoś takiego jak Misaki. Czasem wracała z pustymi rękami. Ale w ciągu sześciu miesięcy pracy uświadomiła sobie, że chyba już wie, na czym to wszystko polega, że ma nosa do

znajdywania nowych rzeczy i nietypowych projektów. Dostawała więc coraz więcej zleceń, a na jej konto wpływały kolejne sumy, które David w szybkim tempie przepuszczał. Dzięki zleceniom mogła mieszkać w Nowym Jorku, przebywać na wygnaniu, aby potem, gdy David zaczynał coraz częściej imprezować, zniknąć. Dawało jej to zarówno okazję do ucieczki, jak i ucieczki od ucieczki.

Siedząc obok Bretta w jego groteskowym samochodzie, miała nadzieję, że jej sława jest wystarczająco duża, aby dostała kolejną szansę. Miała polegać na którejś z kolei ucieczce od samej siebie, a raczej od osoby, jaką się stała, żeby mogła na powrót zostać tym, kim była.

Otwiera oczy i widzi, że Brett znowu zerka na jej opuchliznę.

– To nic takiego – mówi, żeby uprzedzić jego ewentualny komentarz. – Nie chcę o tym rozmawiać.

Yasmine wyjmując telefon i przewija nieistniejące wiadomości. Robi to tylko po to, żeby z nim nie rozmawiać i niczego nie wyjaśniać. Kątem oka widzi, jak Brett kiwa potakująco głową. Być może poczuł ulgę, że nie będzie musiał pytać, co jej się stało w oko. Zamiast tego wpatruje się w coraz większy sznur samochodów na Lafayette.

– Czy masz już gotowy *pitch*? – pyta. – Bez obrazy, ale wyglądasz na wykończoną.

– *Pitch*? – powtarza Yasmine. – Ja nawet nie wiem, z kim mamy się spotkać.

– Przecież to ty chcesz, żeby ktoś zapłacił za twój wyjazd? – odpowiada Brett i unosi brwi. – Jedziemy na spotkanie z ludźmi ze Shrewd & Daughters. To jedna z najbardziej znanych na świecie firm z branży PR. Z tego, co pamiętam, to był twój pomysł, prawda? To ty do mnie zadzwoniłaś, prosząc o klienta do projektu, który masz na tapecie. Co ty sobie myślisz? Że takie firmy zarzucą cię pieniędzmi tylko dlatego, że pół roku temu odkryłaś jakąś japońską artystkę, która ma pomysł na kontenery?

Brett puszcza kierownicę i rozkłada ręce. Na jego twarzy pojawia się irytacja.

– Nie jesteś jedyna w tej branży. A mówiąc poważnie, twoja sława nie jest jeszcze aż tak ugruntowana. Wprawdzie wszyscy słyszeli o dziewczynie od kontenerów, dzięki czemu weszłaś do środowiska, a oni chcą z tobą w ogóle rozmawiać. A jeśli tak, to daj im coś od siebie. Powiedz mi, że coś na dzisiaj przygotowałaś, że nie poświęciłem sobotniego przedpołudnia na próżno.

Yasmine czuje, jak ogarnia ją coraz silniejsze zdenerwowanie, szczypie ją uszkodzone oko i rwie w stopie. Prawdę mówiąc, tak to sobie wyobrażała: powie, że trafiła na coś

niezwykłego w Sztokholmie, pokaże kilka ciekawych zdjęć, a Brett znajdzie kogoś, kto opłaci jej przelot do Szwecji. W ogóle nie przypuszczała, że będzie musiała cokolwiek pokazać. Miała nadzieję, że wystarczy wyjąć trzy zdjęcia dołączone do maila i coś o nich opowiedzieć. Ale w tej chwili jej umysł zaprzęta tylko jedna myśl: że Fadi do niedawna nie żył, a teraz może się to okazać nieprawdą, ona zaś będzie zmuszona poukładać wszystko na nowo.

W pewnej chwili czuje, że ogarnia ją skrajna rozpacz. Walczy z impulsem, który nakazuje jej otworzyć drzwi, wyskoczyć w biegu i uciec stąd jak najdalej, do miejsca, gdzie nikt jej nie znajdzie. Ale i tak wie, że nic jej nie pomoże, bo to, od czego można uciec, runie pod ciężarem tego, czego nigdy nie można uniknąć.

Woli więc znowu zamknąć oczy. Ostrożnie oddycha, obserwuje fasady budynków w SoHo i dyskretnie ociera oczy. Łzy?

– Przecież widziałeś zdjęcia, które ci wysłałam – mówi jak najbardziej obojętnym tonem. – Coś przedstawiają. Dlaczego mi pomagasz, jeśli w to nie wierzysz?

Brett rozsiada się wygodniej w fotelu i wzdycha.

– Masz rację, być może powinienem zadać sobie to pytanie.

7. Bergort – zima 2011 roku

W końcu się budzę, więc chyba jednak spałem. Pokój nie wydaje się już taki ciemny, teraz jest jasnoszary. Uliczna latarnia rzuca żółty blask, a to oznacza, że jest już nowy dzień. Prześcieradło pozwijane, kołdra prawie wysunęła się z poszewki. Przez chwilę mi się wydaje, że wczorajszy dzień w ogóle się nie zdarzył, że to nadal tylko niezrealizowany, odległy plan. Kiedy jednak podnoszę cienki materac, metalowa skrzynka ze szkatułką na pieniądze nadal stoi pod łóżkiem. Patrzą na drzwi garderoby po drugiej stronie pokoju. Po tym, jak zabrałaś swoje rysunki, ciągle jeszcze są uchylone. Wszystko naprawdę się wydarzyło. Wszystko.

Wyciągam rękę i sięgam po telefon. Próbuję do ciebie zadzwonić, ale okazuje się, że nie mam nic na karcie. Postanawiam więc wysłać SMS-a. Piszę: „Gdzie jesteś?“, naciskam „Wyślij”, ale nic z tego. To, co mam na karcie, nie wystarczy nawet na wysłanie zwykłej wiadomości. Upuszczam telefon na podłogę i opieram się o ścianę, czuję, jak ogarnia mnie strach i żal. Walę się pięściami w czoło, najpierw nieśmiało, potem coraz mocniej. Boję się, że rozbiję sobie łuki brwiowe, więc przestaję, opadam na łóżko i szepczę:

– Nie, nie, nie.

Po dziesiątej wymykam się z mieszkania. Jest cicho i pusto, oni są w pracy, żeby zarobić pieniądze, których ciągle nam brakuje, choć nie mamy pojęcia, na co je wydajemy. Wysyłamy je rodzinie w kraju, wpłacamy na konto i zawsze używamy ich w imię przeszłości albo oszczędzamy na przyszłość. Nigdy nie wydajemy ich teraz i tutaj. Otwieram starego laptopa i pytam ponownie:

– Gdzie jesteś?

Widzę, że bracia są *online*, więc szybko, bez dodatkowych wyjaśnień, wysyłam im wiadomość: „Camp Nou. Zaraz. Musimy pogadać”.

Dziesięć minut później stoję w rogu pokrytego sztuczną trawą boiska i oddycham mroźnym, lodowatym powietrzem. Nocą znowu padał śnieg, każde oczko stalowego ogrodzenia zalepione jest cienką warstwą białego puchu. Zaśnieżone boisko otoczone jest zaśnieżonym ogrodzeniem. Przeszuję z nogi na nogę, śnieg skrzypi mi pod stopami. Bracia zjawiają się po trzydziestu minutach, mają zaczerwienione policzki, głośno się śmieją.

– Sie masz, Fadi, co jest grane, bracie?

– Kurwa, człowieku, nie powinienes być olewać szkoły. Plan, brachu, plan!

Poklepują się po plecach, radośni i na luzie. Tymczasem ja podskakuję, kręcę się i drepczę w miejscu.

– Wtopa – mówię. – Mamy problem.

Zapalam papierosa i opowiadam o kodzie. Wyjaśniam im, że tamci od razu się zorientują, że w czasie włamu użyliśmy kodu od Yazz.

Ale bracia tylko rozkładają ręce, śmieją się głośno i gapią na siebie, jakbym był jakimś pieprzonym głupkiem.

– A więc to wszystko dla niej? – pyta Bounty. – Co to za interes, bracie? Ona naprawdę chce wyjechać, *yao*? A ty pozwolisz jej zabrać całą zdobycz?

Pozostali kiwają głowami, chociaż nic nie rozumieją. Palę papierosa i wypuszczam szaroniebieski dym. Patrzą, jak unosi się nad szaroniebieskim betonem i ulatuje w stronę kolczastego szaroniebieskiego nieba.

– *Fuck!* – odpowiadam. – To nie dla niej, jasne?

Patrzą na Jorge, szukam jego wzroku, innych w tym momencie olewam. Olewam Bounty'ego, bo to kompletny cymbał. Olewam Lisa, bo on i tak jest kryminalistą. Zawsze nim był, chociaż ma to gdzieś. Odwrócił się i bawi telefonem. Olewam Mehdiego, bo to grubas. Patrzą tylko na Jorgego, bo on zawsze jest ostatni do takich spraw, o pół kroku za nami, ma do nich sceptyczne nastawienie, ale za to myśli szybciej niż my. Ale on tylko wzrusza ramionami.

– Co mam powiedzieć, bracie? Co się stało, to się nie odstanie. Ma to wziąć na siebie twoja siostra, tak? Wyluzuj. Trzeba siedzieć cicho i czekać.

Zgaś mi papieros, ale zaciągam się i końcówka znowu się żarzy. Wypalam go do samego filtra i rzucam na śnieg. Znowu patrzą na Jorgego, ale on śmieje się już głośno z czegoś, co opowiedział mu Mehdi.

– No to ja też to pieprzę – mówię.

Zresztą i tak to pieprzę. Tak jak ich durnowate podejście do ryzyka. Martwi mnie tylko jedno: że wyjechałaś na zawsze, że do tej pory się nade mną unosiłaś, ale mnie opuściłaś, a twój cień pada gdzie indziej. Nie wolno mi jednak mówić braciom o takich rzeczach. Ani im, ani nikomu innemu.

Kiedy wychodzę z Camp Nou, znowu zaczyna padać śnieg. Po drodze do domu mijam plac

zabaw, który bez huśtawek i dzieci jest zupełnie pusty. Płatki śniegu zasypują ławki. Nadal słyszę tłumione przez śnieg głosy braci. Idą w przeciwnym kierunku, mijają trzypiętrowe budynki i lasek, skręcają w stronę szkoły. Nie jestem w stanie spędzić tam kolejnego popołudnia, nie jestem w stanie wysiedzieć tam całego dnia. Między blokami jest całkiem pusto, nawet na ławkach przed sklepem z alkoholem nie ma żadnych pijaczków. Wiatr kołysze tablicami z reklamą tego samego co zawsze filetu z kurczaka po siedemdziesiąt dziewięć koron za kilogram. Wygląda na to, że oprócz mnie nikogo tu nie ma. Jak gdyby doszło do jakiejś ewakuacji, o której nikt mnie wcześniej nie poinformował.

Idę okrężną drogą, wzdłuż torów, bo to, co wydarzyło się wczoraj, każe mi się trzymać jak najdalej od placu Piratów. Nie mogę tamtędy iść, żeby skrócić sobie drogę. To, co się wydarzyło w studiu, odpycha mnie od tego miejsca. „Odpycha” – nowe słowo. Widzisz, Yazz? W końcu się okazało, że jesteśmy dobrzy. Nauczyliśmy się słówek. Ale to my nie mieliśmy racji. Nie wystarczyło naśladować, potrzeba było czegoś jeszcze. Od takich jak my oczekuje się czegoś więcej.

Wyrastają jak spod ziemi. Nagle, nie wiadomo skąd. Wiem, że już po mnie.

Wszystko odbywa się błyskawicznie. Leżę w śniegu na plecach, w ustach mam smak stali, czuję ból z tyłu głowy. Śnieg wciska mi się za kołnierz kurtki, płatki śniegu oblepiają mi twarz. Nie wiem, kto mnie zaatakował. Dowiaduję się dopiero wtedy, gdy pochylają się nade mną.

– A więc to ty, kutasie? – słyszę czyjś głos. Rusek?

Stawiają mnie na nogi, a moja głowa robi się tak ciężka, że zaraz odpadnie mi od tułowia. Stoi przede mną cała trójka: Mladic, Rusek, Czarne Oko. Ktoś przytrzymuje mnie od tyłu, ale nie wiem kto.

– To on? – pyta Mladic i patrzy na Czarne Oko.

Ten tylko kiwa głową i odwraca wzrok. W tej samej chwili Rusek wali mnie pięścią w żołądek. Kurtka trochę amortyzuje siłę uderzenia, ale mimo to natychmiast tracę oddech. Próbuję zaczerpnąć powietrza, zaraz umrę. Naprawdę? Właśnie teraz?

Po twarzy spływają mi łzy. Stojący za mną chłopak zwalnia chwyt, a ja padam bezwładnie na ziemię. Śnieg zalepia mi usta i nos. Kopiać mnie po brzuchu, więc przekręcam się na bok, żeby go chronić. Próbują mnie znowu dosięgnąć, ale nie mogą, bo śnieg jest za głęboki, więc ponownie stawiają mnie na nogi. Mam przed sobą twarz Mladica ze śladami po ospie, jego ogoloną czaszkę i oszalałe oczy. Pluje mi prosto w twarz, ślina spływa mi po

nosie i kapie na brodę.

– Popierdoliło cię, chuju? – pyta. – Który palant jest na tyle głupi, żeby posłużyć się kodem dostępu należącym do własnej siostry? Który cymbał włamuje się do lokalu należącego do Pirate Tapes?

Mladic się cofa, wyprowadza szybki cios i trafia mnie nad skronią. Widzę przed oczami gwiazdy, huczy mi w głowie, chcę upaść na śnieg, ale ten, który trzyma mnie od tyłu, nie pozwala mi na to. Zaczynam jęczeć; chociaż nie chcę, i tak to robię. Błagam o litość, czuję, jak po nodze cieknie mi mocz. Ogarnia mnie przeraźliwy strach.

– Przestańcie, proszę – błagam.

– Prosisz? – śmieje się Rusek, który stoi gdzieś obok mnie. – Chyba nie wiesz, o co, chuju.

Popychają mnie i przewracają na śnieg. Potem chwytają mnie za nogi i ciągną na brzuchu w stronę torów po zaśnieżonej alejce. Szoruję policzkami po piachu i zbitym śniegu, krwawię.

– Nie, proszę, nie! – wołam na cały głos, ale na próżno, bo ciągną mnie w stronę zardzewiałej szpary w ogrodzeniu. W końcu kładą mnie na torach. Policzkami dotykam chłodnej, płaskiej szyny.

– Co chcecie zrobić? Wszystko wam oddam, proszę...

Kopią mnie w brzuch, uderzam głową o tory. Rusek pochyła się nade mną, czuję na twarzy jego oddech. Alkohol i aceton.

– Zaraz tu zdechniesz, pierdolony chuju – syczy mi prosto do ucha. – Już niedługo.

Płaczę i kwiczę jak zarzynane prosię. Czuję, jak coś we mnie pęka, mój organizm przestaje funkcjonować.

– Nie poszedłeś tam chyba sam, gnojku? – pyta Mladic. – Rozumiem, że byli tam z tobą twoi pierdoleni kumple?

Mladic pochyła się nade mną i przybliży usta do mojego ucha. Jego pytania brzmią tak, jak gdyby świetnie rozumiał moje zachowanie. Nie mogę zaprzeczyć. Kiwam potakująco głową.

– Tak! Był ze mną Bounty, Lis, Mehdi i Jorge.

Patrzą na siebie i uśmiechają się szyderczo.

– Widzę, że jesteś nie tylko zwykłym chujem, ale i pieprzonym kapusiem. Wiesz, co ci powiem? Paskudna z ciebie gnida, palancie.

Plują na mnie, jeden po drugim.

– Wszystko ma wrócić do studia najpóźniej jutro po południu, gnoju – mówi Rusek.

Słyszę chrzęst kół pociągu na torach i huk wagonów jadących przez tunel. Wibrowanie szyn zwielokrotnia ich moc.

– Oczywiście – szeptam. – To był błąd. Przepraszam, naprawdę przepraszam.

Prostują się, czyszczą buty i spodnie ze śniegu. Potem bez słowa odchodzą.

Szyny drżą coraz mocniej, coraz wyraźniej słyszę nadjeżdżający pociąg. Jest już całkiem blisko. Spodnie mam mokre od moczu, nogi zmarznięte. Czuję się tak, jak gdyby wszystko się nagle skończyło, jak gdybym nie miał ochoty unieść głowy z szyn, żeby było już po wszystkim. Co to by była za ulga! Prawdziwe wyzwolenie.

Ale nawet na to nie umiem się zdecydować.

Nawet na to brakuje mi honoru.

8. Manhattan, Nowy Jork – sobota, 15 sierpnia 2015 roku

Kiedy drzwi windy się otwierają, jej oczom ukazuje się typowa otwarta przestrzeń biurowa. Jest w niej dziwnie ciemno i ponuro, chociaż od strony Madison Square Park do środka powinny wpadać promienie słońca. Wygląda jednak na to, że wykładzina podłogowa pochłania całe światło, które odbijają od siebie pomalowane na intensywnie zielony kolor ściany.

W pomieszczeniu w jednym rzędzie stoi kilkanaście identycznych stołów z drewna wiśni. Czarne fotele chyba specjalnie dopasowano kolorem do równie czarnych metalowych lamp. Większość z nich się pali, żeby zrównoważyć ponurą ciemność zalegającą w pozostałej części pomieszczenia. Gdyby nie młodzi ludzie w dżinsach, *chambray* i musztardowych koszulach z kaszmiru, pokój przypominałby państwowy zakład w angielskim stylu z lat trzydziestych. Ale ludzie i sposób, w jaki siedzą pochyleni przed włączonymi ekranami monitorów, a także stosy papierów i brak kurzu wskazują na to, że umeblowanie tego pomieszczenia nie jest przypadkowe. Wprost przeciwnie: sprawia wrażenie, że jego *design* został w pełni przemyślany. Może być to dzieło jakiegoś ekscentrycznego dekoratora wnętrz, który miał wielkie upodobanie do wszystkiego, co angielskie, ale ograniczył swoje pomysły do minimum.

Yasmine zerka na Brett, który rozgląda się swobodnie po pokoju, jakby szukał kogoś wzrokiem. Jeśli ktokolwiek ma tu twarz pokerzysty, to na pewno on.

– Brett! – słychać nagle czyjś głos. Dobiega z drugiego końca pokoju, od strony wielkiego okna.

Brett staje na palcach, żeby lepiej widzieć, i unosi rękę w geście pozdrowienia.

– W końcu jesteś! – mówi kobieta idąca między stołami w ich kierunku. – A ty jesteś Yasmine, prawda? Ja mam na imię Geneviève.

Kobieta podchodzi do nich i wyciąga rękę na powitanie. Yasmine, która już wcześniej uznała, że przed pamiętnym dla niej wernisażem nie spotkała kogoś takiego jak Brett, teraz dochodzi do wniosku, że nigdy przedtem nie spotkała kogoś takiego jak Geneviève. Kobieta jest niska i szczupła, ma gęste stalowoszare włosy zaczesane za uszy, z których zwisa coś, co przypomina oprawione w złoto szafiry. Jej rysy są tak ostre, że światło wpadające mimo wszystko do pokoju zdaje się odbijać pod dziwnym kątem od jej

policzków i prostego nosa. Ubrana jest w sięgający kostek jedwabny kaftan w kolorze zielonego mchu, wyszywany na rękawach i w przedniej części złotą nicią we wzory kojarzące się z roślinami i owadami. Wokół szyi zawiązała niedbale szkarłatny jedwabny szal. Ile może mieć lat? Sześćdziesiąt? Może siedemdziesiąt? Ciężko powiedzieć. Wygląda na kogoś, kto ma za sobą bogate życie, które jednak nie jest aż tak interesujące, jak nadchodząca przyszłość. Trudno sobie wyobrazić, aby ktoś wpadł na pomysł, żeby nazywać ją „Jennie”.

– Nie wygląda to najlepiej – mówi Geneviève, wskazując siniak na głowie Yasmine. – Na szczęście możemy temu jakoś zaradzić.

Po tych słowach odwraca się w stronę pokoju i woła:

– Hermione!

Jej głos kojarzy się Yasmine z kieliszkiem szampana albo niedzielną wycieczką jaguarem w jednym z angielskich miniseriali, które oglądała w szwedzkiej telewizji, gdy była małą dziewczynką. W tym samym momencie jedna z kobiet siedząca przed monitorem – młoda blondynka w koszuli, szarym kardiganie i dużych okularach z rogową oprawką – unosi wzrok znad biurka.

Hermione, myśli Yasmine. A więc są tu ludzie, którzy mają na imię nie tylko Geneviève, ale także Hermione.

– Bądź tak miła i zadzwoń do Gretchen – mówi Geneviève. – Powiedz jej, żeby tu do nas przyszła, i przekaż, że sprawa jest pilna.

Hermione kiwa głową i sięga po telefon.

– Naprawdę nic się nie stało... – zaczyna Yasmine, ale Geneviève tylko macha ręką, jak gdyby jej zachowanie było tak oczywiste, że nie warto się nad nim rozwodzić. Bierze Yasmine ostrożnie za łokieć i prowadzi ją do ciemnego kąta w oddalonej części pokoju. Naturalny sposób, w jaki to robi, powinien właściwie zirytować Yasmine, ale akurat w tym miejscu, po strasznej nocy, pragnie tylko, żeby Geneviève nigdy nie puściła jej ręki.

Niestety, Geneviève musi to zrobić, gdy dochodzi do tamtego miejsca i otwiera ukryte w ścianie drzwi.

– Nie mamy tu pokojów do spotkań – wyjaśnia, wzruszając ramionami. – Dlatego urządziliśmy tu sobie nasz własny pokój.

Pomieszczenie ma kształt sześcianu i obwieszane jest małymi kartonami po jajkach. Yasmine odnosi wrażenie, że doświadcza *déjà vu*, że to, co widzi, przypomina grootę z

urządzonym w niej studium nagrań przy placu Piratów. Kręciła się tam często, gdy miała piętnaście lat. Prawie czuje woń słabego piwa i marychy. Ale to tylko złudzenie, bo w pokoju unosi się zapach drogiej wanilii. Jego źródłem są świece zapachowe stojące na niewielkim podeście w rogu pokoju. A jeśli nawet jest to grotka rządzona przez Affego i Redruna, to na pewno o wiele bardziej ekskluzywna od tej, którą widziała jako nastolatka. Jedyne wyposażenie pomieszczenia stanowi stół z takiego samego drewna wiśniowego jak stoły w dużym pokoju i osiem nowoczesnych foteli obitych czarną skórą. Geneviève daje Yasmine znak, żeby usiadła, a sama podchodzi do biurka i kładzie na nim czytnik e-booków.

– Witamy w Shrewd & Daughters – mówi.

Akustyka pokoju sprawia, że jej głos jest przytłumiony, ale wyraźny, jak gdyby każde słowo zostało ociosane z całej otoczki z wyjątkiem jądra. Yasmine i Brett podchodzą do dłuższej krawędzi stołu. Jest tam już dziewczyna w wieku Yasmine. Ma białe włosy związane w koński ogon i błyszczące kolczyki w uszach. Dziewczyna uśmiecha się i siada obok Geneviève.

– Cieszymy się, że do nas przyszedł – kontynuuje Geneviève. – Przedstawiam wam Mary, moją asystentkę.

Mary uśmiecha się do Yasmine.

– Słyszeliśmy o tobie wiele dobrych rzeczy – mówi i znowu się do niej uśmiecha.

W tym momencie do pokoju wchodzi mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat. Ubrany jest w spodnie typu chino i granatową sportową marynarkę. Ma zmierzwiłone włosy i okulary w rogowej oprawce. Zamyka za sobą drzwi.

– Jest też z nami Mark – przedstawia go Geneviève. – To nasz specjalista od analizy trendów.

Geneviève odwraca się z uśmiechem do Bretta.

– Myślę, że możemy zaczynać – mówi. – W końcu to sobota, o tej porze jesteśmy zazwyczaj w domu i jemy lunch. Brett wspomniał, że chcesz nam pokazać coś niezwykłego. Rozumiem, że słyszałaś o naszej firmie i wiesz, czym się zajmujemy?

Yasmine potwierdza skinieniem głowy, podczas gdy Mark zdejmuje okulary i zaczyna czyścić szklą odwrotną częścią krawata w zieloną kratkę. Wygląda sympatycznie.

Yasmine oczywiście wie, do jakiej firmy przyjechała. To jedna z tych agencji, o których ciągle słyszy od czasu, gdy zaczęła pracować w tej branży. Firma cieszy się legendarną

sława, ponieważ jej pracownicy mają wprost nienaturalną umiejętność odczytywania modnych trendów. Później, jeszcze zanim się rozpowszechnią, wykorzystują je w reklamach dla swoich klientów. Dzięki temu przez długi czas zachowują świeżość. Odkrywają nowe subkultury i dokonują ich selekcji w gęstej masie innych trendów. Pracują dla klientów z wielu branż, organizują kampanie reklamowe dla wielkich producentów obuwia i reprezentują zagranicznych artystów. Zawsze trzymają rękę na pulsie. Swoje kampanie kierują wyłącznie do młodych odbiorców. Yasmine chciałaby, żeby to akurat jej *pitch* zastąpił inny, który nie jest aż taki *hipp* i którego nie da się tak łatwo podrobić.

– Tegoroczne lato to okres buntu. Coś takiego zawsze trudno przewidzieć – kontynuuje Geneviève. – Demonstracje przeciwko umowom handlowym, wojnom i wszystkiemu, co z sobą niosą. Dzieje się tak i u nas, i w Europie, dlatego jesteśmy tym zainteresowani. Naszym klientom zawsze zależy na zrozumieniu tego, co dzieje się na ulicy. Dlatego musimy wiedzieć, skąd biorą się poszczególne trendy. Nie chcę, żeby zabrzmiało to cynicznie, ale tej jesieni takie bunty będą bardzo *marketable*, pod warunkiem, że będziemy wiedzieć, jak je wykorzystać.

Tymczasem w pokoju zmieniło się oświetlenie. Wcześniej było ciepłe i głębokie. Teraz jest bardziej blade. Yasmine się rozgląda, ale nie zauważa źródła oświetlenia, bo nigdzie nie ma lamp.

– To oświetlenie ledowe – wyjaśnia Geneviève, jak gdyby czytała jej w myślach. – Jest zamontowane pod panelami ściennymi.

Wskazuje przy tym na obite jedwabiem kartony po jajkach pokrywające ściany i sufit.

– Współpracujemy z pewnym psychologiem z nowojorskiego uniwersytetu. To on przygotował dla nas profil oświetlenia, który ma ułatwiać koncentrację w czasie spotkań. Kto wie, może zadziała?

Yasmine przełyka ślinę. Czuje pulsowanie w oku i w stopie. Jej rozmówcy pochylają się w jej stronę, żeby z uwagą wysłuchać tego, co ma im do powiedzenia. Pytają, jakie ulice i subkultury mogłaby dla nich odkryć. Patrzy na ich lśniące zielonym kolorem kaftany, kaszmiry i okulary w rogowych oprawkach, na srebrne kolczyki, myśli o zdjęciach i o Bergort. Nagle czuje, że wzbudzają w niej odrazę – oni i te ich badawcze oczy, ta ich ciągła pogoń za czymś nowym i świeżym, z czego będzie można wyssać całą krew, a później wyrzucić. Jej odrazę wzbudza także to, że sama w tym uczestniczy, że odrzuciła to, z czego się wywodzi – swoją krew i korzenie. Na domiar złego zostawiła na pastwę losu

brata, którego miała chronić, żeby zająć się tym, czym zajmuje się teraz. Porzuciła go dla pozbawionych okien pokojów i ludzi, których nigdy wcześniej nie widywała.

Powoli przesuwając ekran czytnika i odwraca go w taki sposób, żeby wszyscy mogli zobaczyć, a Mary od razu podłącza do niego kabel. Zanim Yasmine zdąży cokolwiek powiedzieć, zawartość notebooka pojawia się na jedynej ścianie pokoju, która nie jest pokryta opakowaniami po jajkach.

Nieporadnie klika na poszczególne zdjęcia, żeby znaleźć te, które chciałyby im pokazać, ale nie do końca wie, co ma powiedzieć. W końcu znajduje pierwszą fotografię, którą otrzymała dwa dni wcześniej. Klika na nią dwa razy i słyszy westchnienie po drugiej stronie stołu. Kątem oka widzi, jak Mary odwraca wzrok.

Patrzy na zdjęcie i już rozumie jej reakcję, chociaż w pewnym sensie sprawia jej ona przyjemność. Chciałyby krzyknąć: „Tak to właśnie wygląda, *wallah*, taka jest rzeczywistość! Zróbcie z tego waszą pieprzoną kampanię reklamową!”. Ale się nie odzywa. Widok martwego czarnego kota wiszącego na kablu elektrycznym na ulicznej latarni powinien im wystarczyć za cały komentarz.

9. Bergort – wiosna 2014 roku

Nie mieszkam tu już od tygodni. Sypiam owinięty w stare, brudne prześcieradło, jadam wyłącznie to, co znajdę w prawie pustej lodówce, wychodzę z domu tylko po to, żeby kupić fajki i red bulla. Już tu nie mieszkam i nie nazywam się Fadi.

Mieszkam w San Andreas i jeżdżę wypasionym ferrari. Wrzucam do niego broń i rabuję banki, strzelam do gliniarzy i przechodniów, dla nikogo i dla niczego nie mam szacunku, porywam łodzie i samoloty, wykonuję zlecenia i podpalam samochody. Wszyscy są na mnie wkurwieni i mają mnie dosyć.

Ale mi to zwisa. Żyję na luzie, krążę po mieście, słucham w radiu West Coast Classics i czekam na *Gangsta, Gangsta*. Wyrzucam jakiegoś faceta z helikoptera, innemu podsuwam gnata pod nos i zanim rozwalę mu głowę, wpatruję mu się w oczy, żeby dojrzeć w nich strach. Chwilę potem uciekam Mt. Vinewood Drive, gubię gliniarzy w górach, a o zachodzie słońca zjeżdżam nad morze, słuchając *Gin and Juice*.

Jak wspomniałem, już tu nie mieszkam. Przebywam w fikcyjnej Kalifornii, gdzie słońce nie zachodzi coraz wcześniej, człowiek ma nieograniczone możliwości, a samotność to kwestia własnego wyboru i daje mi moc tytana.

Od kiedy przestałem czekać na twoje maile, a potem na twój powrót, mniej więcej tam chciałbym uciec i mniej więcej kimś takim chciałbym się stać. W końcu przestałem czekać, aż mi wybaczysz, aż wybaczą mi Mehdi, Lis i Bounty. Człowiek popełnia błędy i musi z tym żyć. Przyzwyczajają się do samotności.

Za to w San Andreas jestem sam, kiedy tylko chcę. W sieci kumpluję się z kimś, kto używa nicka Psych7876 i Amirat, podczas napadów na banki i policyjnych pościgów jesteśmy braćmi krwi, wspieramy się, a gdy padamy ze zmęczenia, kierujemy przeciwko sobie *submachine guns*. Czasem brakuje nam sił, żeby grać dalej, więc tylko kradniemy jakiś samochód i jedziemy na korty tenisowe rozegrać kilka setów. W tym samym czasie niebo zmienia kolor z niebieskiego na pomarańczowy.

To właśnie jeden z takich wieczorów. Po drugiej stronie siedzi Amirat. Poznaliśmy się przypadkowo dwa tygodnie temu, kiedy graliśmy ze sobą online w *GTA V*. Teraz mówimy do siebie „bracie”. Jesteśmy do siebie podobni. Mieszkamy na dwóch różnych wybrzeżach,

ale na takim samym Przedmieściu. Dziś wieczorem braliśmy udział w kilku turniejach, niektóre wygraliśmy, inne przegraliśmy. Amirat jest kiepskim tenisistą, więc czasem lubię się z nim podrażnić. Każę mu biegać z wywieszonym językiem wzdłuż linii końcowej kortu, żeby się na mnie rozżłościł. Ale dzisiaj traktuję go łagodniej, jestem zbyt zmęczony na takie żarty. Graliśmy już od dłuższego czasu, gdy nagle przyszedł SMS.

– Widziałeś to? – pyta Amirat. W słuchawkach wyraźnie słyszę jego głos.

Za każdym razem, gdy wypowiada słowa „to” albo „tamto”, nabijamy się z jego akcentu, którym posługują się mieszkańcy przedmieść Göteborga. Otwieram maila. Amirat wysłał mi link do YouTube’a, na ekranie pojawia się długi niebieski ciąg cyfr i liter. Klikam na link, patrzę na obraz roztargnionym wzrokiem, a jednocześnie przerzucam lobem piłkę z mojego forhendu na jego bekhend.

Na ekranie widzę czarną kartkę z arabskim tekstem, który nie do końca rozumiem. Jest tam coś o Allahu i dżihadzie. Kiedyś o tym rozmawialiśmy. Amirat jest ode mnie młodszy o kilka lat. Z tego, co wiem, uczęszcza do jakiejś muzułmańskiej szkoły na przedmieściu. Powiedział mi, że jego starszy brat zapuścił brodę i stał się bardzo radykalny.

Na filmie ktoś recytuje Koran. Brzmi to jak pieśń, jak piękna piątkowa modlitwa. Potem pojawia się ujęcie z kamiennym wzgórzem porośniętym kilkoma niskimi krzakami. W środku stoi grupa zamaskowanych mężczyzn w czarnych mundurach. Wygłaszają długie oświadczenie w języku arabskim, które trudno zrozumieć, a potem chyba z dziesięć razy skandują *Allahu Akbar*.

W końcu mężczyzna siedzący w środku grupy zaczyna mówić po szwedzku. To mój język, takim samym mówimy na Przedmieściu. Mężczyzna opowiada o niesprawiedliwości i hańbie, twierdzi, że nadszedł czas, aby coś z tym zrobić, że muzułmanie cierpią na całym świecie, że powinniśmy się temu przeciwstawić, bo nie mamy innego wyjścia, a dżihad to nie wybór, tylko obowiązek.

Nie wiem dlaczego, ale nagle serce zaczyna bić mi mocniej. Zamaskowani mężczyźni w zakurzonych czarnych strojach robią na mnie wielkie wrażenie. I nie chodzi o to, co mówią, bo to nic nowego. Takie rzeczy słyszymy od stu lat na każdym placu. Istotne jest to, że oni nie tylko mówią i narzekają. Okazuje się też, że znają szwedzki równie dobrze, jak ja, i są tacy sami jak ja. Różnica polega na tym, że są w Syrii, mają broń i czarne mundury i być może przed chwilą stoczyli jakąś bitwę. Wszystko to obserwuję kątem oka. Państwo Islamskie i wojnę, cierpienia ludności w Syrii, cierpiących braci i siostry. Oglądając

nagranie, dochodzę do wniosku, że to prawdziwe piekło: al-Asad, Żydzi, Amerykanie, Szwedzi i wszyscy inni razem wzięci. Poniżają nas, trzymają w obozach albo w pieprzonych gettach, zmuszają, żebyśmy się stali tacy jak oni i nie chcą nam pomóc. Nawet kiedy uczymy się ich języka i śpiewamy czysto, bez żadnych naleciałości – nawet wtedy otaczający nas beton nie znika. Serce bije mi coraz mocniej.

– *Ey, Amirat* – mówię. – Koniec na dzisiaj. Jestem już padnięty.

Potem wychodzę z laptopem z pokoju, kładę się do łóżka i zaczynam grać. Nie pierwszy raz, odkąd mam wideo, ale za to pierwszy raz po szwedzku. Coś jest w głosie tego człowieka, w jego barwie – mówi szczerze, uczciwie, w prawdziwy sposób. Mówi, że ma nadzieję, że polegnie pośród piasków pustyni, że Allah weźmie go do siebie. Przedtem jednak chciałby na to zasłużyć – pomóc muzułmanom zbudować państwo. W jego ukrytych pod maską oczach kryje się coś szczególnego. Nie są złe ani oskarżycielskie, tylko po prostu smutne, szczerze i prawdziwe. Chcą czegoś lepszego i wspanialszego. Te oczy promieniują siłą, przenikają przez cały beton i syf, a na dodatek sprawiają, że serce bije mi mocniej, myśli zaś ulatują tam, gdzie nie sięga moja wyobraźnia.

Znowu klikam w jakiś link i wpisuję na YouTubie i Facebooku hasło „Szwedzi w Syrii”. Dziwię się, że nie zrobiłem tego wcześniej. Na Przedmieściu krąży wiele historii o braciach, którzy tam wyjechali. Nikt o tym nie wiedział, bo spakowali się i zniknęli nocą. Kilka tygodni później wysłali rodzinie wiadomość, w której pisali o Allahu i poświęceniu. Zawsze wydawało nam się to dość przerażające – oto nagle ujawniają się nieznani nam bracia, którzy wcześniej trzymali się na uboczu, a chwilę później już ich nie ma. Zostają po nich tylko nierealne opowieści, upiory i legendy.

Z mocno bijącym sercem rozglądam się po pokoju. Czuję się tak, jak gdyby coś zakleszczyło mi się w głowie i teraz mnie uciska, wdziera się w tę samotność, która istnieje we mnie od miesięcy, od lat, od dnia, kiedy zniknęłaś, a ja zdradziłem moich przyjaciół i stałem się wyrzutkiem.

Patrzę na twoje łóżko, które nadal stoi niecały metr ode mnie; jest zawsze zaścielone, jakby czekało, że w każdej chwili możesz wrócić do domu. Ale już wiem, że nigdy tego nie zrobisz. Patrzę na szare tapety. Są na nich blade kwadratowe ślady po plakatach z Messim, z FC Barceloną, z logo Pirate Tapes. Już ich nie ma, bo zerwałem je ze ściany i podarłem na drobne strzępy. Taki byłem i taki pozostałem – nigdy nie umiałem zostawić po sobie niczego w całości.

W pokoju jest tylko telewizor, konsola, gry, skarpetki i bielizna na podłodze. Szare światło, zachodzące słońce, żółty blask bijący od ulicznych latarni, beton i szarzyzna. Pustka.

Wydaje mi się, że oczami dżihadysty z filmu oglądam moje własne życie. Jest marne i puste, całkowicie pozbawione sensu. Wszystko jest czuwaniem i snem, ciągle się to powtarza, istnieje tylko pustka.

Nie ma niczego. Dosłownie.

Czuję, że ta świadomość przenika mnie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Wypełnia mnie nicość, pustka pozbawiona przestrzeni, która mnie w sobie zamyka, a potem wypuszcza; odnoszę wrażenie, jakbym w zupełnej samotności zapadał się w czarnym i ciężkim dzwonie nurkowym. Czuję, że mój mózg jest w stanie objąć i zrozumieć sens czegoś, do czego nikt inny nie ma dostępu. Do wiedzy, która nam mówi, że nic nie jest ważne.

Przewracam się na łóżku, klatka piersiowa unosi mi się coraz szybciej. Widzę przed oczami jakieś błyski, kończy mi się tlen, czuję, że umieram, że umrę w tej właśnie chwili.

To się musi skończyć – ucisk w piersiach i skroniach i obecna we mnie wieczność, która chce się ze mnie wydostać z każdym kurczowym oddechem.

I nagle na nagraniu na YouTube widzę oczy. Nie są ani obojętne, ani samotne, ani pozbawione nadziei. Są silne, ciepłe, przepełnione prawdziwym sensem wskazującym cel.

Kulę się jak nowo narodzone dziecko, głowę mam pełną obrazów. Są na nich ubrani na czarno bracia, którzy klęczą na piachu i pochylają się w modlitwie. Nawet nie zauważam, że moje wargi zaczynają się poruszać, najpierw powoli, z wahaniem, potem coraz szybciej i głośniej. Zamykam oczy i szybko wyrzucam z siebie poszczególne słowa.

Im więcej się ich ze mnie wydobywa, tym więcej nabieram powietrza. Im głośniej deklamuję, tym słabszy jest ucisk w piersiach. Zsuwam się z łóżka, klękam, zakrywam dłońmi uszy, mamrocze słowa, których nie znam albo nie wiem, że znałem. Głośno, coraz głośniej.

Po każdej powtórcie ucisk w moim dzwonie nurkowym staje się mniejszy. Z każdym słowem słabnie ciśnienie wywierane przez morze. Woda zmienia kolor: z czarnego na szary, z szarego na niebieski, z niebieskiego na jasny. Padam na brudną podłogę, przykładam czoło do starego ręcznika i wyciągam przed siebie ręce – tak jak bracia na nagraniu. Czuję, jak pustka znika, jak tworzy się w niej szczelina, przez którą przenika

światło albo coś, co je przypomina; ogarnia mnie jak blady promień słońca, jak krucha łaska. I nagle słyszę w ciszy mój własny głos:

– *Ashaddu an la ilaha illa-Ilah wa ashaddu anna Muhammadan rasulu-Ila.*

10. Manhattan, Nowy Jork – sobota, 15 sierpnia 2015 roku

Zdjęcie martwego kota ciągle widać na ścianie pokoju. Yasmine zastanawia się, jak wyjaśnić, co przedstawia. Barwa światła wypełniającego pomieszczenie się zmieniała, teraz jest bardziej przytłumione, intensywnie różowe. Yasmine dochodzi do wniosku, że chodzi o to, żeby ułatwić jej pokaz. System prawdopodobnie sam dopasowuje profil oświetlenia do potrzeb.

Geneviève odwraca oczy od zdjęcia z martwym kotem i patrzy na Yasmine pytającym wzrokiem spod uniesionych łukowych brwi.

– To zdjęcie przysłano mi dopiero dwa dni temu – wyjaśnia Yasmine. – Jak widać, przedstawia kota powieszzonego na ulicznej latarni.

– Do tego momentu wszystko jest jasne – stwierdza Mark. Zdejmuje okulary, czyści je drugą stroną krawata i też patrzy na Yasmine pytającym wzrokiem, choć niekoniecznie widać w nim zainteresowanie. – To oczywiście straszne, pod każdym względem. Powiem jednak szczerze: nie wiem, z czym to powiązać. Jest sobota i chętnie bym...

Mark wykonuje gest świadczący o tym, że w tym momencie wolałby robić coś zupełnie innego.

Yasmine pochyla się nad komputerem i operuje myszką, robi zbliżenie na pętlę zaciśniętą wokół szyi kota, a potem na przyczepioną do niej kartkę. Po kolejnym zbliżeniu obraz robi się zamazany i rozstrzelony. Mimo to jest na tyle jasny, że wiadomo, co przedstawia.

– Ten symbol był przyczepiony do sznura zaciągniętego wokół szyi kota – wyjaśnia.

Wszyscy pochylają się w stronę ekranu, żeby lepiej widzieć. Mark znowu zakłada okulary i wpatruje się w obraz na ścianie. Widać na nim stylizowaną czerwoną pięść z wpisaną w nią pięcioramienną gwiazdą. Cztery identyczne prostokąty tworzą palce dłoni, kciuk jest wyprostowany i wystaje ponad pozostałe palce. Prosty obraz, jak gdyby żywcem wzięty z propagandowego plakatu albo ośmiobitowej gry telewizyjnej. Prawie dziecinny w swej prostocie, wygląda jak powiększony emotikon. Symbol emanuje jednak siłą, zawiera jakąś stanowczość, przez co można odnieść wrażenie, że widziało się go wcześniej, chociaż trudno umiejscowić go w czasie i przestrzeni; jak gdyby tworzył kanon znaków symbolizujących bunt i protest, tak jak szablony z wizerunkiem Che Guevary i litera „A”, którą posługują się anarchiści.

Symbol przyczepiony do sznura zawiązanego wokół szyi kota jest taki sam jak znak, który Fadi maluje sprejem na ścianie na czwartym zdjęciu, jedynym, którego Yasmine nie zamierza im pokazać.

Kiedy jest pewna, że wszyscy dokładnie się przyjrżeli, klika w kolejne zdjęcie. Pojawia się wysokie zardzewiałe ogrodzenie, a za nim szare bloki, które zajmują resztę fotografii. Są brudne i przygnębiające jak zimowe niebo. Przed ogrodzeniem stoi pokryta brudem i starym drutem kolczastym stacja transformatorowa. W graffiti dominuje ten sam symbol – ognistoczerwona zaciśnięta pięść z gwiazdą. Mark odwraca wzrok od zdjęcia i spogląda na Yasmine.

– Co to jest? – pyta. – Powiesz nam?

Yasmine kiwa głową.

– Tak, to...

Nie kończy, bo w tym momencie przerywa jej Brett, który delikatnym, prawie niewidocznym ruchem kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Mamy powód przypuszczać, że zdjęcie zostało zrobione w Szwecji – mówi. – Na jednym z przedmieść Sztokholmu. Na razie jeszcze nie wiemy dokładnie gdzie. Czy możesz nam pokazać kolejną fotografię?

Yasmine zerka na Brett. Dziwi ją, że nie chce, aby wyjaśniła zebranym, że to boisko ze sztuczną trawą w Bergort, które młodzież nazywa Camp Nou. Z drugiej strony jest mu wdzięczna, że chce jej pomóc. Klika w ostatnie zdjęcie.

Przedstawia ono kolejny symbol namalowany sprejem na bocznej ścianie jakiegoś budynku. Ten sam co na poprzednich zdjęciach. Yasmine dobrze wie, że namalowano go na bocznej ścianie kiosku przy placu Piratów.

– To zdjęcie też zrobiono w Szwecji, ale w innym mieście. Na przedmieściu Malmö, na południu kraju – wyjaśnia Brett.

Yasmine patrzy na niego ze zdziwieniem. Dlaczego to robi? Chce zaprotestować, ale Brett przesyła jej ostrzegawcze spojrzenie, jak gdyby chciał powiedzieć: „Zaufaj mi”. Yasmine w ostatniej chwili gryzie się w język.

– Czy to wszystko, co dla nas masz? – pyta Geneviève. – Trzy zdjęcia z przynajmniej dwóch miejsc? Martwy kot i szablon namalowany sprejem?

Yasmine kiwa głową i wzrusza ramionami.

– Tak – kłamie. Nie zamierza im pokazać fotografii Fadięgo.

Mark robi zniecierpliwioną minę i wykonuje taki ruch, jakby chciał podnieść się z krzesła.

– Powiem szczerze – mówi. – Nie chciałbym być niegrzeczny, ale to dla mnie strata czasu. Co niby mamy z tym zrobić? Martwy kot to oczywiście przykra sprawa, ale odnoszę wrażenie, że zależy ci przede wszystkim na tym, abyśmy opłacili ci podróż do Szwecji. Tak to widzę.

Rwanie w stopie wraca, podobnie jak pulsowanie w skroni. Yasmine czuje, że za chwilę się rozpłacze. Geneviève pochyła się nad stołem i patrzy na Brett. Oczy ma zwężone i błyszczące jak kolczyki Mary. Barwa oświetlenia w pokoju znowu się zmieniła. Teraz jest zimnoniebieskie.

– Brett – mówi Geneviève – nie bardzo rozumiem. To, co widzieliśmy, może znaczyć wszystko. Dlaczego mamy się tym zainteresować? Czy chodzi o młodzież, która ma problemy z przystosowaniem? Dla nas to żaden temat.

Geneviève też robi taki ruch, jakby chciała podnieść się z krzesła. Ale Brett zachowuje spokój.

– Wydawało mi się, że to wasza specjalność – rzuca. – Że lubicie wiedzieć, co robi młodzież.

– Oczywiście, że tak – odpowiada zmęczonym głosem Geneviève. Wstaje i patrzy na niego chłodnym, matowym wzrokiem. – Pod warunkiem, że wiąże się z tym konkretna symbolika albo że aktywność jest reprezentatywna dla jakiejś grupy lub trendu. A to – mówi, wskazując na przekrzywione, słabo oświetlone zdjęcie na ścianie – niczego nie przedstawia. To zwykłe bazgroły, dzieło jakiegoś młodego psychopaty, który lubi zabijać koty.

Geneviève odwraca się do Yasmine.

– Sam symbol jest super. Jeśli nie ma szerszego zastosowania, z pewnością będziesz mogła go sprzedać jakiejś innej agencji, która wykorzysta go w dowolny sposób. My działamy szerzej. Chcemy widzieć wielkie zmiany, nie tylko pojedyncze efekty. To nie twoja wina, kochanie, ale byłam przekonana, że Brett ma naprawdę lepsze wycucie.

Yasmine patrzy na Brett. Dlaczego nie wstaje z krzesła? Dlaczego nie zakończy tego żalostnego widowiska?

Tymczasem Brett wyjmując z jasnego futerału swojego laptopa, jest mały i błyszczący. Nie czekając na pozwolenie, wyłącza komputer Yasmine i podłącza swój do rzutnika. Na

ścianie pojawia się obraz fali o głębokiej zielonej barwie.

– Czy to naprawdę konieczne? – pyta Mark, który stoi już przy drzwiach. One też są wyłożone powlekanymi aksamitem kartonami po jajkach. Komuś, kto nie wie, że tam są, trudno je zauważyć na tle ściany.

Geneviève pokazuje mu, żeby wrócił na swoje miejsce.

– Daj im jeszcze trochę czasu – mówi. Potem odwraca się do Bretta i Yasmine i dodaje:
– Macie tylko chwilę.

Yasmine patrzy na Bretta, ale ten unika jej wzroku. Przesuwa kursorem po ekranie i zatrzymuje go na folderze o nazwie *Riots*, to znaczy „zamieszki”, który zawiera cztery zdjęcia. Pierwsze z nich przedstawia demonstrację. Widać też plakat i flagi z wypisanymi na nich słowami, chyba po francusku.

– Proszę bardzo – mówi Brett. – Zaczniemy od tego.

Uśmiecha się, jest pewny siebie. Rozsiada się wygodniej i krzyżuje ręce na piersiach.

– Ten znak to symbol ruchów antyglobalistycznych. Zdjęcie zrobiono kilka tygodni temu w Paryżu. Jest dość duży, antyglobaliści posługują się nim od samego początku. W sumie nic szczególnego.

Brett wykonuje ruch myszką i robi zbliżenie plakatu znajdującego się w lewej części zdjęcia.

– Chyba już to widzieliście? – pyta.

Yasmine jest zdziwiona, bo zdjęcie przedstawia symbol z plakatu: zaciśnięta czerwona pięść z pięcioramienną gwiazdą. Patrzy na Bretta, który jej mruga. Zamyka plik i otwiera następne zdjęcie.

– To Williamsburg – wyjaśnia. – Mniej więcej pół godziny od tego miejsca.

Na zdjęciu widać ciemny zaułek otoczony ceglany i betonowymi murami. Na samym końcu, na brudnej ścianie budynku, widać czerwoną pięść z gwiazdą. Symbol jest o wiele większy niż na zdjęciu zrobionym w Bergort, ma powierzchnię mniej więcej metr na metr. Brett robi zbliżenie. W środku gwiazdy wisi kot z pętlą zaciśniętą na szyi. Jest prawie taki sam jak ten, którego przed chwilą pokazywała Yasmine.

Yasmine odwraca wzrok od zdjęcia i patrzy na Marka i Geneviève. Oboje znowu siedzą na krzesłach. Na ich twarzach nie widać śladu poprzedniego zniecierpliwienia. Teraz przypominają drapieżniki czyhające na zdobycz. Brett klika w trzeci plik.

– A to zdjęcie zrobiłem całkiem niedawno – wyjaśnia. – W Bryant Park.

Zdjęcie na pewno zostało zrobione w Bryant Park. Zaciśnięta pięść namalowana sprejem na ścianie zejścia do metra.

– Zrobiłeś je niedawno? – upewnia się Geneviève.

– Trzy dni temu. Na początku mnie to zdziwiło, ale sami wiecie, jak to jest: człowiek zaczyna czegoś szukać, a potem widzi to wszędzie. *Pattern recognition*.

– Wydaje mi się, że też widziałam ten symbol. Ktoś namalował go sprejem w metrze w Jersey City – wtrąca Mary, pochylając się w zamyśleniu nad stołem. – Nie mówię o kocie, tylko o szablonie. Jestem tego absolutnie pewna.

Geneviève odwraca się do Marka. Widać po niej, że swoje zniecierpliwienie zamierza okazać komuś innemu.

– Nic o tym nie wiedziałeś? – pyta. – Nikt cię o tym nie informował?

Mark kręci głową. Jego też zainteresował symbol pięści z gwiazdą.

– Niczego takiego sobie nie przypominam. Jeszcze raz to sprawdzę, ale jestem raczej pewien, że nikt wcześniej mnie o tym nie informował.

– W Szwecji, w Paryżu i w kilku miejscach w Nowym Jorku? – dziwi się Geneviève. – Taki prosty symbol? Jak to możliwe?

Pochyliła się nad stołem i patrzy na Yasmine tygrysim wzrokiem.

– Podobno ktoś ci te zdjęcia wysłał? Kto to był?

– Stary przyjaciel, który wie, że interesuje mnie sztuka uliczna – kłamie Yasmine.

– Czy mogłabyś sprawdzić, co ten symbol oznacza? Jaką treść ze sobą niesie? Kto go wymyślił? Czy mogłabyś spytać o to twojego szwedzkiego przyjaciela?

– Jasne – odpowiada Yasmine. – Myślę, że sprawdzenie tego zajmie mi nie więcej niż tydzień.

Geneviève kiwa głową.

– Zarezerwuj dla Yasmine bilet na pierwszy samolot do Sztokholmu – mówi do Mary. – I pokój na tydzień w hotelu, z którego zawsze korzystamy.

Geneviève obraca się na krześle i patrzy chłodnym wzrokiem na Marka.

– A ty poszukasz tego symbolu w Nowym Jorku. Chyba mamy tam jeszcze jakieś kontakty? Bo przecież na tym polega nasza praca, prawda?

Mark kiwa głową. Widać po nim, że jest zmieszany.

– Cholernie dziwna sprawa – mruczy. – Na pewno byśmy czegoś takiego nie przeoczyli.

Jego rozważania przerywa pukanie do drzwi.

– Jest nasza Gretchen – mówi Geneviève i wstaje z krzesła.

Okazuje się, że Gretchen to blondynka w średnim wieku, z wykształcenia lekarka; jest ubrana w dżinsy i czerwony golf z wielkim napisem „Notre Dame”. Gretchen ma z sobą ogromną torbę zawierającą różnego rodzaju medykamenty, których wystarczyłoby na zapewnienie całej karetki pogotowia. Nie zwraca uwagi na chaotyczne zapewnienia Yasmine, że czuje się dobrze, tylko smaruje jej oko i policzek chłodną maścią. Potem namawia ją, aby opowiedziała jej o bolącej stopie.

Po dwudziestu minutach Yasmine jest obandażowana i oklejona plastrami. Oprócz niej w pokoju jest jeszcze tylko Brett, a ona czuje się jak Malik, jej beżowy piesek zabawka, którego dostała od swoich chorwackich sąsiadów jako mała dziewczynka. Nigdy się z nim nie rozstawała. Malik był cały pozszywany i połatany, miał nowe oczka i ogon, który ciągle mu odpadał. Za każdym razem, kiedy pękał, wylatywało z niego trochę wypełnienia. W końcu z zabawki zostały tylko plusz i nici. Ona też się tak teraz czuje.

Brett przynosi szklankę, stawia ją przed nią i nalewa wody mineralnej.

– Lepiej się czujesz? – pyta.

Yasmine udaje, że nie widzi wody.

– Co jest, kurde, grane? – pyta.

Brett się uśmiecha i pomaga jej wstać z krzesła, chociaż dzięki troskliwości Gretchen jest to zupełnie niepotrzebne.

– Porozmawiamy o tym w drodze na lotnisko – odpowiada z uśmiechem na twarzy.

Yasmine siedzi w skórzanym fotelu w monstrualnym samochodzie Brett. Jadą Atlantic Avenue przez Queens, kierując się na lotnisko JFK. Yasmine ma w kieszeni spódnicy kartę kredytową, którą dostała od Mary. Czuje się tak, jakby wygrała los na loterii. Aż trudno jej uwierzyć, że za parę godzin wyleci do Szwecji. Wszystko inne przestaje się liczyć: David, ich związek, jak również to, co między nimi było – ciągle zrywanie i zdrady. To w tej chwili nieważne. Niewykluczone, że Fadi żyje, a ona go odnajdzie. Karta kredytowa jest dowodem, że ma na to szansę.

– Używaj jej w rozsądny sposób i pamiętaj o paragonach – powiedziała Mary, mrugając do niej znacząco. – Ale nie musisz być aż tak ostrożna – dodaje ściszym głosem.

Ból w obandażowanej stopie zelżał, Yasmine nie czuje też ucisku w skroni. To pewnie dzięki różowej tabletkie, którą dała jej Gretchen.

– Ozone Park – mówi Brett, bębniąc z zadowoleniem palcami w obitą skórą kierownicę.

– Zawsze podobała mi się ta nazwa.

Yasmine patrzy na zakurzone salony, w których robi się manicure, plastikowe reklamówki unoszone wiatrem nad pustymi placami, zabite dyktą okna w zaniedbanych drewnianych domach, sklepy z alkoholem. To świat bardzo daleki od tego, w którym żyje Brett, ale dość bliski jej świata.

– Co tam się stało? – pyta Yasmine i odwraca wzrok od zamkniętych na siedem spustów dyskontów. Teraz znowu jest w świecie „skóry i fury”.

– Chodzi ci o to, co się wydarzyło na spotkaniu?

– A jak myślisz?

Brett uśmiecha się i znowu zaczyna bębnić palcami w kierownicę.

– To były „czary Bretta”, nic więcej – odpowiada.

– Skąd wykombinowałeś te zdjęcia? Czy znałeś je, zanim wysłałam ci moje fotografie?

Przecież od tego momentu upłynęła zaledwie doba.

Brett zerka na nią z boku i znowu się uśmiecha.

– Nie muszę mieć więcej czasu, *baby*. To nawet więcej, niż potrzeba.

Zatrzymują się na czerwonym świetle. Brett patrzy na nią uważnie.

– Myślisz, że zdjęcia były prawdziwe? – pyta.

Yasmine kręci głową. Próbuje uporządkować w myślach to, co zdarzyło się po południu i w ciągu kilku ostatnich dni.

– Nic z tego nie rozumiem, naprawdę – odpowiada.

Brett wciska lekko pedał gazu i rusza. Jadą powoli po zaniedbanej drodze.

– Wysłałaś mi zdjęcia – tłumaczy Brett. – Od razu wiedziałem, że to im nie wystarczy. A przecież prosiłem, żebyś porządnie się przygotowała.

Mówiąc to, patrzy na nią pełnym wyższości, poirowanym wzrokiem.

– Całe szczęście, że ci nie zaufałem, tylko sam to załatwiłem. To nie są zwykli ludzie, jakieś palanty czy coś. Oni sprzedają trendy. Ich klienci płacą im miliony, żeby przewidzieli, co kiedyś wymyśli młodzież. Dzięki temu będą mogli dopasować swoje produkty i kampanie tak, żeby wszyscy uznali, że to oni je wymyślili. Zastanów się: co tak naprawdę sprzedają ludzie ze Shrewd & Daughters? Nic! Mgliste miraże! To kanciarze, tyle że bogaci kanciarze, którzy odnoszą sukcesy. Znasz powiedzenie „Jeśli chcesz oszukać oszusta, stosuj wszelkie dostępne metody i sięgaj wyżej”?

Yasmine obserwuje ruch uliczny na tle zaniedbanych betonowych budynków.

– No to co zrobiłeś? Użyłeś Photoshopa?

Brett wzrusza ramionami, bębni palcami po kierownicy.

– A miałem inne wyjście? To, co przysłałaś, nie wystarczyłoby na rozpoczęcie projektu. Sama widziałaś to po ich minach. Ja wiedziałem o tym od samego początku. Zdjęcia od ciebie przesłałem jednemu z moich klientów, który pracuje z fotoedytorem, i poprosiłem go, żeby umieścił je w innym otoczeniu. Oczywiście bez żadnych dziwactw. Był mi winien przysługę, a ja wiedziałem, co dać ludziom ze Shrewd & Daughters: to samo, co chcą mieć inne firmy z tej branży, to znaczy trendy, nowości, które pojawiają się w różnych miejscach równocześnie. Najchętniej pod kątem tego, co amerykańskie, a najlepiej coś, do czego można się bezpośrednio odnieść. Na przykład Manhattan. Chcą mieć bunt i młodość, coś groźnego, ale bez przesady. Sami szukali sposobu, żeby zarobić pieniądze na protestach przeciwko globalizacji i wszystkiemu, co się z nią wiąże. Tamta symbolika była wystarczająco prosta. Kot był trochę brudny, ale to nadało mu tylko więcej *edge*. A oni kochają *edge*.

Brett wybucha śmiechem i rozsiada się wygodnie.

– *Voilà*, jak mawiają Europejczycy. Masz tydzień, żeby coś z tego zrobić. Obojętnie co. Jesteś mi to winna po wszystkim, co dla ciebie zrobiłem.

11. Londyn – niedziela, 16 sierpnia 2015 roku

Z poziomu ciągnących się wysoko nad ziemią torów kolejowych prowadzących z lotniska Gatwick do Londynu stolica Wielkiej Brytanii nadal wygląda jak przyszłość, horyzont malowany diamentowo-kobaltowym kolorem. W zapadających ciemnościach powyginane wieżowce iskrzą się światłami. Na dole, wśród zarysów miasta, wiją się ulice i zaułki. Przypominają słynne schody w Szkole Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie, które zawsze prowadzą w zupełnie innym kierunku, niż się spodziewamy. Ciasnota, smog i brud. Ludzie o bladych twarzach wracający autobusami do domów z torbą chipsów na kolację. Pracujący za marne stawki Ukraińcy i Grecy schodzą z drogi limuzynom należącym do Chińczyków. Tak naprawdę Londyn niewiele się zmienił od czasów Dickensa, za to przybyło w nim drogich domów, samochodów i niezwykle bogatych ludzi w drogich ubraniach. Dawny Londyn sąsiaduje z nowym.

Klara Walldéen siedzi przy oknie. Czuje, jak miasto ją obezwładnia, bierze w swoje posiadanie, wdziera się w nią przez skronie, czaszkę i kości, sprawia, że jej serce zaczyna bić innym rytmem.

Powrót sprawił jej ulgę. Trzy dni u babci i dziadka na szkierach. W dzisiejszych czasach jest tam w stanie wytrzymać tylko tyle, ani sekundy dłużej. Bardzo się stara, żeby wysiedzieć na krześle, podczas gdy babcia nalewa ostrożnie kawę do delikatnych filiżanek i stawia na stole ciasteczka z kardamonem. Jej ciało nie jest w stanie tego znieść, jej mózg pracuje w zbyt szybkim tempie jak na takie miejsce, jak Aspöja. Odliczała sekundy do odpłynięcia z wyspy. Dziadek odwiózł ją wcześniej rano. Prawda jest jednak taka, że tego potrzebowała: skupienia i oczekiwania, spokoju i eksplozji.

W drodze na ląd na dziobie ich łodzi siedział należący do dziadka basset Albert z małymi, ufnymi oczami. Kiedy mijali skaliste wysepki i pruli powierzchnię spokojnego morza, poczuła się nieswojo. Jak zwykle naszyły ją wspomnienia o wydarzeniach, które rozegrały się w pamiętne Boże Narodzenie przed ponad rokiem. Burza zapędziła ich wtedy na Szkiery Przemysłowców, a Gabriella siedziała w stodole Bossego, w charakterze kogoś w rodzaju politycznego zakładnika. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że na jej drodze stanie grupa płatnych zabójców.

Wcześniej była Bruksela i Paryż. Mahmoud zadzwonił do niej, ale głos miał inny, niż

zapamiętała z Uppsali. Była na niego taka zła! Moody, jej pierwsza i chyba jedyna prawdziwa miłość. Zdradził ją, ale wrócił, żeby wyjaśnić, dlaczego to zrobił, i wyznać, że znowu jej potrzebuje.

Potem przyszedł tamten śnieżny wieczór w Paryżu. Nadal czuje zapach rozlanego wina w sklepie spożywczym i słyszy pociski, które świszczą im nad głowami. Pamięta wyciągniętą do niej rękę Mahmouda, zanim zrozumiała, że dosięgła go kula. Pamięta mały różowy otwór w jego czole i krew tryskającą na zimną podłogę. Nie zapomni chwili, kiedy zdecydowała się na ucieczkę. Musiała go tam zostawić, bo inaczej sama by zginęła.

Kilka dni później pojawił się tamten Amerykanin. W samym środku nocy, podczas zadymki śnieżnej, zapukał do drzwi. Była wtedy na jednej z wysp należących do archipelagu Świętej Anny. Okazało się, że jest jej ojcem, chociaż to słowo z trudem przechodziło Klarze przez gardło.

W ciągu kilku dni była świadkiem śmierci swojego ukochanego mężczyzny i nieznanego wcześniej ojca. Obaj zmarli na jej rękach. Jak się po czymś takim pozbierać?

Dziadek od razu zauważył, że jest w innym nastroju niż zwykle. Dlatego w drodze powrotnej przybił do jednej z wysepek, na które kiedyś często przyplływali w takie ranki, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Jak to naprawdę z tobą jest?

W tym momencie Klara nie wytrzymała. Nie mogła się pogodzić z tym, że jej dziadek się o nią niepokoi. Przecież i on, i babcia wystarczająco długo się o nią troszczyli. Spędzili mnóstwo czasu przy jej łóżku, gdy po tamtych wydarzeniach przez kilka miesięcy wracała do zdrowia, a potem opiekowali się nią równie troskliwie, kiedy postanowiła dokończyć pracę doktorską Mahmouda na temat zbrodni wojennych. Byli bardzo dumni, gdy się okazało, że praca zostanie opublikowana jako książka, a jej imię i nazwisko znajdzie się obok imienia i nazwiska Mahmouda. Mimo to odczuwała wstyd, że nie jest to jej samodzielna praca. Nie mogła się pozbyć uczucia, że w pewnym sensie ją zawłaszczyła, wyrwała mu ją z martwych dłoni i opublikowała jako swoją.

Nie mogła się też pogodzić z faktem, że wszyscy się z nią tak cackają. Lysander – promotor Mahmouda – przekonał ją, że jej nazwisko też powinno znaleźć się na tytułowej stronie, bo przecież wykonała dokładną redakcję tekstu i dopisała więcej, niż zdołałby napisać jakikolwiek inny współautor takiej pracy. To prawda, prawie cały rok harowała po dwanaście godzin dziennie. Mimo to nie mogła się pogodzić z myślą, że dokonała

kradzieży i że wszyscy obchodzą się z nią jak z jajkiem. Zachowywali się tak, jak gdyby wiedzieli, przez co przeszła, a zarazem nie rozumieli, że powinna była lepiej chronić tych, którzy zginęli. Dlaczego wszyscy okazywali jej taką serdeczność, dlaczego usuwali jej z drogi każdą przeszkodę?

Prosty przykład: Charlotte Anderfeldt załatwiła jej etat doktorantki w Londynie. Dopilnowała też, żeby przyznano jej stypendium, dzięki czemu mogła dokończyć pracę Mahmouda na miejscu. Albo Gabriella, jej najlepsza przyjaciółka, która wyciągnęła Klarę z łóżka i przekonała, że powinna wrócić do pracy, bo na pewno sobie poradzi.

Nie zasłużyła na taką pomoc i cierpliwość. Odsunęła się więc od dziadka i uśmiechnęła do niego z całego serca.

– To nic wielkiego – odparła. – Czuję się tylko trochę zmęczona, jest jeszcze tak wczesnie. Poszukajmy naszego miejsca.

Przez cały czas czuła na karku oczy dziadka, jego niepokój i chęć niesienia pomocy. Okropne wrażenie. Chciała się po prostu odwrócić, krzyknąć na niego i na wszystkich razem: „Zostawcie mnie, do cholery, w spokoju! Nie jestem nikim szczególnym! Jestem zdrajczynią, morderczynią! Osobą pozbawioną uczuć. Dajcie mi spokój! Nie potrzebuję waszej miłości!!”.

Kiedy jednak dotarli na miejsce i usiedli pośród krzaków, mając przed oczami morze iskrzące się we wczesnym, rannym słońcu, nie mogła się uspokoić. Nawet tutaj, w samym środku tego, co dawniej kochała bardziej niż cokolwiek innego.

W pewnym momencie Albert zaczął ujadać. Chwilę później zaszeleściły krzaki i wyleciało z nich sześć słońek, które pofrunęły nad zatokę. Klara chwyciła dubeltówkę, wymierzyła i kiedy była pewna celu, dwa razy pociągnęła za spust. Odrzut był silny, ale od razu poczuła ulgę. Świat wydał jej się jaśniejszy.

Kiedy jednak opuściła broń, uczucie cudownej pustki znikło.

Albert wrócił z ptakami w pysku. Dziadek poklepał ją z uznaniem po ramieniu.

– Naprawdę umiesz dobrze strzelać – powiedział.

Odebrał psu ptaki i pogłaskał go. Wyjął z płaszcza jakiś słodki przysmak i rzucił zwierzęciu.

– Może napijemy się kawy? – spytał z uśmiechem.

– Czy masz ze sobą kask? – odparła Klara i od razu pożałowała tego pytania.

Dziadek spojrzał na nią i znowu się zaniepokoił.

– Nie sądzisz, że trochę na to za wcześnie?

Klara przewiesiła strzelbę przez ramię i ruszyła w dół w kierunku łodzi.

– Możemy wracać – powiedziała.

Wysiada z pociągu w Blackfriars i łapie czarną taksówkę. Dziś wieczorem nie jest w stanie wlec się metrem albo autobusem.

– Shoreditch, Navarre Street – rzuca kierowcy.

Czuje w ustach smak czerwonego wina, lubi je właśnie dlatego, że jest takie cierpkie. Kocha ten moment, gdy wraca do domu taksówką i zaraz potem może zapalić papierosa.

Na lotnisku wypła lampkę wina, później – na pokładzie samolotu – jeszcze małą butelkę. Sączyła ją powoli, bo bała się, że przyjdzie jej do głowy poprosić o następną. Jest niedziela, przez całą sobotę i przez pół nocy pracowała na wyspie Aspöja nad raportem i nie wypła nawet kropli. Jutro czeka ją długi dzień, więc uznała, że zasłużyła na jedną lampkę. No, może dwie. Nie ma jeszcze siódmej.

– Czy wie pan, gdzie jest bar Library? – pyta kierowcę. – To na Leonard Street.

Bar, do którego wchodzi Klara, jest wypełniony mniej więcej w połowie. To dobrze, wkrótce będzie tu tłum, bo dla klientów takich lokali niedziela jest dniem jak każdy inny. Klara podchodzi do kontuaru, barman Pete zerka na nią zza lady. Klara czeka, aż Pete naleje lokalnego piwa „dwóm facetom wykonującym kreatywny zawód”. Obaj mają brody, ubrani są w kraciaste koszule i krótkie, workowate spodnie.

– Jak leci? – pyta Pete. Stawia przed nią kieliszek i sięga po butelkę wina.

– W porządku. Weekend spędziłam w Szwecji, właśnie wróciłam – odpowiada Klara i wskazuje głową na stojącą obok walizkę na kółkach i laptopa. Pete nalewa jej wina i widząc, że Klara wyjmuje z torebki portfel, macha ręką.

– Ja stawiam. Super, że przyjechałaś tu prosto z lotniska.

Przez chwilę milczy, a potem patrzy na nią innym wzrokiem.

– Jeśli zostaniesz do pierwszej, zaproszę cię na lampkę do siebie – proponuje.

Klara wypija trochę wina i patrzy na jego rozwichrzone jasne włosy, jasnoniebieskie oczy i ramiona, które prężą się pod cienkim T-shirtem. Przypomniała sobie, choć było to dość słabe wspomnienie, że w ciągu ostatnich kilku tygodni spędziła w jego domu trzy okropne noce.

Dlatego kręci odmownie głową.

– Nie dzisiaj. Ale dzięki za wino.

O dziesiątej bar wypełniają już ludzie. Klara jest pijana, zastanawia się, ile wypła. Na pewno więcej, niż chciała. Po każdym łyku jej mózg robi się coraz bardziej pusty i lekki. Po każdym kieliszku czuje się coraz bardziej zrelaksowana, nie myśli o przeszłości, pracy, stresie i innych nudnych sprawach. W końcu, kiedy zaczyna jej się kręcić w głowie, dociera do niej, że chyba przesadziła z alkoholem. Żałuje, że wypła ostatni kieliszek. To dla niej nietypowe.

– Chyba już pójdę – mówi do ciemnowłosego fotografa, z którym flirtowała bez skrępowań jeszcze trzy minuty wcześniej.

Mężczyzna robi zdziwioną minę, jak gdyby uznał jej słowa za żart. Jak ma na imię? Martin? Nieważne.

– Muszę wracać do domu – stwierdza Klara i cieszy się, że nadal mówi składnie, nie bełkocze. Weźmie walizkę, komputer i zamówi taksówkę.

– Mogę cię odwieźć – oferuje się mężczyzna, który być może ma na imię Martin.

Klara kręci głową i robi obronny ruch ręką.

– Mieszkam za rogiem i sama sobie poradzę.

– Czy jesteś na Facebooku? – woła za nią mężczyzna, ale Klara przepycha się już między gośćmi w stronę wyjścia.

W powietrzu unosi się zapach spalin i oleju do smażenia frytek. Przez ostatnie tygodnie w mieście panowały tropikalne upały, Klarze coraz bardziej kręci się w głowie. Robi na próbę kilka kroków i stwierdza, że nie jest w stanie skupić wzroku na jednym punkcie, a domy wirują jej przed oczami.

Idzie powoli i czuje, że na samą myśl o następnym dniu ogarnia ją strach. Cholera, jutro będzie miała kaca! Co za głupota. Skręca w jedną z uliczek prowadzących w stronę Great Eastern Street i po kilku metrach wydaje jej się, że słyszy za sobą kroki. Zatrzymuje się, odwraca, ale nikogo nie widzi. Dochodzi do wniosku, że to pewnie dźwięki wydawane przez kółka walizki. Poza tym jest pijana. Nagle ogarnia ją takie zmęczenie, że rusza i idzie przyspieszonym krokiem. Odczuwa ulgę, że mieszka tak blisko knajpy – dziesięć minut spacerem.

Po kilku metrach znowu słyszy jednak czyjeś kroki. Teraz jest już pewna, więc nie zatrzymując się, zerka przez ramię. Uliczka jest ciemna, po obu jej stronach stoją ceglane budynki upstrzone graffiti. Klara wie, że za dużo wypła, i dlatego ziemia kołysze jej się teraz pod nogami. Nagle widzi ludzką sylwetkę. Mężczyzna. Widząc, że go zauważyła,

zatrzymuje się. Ona też.

– Martin? – pyta.

Domy nadal wirują jej przed oczami, nie jest w stanie skupić się na czymkolwiek. Martin rozkłada ręce i nie odpowiada. Klara czuje, że zaraz się przewróci, dlatego robi jeszcze dwa kroki i zajmuje pozycję „na czworaka”. W głowie jej szumi, asfalt przypomina morze, a fasady domów nadmorskie klify. Wokół niej falują fale, kołyszą nią, jak gdyby nadal siedziała w łódce dziadka. Odwraca się, próbuje nad sobą zapanować i nagle czuje, że robi jej się niedobrze. Nie jest w stanie się powstrzymać i zaczyna wymiotować. Zwraca wino i orzeszki, wszystko, co wypła i zjadła w barze. W końcu przewraca się na bok i zamyka oczy. Jest teraz w zupełnie innym wszechświecie, słyszy czyjś szept, czuje, jak ciągną ją jakieś ręce. Potem zapada ciemność. Wszystko robi się ciepłe, ciche i czarne.

12. Sztokholm – poniedziałek, 17 sierpnia 2015 roku

W Sztokholmie jest już rano. Yasmine płaci za taksówkę i wysiada przed Story Hotell na Riddargatan. Zegarek w komórce pokazuje poranną godzinę, ale jej organizm skapitulował, co sprawia, że jest jakby poza czasem. Różnica czasu między Tokio a Nowym Jorkiem wynosi trzynaście godzin. Potem jeszcze sześć godzin lotu do Sztokholmu. Czuje się ciężka, a zarazem ulotna, jakby składała się z ołowiu i helu.

Kiedy kierowca przeciąga jej kartę przez terminal, Yasmine na chwilę wstrzymuje oddech. Używa jej pierwszy raz, a ponieważ ostatnie spotkanie i ostatnie dni spędzone w Nowym Jorku nadal przypominają jej sen, nie jest pewna, czy wszystko będzie funkcjonować, jak należy.

Na szczęście system akceptuje PIN i Yasmine wysiada z taksówki. Wchodzi do hotelu, mijając „automatyczną recepcję” i udaje się do swojego pokoju, który w katalogu nosi nazwę „Bohema”. Nawet nie zdejmuje butów, tylko od razu pada na łóżko.

Kiedy się budzi, światło wpada do pokoju przez cienkie żaluzje. Odwraca się, żeby sprawdzić w komórce, która godzina. Minęła jedenasta, przespała dwie godziny, chociaż ma wrażenie, że spędziła w łóżku całą noc. Mimo to czuje piasek pod powiekami i ogólne zmęczenie. To dziwny powrót, chociaż ten pokój z surowymi ścianami i skromnym wyposażeniem nie przypomina Szwecji, a przynajmniej jej Szwecji. Wstaje z łóżka, podchodzi do okna i patrzy na budynki wzniesione na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku w typowo mieszczańskim, modernistycznym stylu. Widzi stację metra przy Östermalmstorg i Birger Jarlsgatan. To też nie jej Szwecja. Jest jednak pewna, że gdzieś tutaj przebywa jej Fadi.

– Nadchodzę, *habibi* – mówi szeptem. – Nie zniknij mi znowu.

Zaciąga zasłony i idzie do łazienki. Patrzy w lusterko i na widok swojej twarzy cofa się gwałtownie. Prawe oko ma całe spuchnięte. Nic dziwnego, że Brett kupił jej na lotnisku w Nowym Jorku przeciwsłoneczne okulary. Z drugiej strony cieszy się, że tak wygląda, że czuje pulsujący w oku ból. Jest zadowolona z tego, jak pod wpływem opuchlizny prezentuje się jej twarz. Opuchlizna jest namacalna i wyraźna, jakby wytrawiona kwasem, stanowi widoczny i prosty symbol, do którego może się odwołać, gdy pojawiają się

wątpliwości albo żal. Sięga po telefon, przysuwa twarz do obiektywu i robi sobie zdjęcie. Nigdy więcej.

Siada na łóżku i ponownie otwiera maila od matki. Patrzy na ciemne zdjęcie Fadiego, ogląda je pod różnymi kątami i próbuje ustawić jak najlepszą ostrość, żeby obraz nie był taki zamazany. Tak, to Fadi. To na pewno on.

Zamyka zdjęcie, ale wiadomość od matki nadal jest otwarta. Kiedy ostatni raz rozmawiała z rodzicami? Ze Szwecji wyjechała przed czterema laty, ale wcześniej też się z nimi prawie nie komunikowała. Kiedy siedzieli w mieszkaniu, przebywała poza domem i wracała tylko wtedy, gdy ich nie było albo gdy był tam tylko Fadi. Zapamiętała ich zmęczone twarze, przeciągłe spojrzenia, surowe słowa i twarde pięści. A teraz? Kręci głową. Może jutro? Najpierw musi spotkać się z kimś innym.

Powoli przesuwając kursorem po liście kontaktów. Mnóstwo nazwisk, ale z wieloma z tych osób nie kontaktowała się od kilku lat. Kiedyś byli jej całym światem, dorastała z nimi. Parisa i Q, Malik i Sebbe, Bilal, Red, Soledad, Henna, Danny, Amat. Lekcje matematyki i świetlica, dopóki jej nie zamknięto. Marycha w parku zabaw i maszt w lesie za Valgatan. Wspinali się na niego, żeby być bliżej gwiazd. Czuli, jak kręci im się w głowach. Zakrapiane alkoholem imprezy u José i Mony, gdy ich rodzice wyjechali do Chile, a wujek trafił do szpitala; włączenie się po placu, papierosy pod wentylatorem u Miriam. Potem była ta historia ze studiem, ale woli o niej nie myśleć. Studio nie jest ważne. Nabiera głęboko powietrza. Nie ma innego wyjścia, musi się zmierzyć z tym wyzwaniem. Znowu przesuwając kursorem po nazwiskach, aż znajduje to, którego szukała.

Ignacio odbiera już po pierwszym sygnale, pewnie trzymał telefon w ręce.

– Sie masz, Igge – mówi Yasmine. Przez chwilę walczy z odruchem, żeby się od razu rozłączyć, ale w końcu opanowuje oddech i odzyskuje kontrolę nad sobą. – To ja, Yasmine.

W słuchawce zapada cisza.

– Wiem, od dawna nie dzwoniłam. Ja...

– Gdzie jesteś? – pyta Ignacio.

Głos ma taki sam jak dawniej. Mocny, przestrzenny. Można się w nim zgubić.

– Wróciłam. Jestem w Sztokholmie. A gdzie ty jesteś?

Ignacio śmieje się głośno.

– A jak myślisz? Tam, gdzie zawsze. Ja nie jestem „internacjonalem” jak ty.

– Pracujesz? W tej samej firmie?

– Właśnie tak jest. A ty? Naprawdę jesteś w Sztokholmie?

W głosie Ignacia słychać zdziwienie. Jest zaskoczony. Trudno, żeby było inaczej.

– Tak. Przyjechałam dziś rano.

W słuchawce znowu zapada cisza. Upłynęło tyle czasu. Yasmine od dawna się nie odzywała. Wie, że to tylko jej wina.

– Chciałabym się z tobą spotkać, Ignacio.

Ignacio wzdycha, głos ma niepewny.

– Ignacio? Tylko ty się tak do mnie zwracasz, siostró. Gdzie się spotkamy?

– Zapraszam cię na kolację, przynajmniej to mogę zrobić.

– Ty mnie zapraszasz? Pierwszy raz, od kiedy się znamy. Jasne, nie ma sprawy. Jestem teraz w robocie, na mieście. Spotkajmy się we Flippin' Burgers o piątą. Wiesz, gdzie to jest?

– Na pewno znajdę. Do zobaczenia.

W dzielnicy Vasastan panuje spokój i dziwna apatia. Lato było długie i chociaż wakacje się skończyły, można odnieść wrażenie, że nikomu nic się nie chce. Na ulicy widać kilku trzydziestolatków wracających z pracy i ojca z wózkiem. Jedną ręką prowadzi wózek z dzieckiem, w drugiej trzyma kubek z kawą. Ulicą jak zwykle jadą samochody.

Yasmine zauważa szerokie plecy Ignacia przy jednym ze stolików przed restauracją Flippin' Burgers na Observatoriegatan w chwili, gdy skręca z Upplandsgatan. Ignacio nawet od tyłu i z daleka wydaje się większy od innych, jak gdyby nie zgadzały się proporcje między nim a otoczeniem.

Na jego widok Yasmine ogarnia fala sentymentalnych wspomnień. Specjalnie idzie wolnym krokiem, żeby jak najdłużej odwlec chwilę, gdy się z nim przywita. Cztery lata temu wyjechała bez słowa pożegnania. Dopiero po powrocie do Sztokholmu uświadomiła sobie, jak daleko żyła od tego miejsca; być może nadal jest bardzo daleko od niego.

– Ignacio! – mówi beztroskim z pozoru głosem i siada obok niego na ławce. – *Que pasa?*

Ignacio odwraca się gwałtownie. Mało brakowało, a przewróciłby stół. Na ogolonej głowie ma bejsbolówkę, jego twarz okala przystrzyżona w czworokąt czarna i gęsta broda. Wszystko to sprawia, że wygląda na więcej niż dwadzieścia cztery lata. Na spotkanie z Yasmine przyszedł prosto z pracy i dlatego nadal ma na sobie robocze spodnie i T-shirt z

nazwą firmy, która zajmuje się przeprowadzkami. Yasmine czuje, jak przelewa się przez nią wspomnienie dawnej miłości.

– Yazz! – woła Ignacio, obejmując ją potężnymi ramionami. – Tyle lat!

– Cztery. Czas szybko płynie.

Ignacio milczy. Wypuszcza ją ostrożnie z objęć, odsuwa na odległość ramion i mierzy ją wzrokiem.

– Ależ schudłaś! Przestałaś gotować?

Yasmine wzrusza ramionami i się uśmiecha. Ignacio kręci z rezygnacją głową. W końcu ją puszcza i zdejmuje jej ostrożnie okulary. Na widok opuchlizny oczy mu się zwężają, usta stają się zacięte. Zanim jednak zdąży cokolwiek powiedzieć, Yasmine odsuwa się od niego, bierze okulary i z powrotem je zakłada.

– Zamówmy coś, zanim zaczną się schodzić Szwedole – mówi. – Co wybierasz?

Trzy kwadransy później po hamburgerach nie ma śladu, a Ignacio popija mlecznego shake’a Cookie Dough dwiema szklaneczkami Jacka Daniel’sa. Yasmine siedzi oparta o ławkę i sączy szwedzkie *Ale*. Chciała zamówić amerykańskie piwo, ale Ignacio zaprotestował: „Wróciłaś do domu, Yazz, spróbuj lokalnej marki”. Alkohol trochę ją uspokoił, różnica czasu już jej tak nie doskwiera. Wieczór jest jeszcze jasny i ciepły.

Przez te cztery lata wiele się wydarzyło. Niektórzy nadal tu mieszkają, inni się wyprowadzili, zmarli albo trafili za kraty. Na krótką chwilę Yasmine zapomina o Davidzie, podbitym oku, Nowym Jorku i firmie Shrewd & Daughters. Zapomina też prawie o Fadim i ucieczce, odczuwa prawdziwą ulgę, że może popijać piwo i słuchać nowych wersji dawnych historii. Przez krótką chwilę powrót do domu jest rzeczywiście powrotem.

Yasmine zdaje sobie sprawę, że krąży wokół tematu, że powinna przejść do rzeczy, więc w końcu przy stoliku zapada milczenie. Obserwują prawie pustą ulicę i spoglądają na secesyjne domy. Po kilku sekundach Ignacio się odwraca i patrzy na nią innym wzrokiem.

– Słyszałem o Fadim – zaczyna spokojnie. – Bardzo mi przykro. Naprawdę.

Yasmine kiwa głową i wbija wzrok w swoje piwo.

– Nie miałem pojęcia, że to zaszło aż tak daleko – kontynuuje Ignacio. – Przysięgam. Nagle przestaliśmy go widywać. Gdybym wiedział...

– Wiem – przerywa mu Yasmine. – Wiem.

Kładzie rękę na jego dłoni, zdejmuje okulary i patrzy mu prosto w oczy.

– To było głupie – przyznaje. – Tak po prostu zniknąć bez jednego słowa. Popełniłam

błąd. Zachowałam się wobec ciebie i Fadiego nie tak, jak trzeba.

Ignacio unika jej wzroku, patrzy na zakurzony chodnik.

– Nie musisz mnie za nic przepraszać – wzrusza ramionami. – Nie byliśmy już wtedy ze sobą, zapomniałaś?

– Ale żeby tak po prostu zniknąć? Byłam ci winna coś więcej. W myślach ułożyłam mnóstwo maili do ciebie. Niestety, nigdy żadnego nie wysłałam.

Ignacio patrzy na nią i niepewnie się uśmiecha.

– Tak to już bywa. Człowiek robi, co musi. Prawda?

Yasmine potwierdza ostrożnym skinieniem głowy i wypija łyk piwa.

– A co u ciebie? – pyta Ignacio. – Po co przyjechałaś? I to po czterech latach? Zniknęłaś bez jednego słowa, *baby*. Chyba nie wróciłaś tylko po to, żeby się ze mną spotkać?

– On żyje – odpowiada cichym głosem Yasmine.

Na twarzy Ignacia pojawia się zdumienie. Pochyliła się w jej stronę i pyta:

– Mówisz o Fadim?

Yasmine wyjmuje telefon i otwiera maila ze zdjęciami, które przysłała jej matka. Kładzie komórkę na stoliku i przesuwa ją w stronę Ignacia.

– Sam zobacz.

Ignacio bierze aparat i przesuwa palcami po zdjęciu. Powiększa je i zbliża telefon do oczu, żeby lepiej się przyjrzeć. Po chwili odkłada go na stół. W jego oczach pojawia się coś, co przypomina czułość.

– Możliwe, że to on – stwierdza. – Nie trać nadziei, chociaż szczerze mówiąc, zdjęcie jest niewyraźne i zamazane.

– To on – odpowiada spokojnym tonem Yasmine.

– A więc wróciłaś, żeby go spróbować odszukać?

– Jak to spróbować? Na pewno go znajdę.

Ignacio robi niespokojną minę, ale kiwa głową.

– Gdzie mieszkasz? – pyta.

– Przy placu Stureplan.

Ignacio gwizdnął z podziwem.

– Widzę, że nieźle ci się powodzi, siostrze.

– Mam niezłą fuchę. Pracuję dla firm reklamowych. Wyszukuję nowych artystów i różne dziwne rzeczy, które są *trendy*. Sam wiesz, jak to jest. Duże firmy chcą być na czasie z tym,

co jest modne wśród młodzieży.

Mówiąc to, wykonuje śmieszny gest naśladowy hip-hopowców.

– *Anyway...* Ostatnio dostałam zlecenie od firmy, która chce się dowiedzieć, co się dzieje w Bergort.

Ignacio kręci głową i połyka kolejną porcję szejka.

– O czym ty gadasz? Co oni chcą od Fadiego?

– Im nie chodzi o niego. W Bergort coś się dzieje. Być może ma to z nim coś wspólnego – mówi Yasmine i wzrusza ramionami. – Nie wiem, o co chodzi, zresztą mam to gdzieś. Ale dla nich to ważne, bo opłacili nawet mój przyjazd.

– Nie kapuję. Jakaś firma z Nowego Jorku chce sprawdzić, co się u nas dzieje? Jak to możliwe?

Yasmine uśmiecha się i wypija trochę piwa.

– *Old school hustle* – wyjaśnia. – Nie tylko ty umiesz wyczarowywać pieniądze z niczego, bracie.

Ignacio wybucha głośnym śmiechem i opiera się o krzesło.

– A więc udało ci się ich namówić, żeby zapłacili za wszystko z góry? Samolot, hotel? Yazz, jestem z ciebie dumny.

– Muszę znaleźć Fadiego. David przepuścił wszystkie pieniądze. Szukałam kogoś, kto by za mnie zapłacił.

Yasmine bierze telefon i klika na zdjęcie kota z pętlą na szyi.

– Zobacz – mówi, podając mu aparat. – Dostałam trzy zdjęcia, które mogą mieć coś wspólnego z Fadim.

Ignacio ponownie bierze komórkę i zerka na fotografię, ale prawie natychmiast odkłada aparat na stolik i przesuwa z powrotem w stronę Yasmine.

– Nie mam pojęcia – stwierdza krótko. – Skąd je masz?

Yasmine przygląda mu się badawczym wzrokiem.

– Tam jest więcej zdjęć – mówi po chwili. – Na przykład szablon przedstawiający pięść z gwiazdą.

– Nic o tym nie wiem, rozumiesz?

Jego głos staje się prawie agresywny. Yasmine spogląda na niego, ale Ignacio odwraca głowę. Obserwuje ulicę i patrzy na stojące przy niej secesyjne domy.

– Daj spokój – odpowiada Yasmine. – Nawet nie spojrzalesz na te zdjęcia.

Ponownie pochyła się nad telefonem, ale Ignacio bierze go do ręki i kładzie przed nią na stoliku.

– *Wallah* – mówi. – Przysięgam, że nic o tym nie wiem.

Patrzy jej prosto w oczy i znajduje w nich nie tylko ironię i ciepło, ale także prawie całe Bergort z jego szczerością i skomplikowaną lojalnością. Dostrzega w nich też niepokój i coś, o czym woli jej nie mówić.

– Mówię poważnie – powtarza.

Kładzie na jej ręce dłoń – jest tak wielka, że ręka Yasmine prawie pod nią znika – i naciska, niezbyt mocno, ale na tyle silnie, żeby jej przypomnieć o starych czasach, latach młodości, klaustrofobii, izolacji i bezradności.

– Są sprawy, które trzeba olać, rozumiesz? – pyta.

– Są sprawy, których nie wolno olewać – odpowiada spokojnie Yasmine. – Ale rozumiem, co masz na myśli.

Przez chwilę piją piwo w milczeniu. W końcu Ignacio nie może się powstrzymać i pyta: – Co ci się stało w oko? To sprawka tego artysty, z którym uciekłaś?

Przy słowie „artysta” Ignacio spluwa na ziemię. Robi przy tym taką minę, jak ktoś, komu między zębami utknął kawałek jedzenia, ale w końcu udało mu się go wydłubać.

– To nieistotne – odpowiada Yasmine i nabiera głęboko powietrza. W końcu musieli poruszyć ten temat. – Najważniejsze, że jestem tutaj.

– Yazz, kurna...

– Powiedziałaś, że to nieistotne – przerywa mu Yasmine. – Musiałam po prostu zniknąć, rozumiesz? Po tamtym włamie i w ogóle. Zrobiłam to dla Fadiego. Tak mi się w każdym razie wydawało.

Ignacio pochyła się w jej stronę, jego oczy są znowu łagodne, jak kiedyś.

– Ależ Yazz, *querida*. Przecież wszyscy i tak znali prawdę. Chyba nie sądzisz, że ktokolwiek podejrzewał, że to ty zwinęłaś tamte rzeczy ze studia?

Yasmine czuje, jak przez jej ciało przepływa fala chłodu. Jasne, wiedziała, że to wymówka, że było to coś, co przelało czarę goryczy. Coś, co dodało jej wiatru w żagle.

– Człowiek robi, co uważa za słuszne. Teraz jestem tutaj. Co mam ci jeszcze powiedzieć?

Yasmine wypija resztę piwa. Ignacio wzrusza ramionami i zerka na telefon.

– Muszę pędzić – mówi i wstaje z krzesła. – Super, że mogliśmy się spotkać.

Cień, który rzuca jego potężna sylwetka, zasłania słońce i pada na Yasmine. Ona też się podnosi, całuje go w policzek, ale Ignacio chwyta ją za ramiona, lekko od siebie odsuwa i patrzy na nią poważnym wzrokiem.

– Nie włócz się po ulicach i nie pokazuj nikomu tamtych zdjęć, dobrze? Mówię poważnie. Lepiej, żebyś w coś nie wdepnęła.

– To znaczy? Lepiej mi powiedz. Te fotografie to jedyna rzecz, jaką mam.

– Chodzi mi o to, że o pewnych rzeczach lepiej nie rozmawiać. Zajmij się swoimi sprawami. Tak jak to się robi na Przedmieściu. Sama wiesz najlepiej.

– Dowiesz się, co z Fadim? Popytasz, czy ktoś czegoś nie wie?

– Jasne. Ale nie rób sobie za dużych nadziei. Poważnie. Lepiej siedzieć cicho. Jeśli Fadi żyje, sam się z tobą skontaktuje. Możesz być pewna.

13. Bergort – lipiec–październik 2014 roku

Jakie ciepłe lato, mówią Szwedole, pochylając się nad swoimi termosami i kanapkami z serem. Jestem w dzielnicy Fittja, na rampie rozładunkowej firmy, która prowadzi hurtowy handel warzywami. Skierowanie dostałem z pośredniaka. Jakie piękne słońce, mówią Szwedole, wystawiając swoje blade od kaca twarze na słońce. Chcą się porządnie opalić, bo lato w tym roku jest naprawdę gorące.

– Nie czujesz się, jakbyś był na pustyni w naszym kraju? – pytam Abdullaha.

Kiedy mamy przerwę w pracy, nie siedzę na słońcu. Nie jem kanapek z serem, nie piję kawy. Żywię się orzechami i pomidorami, które kradnę z palet. Czekam, aż Szwedole zabiorą te swoje plastikowe pojemniki na jedzenie, przestaną głądzić i wyjdą na rampę. Dopiero wtedy idę do szatni, myję się i wchodzę do chłodni, żeby rozłożyć dywan. Kupiłem go w niedzielę za czterdzieści koron na pchlim targu pod mostem na autostradzie. Nawet się nie targowałem, bo oznacza dla mnie początek nowego życia.

Już nie muszę sprawdzać w komórce, w którym kierunku leży Mekka. Wiem, że muszę się zwrócić w stronę ogórków i bakłażanów. To za nimi, jeśli pociągnąć długą, prostą linię, leży Mekka. W podobny sposób ustaliłem kierunek w moim mieszkaniu: muszę się zwrócić w stronę poduszki, która kiedyś była twoją poduszką, i przeciągnąć prostą linię przez moje czoło. Na jej końcu leży Mekka.

Kiedy się modlę, powtarzam sobie, że jestem złym muzułmaninem i złym bratem. To dlatego, że nie czuję, aby Bóg napełniał mnie sobą, gdy się do niego zwracam. Nie czuję, jak przenika przeze mnie światłość, kradnę pomidory i nie pamiętam *rak'at* – wersetów z Koranu. Zawsze szukam ich w internecie, żeby potem odczytać je na wyświetlaczu komórki. Używam szwedzkiej transkrypcji, bo arabska jest dla mnie za trudna.

Każdego dnia przeklinam, że tak bardzo staraliśmy się zostać częścią czegoś, na co nigdy nie mieliśmy szansy. Uczyliśmy się na pamięć szwedzkich słów, a zapominaliśmy arabskich. Każdego dnia obiecuję sobie, że stanę się lepszy, że będę się uczył, że się nie poddam. Przecież nie można być w kontrze do własnego życia.

Po skończonej modlitwie słyszę, jak Szwedole, którzy stoją przy drzwiach prowadzących do magazynu, kaszlą i śmieją się szyderczo. Wypowiadam szeptem dwa razy

tradycyjne *Salam alejkum wa rahmatu'llāhi*, podnoszę się z ziemi, zwijam dywan, wsuwam go pod półkę z gruszkami i wychodzę z chłodni, żeby znowu nosić kartony z bananami, sałata, jabłkami i kapustą. Po fajrancie wracam metrem do domu.

Jestem najbardziej samotnym muzułmaninem na świecie. Modłę się w samotności, czytam w samotności, wyznaję wiarę w samotności. W niektóre piątki chodzę do meczetu. Stoję po drugiej stronie placu i obserwuję, jak mężczyźni wchodzą do środka. Ci sami co zawsze. Na przykład ojciec i dziadek Mehdiego i Jamal, który naprawia buty przy stacji metra. Są ubrani w eleganckie spodnie i pikowane kurtki. Noszą wąsy, głowy mają pochylone w geście pokory. Jak można być częścią całej wspólnoty islamskiej, którą muzułmanie nazywają *umma*? To nie dla mnie. To nie jest poważna instytucja, ludzie ciągle tylko gadają i się kłóca. Ja potrzebuję i oczekuję czegoś więcej. Na razie jestem częścią wspólnoty jednoosobowej. Z nikim się nie modłę, chociaż treścią tej religii jest poczucie wspólnoty, sprawiedliwości i solidarności. Czekam i się przygotowuję. Zmuszam się, żeby przeczytać z Koranu więcej niż dziesięć linijek, żeby nie zapomnieć słów modlitw.

W sieci poznaję nowych, wirtualnych braci. Nie są tacy jak dziadki z placu. Są poważni, w bojowych nastrojach. Moja wiara rośnie z każdym obejrzanym nagraniem z Syrii, z każdym kazaniem, które mi wysyłają. Moi nowi bracia nie mają imion ani nazwisk, ale przepelnia ich taka sama złość jak mnie. Są gotowi *to blow this shit up* – tak jak ja. Są równie samotni jak ja. To moi bracia, łuski spadły im z oczu tak samo jak mnie. Ujrzeni świat takim, jaki jest, zobaczyli ucisk, kolonializm, imperializm, niesprawiedliwość. Niezrozumiałe jest dla mnie to, że wcześniej tego nie dostrzegałem, że żyłem tym na co dzień, dopasowałem się na siłę, stałem się częścią tego wszystkiego. Napawa mnie to nienawiścią i pogardą. Jak mogłem być do tego stopnia ślepy? I to przez tak długi czas. Jak mogłem wybrać język szwedzki zamiast arabskiego? Ale teraz z tym koniec.

Kiedy każdego dnia po pracy patrzę w ekran, widzę zamazane filmy, świadków ucisku, krew na piasku, moich braci i siostry wypędzanych z domów, mordowanych i gwałconych w świetle dnia. Dopiero teraz dostrzegam zło i brak wiedzy, zarówno w Strefie Gazy i w Syrii, jak i tutaj, na naszym Przedmieściu, gdzie żyjemy zamknięci i odcięci od świata, w dzielnicy z betonu, bez przyszłości i historii, wystawieni na łaskę skorumpowanych, niemoralnych ludzi, których nie da się szanować. To bezbożny świat bez legitymizacji.

Dopiero teraz staje się dla mnie jasne, że moje dotychczasowe życie było pozbawione sensu. Ale to nieważne, tak jak wszystko inne. Od teraz wszystko zaczyna się od nowa.

Rozkładałam na podłodze dywan, którego używam w domu, i klękam. Zwracam się w stronę poduszki – Mekki – ale pewna myśl nie daje mi spokoju: co byś powiedziała, widząc mnie teraz? Czy mój widok sprawiłby ci ulgę, czy przeraził? Czuję, jak znowu zalewa mnie fala, czuję pustkę i wieczność. Rozchodzi się po moich członkach i w krwi jak rtęć. Mruczę fragmenty modlitw, które pamiętam, i padam na dywan, żeby to wszystko w sobie zatrzymać, zapędzić tam, skąd przyszło, na samo dno.

Okazuje się, że to działa. Wypieram to z siebie za pomocą modlitwy. I co, że tego pustego miejsca nie wypełnia Bóg? I co, że nie czuję Jego miłości i miłosierdzia? W ten sposób mnie doświadczają. Muszę okazać się godny Jego łaski, zanim ześle na mnie swój złoty blask.

Zdarzają się miesiące, gdy rozmawiam tylko ze Szwedolami w pracy, chociaż staram się ich unikać. Rozmawiam też na czatach z anonimowymi braćmi. Wolny czas spędzam w pokoju albo na siłowni, robię, co w mojej mocy, żeby się przygotować. Czuję, jak moje ciało staje się coraz silniejsze, wiem, że powinienem dziękować Allahowi za każdą podźwigniętą sztangę. Niestety, przychodzi mi to z trudem, podobnie jak z trudem dostrzegam Go w życiu codziennym. Potrzebuję czegoś większego, ważniejszego.

Jestem kiepskim muzułmaninem. Wiem, że powinienem szanować i czcić rodziców, ale ukrywam się przed nimi w pracy, w siłowni albo w pokoju. Nie wiem, co im powiedzieć, ale nie wiem też, co oni mogliby powiedzieć mnie. Po tym, jak zniknęłaś, zrobiło się spokojniej. I właśnie o tym chciałbym ci opowiedzieć, bo wiem, że myśl, że tu jestem, pomaga ci zachować czujność. On się już uspokoił, może nawet zestarzał. Zawsze umiałem unikać kłopotów. Rzadko go złościłem, chociaż ciągle robiłem jakieś głupoty.

O wiele bardziej niepokoi mnie to, że nie żyjesz zgodnie z zasadami Koranu. Modlę się do Allaha, aby pomógł ci to zrozumieć i otworzył twoje serce, zanim będzie za późno. Na samą myśl o czymś takim ogarnia mnie strach, który utrzymuje się do momentu, gdy zaczynam głośno recytować wersety z Koranu. Wypowiadam słowa, których treści nie pojmuję, ale pomagają mi. Dzięki temu nie muszę myśleć o tym, czego nie umiem zmienić.

Pewnego dnia – to było w październiku – kiedy schodziłem z mostu do stacji metra, zauważyłem Mehdiego. Jest tak samo gruby jak dawniej. Siedzi zdyszany na ławce przed lokalem Syryjczyka. W ręce trzyma litrową butelkę coli, którą u niego kupił. Chcę iść dalej, chociaż nawet nie pamiętam, kiedy po raz ostatni rozmawiałem z jednym z moich starych kumpli. Może w dniu, kiedy wyjechałaś?

Mehdi unosi głowę, patrzy przed siebie swoimi błyszczącymi, krowimi oczami i w końcu mnie spostrzega. Prostuje się i pozdrawia mnie ręką, w której trzyma butelkę.

– Sie masz, Fadi! – woła. – Jak leci, brachu?

Po tych słowach nie mogę go tak po prostu minąć, muszę się zatrzymać i podejść. Mehdi podnosi się z ławki, wykonuje radosny gest i wita się ze mną.

– Prawdziwy z ciebie eremita – mówi.

Wzruszam ramionami.

– Sam wiesz, jak jest. Fittja, robota, trening. Na nic więcej nie mam czasu.

Mehdi robi krok do tyłu, wybucha śmiechem, a potem pochyla się i ciągnie mnie za moją krótką brodę.

– Ale numer! Zapuściłeś brodę?

Nie odpowiadam, bo czuję, że serce zaczyna mi bić przyspieszonym rytmem. Czuję się obnażony z mojej prywatności, jakby ktoś wystawił ją na publiczny widok. Czy to grzech zapierać się swojej wiary? Nie pamiętam, bo właściwie nie znam Koranu. Wzruszam więc tylko ramionami i zajmuję pozycję obronną.

– To tylko broda, palancie. A co u ciebie?

Mehdi uśmiecha się szeroko i wypija łyk coli z butelki.

– Znasz Parisę? – pyta. – To kumpela twojej siostry.

Kiwam głową. Tak, znam ją. Kiedy byliśmy młodszy, zachwycaliśmy się jej obcisłym topem, gołymi ramionami i wytartymi dżinsami. Od czasu do czasu można ją spotkać przed salonem fryzjerskim jej matki. Nadal jest pociągająca, ale trochę się zaokrągliła, zwłaszcza w biodrach.

– Parisa jest teraz moją laską, bracie! – chwali się Mehdi i unosi dłoń, żeby przybić ze mną piątkę. Robię to po chwili wahania.

– Nie kłamiesz? – pytam.

To niesamowite, że spośród moich dawnych kumpli Parisa wybrała akurat jego. Pieprzony tusty Mehdi cierpi na astmę, ma świszczący, cienki głos, a teraz chodzi z laską, za którą dawniej wzdychała połowa Przedmieścia.

– Nie bujam! – zapewnia gorliwie Mehdi. – Przysięgam, że to prawda.

Pochyla się w moją stronę i szepcze:

– Chodzi o seks, bracie... Mm! Przysięgam, jest super!

Powoli wycofuję się z tej rozmowy, bo zaszła za daleko. Koran na pewno coś o tym

mówi.

– Powiem szczerze: nie chcę o tym słyszeć. Jasne?

– Nie bądź taki sztywny, bracie – mówi Mehdi i wybucha śmiechem. – Nara, muszę zniknąć.

Wyciąga w moją stronę zaciśniętą pięść, robimy „żółwika”.

– Fajnie było pogadać – mówi. – Czasem, jak jest ciepło, robimy z chłopakami grilla. Mógłbyś wpaść. Dawno cię nie widzieli.

Przytakuję i nagle czuję, jak ogarnia mnie fala melancholii. Wiem, że już nigdy nie spotkamy się na grillu, nie będziemy rozmawiać o laskach, palić jointa z marychą ani podpalać samochodów. Powinienem poczuć ulgę. I rzeczywiście ją czuję. Ale i tak mi żal.

Zauważam go, gdy jestem już prawie pod domem. Kuca przy trawniku i patrzy na więdnące krzaki rosnące obok wejścia do budynku. Wygląda na Abisyńczyka, a raczej Somalijczyka. Ma długą, gęstą, zaczesaną brodę, ubrany jest w kaftan, w ręce trzyma czerwony sznur modlitewny. Czuję, jak nagle oblewa mnie pot. Ale skąd wiem, że przyszedł do mnie? Skąd wiem, że chodzi mu o to? Że w tym momencie zaczynam nowe życie? Na samą myśl, co to oznacza, ogarnia mnie przerażenie. Wiem jednak, że poczucie strachu dowodzi, że to Allah mnie doświadcza. Oznacza to, że mogę sprostać tej próbie, okazać się godny. Nabieram głęboko powietrza i spokojnie podchodzę do wejścia.

Mężczyzna się prostuje i dopiero teraz widzę, że jego broda wcale nie jest taka gęsta, jak myślałem. Z bliska wygląda na znużonego i przepracowanego. Oczy ma małe, czai się w nich zwątpienie. Obrzuca mnie uważnym wzrokiem.

– Fadi Ajam? – pyta.

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Powiedz to, żebym cię usłyszał – mówi mężczyzna. – Nie masz się czego wstydić.

Przełykam ślinę.

– Nazywam się Fadi Ajam – mówię i lekko się kłaniam, żeby okazać mu szacunek. – *Salam alejkum*.

– *Alejkum salam* – odpowiada mężczyzna.

Nie spuszczając ze mnie wzroku, wskazuje pobliski parking. Jednocześnie drugą ręką przebiera spokojnie paciorki sznura.

– Chodźmy, bo spóźnimy się na spotkanie z Ishą – mówi.

Ale ja nadal się waham. Marzyłem o takiej chwili, opowiadałem o niej braciom w

internecie: że potrzebuję czegoś więcej, że nie radzę sobie z samotnością, z życiem codziennym, że muszę stąd wyjechać, *inszallah*. I oto Allah mnie wysłuchał i przysłał do mnie tego Abisyńczyka, który ma mi wskazać dalszą drogę. Mimo to się waham.

– Chodź już – powtarza nieznajomy, wyciągając do mnie rękę. – Potrzebuje cię Allah, niech błogosławione będzie imię Jego.

Zerkam na nasz blok i na okna naszego mieszkania, w którym żaluzje są zawsze opuszczone. Nabieram powietrza i zamykam oczy. Po chwili je otwieram i ruszam z nieznajomym w stronę parkingu.

14. Londyn – poniedziałek, 17 sierpnia 2015 roku

Klara budzi się z bólem głowy – nie jest intensywny, tylko raczej ćmiący. Ostrożnie otwiera oczy. Pokój, w którym się znajduje, wypełnia znane jej, a zarazem obce szare światło. Nie jest u siebie w domu. Czuje, jak gdyby w brzuchu miała ssącą dziurę. Zamyka oczy i mocno je zaciska.

Co to za miejsce? Co się stało? Bardzo powoli, po kawałku, przypomina sobie poprzedni dzień. Polowanie z dziadkiem, lampkę wina na lotnisku, taksówkę do baru Library. Co było później? Wypiła więcej niż zwykle, a potem opuściła lokal i chwiejnym krokiem szła ulicą, jakby przechodziła po wiszącym moście. Budynki pochylały się nad nią i przemieszczały z miejsca na miejsce. Zapamiętała jakiegoś człowieka, który za nią szedł. To wszystko.

Ogarnia ją panika, prostuje się i otwiera oczy. Dotyka rękami ciała. Ma na sobie zbyt duży T-shirt, który na dodatek nie jest jej, i bieliznę. Czuje świdrujący ból w głowie, oblewa się potem, ma przyspieszony puls. Pokój wydaje się znajomy, ale go nie kojarzy. W środku jest tylko zwykłe łóżko, biurko zawalone papierami i wieszak z męskimi ubraniami. W jedynym oknie, przez które wpada szare światło, wisi białe prześcieradło. Stawia stopy na wykładzinie i zauważa w rogu pokoju swoją walizkę, na której leży jej ubranie.

Gdzie jest telefon? W kilka sekund znajduje go w kieszeni spodni. Jest siódma, na wyświetlaczu nie ma informacji o nieodebranych połączeniach.

Usta ma suche, język klei jej się do podniebienia. Musi się napić wody. Ostrożnie przechodzi do drugiego pokoju, którego okno wychodzi na ulicę. Na środku stoi stolik dla dwóch osób, przy ścianie kanapa. Śpi na niej jakiś mężczyzna. Klara przemyka się ostrożnie przez pokój. Czuje, że naprawdę powinna się czegoś napić. Najpierw jednak musi się dowiedzieć, gdzie jest.

Po dłuższej chwili przypomina sobie, co to za miejsce, i od razu odczuwa ulgę. To mieszkanie Pete'a. Bywała tu wcześniej, zawsze nocą, w różnym stadium upojenia alkoholem. Za każdym razem wychodziła stąd przed wschodem słońca. Pete. Mogło być gorzej. O wiele gorzej.

Idzie do kuchni i bierze szklanekę. Napełnia ją aż po brzegi wodą, wypija i powtarza tę

samą czynność jeszcze trzy razy. W pewnym momencie zaczyna jej się wydawać, że z powodu zbyt dużej ilości wypitej wody zaraz zwymiotuje. Na szczęście ból głowy trochę zelżał, więc odstawia szklankę na stół i wraca do dziennego pokoju. Klęka obok śpiącego Pete'a i czuje, że ogarnia ją strach. Czyżby aż tak bardzo się upiła?

– Pete – mówi, ciągnąc go ostrożnie za rękę.

Pete, który głośno chrapie, odwraca się do niej plecami. Klara znowu potrząsa go za ramię. Tym razem Pete otwiera oczy i patrzy na nią. Na jej widok natychmiast przytomnieje.

– Klara? Już wstałaś?

Siada na kanapie i patrzy na nią małymi niebieskimi oczami. Klara wzrusza ramionami i nagle ogarnia ją bezdeny wstyd. Jak mogła się aż tak upić? Jak to możliwe, że nawet nie pamięta, co się stało?

– Ja... – zaczyna, ale nie wie, co chce powiedzieć, i milknie.

Pete prostuje się i patrzy na nią niespokojnym wzrokiem.

– Lepiej się czujesz? – pyta ze szczerą troską w głosie.

Klara kiwa ostrożnie głową.

– Mój Boże – mówi Pete. – Jesteś kompletnie rozbita. Pamiętasz, co się stało?

– Częściowo. Chyba straciłam nad sobą kontrolę.

Klara uśmiecha się niepewnie, jej twarz robi się czerwona. Ból głowy powoduje pulsowanie skroni.

– Ile wypiłaś przed przyjściem do Library? – pyta Pete.

Klara robi się coraz bardziej czerwona na twarzy. Sama nie wie, jak poprowadzić tę rozmowę. Może nie teraz i nie tutaj?

– W samolocie wypiłam jedną lampkę – mówi. – Nie wiem, co było dalej. Kontrolę nad sobą straciłam chyba w Library.

Pete kręci głową i patrzy na nią z niepokojem.

– W Library wypiłaś trzy kieliszki czerwonego wina – wyjaśnia. – Miałem na ciebie oko. Nie chciałem, żebyś się doprawiła. Trzy kieliszki. Zazwyczaj po takiej ilości alkoholu nie miałaś podobnych problemów.

Klara nie wie, czy to komplement, czy zarzut, więc tylko wzrusza ramionami. O co mu chodzi?

– Kiedy cię znalazłem w tamtym zaułku, byłaś kompletnie na bani. Wymiotowałaś.

Pamiętasz?

Klara czuje, że całe jej ciało prawie sztywnieje. Zapamiętała tylko tyle, że upadła, bo cały świat zawirował jej w głowie. Rzeczywiście, chyba wymiotowała. Pamięta też męską sylwetkę.

– Boże, ktoś tam wtedy był. Czy to ty?

Klara patrzy mu prosto w oczy i pyta:

– Czy byłeś tam w chwili, gdy upadłam?

Pete marszczy czoło, jego oczy robią się jeszcze mniejsze i bardziej niebieskie, patrzy na nią czujnym wzrokiem.

– Nic nie pamiętasz? – pyta. – Wyszedłem z baru, bo znalazł cię jeden z klientów i nie wiedział, co zrobić. Leżałaś na chodniku.

Wspomnienia wracają i znikają. Klara czuje, jak miękną jej nogi, coraz trudniej jej na nich ustać. Pamięta, że straciła równowagę i chodziła na czworaka. Wymiotowała. Ktoś szeptał jej coś do ucha. Na samo wspomnienie dostaje gęsiej skórki.

– A moje walizki? Przyniosłeś je tutaj?

– Walizki? Miałaś tylko jedną, na kółkach.

Ludzka sylwetka w zaułku. Obce dłonie i szept. Klara zrywa się z krzesła, biegnie do sypialni, wyrzuca z walizki ubrania, przeszukuje ją, coś sprawdza. W końcu odwraca się i rzuca przez ramię:

– Czy widziałeś gdzieś mój plecak? I laptopa?

Pete staje w drzwiach.

– Nie. Kiedy cię znalazłem, miałaś przy sobie tylko tę.

Mówiąc to, wskazuje walizkę na kółkach. Klara prostuje się i przesuwa dłonią po włosach. Niech to szlag! Znowu pochyla się nad walizką, otwiera jedną z kieszeni i wyjmuje z niej portfel i paszport. Oddycha z ulgą.

– Chcesz powiedzieć, że zgubiłaś drugą walizkę? – pyta Pete.

Klara ignoruje jego pytanie. Ogarnia ją strach, myśli przepływają jej przez mózg z siłą wodospadu. Ktoś zabrał jej laptopa. Niczego więcej nie straciła. Odwraca się do Pete'a.

– Jesteś pewien, że wypłam tylko trzy kieliszki? Ja nie wiem, jak było naprawdę, bo straciłam rachubę. Poza tym wydaje mi się, że nie dopiłam ostatniego kieliszka. W pewnym momencie poczułam, że jestem kompletnie pijana.

– Na sto procent. W barze nie było wtedy zbyt wielu gości.

– Naprawdę? – pyta Klara.

Wydawało jej się, że w barze było ciasno, panował hałas, a gości było więcej, niż sugeruje Pete.

– Typowa niedziela – wyjaśnia Pete. – Lokal był wypełniony trochę bardziej niż w połowie.

Klara kręci niepewnie głową. Zapamiętała cienie i ręce, które ją ciągną. Na samą myśl o tym przechodzi ją dreszcz.

– Co stało się później? Załóżmy, że faktycznie wypłam tylko dwa i pół kieliszka wina. Co było potem?

Pete wzrusza ramionami i kuca przed nią.

– Może weźmiesz jakąś tabletkę? – pyta.

Klara odsuwa się od niego i siada na łóżku. Zdenerwował ją ten nagły przyptyw troski o jej zdrowie. Oczywiście jest mu wdzięczna, że się nią zaopiekował, ale wolałaby jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Nie, nie potrzebuję żadnych lekarstw.

Pete stoi przed nią wyprostowany. Ma na sobie tylko majtki. Klara nie wie, jak się zachować w tej niewymuszonej, intymnej sytuacji.

– Może coś ci zaszkodziło? – pyta Pete. – A pokrowiec z laptopem mogłaś zostawić w barze. Możemy to sprawdzić.

Klara kiwa potakująco głową.

– Jasne, zrobimy to – odpowiada, chociaż wie, że nie znajdzie tam plecaka.

15. Bergort – październik 2014 roku

Idę z Abisyńczykiem przez parking. Jest popołudnie, świeci słońce. Okazuje się, że mój nieznajomy nie ma samochodu. Kierujemy się w stronę pięciopiętrowego bloku, w którym mieszkał Bounty, zanim jego rodzina przeprowadziła się do szeregowca. Nawet nie pamiętam, gdzie teraz mieszka. Od wielu lat tam nie byłem, bo nic tam nie ma. Jest jeszcze gorzej niż w naszej dzielnicy. Poza tym Bounty mieszka daleko od centrum, nawet jak się jedzie metrem.

Trawa przy parkingu całkiem zzółkła, nikt jej nie pielęgnuje. Pełno w niej zeschniętych psich odchodów, pokrzyw i ostów. Abisyńczyk pokazuje ręką wąską ścieżkę biegnącą przez pustą przestrzeń. Wygląda na to, że prowadzi wokół budynku, w stronę niewielkiego zagajnika, gdzie ja i ty przeżywaliśmy w dzieciństwie wspólne przygody. Opowiadałaś mi bajkę o Ronji, córce zbójnika, którą nauczycielka czytała wam w klasie. Tak się wtedy bałem leśnych strzyg i zbójników, że kiedy wieczorami wracaliśmy do domu, musiałaś trzymać mnie za rękę, chociaż nie byłem wtedy już taki mały. Przypominam sobie to wszystko, idąc za Abisyńczykiem przez trawę, krzaki i pokrzywy. Czuję, że teraz też się chyba boję, bo nie mam kogo wziąć za rękę. Z wyjątkiem Allaha – *subhānahu wa ta'alā* – niech błogosławione będzie imię Jego. Ale On dzisiaj milczy, a Jego dłoń jest chłodna. To taka próba z Jego strony. Idę więc za moim przewodnikiem przez coraz wyższą trawę.

Zagajnik jest o wiele mniejszy, niż mi się kiedyś wydawało, a stacja metra leży bliżej; skały nie przypominają skał z lasu Mattisa, wyglądają raczej jak duże szare kamienie, wokół których poniewierają się stare reklamówki i rdzewiejące puszki po piwie. Ostrożnie wspinamy się na łagodne wzgórze i kierujemy się w stronę polany w samym środku zagajnika.

To właśnie tutaj, w środku lasu, zaczyna się moje nowe życie. Początek dają mu trzej mężczyźni; jeden z nich ubrany jest w taki sam kaftan jak Abisyńczyk, dwaj pozostali w dzinsy i zwykłe koszule zapięte pod szyję. Stoją w szeregu, jak gdyby na nas czekali. Na ziemi, tuż za nimi, leży pięć rozłożonych mat. Ułożone są w kierunku przecinki leśnej, skąd widać tory i wjazd do tunelu. Dalej stoją dziesięciopiętrowe budynki, a za nimi jest już centrum miasta. Czuję się tak, jakbym opuścił moją cielesną powłokę i unosił się nad

ziemią. Świat realny ma ostro zarysowane kontury, ale światło pada pod innym, nienaturalnym kątem, oblewając nas złotym i szmaragdowym blaskiem.

Abisyńczyk podchodzi do trójki mężczyzn, całuje ich po kolei w policzki, mruczy po arabsku słowa powitania i w końcu odwraca się do mnie.

– To jest brat Ajam – mówi po szwedzku.

Nie wiem, co odpowiedzieć, w jakim języku przemówić i jaki wykonać gest. Nic nie wiem, więc tylko unoszę rękę w geście pozdrowienia, jak jakaś małpa.

– Cześć.

Mężczyzna w kaftanie się uśmiecha, robi dwa kroki w moją stronę, rozkłada ręce, przyciąga mnie do siebie, obejmuje, całuje w oba policzki i odsuwa się ode mnie. Ma rude włosy, rudą brodę i interesujące zielone oczy. Nie jest Arabem, tylko Szwedem. Pewnie się nawrócił.

– Witaj, bracie Ajamie – mówi z uśmiechem.

W jego głosie i wyglądzie kryje się coś ludzkiego, jakieś ciepło i głębia. Chciałbym, żeby znowu mnie objął i przytulił, szepnął mi do ucha, że wszystko będzie dobrze, że sprawy ułożą się, jak trzeba, że najważniejsza jest wiara, że Allah czyta w moim sercu i dopóki jest ono czyste, to, że jestem kiepskim muzułmaninem, nie ma znaczenia.

– Jestem imam Dakhil – mówi mężczyzna.

Posługuje się akcentem używanym przez mieszkańców Göteborga, ale po jego wymowie poznaję, że nie pochodzi z przedmieść.

– A to moja wspólnota – dodaje, wskazując swoich towarzyszy, którzy po kolei do mnie podchodzą. Najpierw Abisyńczyk, który mnie tu przyprowadził. – To brat Tasheem. Już go poznałeś.

Tasheem całuje mnie w oba policzki i mruczy po arabsku coś, czego nie rozumiem.

– To brat Taimur – kontynuuje imam. Taimur jest najmłodszy z nich, nosi dżinsy. On też całuje mnie w oba policzki. Ma jakieś pięć lat więcej ode mnie. Jest chyba w tym samym wieku co ty.

– I wreszcie brat al-Amin.

Brat al-Amin ma czterdzieści kilka lat, jest wysoki i dobrze zbudowany. Ma gęstą, zadbaną brodę i *kufi* na głowie.

– Witaj, bracie Ajamie – mówi i mocno mnie obejmuje.

Trzymam go za rękę i czuję, że bije od niego takie samo ciepło, jakiego chciałbym

doświadczać od Allaha. Oczy zachodzą mi łzami i w jednej chwili zatapiam się w bijącej od niego fali ciepła.

– Nie jesteś już „ajamem”, to znaczy „obcym” – wyjaśnia al-Amin. – Przestałeś nim być, bo stałeś się częścią Allaha, niech błogosławione będzie imię Jego.

Al-Amin obejmuje mnie, po czym klękamy na matach, aby razem złożyć wyznanie wiary. Potem odmawiamy modlitwę Isha, podczas której zaczynam wreszcie odczuwać radość. Cały drzę ze szczęścia, że tu z nimi jestem, że Allah – niech błogosławione będzie imię Jego – pozwolił im do mnie dotrzeć.

– Jak mnie znaleźliście? – pytam po modlitwie. Siedzimy w milczeniu na trawie i obserwujemy, jak popołudniowe słońce zabarwia Przedmieście na purpurowo.

Brat al-Amin wskazuje na brata Taimura, który unosi rękę jak przy powitaniu.

– Poznaliśmy się na czacie – wyjaśnia z uśmiechem. – To ja jestem Righteous90.

Pochylam się w jego stronę, żeby przyjrzeć mu się bliżej. Righteous90 jako jeden z pierwszych nawiązał ze mną kontakt w sieci. To z nim rozmawiałem na czacie. Opowiedziałem mu, że mieszkam na Przedmieściu, i opisałem gdzie. Wyjawiłem mu, że chciałbym całkowicie odmienić swoje życie i wyjechać na dżihad.

– Aż trudno mi uwierzyć, że spotykamy się w realu – mówię.

– Chwała niech będzie Allahowi – mówi brat Taimur i robi ukłon w moją stronę. – Mogłem skontaktować się z tobą wcześniej, ale wolałem się upewnić, że to, o czym piszesz, jest prawdziwe. Wielu pozuje na muzułmanów, twierdzi, że marzą o dżihadzie, ale niewielu z nich to poważni ludzie. Ty taki nie jesteś, bracie Ajamie, w twoim sercu gości prawda.

Ogarnia mnie fala wdzięczności. Czuję dławienie w gardle, zbiera mi się na płacz. W moim sercu gości prawda. Wprawdzie nie znam modlitw, ale bracia wiedzą, że jestem szczerzy.

Odwracam głowę, żeby się opanować.

– Czy zawsze spotykacie się na dworze? – pytam. – Co robicie, kiedy pada deszcz?

Bracia spoglądają na siebie i uśmiechają się zgodnie.

– Spotykamy się w różnych miejscach – wyjaśnia imam Dakhil, wskazując ręką Przedmieście. – Jesteśmy... hm... ostrożni, jeśli mogę tak to ująć. Wolimy nie zwracać na siebie uwagi, nie chcemy, żeby naszym słowom przysłuchiwały się obce uszy. Zwłaszcza gdy spotykamy się z nowymi braćmi, takimi jak ty, bracie Ajamie, albo gdy mamy do

omówienia ważne sprawy.

Puls mi przyspiesza, pieką mnie policzki. Imam Dakhil kładzie dłoń na mojej ręce. Patrzy na mnie szczerymi zielonymi oczami, a ja zaczynam rozumieć, że w moim dotychczasowym życiu nie było ważniejszej sprawy, bo to wszystko jest ważniejsze ode mnie, od ciebie, od nas.

– Brat Taimur twierdzi, że jesteś oddany naszej sprawie – kontynuuje imam.

Potwierdzam energicznym skinieniem głowy. Jeszcze nigdy tak gorliwie nie dowodziłem swojej szczerości.

– Brat Taimur powiedział, że sprzeciwiasz się niesprawiedliwości, na którą narażeni są nasi bracia i siostry, że ty też miałeś swoje problemy. Ale cóż, każdy z nas je miał. A teraz oddałeś Allahowi, niech błogosławione będzie imię Jego, całe swoje serce.

– To prawda – potwierdzam. – Od tej pory całe moje serce należy do Allaha, niech błogosławione będzie imię Jego.

Wymawiam te słowa z silnym przekonaniem, jak gdybym wyznawał wiarę, odmawiał modlitwę albo czytał Koran. Robię to, bo chcę być szczerzy. Wypowiadam te słowa, bo nawet jeśli ich nie czuję, prawda jest taka, że nie ma żadnej innej rzeczy, której bym tak bardzo nie pragnął.

Imam Dakhil kiwa głową i ściska mi mocno rękę.

– Brat Taimur twierdzi, że okazywałeś wielką gorliwość dla sprawy dżihadu. Podobno chcesz się przyłączyć do naszych braci w Syrii i nie boisz się zginąć jako męczennik. Zapytam więc, czy jeśli takie będzie życzenie Allaha, niech błogosławione będzie imię Jego, będziesz z tego powodu szczęśliwy?

– Tak – potwierdzam z bijącym sercem. Jestem już tak podekscytowany, że jeszcze chwila, a szczęście rozsadzi mi skronie. – Nie boję się śmierci, tęsknię do rajy, chcę służyć Allahowi, niech błogosławione będzie imię Jego.

Bracia nie komentują moich słów, tylko spoglądają na mnie spokojnie. Imam Dakhil znowu ściska mi dłoń i pochyla się w moją stronę, żeby zajrzeć mi głęboko w oczy.

– Dżihad można prowadzić na różne sposoby – stwierdza. – Dżihad to nie tylko pole bitwy i męczeńska śmierć. Do rajy można się dostać różnymi drogami. Chyba to rozumiesz?

Powoli kiwam głową i nagle czuję, że nadchodzi mnie ochota, aby się podnieść i krzyknąć: „Ale to jedyny sposób dla mnie! Jestem niecierpliwy. Nie mogę tu dłużej żyć. Nie wytrzymam tu, muszę stąd natychmiast wyjechać!”.

Ale nie mówię tego, tylko milczę i kiwam głową.

Brat al-Amin też przysuwa się bliżej, żeby zajrzeć mi w oczy.

– Chyba rozumiesz, że nasz dżihad toczy się tutaj? – pyta. – Prowadzimy go poprzez to, co robimy. Na przykład poprzez wyszukiwanie tak oddanych sprawie ludzi, jak ty, albo pomaganie im w wypełnianiu woli Allaha. To też jest dżihad.

„Ale nie dla mnie – mam ochotę krzyknąć. – Jeśli Allah ma dla mnie plan, to na pewno nie tutaj!”

– Tak – odpowiadam. – Rozumiem. Niechaj stanie się Jego wola i niech błogosławione będzie imię Jego.

Nadal jest mi niezręcznie wypowiadać takie słowa, chwalić Allaha w takim miejscu, wśród karłowatych drzew i wysokiej trawy. Wolałbym, żeby mnie sobą napełnił, a nie tylko poddawał próbie.

– Całkiem możliwe, że posiadasz potencjał – mówi imam Dakhil. – My mamy kontakty i możliwości. Jeśli nas do siebie przekonasz, bracie Ajamie, to niewykluczone, że twoje marzenie o służbie dla Allaha, niech błogosławione będzie imię Jego, na polu bitwy może się spełnić.

Ponownie czuję, jak wypełnia mnie gaz, ciepły, ulotny, dający nadzieję. Jest bardziej gęsty niż krew, lżejszy niż powietrze i myśl. Może objawił mi się sam Allah – niech błogosławione będzie imię Jego – żeby mnie sobą napełnić, nagrodzić za moją cierpliwość i dodać mi otuchy? Ale ja wiem, że to złudzenie. Jestem złym muzułmaninem, który nie czuje Boga. Tęsknię za czymś większym, ale nie czuję tego, co największe.

– Dziękuję, że się ze mną skontaktowaliście – odpowiadam.

– Nie dziękuj nam – prostuje moje słowa imam Dakhil. – Podziękuj Allahowi, niech błogosławione będzie imię Jego.

16. Londyn – wtorek, 18 sierpnia 2015 roku

Po dziewiątej Klara zatrzymuje się przed schodkami prowadzącymi do wejścia do budynku przy 33 Surrey Street. To tuż za skrzyżowaniem ze Strand, skąd dobiega gwar porannego ruchu ulicznego. Powietrze jest ciężkie i ciepłe, nasycone spalinami, wilgocią i zapachem kawy. Niewielka mosiężna tabliczka nad dzwonkiem informuje, że Klara znajduje się przed siedzibą King's Centre for Human Rights.

Nadal dokucza jej ćmiący ból głowy z poprzedniego dnia, ale za to ustało głucho dudnienie w tylnej części czaszki. Nie miała czasu, żeby wziąć zwolnienie lekarskie, ale nie była w stanie stawić się w biurze. Kac i strach zatrzymały ją w łóżku przez większą część dnia. Jest oczywiście wdzięczna Pete'owi za to, co dla niej zrobił, ale nie zgodziła się, gdy chciał jej dać coś na przebranie. Wolała wrócić do domu w tym, co miała na sobie, chociaż jej ubranie śmierdziało wymiocinami. W tamtym momencie nie mogła na niego patrzeć, chciała jak najszybciej zapomnieć o całym wieczorze.

Wypija łyk kawy ze Starbucksa, ale natychmiast żałuje tej decyzji, bo nudności wracają ze zdwojoną siłą. Bez względu na to, co wydarzyło się w niedzielny wieczór, już drugi dzień jest na kacu i kawa najwyraźniej w niczym jej nie pomoże.

Żeby przeczekać nudności, mija wejście do budynku z numerem 33 i przechodzi schodami na wewnętrzny dziedziniec. Napis na szyldzie mówi, że miejsce to nazywa się Strand Lane. Klara przypomina sobie, że kiedyś czytała, że na końcu dziedzińca znajduje się antyczna rzymska łaźnia.

Idąc schodami, wyjmuje telefon, żeby sprawdzić pocztę. W pewnej chwili wzdrygnęła się, widząc, że nie jest sama. Pod oknem, zaledwie dziesięć metrów od niej, widzi rosnącego mężczyznę, w którym rozpoznaje swojego amerykańskiego kolegę z pracy, Patricka Shapiro. Na jej widok prostuje się, poprawia blond grzywkę i okulary w tytanowych oprawkach.

– Dzień dobry, Klaro – mówi poważnym tonem. Widać, że jest lekko zmieszany.

– Dzień dobry – odpowiada Klara. Widząc, że nie ma innego wyjścia, podchodzi do okna.

Witają się przez podanie ręki, co wygląda dość formalnie, ale w pracy prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiają. No może z wyjątkiem cotygodniowych zebrań. Ich szefowa,

Charlotte Anderfeldt, nalega, aby z nich nie rezygnować, chociaż cały instytut liczy zaledwie pięć osób. Patrick nie jest zbyt towarzyski. Trudno go zagadnąć, gdy z kubkiem kawy w ręce wraca do siebie z pokoju socjalnego. Przeciwnie, wobec wszystkich zachowuje dystans. W biurze jest zawsze pierwszy i ostatni z niego wychodzi, ale drzwi jego pokoju są bez przerwy zamknięte. Krążą plotki, że z niewiadomych powodów nie korzysta z internetu, a nawet z komputera.

Klara pochyła się ku brudnej szybie i unosi dłoń do oczu, żeby nie przeszkadzały jej refleksy świetlne. Widzi jednak tylko coś, co przypomina zaniedbaną piaskownicę. Odwraca się do Patricka i krzywo się do niego uśmiecha. Ból głowy w tylnej części czaszki dalej się utrzymuje.

– Trudno to uznać za atrakcję turystyczną klasy Disneylandu – mówi Klara.

Patrick kiwa z powagą głową. Klara dochodzi do wniosku, że jego płaska, wydłużona twarz przypomina piaskowiec.

– Ale i tak mi się podoba – mówi prawie zaufanym tonem Patrick. – Przychodzę w to miejsce prawie codziennie. Podobno kąpał się tu Charles Dickens.

Klara kiwa głową. Jej też coś takiego obilo się o uszy.

– To tutaj Guy Fawkes spotykał się z pozostałymi spiskowcami, którzy planowali zamach na parlament – dodaje trochę cichszym głosem Patrick.

– Naprawdę? – dziwi się Klara. Nigdy wcześniej o tym nie słyszała. – Ale żeby tu od razu codziennie przychodzić? – pyta, patrząc przez okno. – Czuję się tak, jak gdybym kiedyś widziała to miejsce...

Klara nie kończy zdania.

– Podoba mi się to rozwiązanie – mówi Patrick. – Układ warstwowy, historia w historii. Najprawdopodobniej nie jest to żadna rzymska łaźnia, tylko coś znacznie późniejszego. Ciekawe jest to, że przetrwała do naszych czasów prawie w całkowitym zapomnieniu. Jej pierwszymi użytkownikami byli prawdopodobnie starożytni Rzymianie. Potem miasto rozwijało się przez tysiące lat, a na końcu zjawili się Fawkes i Dickens. Miasto rozrastało się wokół miejsca, o którym tak naprawdę nie wiemy, czym było. A teraz siedzimy tu i zajmujemy się „obroną praw człowieka”.

Wypowiadając ostatnie trzy słowa, Patrick wykonuje palcami taki gest, jakby brał je w cudzysłów. Klara uświadamia sobie, że to najdłuższa wypowiedź, jaką kiedykolwiek usłyszała z jego ust.

– Co masz na myśli, mówiąc o prawach człowieka? – pyta oburzona jego gestem. – Nie podoba ci się to, czym się zajmujemy?

Patrick wzrusza ramionami i patrzy na nią uważnie.

– Chciałem powiedzieć, że taka właśnie jest ta łaźnia, że nie wszystko jest takie, jak to postrzegamy. Wszystko składa się z warstw, które wzajemnie na siebie zachodzą. W końcu sami już nie wiemy, gdzie znajduje się istota rzeczy i czy jest nią to, co widzimy.

Klara kręci głową i ostrożnie masuje skronie. Kwestie egzystencjalne to zbyt trudna tematyka jak na ten dzień.

– Muszę już wracać do pracy. Idziesz ze mną?

Kiedy jest już na trzecim piętrze, zatrzymuje się przed drzwiami pokoju Charlotte, bierze głęboki wdech i dopiero wtedy puka. Stara drewniana podłoga skrzypi pod jej stopami, gdy podenerwowana przestępuje z nogi na nogę.

– Yes? – słyszy dobiegający z pokoju głos Charlotte.

Klara uchyla ostrożnie drzwi. Charlotte siedzi w wykuszu wychodzącym na ulicę, za antycznym biurkiem zawalonym papierami i mazakami, ładowarkami do telefonów i niedopitymi kubkami z kawą. W samym środku tego bałaganu znajduje się wielki monitor podłączony do komputera kablem ukrytym pod stosami kartek i innych przewodów. Przy ścianach stoją regały zastawione książkami, segregatorami i papierami.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale stało się coś złego – zaczyna Klara. Rozmawiając z Charlotte, zawsze używa szwedzkiego.

Charlotte wstaje zza biurka i daje jej znak, żeby usiadła na niewielkiej kanapie. Ubrana jest w obszerną sukienkę w typowym dla bohemy stylu i luźny top. Gęste ciemne włosy ma niedbale zawiązane w kucyk.

– Siadaj, kobieto – mówi Charlotte. – Cóż takiego się stało? Napijesz się wody? A może herbaty? À propos, czujesz się już lepiej? Wczoraj byłaś chyba chora?

Klara kiwa głową i czuje, jak jej twarz oblewa się rumieńcem.

– Tak – odpowiada. – Czuję się o wiele lepiej. Chyba zjadłam coś nieświeżego.

Charlotte patrzy na nią przyjaźnie swoimi dużymi ciemnymi oczyma. Klara dopiero w tym momencie zaczyna odczuwać fałsz jak nigdy wcześniej.

– Super! – cieszy się Charlotte. – To dobrze, że czujesz się lepiej.

– Oczywiście! – woła Klara z przesadnym entuzjazmem. Przełyka głośno ślinę i robi taką minę, jakby chciała powiedzieć coś ważnego. – Nie będę ci zawracać głowy, więc

tylko powiem, że w niedzielę zgubiłam gdzieś laptopa.

Jej twarz robi się jeszcze bardziej czerwona. Nie znosi sytuacji, gdy ktoś widzi jej bezradność. Wie, że nie może opowiedzieć prawdy, i dlatego postanawia przedstawić poprawioną wersję wydarzeń – bez wina i wymiocin, bez barmana i zataczania się w pustym zaułku, bez barów i alkoholu.

Charlotte patrzy na nią spod zmrużonych powiek.

– Pewnie zostawiłam go gdzieś na lotnisku albo w pociągu, gdy po przylocie jechałam do centrum – kłamie Klara. – Dzwoniłam już do biura rzeczy znalezionych, ale sama rozumiesz.

Klara rozkłada ręce. Czuje się mała i bezwartościowa.

Charlotte pochyla się w jej stronę, bierze ją za rękę i zagląda głęboko w oczy.

– Spokojnie, jakoś temu zaradzimy. Na pewno znajdziemy tu jakiś komputer, na którym będziesz mogła pracować. Mam nadzieję, że zastosowałaś się do instrukcji o ochronie dokumentów?

Klara potakuje gorliwie głową. Jest szczęśliwa, że może to potwierdzić.

– Oczywiście. Wszystko, co istotne dla naszej firmy, zapisałam na serwerze.

– Tylko na serwerze? – pyta Charlotte, ściskając ją mocniej za rękę. – Zbliża się konferencja w Sztokholmie i żaden z naszych dokumentów nie powinien wyciec na zewnątrz.

Klara znowu potwierdza skinieniem głowy.

– Tak, tylko na serwerze – potwierdza.

– Jesteś pewna?

– Jak najbardziej.

Rzeczywiście, bardzo dokładnie zastosowała się do instrukcji przekazanej jej przez Charlotte i wszystkie pliki zapisała na serwerze. Żeby się do niego dostać, trzeba znać hasło. Są tam wszystkie dokumenty związane z planowaną konferencją organizowaną przez Unię Europejską. Klara bardzo dobrze wie, że zarówno dla Charlotte, jak i dla całego instytutu możliwość prezentacji kwestii związanych z projektem prywatyzacji więziennictwa i policji to prestiżowa sprawa. Za niecały tydzień będą o tym dyskutować unijni ministrowie sprawiedliwości. To właśnie ze względu na ten raport została tu przed rokiem zatrudniona. Charlotte otrzymała zlecenie na przygotowanie raportu nie dlatego, że jest Szwedką, a raport ma być prezentowany w Sztokholmie, tylko ze względu na swoje

doświadczenie akademickie. Potrzebowała asystentki, która mogłaby jej pomóc w sprawach organizacyjnych i w pisaniu raportu.

Ofertę od Charlotte otrzymała niespodziewanie, gdy przebywała u dziadków na wyspie Aspöja. Krótko przedtem podjęła decyzję, że dokończy pracę Mahmouda.

– To świetna propozycja – powiedział profesor Lysander, promotor Mahmouda. – Oczywiście, że powinnaś ją przyjąć. Z jednej strony dokończysz pracę Mahmouda, a z drugiej dobrze ci zrobi, jeśli się trochę od wszystkiego oderwiesz. No i sam fakt, że to King's College! To będzie ważny punkt w twoim CV.

Klara zajrzała na stronę instytutu i dowiedziała się, że jest częścią King's College, powstał stosunkowo niedawno i specjalizuje się w tematyce związanej z prawami człowieka w szarej strefie, gdzie interesy prywatne zająbiają się z dobrem publicznym. Właśnie tych kwestii dotyczyła praca Mahmouda. Zauważyła, że w spisie literatury ujął kilka tekstów napisanych przez Charlotte. Przez tydzień zastanawiała się nad propozycją, aż w końcu pojechała na rozmowę.

Na miejscu okazało się, że w instytucie pracuje sześć osób: Charlotte, Patrick, dwaj naukowcy i dwaj doktoranci. Do tego dwaj studenci, którzy pomagali w zbieraniu danych do innych projektów.

Klarze od samego początku spodobało się to, że Charlotte ma taki wyluzowany, inteligentny stosunek do pracy. Widać było, że jest ambitna i zależy jej nie tylko na własnej karierze, ale także na losach instytutu. Klara czuła, że rodzi się w niej coś w rodzaju ekscytacji. Może to dobry znak?

– Dlaczego ja? – spytała na tamtym spotkaniu. – Jak mnie pani znalazła?

Charlotte tylko się uśmiechnęła.

– Potrafimy wynajdywać zdolnych ludzi – odparła, mrugając do Klary porozumiewawczo.

Dla niej było to właściwie obojętne. Liczyło się przede wszystkim to, że będzie mogła wrócić do czynnej pracy. Zanim późnym wieczorem wyjechała ze Sztokholmu, podpisała z instytutem umowę o pracę.

– Ludzie dość często zostawiają gdzieś swoje laptopy – stwierdziła Charlotte. – Każdemu się może zdarzyć.

Poklepuje Klarę po ręce, bierze kubek i napełnia go zieloną herbatą z termosu stojącego na stoliku przed kanapą.

– A poza tym co u ciebie słyhać? – pyta Charlotte. – Masz już gotowy szkic fragmentu na temat ograniczeń prawnych?

Klara ma sporządzić zestawienie tekstów źródłowych dotyczących problemów prawnych związanych z prywatyzacją takich instytucji, jak policja i system więzienniczy. Stara się być jak najbardziej dokładna i obiektywna, chociaż prywatnie uważa, że pomysł sprywatyzowania policji jest na gruncie demokratycznym nie do obrony. Na szczęście sporządzenie raportu w tej sprawie zlecono Charlotte, a ona jest obiektywna zarówno w pracy badawczej, jak i w życiu prywatnym. Mimo to już sama myśl o tym, że raport instytutu stanie się podstawą dyskusji przedstawicieli państw unijnych, przyprawia ją o zawrót głowy. Tego rodzaju praca pochłania ją najbardziej: nie musi myśleć o przeszłości czy o przyszłości, może się skupić jedynie na swoim zadaniu.

– Myślę, że tak – odpowiada Klara. – Muszę jeszcze tylko wygładzić tekst. Po południu wyślę ci link.

– Świetnie – cieszy się Charlotte, popijając herbatę. – O komputerze dla siebie porozmawiaj z Dawn, wie, jak wypożyczyć sprzęt należący do uniwersytetu.

Klara z wyraźną ulgą wchodzi skrzypiącymi schodami na poddasze, które dzieli z Patrickiem. Charlotte i inni pracownicy siedzą piętro niżej. Na pozostałych pięciu piętrach swoje pokoje ma administracja uczelni. Klarze nigdy nie udało się zgłębić ich pracy na tyle, aby się zorientować, czym się zajmują. Tuż przed wejściem do swojego pokoju ze zdziwieniem zauważa, że drzwi pokoju Patricka są lekko uchylone. Jej zaskoczenie jest o tyle uzasadnione, że nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Zatrzymuje się i zastanawia, co zrobić. Razem z innymi pracownikami instytutu już tyle razy żartowali sobie z Patricka i jego dziwactw, że pokusa zajrzenia do środka jest zbyt silna, aby się jej oprzeć.

Zerka w stronę mikroskopijnej toalety i widzi, że jest zamknięta na klucz. Wygląda na to, że Patrick tam jest i jakimś cudem zapomniał zamknąć drzwi do swojego pokoju.

Ponownie zerka w stronę toalety i przemyka chyłkiem do pokoju Patricka. Tylko tam zajrzy, przecież nic się nie stanie. Ostrożnie popycha drzwi, które lekko skrzypią.

W środku jest zadziwiająco ciemno, bo Patrick zaciągnął żaluzje w świetlikach wychodzących na tylną stronę budynku. Klara nie bardzo wie, czego się spodziewała – kreatywnego szaleństwa? Stosów papierów przewiązanych kolorowymi tasiemkami? Nie znalazła w pokoju nic takiego. Panuje w nim wzorowy porządek. Papiery leżą na biurku w równych stosach. Książki stoją w niskiej szafce z ciemnego drewna, która zasłania jedną

ścianę. Ułożone są według systemu znanego chyba tylko Patrickowi. Na ścianie wisi przymocowana taśmą klejącą kartka formatu A4. A na niej wypisane dużymi literami zdanie: *A Dangerous Remedy*.

Na widok tych słów Klara sztywnieje. Z czymś się jej kojarzą. Groźne lekarstwo? Czuje, jak włosy jeżą jej się na głowie. Aż się wzdrygnęła. Co to znaczy? Czyżby Patrick pracował nad tak zatytułowaną książką?

Przebiega wzrokiem po pokoju, ale jej uwagę zwraca jedynie to, że monitor od komputera – taki sam jak ten, który ma w swoim pokoju, standardowy model używany przez pracowników uniwersytetu – stoi na podłodze ze zwisającym z tyłu kablem. Nad biurkiem znajduje się biała tablica z narysowaną na niej „mapą myśli”. Klara spogląda z ciekawością w tamtą stronę – może dowie się czegoś więcej o tym, nad czym Patrick po całych dniach pracuje?

W ciemności trudno odczytać, co napisał czerwonym flamastrem na białym tle, ale w samym środku znajduje się czworobok z wpisanym wewnątrz słowem „Ribbenstahl”. Klara robi pół kroku w głąb pokoju. Widzi inny czworobok, w który wpisane są słowa „Stirling Security”. Odchodzi od nich strzałka skierowana w stronę słowa „Ribbenstahl”. Poniżej „Stirling Security” widnieje kółko, a w nim słowa „Russian Embassy?”.

Czym ty się zajmujesz? – zastanawia się Klara.

W tym momencie słyszy, jak Patrick spuszcza wodę w toalecie. Ogląda się szybko przez ramię, a potem rzuca ostatnie spojrzenie na białą tablicę. Wszystkie strzałki przecinają King’s Centre for Human Rights i biegną w stronę dużego zębatego koła na samej górze tablicy zawierającego napis „The Stockholm Conference”. Obok znajdują się słowa „Charlotte’s report?”.

Klara słyszy za sobą kroki na podłodze wyłożonej wykładziną. Szybko się wycofuje i odwraca, żeby wrócić do swojego pokoju.

– Co ty tu robisz?

Klara wzdrygnęła się zaskoczona nagłym pojawieniem się Patricka. Poczzerwieniła, jakby nakrył ją na gorącym uczynku.

– Nic – odpowiada Klara.

– Węszysz? – syczy Patrick, przeciskając się obok niej do swojego pokoju. – Myślałem, że jesteś osobą, która bardziej od innych zasługuje na szacunek.

Odwraca się do niej, jego oczy robią się wąskie i złe.

- Łatwo o kłopoty, gdy wtyka się nos w nie swoje sprawy – dodaje.
- Wielki mi problem! – ripostuje Klara, bo rozgniewało ją jego niegrzeczne zachowanie.
- Zjrzałam tylko do twojego pokoju. Coś ci nie pasuje?
Patrick unosi palec wskazujący i kieruje go w jej stronę.
- Zajmij się swoimi sprawami – syczy. – I zapamiętaj, co ci powiedziałem.
Po tych słowach zatrzaskuje jej drzwi przed nosem.

17. Sztokholm – wtorek, 18 sierpnia 2015 roku

W metrze jest czysto i nie tak gorąco, jak na dworze. Kafelki na ścianach są wypolerowane i lśniące, oświetlenie ciepłe i przytłumione. Yasmine zajmuje miejsce na niebieskim siedzeniu w wypełnionym do połowy składzie jadącym do Bergort i próbuje zebrać myśli. Powrót do Sztokholmu wywołał w jej życiu zamieszanie. Kiedyś była częścią tego miasta, metra, betonu, torów i kafelków. Teraz czuje się tak, jak gdyby zupełnie tu nie pasowała. Nie odgrywa żadnej roli, nie funkcjonuje w żadnym systemie. Wbrew własnej woli jest osobą nostalgiczną, jak jakiś duch z wielkimi oczami, który unosi się nad ziemią i jest niewidoczny dla wszystkich z wyjątkiem samego siebie.

Mogła wyjechać wczoraj, bo nie ma czasu do stracenia. Niestety, po spotkaniu z Ignaciem *jet lag* zwałił ją z nóg, a gdy obudziła się późnym wieczorem, miała wrażenie, że jej ciało składa się z piasku i wody i jest zbyt ciężkie i niezgrabne, żeby wykonać jakikolwiek ruch. Zamówiła coś do jedzenia w *room service*, dziękując w myślach firmie Shrewd & Daughters za kartę kredytową. Potem znowu zapadła w podobny do transu sen. Śniło jej się, że jest w Bergort i biegnie za Fadim po śniegu. Fadi śmieje się jasno i dźwięcznie, jak dziecko, a jego krótkie nogi śmigają w powietrzu.

Pociąg sunie powoli na południe. Yasmine słyszy tylko zamykanie i otwieranie drzwi, dudnienie kół na torach i dźwięki hip-hopu dobiegające ze słuchawek chłopca, który siedzi naprzeciwko niej. Wszystko pozostało takie, jak to zachowała w pamięci, ale jakby w odwróconej postaci. Nigdy wcześniej nie wracała na Przedmieście, nawet gdy jechała w tamtym kierunku pociągiem, a także wtedy – a zwłaszcza wtedy – gdy stamtąd wyjeżdżała. Za każdym razem zamykała oczy i marzyła o czymś innym. Po balangach w nocnych klubach w południowej dzielnicy wytaczała się o świcie z wagonu i jechała ruchomymi schodami, nie zwracając uwagi na otoczenie, upojona piwem i przyszłością. Kiedy otwierała kluczem drzwi mieszkania Parisy albo Abdula, nigdy się nie zastanawiała, skąd wraca albo gdzie się prześpi. Marzyła o przyszłości, aż stała się jej częścią, aż zaczęła nią żyć, aż okazała się czymś innym, niż sobie wyobrażała. W końcu znalazła się na niebieskim siedzeniu w pociągu wiozącym ją z powrotem tam, skąd wyjechała.

Wstrzymuje oddech i na chwilę zamyka oczy. Pociąg wyjeżdża z ciemnego tunelu i pędzi wśród sosen i krzaków skąpanych w blasku popołudniowego słońca. Za każdym razem,

kiedy stamtąd wyjeżdżała, jego dudnienie wprawiało ją w ekstazę. To jedyne miejsce, kiedy pasażer metra czuje prędkość i widzi, w jakim kierunku zmierza skład. Taki dźwięk przyspiesza każdą czynność i każdy ruch, sprawia, że człowiek bez opamiętania pędzi przed siebie.

Otwiera oczy i widzi, że za oknami wagonu wyłania się Przedmieście. Dzielnica przypomina kubistyczny szary zamek stojący obok torów. Dziesięcioletnie bloki wyglądają jak las baszt obronnych wokół miasta. Anteny satelitarne strzelają w niebo, jak gdyby wyciągały ręce w górę w błagalnym geście. Jest u siebie, w domu, a mimo to czuje kłucie w piersiach, z trudem oddycha.

Pociąg zatrzymuje się na stacji, a ona przez sekundę się zastanawia, czy nie powinna zostać w wagonie, pojechać dalej albo zawrócić. W końcu wstaje i wychodzi na rozgrzany peron. Tuż po wyjściu z wagonu na jednym z betonowych filarów podtrzymujących zardzewiały niebieski dach kryty falistą blachą widzi znany symbol. Prosty, kompaktowy, świeżo namalowany, jest tu nie dłużej niż tydzień. Czerwona pięść z pięcioramienną gwiazdą.

Schodzi powoli z rampy i rusza w stronę centrum. Idzie Skutvågen, przechodzi przez dzielnicę Fregatten i skręca w stronę Vasatorget. Te szwedzkie nazwy są takie prowokujące, ludzie czują się przez nie wyobcowani. To dlatego młodzi zrywają tabliczki ze ścian i każdemu miejscu nadają nową, własną nazwę. Dzięki temu Przedmieście należy do nich. Na przykład nazwę Skutvågen przerobili na Shootvågen, Fregatten na Fittan, Vasatorget na Pirattorget².

Serce bije jej mocno, piersi falują. Oddycha głęboko, stara się złapać rytm, żeby we właściwy sposób wkroczyć w to, co było tu dawniej. Widzi zardzewiałą poręcz rampy i druty kolczaste, które razem z Redem malowali sprejem. Mieli wtedy po trzynaście lat, a ślady tego, co zrobili, są nadal widoczne pod świeżą warstwą farby. Idzie coraz dalej, coraz bardziej zagłębia się w przeszłość, w siebie samą. Wytarte fasady bloków, chwasty, które przebiły się przez betonowe płyty na placu, tablica reklamowa przy sklepie ICA z obrazkiem przedstawiającym ten sam filet z kurczaka co zawsze, pizzeria Faruka, który próbował zamienić jej nazwę na Raj, chociaż dalej siedzą w niej okoliczne pijaczki. Mężczyźni ze sznurami modlitewnymi... Stoją na placu w spodniach od garnituru, kaleczą szwedzki i zawsze są bez pracy. Przed wejściem do lokalu Syryjczyka stoją wagarowicze. Ubrani w czapki z daszkiem i koszule palą papierosy. Jest tym wszystkim. To z takich

elementów zbudowała siebie – i swoje skrzydła. A to, co tu zastała, jest powietrzem, przez które leciała.

Parisa stoi przed zakładem fryzjerskim należącym do jej matki i pali papierosa. Ma długie paznokcie i długie rzęsy, trochę szersze niż dawniej biodra, trochę bardziej gęste włosy. Poza tym wszystko wygląda tu tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło, jakby to lato trwało od czterech lat, jak gdyby Yasmine wpadła do miasta tylko po to, żeby zrobić zakupy.

Parisę widzi z daleka. Zatrzymuje się, bo nie jest pewna, jak po tak długim czasie zacząć rozmowę. Mimo wszystko czuje się tu bezpiecznie i swobodnie. Parisa kręci się na plastikowym krzeselku i szybko wystukuje coś palcami na klawiaturze telefonu. Yasmine sama nie wie, jak to się stało, ale nagle do niej podchodzi. Dym z papierosa ma słodkawy, miętowy zapach.

– Sie masz, sestro – mówi, kucając obok Parisy.

Dziewczyna drgnęła na dźwięk jej głosu. Odrywa wzrok od telefonu i odwraca głowę, a jej oczy robią się coraz większe.

– Nie wierzę! – woła i zrywa się z krzeselka z taką energią, że przewraca je na ziemię. – Yasmine!

Yasmine się uśmiecha i rozkłada ramiona.

– Yazz! – woła Parisa. – *Baby!*

Zmieszana i zdumiona odwraca się w stronę salonu, gdzie stoi jej matka.

– Popatrz! – woła. – Zobacz, kto wrócił! Yazz, moja *gahar*, moja siostra!

Potem idą na plac zabaw i siadają na ławce. Parisa częstuje Yasmine mentolowym papierosem. Yasmine czuje, jak przenika ją ostry smak i zapach nikotyny; jest lekko oszołomiona. Parisa ją obejmuje i przyciąga do siebie. Policzek ma miękki i delikatny, pachnący olejkiem i sierpniowym słońcem. Jej sztuczne rzęsy trzepoczą jak owad latający koło skroni. Yasmine odwraca się do niej z uśmiechem.

– Dalej chodzisz z Mehdim? – pyta.

Przed rokiem Parisa przysłała jej długi mail. Biła z niego radość, a nawet szczęście. Dziwna sprawa. Parisa i Mehdi. Mały, gruby Mehdi, kumpel Fadiego. *Fuck it!* Ona też cieszy się jej szczęściem. Wydrukowała sobie tego maila i zachowała jego treść w pamięci, ale nie odpisała, tak samo jak nie odpisywała na żadne inny maile, które w ciągu tych czterech lat przysłała jej Parisa.

Parisa wzdycha i uśmiecha się nieśmiało. Odwraca wzrok i wzrusza ramionami.

– *I guess* – odpowiada. – Wydarzyło się wiele różnych rzeczy, siostró. Naprawdę. Ale teraz mam to gdzieś.

Parisa odsuwa od siebie Yasmine, szczypie ją w ramię, głaszcze po ramieniu.

– Zeszczuplałaś, siostró! A ja przytyłam.

Mówiąc to, uderza się mocno w udo.

– Daj spokój – odpowiada Yasmine. – Wszystkim zawsze podobał się twój tyłek. Dla nas byłaś jak Beyoncé, *baby*. Ja wyglądałam jak chłopak, jak dawniej.

– Ale za to szczupły chłopak – odpowiada Parisa. – Gdzie mieszkasz? W okolicy?

Yasmine kręci głową.

– W eleganckim hotelu w centrum miasta, na Riddargatan. *Long story*.

Parisa gwizdnęła głośno.

– Szok, siostró. W luksusowym hotelu... – mówi poważnym głosem.

Yasmine wzrusza ramionami.

– Nie ja za to płacę.

Parisa kiwa głową i przesuwa delikatnie palcem po opuchliznie przy lewym oku Yasmine.

– Wiedziałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie – mówi cichym głosem.

Yasmine wstaje z ławki, zaciąga się dymem, rzuca niedopałek na ziemię i przydeptuje go stopą.

– Wszyscy o tym wiedzieliśmy – stwierdza. – Ale akurat on był przy mnie, gdy potrzebowałam pomocy. Rozumiesz?

– Mogłaś załatwić to sama, ale byłaś zbyt niecierpliwa. Chciałaś stąd jak najszybciej uciec, prawda?

Yasmine wzrusza ramionami. Gdyby to było takie proste...

– A teraz wróciłam.

Parisa kiwa głową i gasi papierosa. Obie patrzą na siebie, przez chwilę panuje cisza. Przeszłość dzieli je jak mglista zasłona.

– Przykro mi z powodu Fadiego – mówi w końcu Parisa. – Nie rozumiem, jak mógł tak wyjechać. Rozwiał się jak dym. Tak to jest, gdy ludzie tu wsiąkają. To jak z powietrzem, którym nie da się dłużej oddychać.

Yasmine kiwa głową i kuca w piaskownicy. Bawi się piaskiem, który przesypuje między palcami, obserwuje zajaczki puszczone przez okna dziesięciopiętrowych wieżowców.

– Później już nic na jego temat nie słyszałaś? – pyta. – Od momentu, kiedy ktoś napisał na Facebooku, że Fadi nie żyje?

Parisa wstaje z ławki i kuca w piaskownicy obok Yasmine.

– A co mogłam słyszeć? Wiedzieliśmy tylko to, co dżihadyści wstawili na Facebooku. Sama zresztą widziałaś. Jego oddział brał udział w walkach i zostali zbombardowani.

Yasmine kręci lekko głową, wyjmuje telefon i wyszukuje zdjęcie. Klika na nie i podaje aparat Parisie. Ta przygląda mu się przez chwilę, powiększa i patrzy na nią.

– Jesteś pewna, że to on, siostrzo?

Yasmine potwierdza skinieniem głowy.

– To on.

– A skąd wiesz, że tego zdjęcia nie zrobili mu przed wyjazdem?

– Dostałam to zdjęcie od mamy. Powiedziała, że zostało zrobione tydzień wcześniej.

Parisa znowu przygląda się zdjęciu, tym razem z bliska. Po chwili wzrusza ramionami.

– To nie on. Myślę, że lepiej się pogodzić z tym, że go nie ma, siostrzo. Nic na to nie poradzimy, prawda?

Yasmine patrzy na nią zdziwionym wzrokiem. Czego ona nie rozumie? Przecież to zdjęcie Fadiego.

– Pamiętam, że w dzieciństwie byliście sobie bardzo bliscy – wspomina Parisa. – Fadi czekał na ciebie zawsze po szkole, pamiętasz? Nie znaliście jeszcze szwedzkiego, ale wszyscy i tak od razu was zauważali. Już wtedy coś w was było, *baby*.

– Przestań.

Yasmine nie jest w stanie tego dłużej słuchać, nie chce wracać pamięcią do przeszłości.

– A dlaczego zerwaliście kontakty?

Yasmine wstaje i otrzepuje kolana z piasku.

– A dlaczego coś się kiedyś kończy? – pyta. – Na początku byłam na niego wściekła. Zwłaszcza po tym, co stało się w Pirate Tapes. Taki idiotyzm! Przestałam odpowiadać na jego SMS-y. Nie odpowiedziałam na żaden. Wyjechałam następnego dnia po tej aferze. David zarezerwował bilety i poleciliśmy do Nowego Jorku. To było...

Yasmine milknie, bo nie jest pewna, czy zdoła powstrzymać łzy.

– Było jak w bajce. *Wallah*, przysięgam. Sama wiesz, spełnienie moich marzeń. Nie mogłam już wytrzymać z Fadim, z Przedmieściem i z rodzicami...

Łzy spływają jej po policzkach, Yasmine nienawidzi się za to, bo nie potrafi ich

powstrzymać. Przecież nie zasłużyła na ulgę, jaką ze sobą niosą. Parisa przysuwa się do niej, obejmuje ją ramieniem, tuli do siebie. Yasmine nie protestuje, ale już po chwili odsuwa się od niej. Nagle zaczyna czuć to, co kiedyś. Wszechobecny beton pochyła się nad nią i zamyka ją w sobie.

– Nieważne – mówi, ocierając łzy z policzków. Na twarzy czuje ziarenka piasku z piaskownicy. – On żyje.

Parisa przez dłuższą chwilę nie komentuje jej słów. Patrzy na okoliczne budynki i unika jej wzroku.

– Nie mów tak, siostró – odzywa się w końcu. – To nie jest ani dobre, ani zdrowe.

Yasmine wyjmując z kieszeni telefon, odnajduje w nim zdjęcie kota z pętlą na szyi i podaje aparat Parisie. Jej dawna przyjaciółka mruży oczy i przygląda mu się ze zdumieniem.

– Wiesz, co to jest? – pyta Yasmine.

Parisa prawie natychmiast oddaje jej telefon, jakby chciała się go jak najszybciej pozbyć.

– Nigdy tego nie widziałam.

Yasmine kładzie jej rękę na ramieniu.

– A to? – pyta.

Wyszukuje kolejne zdjęcie przedstawiające symbol namalowany sprejem i kładzie aparat na kolanach Parisy. Parisa szybko na nie zerka i oddaje aparat Yasmine.

– Nie mam pojęcia – rzuca krótko. – Tego też nigdy wcześniej nie widziałam.

Yasmine czuje, że ogarnia ją złość. Najpierw brednie Ignacia, a teraz jeszcze to?

– Niech to szlag – mówi. – Przecież ten symbol jest wszędzie. Naprawdę nigdy wcześniej go nie widziałas?

Parisa wstaje, otrzepuje nogi z piasku i patrzy na Yasmine ponurym wzrokiem.

– Już powiedziałam: nigdy wcześniej go nie widziałam. Jasne?

Po powrocie do centrum Yasmine jest tak zmęczona, że z trudem pokonuje drogę z metra do hotelu. Różnica czasu i wysiłek związany z wizytą w Bergort sprawiły, że kompletnie opadła z sił.

Pożegnała się z Parisą przed salonem fryzjerskim, a potem nogi same zaniósły ją pod blok, w którym się wychowywała. Ta sama brudna fasada, te same żaluzje i brudne okna.

Powinna wejść na górę i odwiedzić rodziców, zwłaszcza mamę. Spytać, czy coś wiedzą,

wejść do swojego dawnego pokoju i do pokoju Fadiego. Nie może się jednak przemóc, żeby choćby zbliżyć się do wejścia. Wydaje jej się, że odpycha ją jakaś niewidzialna siła, jak gdyby była na to jeszcze za słaba. W końcu siada na ławce przy parkingu i czeka, aż słońce zajdzie za dwunastopiętrowymi wieżowcami. Jest już tak zmęczona, że w końcu wstaje i rusza w stronę stacji metra.

Łagodny mrok wypełniający lobby Story Hotell otumania jak morfina. Przytłumione dźwięki stóp na wykładzinie działają usypiająco. Yasmine wjeżdża windą na czwarte piętro, wyjmuje kartkę z kodem, który otrzymała od recepcjonistki, wstukuje go, otwiera drzwi i wchodzi do środka. Już w ciasnym przedpokoju czuje, że coś jest nie tak. Wewnątrz pali się światło, a przecież jest prawie pewna, że rano, tuż przed wyjściem, je zgasła.

Ostrożnie idzie dalej. Porusza się jak po omacku. Jedna z nocnych lampek jest zapalona, ktoś specjalnie ustawił ją tak, żeby strumień światła padał na ścianę. Yasmine podąża za nim wzrokiem i widzi, że ktoś namalował na niej sprejem zaciśniętą pięść z pięcioramienną gwiazdą. Na poduszce, tuż pod rysunkiem, leży wydrukowana fotografia.

Yasmine podnosi ją powoli i widzi, że przedstawia powiększoną wersję zdjęcia, które dostała w mailu – kota powieszzonego na latarni. Odwraca kartkę na drugą stronę i czyta napisane na niej krótkie zdanie: „Trzymaj się z dala od Przedmieścia, dziwko”.

18. Bergort – luty 2015 roku

Kończy się jesień, idzie zima, już wkrótce Boże Narodzenie, a ja nawet tego nie zauważam. Poranną modlitwę *fadžr* odmawiam w domu, bo jeśli pójdę do mieszkania imama w pięciopiętrowym budynku, nie zdążę do pracy. Po przyjściu do pracy odmawiam w chłodni *dhuhr* i *asr*, ale teraz już się z tym nie kryję. Szwedole mogą mi skoczyć, niech sobie gadają, co chcą. Wygląda jednak na to, że przestało im to przeszkadzać. Zostawili mnie w końcu w spokoju, nie opowiadają żartów o terrorystach, pustyni i wielbłądach, tylko żrą tę swoją suchą szwedzką kiełbasę. Są za słabi, słabsi nawet ode mnie z tymi swoimi śmiesznymi pudełkami na lunch i adwentowymi świecznikami. Poza tym śmierdzą potem.

Po pracy odwiedza mnie czasem jeden z braci. Idziemy wtedy do kawiarni w centrum, pijemy kawę i rozmawiamy o Syrii. Robimy to po cichu, pochyleni ku sobie, jakbyśmy byli członkami ruchu oporu, którzy spotykają się w tajnym klubie. Najbardziej lubię brata al-Amina. Jest małomówny, zachowuje się spokojnie, pozwala mi mówić i pytać o wszystko, czego nie rozumiem i czego się uczę: o zasady, modlitwy, o *szariat* i *haram*. Najczęściej jednak rozmawiamy o wojnie, o walczących braciach i o tym, jak Allah – niech błogosławione będzie imię Jego – wynagrodził braci w Syrii, dając im okazję do męczeńskiej śmierci.

Brat al-Amin żałuje, że nie jest młodszy. Twierdzi, że jest za stary i zbyt powolny, żeby wyjechać na wojnę, ale czuje wdzięczność za rolę, jaką mu przydzielono. Podkreśla, że w Syrii potrzebni są tacy bracia jak ja, bo to oni mają zbudować Państwo Islamskie.

Jego słowa przepełniają mnie dumą i ufnością. Czuję, jak rosną mi skrzydła. Są już bardzo duże, czarne jak sadza i flaga Proroka. W takich momentach łatwo zapomnieć, że Boża ręka nadal jest chłodna. Łatwo wtedy nie myśleć o twoich oczach i o tym, co byś powiedziała, gdybyś mnie teraz zobaczyła.

W połowie lutego, kiedy wracam z pracy, brat al-Amin czeka na mnie przed wejściem do budynku. Nie ma w tym nic niezwykłego, bo bracia wiedzą, że moi rodzice nie sympatyzują z ich walką, i dlatego wolą ich nie denerwować swoją obecnością. Zawsze czekają na mnie na dole.

Widok brata al-Amina napawa mnie radością. W tym tygodniu opowiadał mi, jak działają sądy w Państwie Islamskim. Obiecał mi też, że na następnym spotkaniu opowie mi więcej o życiu codziennym. Wielu członków jego rodziny włączyło się w walkę. Teraz co tydzień informują go przez Skype'a, jak cudowne jest życie w takim państwie.

Tym razem już z daleka widzę, że zachowuje się inaczej, bardziej uroczyście. Stoi wyprostowany i rozgląda się za mną. Na dworze jest już ciemno, jak zimą, chociaż jest dopiero czwarta po południu. Widząc mnie, rusza w moją stronę i macha niecierpliwie ręką, żebym się pospieszył. Biegnę ścieżką rowerową i czuję, jak rośnie we mnie nadzieja i oczekiwanie.

– *Salam alejkum*, bracie Ajamie – mówi al-Amin, całując mnie w policzek. – Nie mamy czasu do stracenia, brat Dakhil już na nas czeka.

Serce zaczyna bić mi mocno, całe moje ciało napełnia się świeżym tlenem.

– Czy coś się stało? – pytam.

– Chodźmy, wkrótce się dowiesz – mówi al-Amin i rusza przodem w stronę parkingu. Kierujemy się ku przyszłości, o której nawet nie śmiem marzyć, jak najdalej od domu, w którym się wychowywałem.

Brat Dakhil czeka na nas na zasypanej śniegiem polanie, na której spotkałem się z braćmi przed kilkoma miesiącami. Na dworze jest już tak ciemno, że jego twarz widzimy tylko dzięki temu, że oświetla ją blask bijący od telefonu komórkowego. Brat Dakhil rusza w naszą stronę z uśmiechem na twarzy i wyciągniętymi na powitanie rękami.

Witamy się i oddajemy cześć Allahowi i jego prorokowi. Dakhil kilka razy całuje mnie w oba policzki i wyciąga rękę w moją stronę.

– Oddaj mi swój telefon, bracie. Na wszelki wypadek.

Wyjmuję z kurtki komórkę i podaję mu ją zdumiony tym żądaniem. Dakhil wyłącza ją i wkłada do kieszeni.

– Bracie? – mówi Dakhil, odwracając się do al-Amina.

Brat al-Amin wyjmuje z kieszeni spodni niewielkie pudełko wielkości paczki papierosów z przymocowanymi do niego trzema antenkami. Naciska guzik i zapala się czerwona lampka. Daje znak bratu Dakhilowi, że może zacząć.

Brat Dakhil odwraca się do mnie z uśmiechem na twarzy. Pada gęsty śnieg, a ja się zastanawiam, dlaczego nie możemy się spotkać w jakimś mieszkaniu, jak to zwykle bywało. Brat Dakhil gładzi swoją gęstą rudą brodę, która prawie lśni w panujących

ciemnościach.

– Musimy zachować całkowitą ostrożność – wyjaśnia, wskazując na pudełeczko w ręce al-Amina. – To urządzenie do zakłócania transmisji, odbija fale w promieniu dwudziestu pięciu metrów. Nie działają telefony i nikogo nie da się podsłuchać.

Potem brat Dakhil wskazuje na gruby koc rozłożony na śniegu. Siadamy, a on patrzy na mnie bez słowa. Nie wiem, co powiedzieć, bo nie mam pojęcia, czego ode mnie oczekują. Siedzę więc w milczeniu i spoglądam na tory kolejowe, które lśnią światłem odbitym od latarni stojących wzdłuż ścieżki rowerowej. Za rachitycznymi brzoźkami wznoszą się betonowe wieże, mroczne i zmarznięte. Staram się zachowywać spokojnie i godnie, jak porządny muzułmanin. Wiem, że właśnie tak zachowywałby się prorok Mahomet – niech Allah obdarzy go wiecznym spokojem. Prawda jest jednak taka, że w środku aż kipię z niecierpliwości.

– Jesteś oddanym muzułmaninem, bracie Ajamie – mówi brat Dakhil. – Oddanym i niecierpliwym.

Brat Dakhil się śmieje, pochyla w moją stronę i klepie mnie po policzku.

– To dobrze – dodaje. – Jesteś młody i rozpala cię chęć służenia Bogu. Tak właśnie powinno być.

Po tych słowach znowu milknie i spogląda na mnie spokojnym wzrokiem. W jego głębokich zielonych oczach pojawia się inny rodzaj powagi. Dalej milczę i patrzę mu spokojnie prosto w oczy.

– Rok temu wszystko odbywało się o wiele prościej – kontynuuje brat Dakhil. – Teraz musimy być bardziej ostrożni. To dlatego spotykamy się w takim miejscu. Z tej samej przyczyny brat al-Amin zakłóca swoim urządzeniem pracę telefonów komórkowych. Nasza wspólnota jest na razie nieliczna, więc mam nadzieję, że nie ściągaliśmy jeszcze na siebie niczyjej uwagi. Jeśli chodzi o ciebie, to wydaje się, że jesteś czysty. Wiemy, że w przeszłości kilka razy złożono na ciebie doniesienia na policji, ale któż jest bez winy. Myślę, że jeśli będziemy działać szybko, uda się bez problemu.

– Co ma się udać bez problemu? – pytam.

Z początku brat Dakhil nie odpowiada, szuka tylko czegoś w swoim nylonowym plecaku. W końcu kładzie na kocu trzy kartki formatu A4. Śnieg sypie nieprzerwanie, białe płatki spadają na pierwszą z nich. Usuwam je i podnoszę kartki, żeby je przeczytać. Szybko przerzucam kolejne strony. Okazuje się, że to dwa bilety na samolot wystawione przez

dwie różne linie lotnicze. Pierwszy na odcinek z lotniska Skavsta do Londynu, drugi z Londynu do Sambułu. Samolot odlatuje następnego dnia rano o 7:35. Jestem jak zeszywniały, kręci mi się w głowie, coś we mnie pęka. Brat Dakhil nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Dzięki Allahowi, niech błogosławione będzie imię Jego, twoje marzenia właśnie się spełniają – mówi. – Odlatujesz jutro rano. Na miejscu ktoś cię odbierze i zawiezie samochodem na granicę. Ktoś inny cię przez nią przeprowadzi. W Syrii powinieneś się znaleźć do końca tygodnia.

Przełykam ślinę z nadzieją, że świat odzyska właściwe barwy i wszystko wokół mnie przestanie drgać i podskakiwać.

– Zostaniesz przydzielony do brygady skandynawskiej. Brat al-Amin już ci wszystko wyjaśni.

Ale nie słyszę, co brat Dakhil do mnie mówi, bo w głowie mam tylko bilety lotnicze. Boli mnie ciało, cały jestem spięty. Wszystko, byle jak najdalej od Przedmieścia.

– Brat al-Amin zawiezie cię jutro na lotnisko. Bardzo wcześnie.

Brat Dakhil przygląda mi się przez chwilę spokojnym wzrokiem i dodaje:

– Czasem, gdy wiemy, że rodzina nie popiera naszej sprawy, lepiej jest nic nie mówić.

Brat al-Amin prowadzi mnie przez zaśnieżone pole na parking. Zimny wiatr siecze nas po twarzach, oblepiając je kryształkami lodu. Na parkingu stoi jego samochód – nowe niebieskie volvo V750. Chcę go o to spytać, ale jestem jeszcze zbyt otumaniony tym, co się stało i co się jeszcze zdarzy. Prawie nie mogę mówić. Brat al-Amin otwiera klapę bagażnika i wyjmuje z niego czarną walizkę na kółkach. Szwedole używają takich w czasie podróży służbowych jako bagażu podręcznego.

– Jest twoja. Nie zabieraj zbyt wielu rzeczy.

Potem wyjmuje ze swojej torby coś, co przypomina stary duży model nokii. Podaje mi ją, a w jego oczach pojawia się coś na kształt żalu.

– To telefon satelitarny – wyjaśnia, kładąc mi rękę na ramieniu. – Jesteś dla nas ważny, bracie. Będziemy z tobą w kontakcie. Informuj nas o zwycięstwach, które będziesz odnosił w imię Allaha, niech błogosławione będzie imię Jego.

– Dziękuję, że to dla mnie robicie, że dajecie mi szansę służyć Allahowi.

Brat al-Amin zagląda mi w oczy, pochyla się i mówi ściszym głosem:

– Jest pewna rzecz, o której powinieneś wiedzieć. Wśród naszych braci w Syrii są

zdrajcy.

Wzdrygnąłem się na te słowa, ale wytrzymałem jego wzrok.

– O czym ty mówisz?

– Wiemy, że taki zdrajca jest w oddziale, do którego trafisz. Są w nim bracia z całej Szwecji. Każdy z nich mieszkał wcześniej na takim samym przedmieściu jak ty. Jeden z nich jest *khain*, zdrajcą. To on przekazuje informacje oddziałom al-Asada. Rozumiesz mnie, bracie?

Kręci mi się w głowie, zaczynam rozumieć, dlaczego telefon, który trzymam w ręce, jest tak ważny.

– Nie wiemy, kto nim jest – kontynuuje al-Amin – ale doszło do zbyt wielu zbiegów okoliczności. Bywało, że bracia przygotowywali jakąś akcję, po czym po przybyciu na miejsce okazywało się, że czekają tam na nich wojska al-Asada. Nieprzyjaciel zbyt często znał sposób naszego myślenia. Rozumiesz?

Potwierdzam z wahaniem skinieniem głowy.

– Na razie nie udało nam się zidentyfikować tego szczura. Wiemy tylko tyle, że jest i działa. Byłoby dobrze, gdybyś zdołał ustalić, kto jest tym zdrajcą.

Brat al-Amin puszcza mi ramię i ujmuję moją twarz swoimi ciepłymi, lekko wilgotnymi dłońmi. Przyciąga mnie do siebie, a ja czuję jego oddech przesycony zapachem czosnku i pieprzu.

– Telefon miej przez cały czas włączony. Informuj nas o wszystkim, co wyda ci się dziwne. To jedyny sposób. Rozumiesz?

Znowu kiwam głową. Zadanie jest tak ważne, że od razu czuję jego rangę.

– A teraz najważniejsza rzecz – kończy brat al-Amin. – O tym, czego się ode mnie dowiedziałeś, nie wolno ci opowiadać braciom w Syrii.

Puszcza moją głowę, całuje mnie w policzek i dodaje z uśmiechem:

– Jestem z ciebie dumny, bracie. Allah hojnie cię za to wynagrodzi.

19. Londyn – środa, 19 sierpnia 2015 roku

O kna w kawalerce Klary są otwarte, dlatego budzi ją hałas wozów dostawczych, które jadą po spękany asfalcie Navarre Street. Klara wyciąga rękę i z ulgą stwierdza, że jest dopiero siódma. Powinna już wstać z łóżka. Noc miała niespokojną, dręczyły ją koszmary. W jednym z nich leżała rozciągnięta nago na asfalcie. Nie mogła się poruszyć i ciągle słyszała jakieś szepty, które coraz bardziej się do niej zbliżały. Kilka razy budziła się przerażona. Momentami czuła na sobie oddech jakiejś pochylającej się nad nią istoty.

Na szczęście ból głowy minął. Poprzedniego dnia położyła się dość wcześnie spać, wypiała tylko dwa kieliszki chardonnay, a na drabince pożarowej od strony podwórza wypaliła dwa papierosy. Mimo to jest niewyspana, a kiedy wyciąga ramię, czuje w łokciu promieniujący ból. Krzywi się i lekko masuje rękę. Potem idzie do kuchni i włącza ekspres do kawy.

To, co wydarzyło się tamtej nocy w zaułku, nadal nie daje jej spokoju. Jak mogła być aż tak nieodpowiedzialna? Przecież mogło jej się przydarzyć coś złego, o wiele gorszego niż napad i kradzież – jeśli złodziejowi faktycznie chodziło tylko o kradzież i napad.

Zamyka oczy i opiera się o krzesło. Jest już prawie pewna: ktoś był wtedy razem z nią na ulicy. To coś więcej niż domysł albo przeczucie. Przypomina sobie jego oddech i ręce, które ciągnęły ją po chodniku.

Dlaczego ktoś ją zaatakował? Dlaczego zabrał jej laptopa? Na pewno nie zrobił tego żaden z leżących na chodniku ćpunów, który skorzystał z nadarzającej się okazji i ukraść jej plecak.

– Niech to szlag! – mruczy do siebie. – Jak mogłam się aż tak upić?

Siada przy stole i wyjmuje z pokrowca komputer pożyczony w instytucie. Na ekranie pojawia się ostatnio odwiedzana przez nią strona. Z ciekawością wpisuje w wyszukiwarkę hasło „Stirling Security”, nazwę, którą Patrick umieścił na tablicy w swoim pokoju. Na ekranie pojawia się mnóstwo wyników, ale żaden nie zawiera konkretnej treści. Powoli ogarnia ją zmęczenie.

Nagle coś na dole ekranu przykuwa jej uwagę. Klika na link i czyta:

Stirling Security to czołowa firma na świecie z branży ochroniarskiej. Oferujemy doradztwo i realizujemy różnorodne zlecenia w zakresie ochrony osób prywatnych, firm i państw na całym świecie. Warto zadać sobie

pytanie: czy na pewno jestem bezpieczny?

Klara wpisuje w wyszukiwarkę słowo „Ribbenstahl”, które też znajdowało się na tablicy w pokoju Patricka. Ponownie pojawia się mnóstwo wyników odsyłających do profili na Facebooku albo na LinkedIn. W końcu znajduje coś, co zwraca jej uwagę: firmę Ribbenstahl & Partners, prywatny bank z siedzibą w Lichtensteinie.

Nigdy wcześniej nie słyszała o Stirling Security, ale zna setki firm, które prowadzą mniej lub bardziej zbliżoną działalność. Oferują wszystko: od analizy otoczenia i bliską ochronę w strefach wojny aż po ochronę przedsiębiorstw w świecie zachodnim. Cała praca doktorska Mahmouda dotyczyła mniej więcej tej tematyki. Jediną nową rzeczą na tablicy były dwie strzałki: pierwsza z nich kierowała do King’s Centre for Human Rights, druga do rosyjskiej ambasady. Może po prostu powinna spytać o to Patricka?

Klara nalewa sobie kawy do kubka, siada i włącza kanał TV4, gdzie akurat leci poranny program. Musi się na chwilę oderwać od pracy. To stare przyzwyczajenie z Brukseli: do jej obowiązków jako sekretarza ds. politycznych należało oglądanie rannych serwisów informacyjnych. Teraz to tylko odruch, rutynowa czynność, bo tak naprawdę nie znosi sztucznej „milusiej” atmosfery panującej w trakcie tego programu. Ale chłodna obiektywność dziennikarzy TV4 jest w tym wypadku jeszcze gorsza.

Odwraca się plecami do laptopa i otwiera lodówkę. Cholera, zapomniała zrobić zakupy! Zostało jej tylko pudełko z ośmioma czekoladowymi ciastkami, które kupiła na lotnisku Arlanda.

Wracając do pokoju z ustami pełnymi topniejącej słodkiej czekolady, czuje, że robi jej się coraz bardziej niedobrze. Na ekranie widzi policjanta znanego z jednej z edycji *Idola*. Opowiada o przygotowaniach do demonstracji, których władze spodziewają się w związku ze spotkaniem ministrów sprawiedliwości państw członkowskich UE. Co za bzdura! Co taki policjant może wiedzieć o demonstracjach i o Unii Europejskiej? Mimo to czuje się coraz bardziej podekscytowana. Przecież chodzi o spotkanie, w którym będzie uczestniczyć. Nie jest oczywiście nikim ważnym, ale liczy się sam fakt uczestnictwa.

Bierze telefon, żeby wysłać SMS-a do Gabrielli. Bardzo się za nią stęskniła. Policjant celebryta z *Idola* już bez żadnych zahamowań głądzi o sprawach, o których nie ma zielonego pojęcia. Dwaj opaleni na brązowo dziennikarze prowadzący program stale go podpuszczają.

Gdyby nie Gabriella, na pewno by tu dzisiaj nie siedziała. O tej porze leżałaby jeszcze

w łóżku u swoich dziadków na wyspie.

To Gabriella ściągnęła ją z powrotem do Sztokholmu, to ona zaproponowała jej, żeby zrezygnowała z pracy w Brukseli i dokończyła pisać pracę doktorską Mahmouda, to ona namówiła ją, żeby – gdy pojawiła się taka okazja – nie podejmowała pracy w Londynie.

A co ona zrobiła dla Gabrielli? Ciągle ją tylko wykorzystywała. Najpierw, ponad rok temu, naraziła ją na niebezpieczeństwo. To Gabriella musiała rozwiązywać kłopoty, w które ona wpadła. Nawet jej wtedy nie podziękowała, zachowywała się tak, jakby było oczywiste, że Gabriella się nią zajmie.

Taka właśnie jestem, myśli Klara. Taka stałam się przez ostatni rok. Jestem kimś, kim inni muszą się zajmować, kogo muszą rozpieszczać, kogo sprawy muszą załatwiać. Znowu czuje, jak spływa na nią czarna chmura, która odbiera jej ulotną radość wywołaną przez myśl o Gabrielli.

Tak wiele chciałaby jej powiedzieć, odwdzińczyć się przyjaciółce za wszystko, co ta dla niej zrobiła. Niestety, nadal jest na to za słaba. Musi się stać silniejsza, i to sama, bez pomocy innych.

W chwili gdy chce odłożyć telefon, rozlega się charakterystyczny dźwięk. Wiadomość z Facebooka, od Pete'a.

Nigdy nie dała mu numeru swojej komórki, ale któregoś wieczoru, zanim poszła do niego do domu, przekonał ją jakimś sposobem, żeby przyjęła go do grona znajomych na Facebooku.

Wiadomość jest krótka: „Mam nadzieję, że u ciebie wszystko OK. Znaleźliśmy dziś wieczorem twojego laptopa. Przyjdź do baru i odbierz go w dowolnym czasie”.

Klara odkłada telefon i zerka na czerwoną ceglana ścianę budynku po drugiej stronie podwórza. Z zewnątrz dobiega uliczny gwar i głosy ludzi, w mieszkaniu czuć lekki powiew, z Navarre Street wpada wąski promień słońca, który dociera prawie do samej kuchni. Klara czuje się pusta w środku. Ciągle nie może zapomnieć, co przydarzyło jej się w zaułku. Wspomnienie jest ulotne, ale stale obecne. Jest pewna, że kiedy wychodziła z baru, miała laptopa przy sobie. Coś się tu nie zgadza. Przecież nie okradziono jej w barze.

Na ekranie migają archiwalne nagrania z jakiejś demonstracji. Młodzi ludzie maszerują przez stolicę w maskach Guya Fawkesa. Ich bezpieczeństwa strzegą jednostki prewencyjne policji. To jakiś absurd, bo bunt jest tak samo pozbawiony twarzy jak ucisk.

20. Sztokholm – środa, 19 sierpnia 2015 roku

Yasmine zdążyła już zapomnieć, że jest tu aż tak jasno i prawie nigdy nie robi się do końca ciemno. Wzdłuż nabrzeża wokół nowego hotelu cumują łodzie. Wiele z nich to przekwitłe piękności – dzisiaj są już stare, zaniedbane, pordzewiałe, pokryte zwietrzałą farbą. Mimo to nadal mają w sobie nieco z dawnego splendoru, jak gdyby wciąż kryło się w nich coś niezwykłego, co dodaje im klasy i sprawia, że nawet w takim stanie cumowanie przy Museikajen wydaje się czymś naturalnym. Ciekawe, co by się stało, gdyby jedną z nich podpalono, gdyby to one spłonęły zamiast samochodów w Bergort.

Yasmine siedzi w łóżku na egipskim prześcieradle, w swoim nowym pokoju w Hotell Lydmar. Po tym, co się stało w Story, nie miała ochoty zostać tam ani sekundy dłużej. Spytała taksówkarza, gdzie podczas swoich występów w Sztokholmie zatrzymują się gwiazdy rapu, a on od razu zaproponował Grand albo Lydmar. Grand wydał jej się zbyt staromodny i ostatecznie wylądowała w tym drugim. Pokój wynajęła pod fałszywym nazwiskiem. Recepcjonista, młody, szczupły blondyn, zapewniał ją kilka razy, że nikt, nawet sprzątaczką, nie wejdzie do jej pokoju.

Głowa jej pęka, czuje piasek pod powiekami, z trudem trzyma się prosto, więc znowu kładzie się do łóżka. Przewraca się z boku na bok, w głowie ma mętlik. Zastanawia się nad tysiącem spraw, o których nie może zapomnieć, jej ciałem wstrząsają dreszcze. Wmawia sobie, że słyszy kroki na korytarzu, myśli rozsadzają jej czaszkę. A gdy jej ciało nie jest już w stanie dłużej się bronić, ma wrażenie, że spada w przepaść. Podczas lotu w dół migają jej przed oczami obrazy kotów i gwiazd, wspomnienia związane z Fadim. Trzyma go za rękę i szepcze mu do ucha: „Nigdy cię nie opuszczę”.

Kiedy się budzi, w pokoju jest jeszcze ciemno, ale wie, że jest już późno. Czuje w kościach, że spała długo i głęboko. Dopiero w chwili, gdy odsłania okno wychodzące na lśniące fale Strömmen i widzi Zamek Królewski wznoszący się po drugiej stronie kanału, dociera do niej, gdzie się znajduje. Czuje się tak, jakby przejrzała w pamięci obrazy z Tokio, Crown Heights, lotniska i Story Hotell, aby w końcu dotrzeć tutaj, pod okno, za którym już dawno wstał piękny sierpniowy dzień.

Okazuje się, że już prawie południe, a hotelowa restauracja przestała wydawać

śniadania przed kilkoma godzinami. Ale pobyt w Hotell Lydmar ma swoje zalety. Wystarczy posiadać kartę kredytową firmy Shrewd & Daughters. Dzięki niej można sobie zażyczyć śniadania o dowolnej godzinie. Yasmine zamawia więc zestaw o nazwie Benedict Eggs. Poważny dwudziestolatek w okularach i z zadbaną bródką przyniósł jej menu. Jajka zamówiła tylko dlatego, że je polecił, bo nigdy nie słyszała o takiej potrawie.

Sala śniadaniowa przypomina urządzoną w nowoczesnym stylu bibliotekę w eleganckim pałacu. Poważny dwudziestolatek zapewnia ją, że jajka są sadzone. Zestaw obejmuje też chleb i jasnożółty sos, który ma delikatną kremową konsystencję. Jest tak smaczny, że Yasmine aż zapiera dech w piersiach. W tej krótkiej chwili ma wreszcie wrażenie, że ktoś o nią dba, i czuje się nawet bezpieczna. Nic dziwnego, że wszystkim Szwedolom tak bardzo na tym zależy. W Bergort ludzie nie jadają takich jajek.

Niestety, dla niej to tylko pozytywna przerwa w życiorysie, zasłona, coś nierzeczywistego. Dlatego jeszcze zanim kelner zdąży posprzątać puste talerze, ona już siedzi w wagonie metra.

Jest pewna, że ciąży na niej obowiązek. Czuje miłość i strach, drży w środku, w kieszeni ma fotografię, którą znalazła na poduszce. Po co ją zachowała? I kto zostawił ją w jej pokoju? To chyba najważniejsze pytanie.

Oczami wyobraźni widzi Ignacia – prawie nie spojrzął na zdjęcie z symbolem, które pokazała mu w swoim telefonie. W jego oczach dokonana się gwałtowna zmiana, stały się nagle jakby bardziej twarde i zimne. Po tym, co razem przeżyli, była przekonana, że nadal może mu ufać – mimo związków i sojuszy zawieranych w Bergort i zawitych układów opartych na hierarchii i lojalności. Właśnie jemu, nikomu innemu. Swojej pierwszej miłości.

Niestety, długo jej tu nie było, a lojalność na Przedmieściu to rzecz nietrwała. Zauważyła, że jej pytania o symbol wywołują w ludziach niepokój. Jeszcze nie wie, dlaczego tak się dzieje, ale domyśla się, że Fadi jest w to jakoś zamieszany. Ignacio chyba też. Nie spodziewała się jednak, że będzie jej groził albo opowie o niej tym, którzy jej grożą. Wydawało jej się, że kontaktując się z nim, nie naraża się na żadne ryzyko. Spokojne ciepło, które odczuwała na myśl o nim, zamienia się powoli w emocje innego rodzaju. Zdradził ją. Jeszcze tego pożałuje.

Kiedy skład rusza i zaczyna się toczyć ku przeszłości, Yasmine wyjmuje zdjęcie kota wiszącego na latarni. Drze je na drobne kawałki i na stacji w Bergort wrzuca do

pierwszego z brzegu kosza na śmieci.

Wczoraj stała w tym samym miejscu, wahała się. Była już pewna, że jej się nie uda, że to dla niej zbyt wiele. Sen ją wzmocnił i teraz nie ma już żadnych wątpliwości. Ustala kurs i decyduje się, w którą stronę powinna podążać.

Miejsce, do którego i z którego uciekła, to dziesięciopiętrowy budynek z czterema wejściami. Wejście do ich klatki schodowej było wtedy zadrutowane. Teraz jest tak samo. Zmieniły się słowa i wzory, inna jest też młodzież, ale został ten sam beton i sosny, te same słowa i zachowania.

Podchodzi spokojnie do wejścia i ciągnie za drzwi. Jest pewna, że nie są zamknięte na klucz. Młodzież tak często niszczy domofony, że administracja nie nadaża ich wymieniać. Łatwiej jest wymontować zamki, żeby każdy mógł wejść. Drzwi stoją więc otworem.

Winda jak zwykle nie działa, tak jak wszystko inne. Kartka z informacją o tym, że jest uszkodzona, wisi tu od kilku lat. Jest pożółkła i zniszczona, opalona na brzegach zapalniczkami.

Yasmine idzie więc na górę schodami. Każdy stopień o czymś jej przypomina. W pierwszych miesiącach po przyjeździe do Szwecji ścigali się po nich – z góry na dół i z dołu na górę. Kiedyś Fadi się potknął i upadł. Pomyślała, że wybił sobie zęby, ale skończyło się na pękniętej wardze. Próbowwała mu wyprać koszulę, ale brunatne plamy krwi nie chciały zejść. Włożyła ją więc na sam dół kosza na bieliznę, ale rodzice i tak ją znaleźli. Wcisnęła się w róg kuchni, a tata musiał odsunąć krzesła, żeby ją dosięgnąć. Potem wszystko było już puste. Wszystko kończy się zawsze wtedy, gdy coś się zaczyna.

Nie waha się ani na półpiętrze, ani nawet przed drzwiami mieszkania. Szpary i pęknięcia są tak wyraźne, że trudno ich nie zauważyć. Są jak odciski palców. Yasmine spogląda na sąsiednie drzwi: Ahmadi, Ghazemi, Lehtonen i tabliczka z nazwiskiem jej rodziców: Ajam. Ta sama co kiedyś. Bez chwili wahania dzwoni do drzwi. Okazuje się, że dzwonek nie działa, ale nawet nie puka, tylko sięga dłonią do łańcuszka na szyi. Jest na nim zawieszony klucz do mieszkania. Bierze go do ręki, zdecydowanym ruchem wsuwa do zamka, przekręca i otwiera drzwi.

W mieszkaniu jest ciemno, jak zwykle pachnie w nim czystością i mydłem. Mimo to w powietrzu utrzymuje się pewien zaduch, bo rodzice nigdy nie otwierają okien, jak gdyby nie było tu nikogo żywego. Być może to prawda. Wprawdzie jej rodzice tu mieszkają, śpią, funkcjonują, ale czy można powiedzieć, że żyją?

Czy czuje się winna? Czy ma poczucie wstydu? Nie dzwoniła do rodziców od czasu, gdy wyjechała z Przedmieścia, a Fadi przepadł jak kamień w wodę.

Nie zapala światła, tylko idzie wprost do ciemnego pokoju. Wszystko jest tu teraz czystsze niż kiedyś. Wszędzie panuje porządek. Na stoliku przy kanapie nie ma stosu talerzy, pliku rachunków czy brudnych kubków po kawie. Podchodzi do półki z książkami, na której kiedyś stały fotografie. Przedstawiały ją i Fadię w ich ojczystym kraju, zrobiono je, zanim przeprowadzili się do Szwecji. Już wtedy, gdy stali na brzegu, a słońce świeciło im ostro w oczy, Fadi wyglądał na przestraszonego. Na zdjęciu go obejmuje, jakby w wieku sześciu lat obiecała mu zrobić coś, czego w końcu nie zrobiła. Zawiodła go.

Ale zdjęcia już nie ma. Zostały stare fotografie rodzinne przedstawiające babcię, kuzynów i siostrę ojca. Ale nie po to tu przyszła, nie po to się rozgląda, odwraca i chodzi po zniszczonym parkiecie. Na chwilę się zatrzymuje, oddycha głęboko, otwiera drzwi do pokoju, który zajmowała kiedyś z Fadim, i przez niski próg wchodzi do środka.

Jest tam ciemno i ciepło, tak jak w całym mieszkaniu. Żaluzje też są zaciągnięte, ale na dywanie z tworzywa sztucznego w szare kropki widać strumień słonecznego światła. Łóżko jest dokładnie w takim stanie, w jakim widziała je poprzednim razem. Pewnie nikt go nie dotykał. Jest zasłane i nakryte naciągniętą na materac białą kapą z IKEI. Poza tym wygląd pokoju trochę się zmienił: telewizor przysunięto do ściany, gry komputerowe leżą w jednym miejscu, po podłodze nie poniewierają się ubrania, na biurku nie stoją niedopite puszki z Red Bullem, nie ma też brudnych naczyń przy łóżku. Łóżko Fadię jest zasłane tak samo dokładnie jak jej.

Yasmine podchodzi do łóżka i podciąga żaluzje w oknie wychodzącym na asfaltową ścieżkę rowerową i wznoszący się za nią niewielki pagórek. Promienie słońca zamieniają pokój w coś innego niż mroczny grobowiec – w opuszczony pokój w opuszczonym skrawku świata. Yasmine jest trochę rozkojarzona, otwiera szafę na ubrania, wyciąga szuflady. Wszędzie jest pusto, ale czysto. Jak gdyby ani ona, ani Fadi nigdy tu nie mieszkali. Ostrożnie, jakby bała się zostawić po sobie choćby najmniejszy ślad, nawet zwykłe wgłębienie na wygładzonej narzucie, siada na łóżku, które kiedyś było jej.

Z początku wydaje się jej, że to ono tak skrzypi. Dopiero kiedy znowu dociera do niej ten dźwięk, zastyga i wsłuchuje się uważniej. Dźwięk dobiega z drugiego końca mieszkania. Ktoś wkłada do zamka klucz i powoli go przekręca. Za chwilę wejdzie do środka.

21. Bergort – luty 2015 roku

Nie mogę zasnąć, bo jak tu spać, skoro Bóg spełnił nasze marzenia i dał nam to, za czym od tak dawna tęskniliśmy? Leżę w czystej pościeli, drżę i dygoczę. Zostałem wybrany, pokazałem, że mam odwagę i siłę, a moi bracia darzą mnie zaufaniem. Paszport i telefon satelitarny są w walizce na kółkach, którą dał mi brat al-Amin. Już stoi spakowana na podłodze.

Siadam na brzegu łóżka. Przez opuszczone żaluzje wpada do środka żółte światło ulicznej latarni. Przypomina zajaczki, które ktoś puszcza na ścianie. Poza tym w pokoju jest tak ciemno, że nawet gdybyś była w swoim łóżku, w ogóle bym cię nie zauważył. Od dawna w nim nie leżałaś. Nawet ja tego nie pamiętam.

Wstaję, podchodzę do twojego łóżka i kładę się na nim, nie zdejmując narzuty. Wydaje mi się, że jeśli Bóg we mnie nie wstąpi i nie oczyści mnie ze wszystkiego oprócz pragnienia bycia blisko Niego, to może napełnię się tobą. Zamykam oczy i znowu mam dziewięć lat. Czekam na ciebie przed szkołą, za krzakami obsypanymi białymi kulkami. Potem leżymy przed telewizorem; ja prawie zasypiam, a ty czytasz mi tłumaczenie amerykańskich talk-show z pasków na dole ekranu. Śmiejemy się i mocujemy na podłodze, żeby było nam cieplej w naszym lodowatym mieszkaniu. Potem bierzesz mnie za rękę i szepczesz do ucha, że leśne strzygi istnieją tylko w bajkach. Ale nawet gdyby istniały naprawdę, to i tak obroniłabyś mnie przed nimi, nie pozwoliłabyś, żeby dosięgły mnie swoimi dziobami albo rozszarpały pazurami.

Otwieram oczy, łzy ciekną mi po policzkach i kapią na twoją poduszkę. Teraz już ani ty, ani nikt inny nie może mnie obronić. Nawet Bóg. Wstaję z łóżka, ocieram oczy i przeciągam dłonią po włosach. Wyciągam walizkę i słyszę skrzypienie rączki. Nie zdążę jednak przejść przez pokój, bo z ciemności wyłania się nagle on. Staje w drzwiach i nie chce mnie przepuścić.

Patrzę na niego i uświadamiam sobie, że dawno go nie widziałem. Dla mnie jest tylko cieniem, nierzeczywistym tworem.

Dopiero teraz widzę, że jest niski. Jak gdyby w miarę upływu lat całkiem się skurczył, jak gdyby każde niepowodzenie i porażka skracały go od kostek w górę, centymetr po

centymetrze. Teraz sięga mi tylko do brody.

– Wracaj do swojego pokoju – mówi, dając mi drżącą ręką patetyczny znak.

Zatrzymuję się w pół kroku, ale nadal trzymam walizkę za uchwyt.

– Daj mi spokój – odpowiadam. – Idź się przespać.

Czuję, że serce zaczyna mocno mi walić, jakby spośród wielu różnych rzeczy, które mogły się wydarzyć, akurat tej jednej nie przewidziałem.

– Porozmawiamy o tym jutro – słyszę w odpowiedzi. – Wracaj do pokoju. Natychmiast.

Co za absurdalna sytuacja. On śmie wydawać mi rozkazy i spodziewa się, że go posłucham? Kręcę głową, zastanawiam się, czy nie będę musiał użyć wobec niego siły.

– Nie – odpowiadam. – Wychodzę. Odsuń się, tak będzie najprościej.

Ale on robi krok w moją stronę i podsuwa mi prawie pod samą twarz swój tłusty palec. Policzki ma zaczerwienione z emocji, oczy mu błyszczą, co przepętnia mnie nagłą czułością.

– Wiem, dokąd się wybierasz. Pewnie ci się wydaje, że też to wiesz? Myślisz, że nic nie rozumiem? Że jestem idiotą? Widziałem twoich przyjaciół, ich brody i *kufi*. Myślisz, że nie wiem, kim są?

W jego głosie wyczuwam rozpacz, rezygnację, poczucie porażki. Napawa mnie to troską, ale tym bardziej utwierdza w przekonaniu, że powinienem stąd jak najszybciej wyjść. Wbijam w niego wzrok pozbawiony jakichkolwiek pozytywnych uczuć. Moje oczy robią się chłodne i groźne.

– Myślisz, że mnie to obchodzi? – pytam. – Że przejmuję się tym, co ci się wydaje? Wydaje ci się, że masz nade mną jakąś władzę?

Robię krok w jego stronę i nagle czuję, jak jego palec dotyka czubka mojego nosa. Od razu go cofa.

– Jesteś dla mnie nikim, rozumiesz? Nic dla mnie nie znaczysz. Co mi daliście? Co daliście Yasmine? No, słucham!

Zaczynam mówić podniesionym głosem. W sypialni słychać skrzypienie drzwi i jej kroki, ale nie wychodzi z pokoju.

– Czy to nie dziwne, że wyjechała? Jak myślisz?

Cała czułość do niego ulatuje w jednej chwili. Została goła nienawiść. Pochyliam się w jego stronę, a on cofa się przede mną, aż w końcu opiera się plecami o ścianę.

– Jedyne, co nam dałeś, tato, to kolejne razy.

Słowo „tato” dosłownie z siebie wypluwam. Moja ślina ląduje mu na policzku i świeci słabo w ciemnościach.

– Jediną rzeczą, której nas nauczyłeś, był strach. Rozumiesz? Strach.

Popycham go na ścianę, a on unosi swoje słabe dłonie i zaciska je na moich przedramionach. Odsuwam je i zaciskam palce na jego szyi. Czuję coraz większą wściekłość, nie umiem się opanować. Nadal zaciskam palce na jego grubej szyi. Puls mu przyspiesza, grdyka się unosi i zaczyna drgać, bo mój ucisk robi się coraz mocniejszy. Czuję, że jest coraz bardziej bezbronny, podczas gdy ja dysponuję coraz większą mocą. Wcale tego nie chcę, ale muszę to wreszcie zakończyć, zamknąć za sobą te drzwi. Ściskam go więc coraz mocniej, aż w końcu słabnie i zaczyna mi lecieć przez rękę.

W końcu zjawia się ona i przywołuje mnie do porządku. Krzyczy za mną, więc odwracam głowę i widzę jej rozszerzone, oszalałe oczy i otwarte usta, z których wydobywa się dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Przeraza mnie, ale dzięki niemu wracam do rzeczywistości i powstrzymuję się przed tym, co chciałem zrobić. Rozluźniam uchwyt, osuwam się obok niego na podłogę i kładę jego głowę na swoich kolanach. Potem wstaję, biorę walizkę, odwracam się od nich i zostawiam za sobą całą przeszłość.

Na dworze pada deszcz. Wstrząsają mną dreszcze. Robię kilka kroków po asfaltowej ścieżce rowerowej, rozpościeram czarne skrzydła i ulatuję w strumieniach deszczu i świetle ulicznych latarni. Krążę nad pustym parkingiem, aż w końcu odlatuję. Betonowe bloki zostają daleko za mną. Bardzo daleko.

22. Bergort – środa, 19 sierpnia 2015 roku

W pokoju słychać chrzęst klucza przekręcanego w zamku. Yasmine czuje, jak przechodzi ją dreszcz. Ostrożnie wstaje i pochyła się w stronę przedpokoju, żeby lepiej słyszeć. Drzwi wejściowe się otwierają. Jest środek dnia, jej rodzice nigdy nie wracają do domu o tej porze.

Ostrożnie robi krok w stronę drzwi od dużego pokoju. Bez względu na to, kim jest osoba, która weszła do mieszkania, dzieli ich w tej chwili niecałe dziesięć metrów. Przypomina jej się symbol na ścianie pokoju w Story Hotell – zaciśnięta pięść z gwiazdą. Wyciąga rękę i chwyta za plastikową klamkę. Czyżby ktoś ją śledził? Przecież nikt nie wie, że przeniosła się do Hotell Lydmar. A może ktoś widział, jak szła przez Bergort? Może Ignacio się komuś wygadał? Czuje klucie w klatce piersiowej, w ustach robi jej się sucho, język klei jej się do podniebienia.

Zamyka oczy i modli się, żeby drzwi nie zaskrzypiały. Ostrożnie przyciąga je do siebie. Stoi za nimi, ale przez wąską szparę może obserwować to, co będzie się dziać w pokoju.

Kroki w przedpokoju nagle cichną, a gdy po chwili znowu je słyszy, brzmią inaczej, jak gdyby ktoś powłóczył nogami po parkiecie. Yasmine przysuwa się do szpary i czeka, aż nieoczekiwany gość znajdzie się w zasięgu jej wzroku. W końcu wszystko staje się jasne. W tym samym momencie cały świat zaczyna jej wirować przed oczami, a przeszłość i przyszłość zlewają się w jedno.

Powoli popycha drzwi i wychodzi na środek pokoju.

Jej mama ubrana jest w szpitalny szarozielony fartuch. Makijaż – druga albo trzecia warstwa – trochę jej wyblakł, ale za to włosy nadal ma związane, jak należy, w tradycyjny kok na karku. Słyszy, jak Yasmine otwiera drzwi, więc odwraca się do niej, ale robi to bez zbytniego pośpiechu. Nie wygląda na zszokowaną albo przestraszoną, jak gdyby czekała na ten moment.

Yasmine stoi w milczeniu i czuje zupełną pustkę. Spogląda na kobietę, którą dawno temu nazywali z Fadim mamą. Nigdy z nim o tym nie rozmawiała, ale kiedy zaczęli się posługiwać językiem szwedzkim, zamiast słów „mama” i „tata” zaczęli używać zaimków osobowych „ona” i „on”. Jakby musieli odrzucić pewne słowa i zwroty, bo zabrakło dla

nich miejsca.

– Yasmine, wróciłaś – mówi kobieta po arabsku.

Yasmine chrząka, przeciąga dłonią po włosach.

– Dostałam twojego maila.

Kobieta podchodzi do niej z wahaniem. Biję od niej sterylna woń szpitala. Zapach wody utlenionej miesza się z zapachem środków dezynfekcyjnych i kwiatowych perfum.

– Yasmine – mówi kobieta. Głos ma o wiele niższy, niż Yasmine zapamiętała. Jest w nim jakby mniej zawiedzionych oczekiwań.

Yasmine nie protestuje, kiedy kobieta ją obejmuje. Kładzie głowę na wykrochmalonym, sztywnym fartuchu i przez moment znowu jest małą dziewczynką. Oczy zachodzą jej łzami. Przez tę krótką chwilę są sobie tak bliskie, że stoi w miejscu i nie zwraca uwagi na upływający czas. Mama od dawna jej nie obejmowała, ale i ona od dawna nie obejmowała swojej mamy. To niemożliwe, bo zbyt wiele je dzieli. Odsuwa ją od siebie i patrzy jej w oczy.

– Czy spotkałaś się z nim po tym, jak zrobiłaś tamto zdjęcie? – pyta.

Kobieta ma zmęczone, niespokojne oczy i taką minę, jakby nie była w stanie tego wszystkiego dłużej znieść i dlatego postanowiła się w końcu poddać.

– To nie ja je zrobiłam, tylko Shirin – odpowiada cichym głosem. – Pracuje ze mną i też mieszka na Briggvägen. Po nocnej zmianie wracała do domu i nagle zobaczyła tego kota. Nie wiem, po co zrobiła mu zdjęcie. Chwilę potem zjawił się jakiś chłopak i zaczął malować na ścianie jakiś symbol. Później pokazała mi to zdjęcie, bo doszła do wniosku, że to Fadi. Pomogła mi je wysłać do ciebie. Nie wiem, co to wszystko znaczy, i nie wiem, w co mam wierzyć.

Nagle osuwa się na podłogę i kuca z głową ukrytą w dłoniach.

– Wygląda jak Fadi – szepcze, kręcąc głową. – Ale przecież on nie żyje. Tak w każdym razie mówią: że zginął miesiąc temu. Już nic nie rozumiem, nie mogę tego dłużej znieść, ja...

Kobieta milknie. Yasmine waha się przez chwilę, a potem się pochyla i obejmuje jej szczupłe ciało.

Siedzą tak i nie wiedzą, ile upłynęło czasu, kilka sekund czy całe popołudnie. W końcu Yasmine podnosi ją i prowadzi do sypialni. Ostrożnie, prawie czule kładzie ją na łóżku i okrywa kamizelką. Oczy kobiety robią się ciężkie. Być może w drodze do domu zażyła

tabletki nasenne. Zawsze tak robi po długich dyżurach w szpitalu. Walczy jednak ze snem i patrzy na Yasmine.

– Co z nim jest? – pyta szeptem. – Żyje czy zginął? Może ty znasz prawdę? Kochanie, musisz coś wiedzieć.

Yasmine głaszcząc ją delikatnie po włosach. Nienawidzi rodziców i nimi gardzi, a mimo to w całej przepelniającej ją złości nadal jest pewna szczelina. Nigdy nie pozwoli, żeby całkowicie się zasklepiła. Bierze dłonie mamy w swoje suche ręce.

– Nie wiem, ale się dowiem – odpowiada.

Potem Yasmine zostaje w pokoju sama. Jej mama śpi w swoim łóżku, tak jak to robiła wiele razy przedtem – z zatyczkami w uszach, po zażyciu środków nasennych i po trwającym osiemnaście godzin dyżurze w szpitalu. Yasmine przypomina sobie, że wiele razy czekała, aż drzwi do mieszkania się otworzą i do pokoju wejdzie on, zmęczony i upokorzony, gotów wybuchnąć z byle powodu albo bez powodu.

Wiele razy chodził po mieszkaniu w butach i opowiadał im o plotkach na ich temat. Ich – to znaczy jej i Fadięgo. Słyszał je od swoich przyjaciół na placu albo w taniej kawiarni Radovana. Wiele razy zasłaniała i broniła przed nim Fadięgo, stała wyprostowana i cierpliwie czekała. Często kierowała jego złość przeciwko sobie, bo tylko tak mogła ochronić brata. W końcu miarka się przebrała, nie pozostało jej nic innego, jak tylko poświęcić tego, którego miała chronić, i uciec z kimś takim jak David.

Podchodzi do okien, za którymi jest niewielki balkon, i otwiera je wszystkie, żeby promienie słońca mogły dostać się do środka. Popołudnie pachnie świerkami i asfaltem. Czuje tę samą nerwowość co wtedy – że on zaraz wróci do domu, że może jest już na schodach. Dlatego nie zostanie tu ani minuty dłużej, niż to konieczne.

Wchodzi do swojego pokoju, podnosi żaluzje, otwiera okno i siada na łóżku z telefonem w ręce. Nieważne, że narzuta będzie pognieciona. Wszystkie półki i szuflady są puste. Biurko też jest puste i czyste, łóżko zaścielone. Jakiś głos szepcze jej do ucha, że Fadi tu był, i to nie tak dawno temu. Jeśli wrócił z Syrii cały i zdrowy i gdzieś się ukrywa, to musiał tu być. Prawie czuje jego obecność. Jeśli to zrobił, to tak jak ona wrócił do punktu wyjścia.

Wstaje i podchodzi do jego łóżka. Nagle przypomina sobie, że jest pod nim skrytka, w której chował swoje rzeczy – kradzione buty i piwo.

Pochyliła się, zdejmując materac i kładzie go na podłogę. Ostrożnie unosi dno łóżka i kładzie je na materac.

Pod spodem widzi jasnoniebieską nylonową torbę zamykaną na zamek błyskawiczny. Bierze ją za rączkę i wyciąga. Torba jest ciężka i niewygodna, trudno ją chwycić, ale w końcu stawia ją na podłodze. Zamek trochę się zacina, ale po kilku próbach rozsuwa go na tyle, że może zajrzeć do środka. Na dnie torby leży coś, co przyprawia ją o przyspieszone bicie serca.

Dwie sztuki broni.

Pierwsza to stary, używany czarny pistolet. Unosi go drżącą dłonią, czuje, że jest chłodny i ciężki, jak gdyby odlany z jednego kawałka metalu. Ostrożnie kładzie go na podłogę i ponownie zagląda do torby. Ta druga broń wydaje jej się jeszcze bardziej nierzeczywista. Wszyscy widzieli ją na filmach wojennych albo gangsterskich. To tak znany element światowej popkultury, że aż trudno uwierzyć, że jest prawdziwy, działa i można z niego nawet zabić.

Yasmine rozszerza boki torby, żeby się lepiej przyjrzeć. Tak, to stary, używany kałasznikow z porysowaną drewnianą kolbą i charakterystycznie wygiętym magazynkiem. Kręci jej się w głowie, przez chwilę czuje się tak, jakby miała się unieść z podłogi albo spaść na kupę piasku. Co ta broń robi w ich dawnym pokoju? W co wplątał się Fadi? Kim się staje?

Znowu osuwa się na podłogę, opiera głowę o łóżko, z oczu płyną jej łzy. Jest w takim stanie, że nie potrafi ich powstrzymać. Płacze z powodu Fadiego, karabinu pod łóżkiem, kota na latarni i wszystkich razów, jakie zadano jej w tych czterech ścianach; płacze, bo ani ona, ani Fadi nigdy nie byli wystarczająco dobrzy i dlatego pozostała im tylko ucieczka. Przede wszystkim jednak płacze dlatego, że go zostawiła, zawiodła, zdradziła, nie zabrała go ze sobą jak najdalej od tego miejsca.

Zaczyna się nad sobą roztkliwiać. Żałuje, że życie nie potoczyło się inaczej, a ona nie stała się kimś innym. Otwiera oczy i widzi, że to ten sam pokój i ta sama Yasmine. Przeszłości nie da się zmienić.

Ostrożnie wstaje z podłogi, podnosi karabin i kładzie dłoń na kolbie. To się musi skończyć, teraz i tutaj.

– Fadi – szepcze cicho. – Bez względu na to, w co wdepnąłeś i co się z tobą dzieje, obiecuję, że cię odnajdę.

23. Londyn – środa, 19 sierpnia 2015 roku

Klara zjawia się w Library tuż po siódmej wieczorem, zaraz po wyjściu z biura. Ściany trzęsą się i drżą przy dźwiękach głośnej muzyki dobiegającej z niewidocznych głośników. Pete stoi za kontuarem i flirtuje z dziewczyną o długich brązowych nogach i jeszcze dłuższym grubym rudym warkoczem. Dziewczyna odchyła głowę i śmieje się głośno z czegoś, co przed chwilą powiedział. Na widok Klary Pete przeprosza dziewczynę i się z nią wita.

– Cześć – mówi Klara i pochyla się nad ladą, żeby Pete ją usłyszał. Z satysfakcją obserwuje, jak dziewczyna z grubym warkoczem na próżno stara się zwrócić na siebie jego uwagę.

Pete pochyla się w stronę Klary, a ona całuje go lekko w policzek. Dziewczyna z warkoczem odwraca się od nich demonstracyjnie, żeby napić się piwa ze szklanki.

– Za co ten całus? – pyta Pete.

– Za znalezienie laptopa. Gdzie był?

Pete sięga po butelkę czerwonego wina, patrzy na Klarę pytającym wzrokiem, ale ona kręci odmownie głową.

– Chardonnay poproszę.

Pete schyla się pod ladę, wyjmując butelkę białego wina i nalewa jej trunku prawie po sam brzeg.

– Musiałaś go powiesić na wieszaku – wyjaśnia Pete, wskazując na krótszy bok lady.

Klara podchodzi tam i pod wysuniętym w stronę sali blatem znajduje hak, na którym goście wieszają kurtki albo marynarki.

– Wcale go tam nie wieszałam – protestuje, wracając na swój stołek.

Wypija trochę wina i czuje natychmiastową ulgę. Świat otwiera się przed nią, znika poczucie klaustrofobii. Pete wzrusza ramionami i uśmiecha się do niej.

– Może powiesił go tam jeden z gości po twoim wyjściu? Kto wie?

Klara patrzy na niego, na jego zmierzwione jasne włosy i mięśnie rysujące się pod zieloną koszulką. Zastanawia ją jego luzacki, pozytywny sposób bycia. W pewnej chwili nachodzi ją ochota, żeby lunąć mu winem w twarz, ale opanowuje się i wypija kolejny łyk wina.

– Kto go znalazł? – pyta krótko.

– Jeden z gości. Zauważył go i oddał mnie – wyjaśnia Pete.

Klara odstawia kieliszek, pochyla się nad blatem i patrzy mu prosto w oczy.

– A konkretnie? – pyta sceptycznym tonem. – Kto to był?

Pete wzrusza ramionami i uśmiecha się do niej. Przekrzywia głowę, sięga po stojący na ladzie zmiksowany, schłodzony napój z jarmużu i wypija trochę.

– Skąd mam wiedzieć? Nie mam pojęcia. Na pewno żaden ze stałych gości.

Klara oddycha spokojnie i wychyla porządny łyk wina. Pete zachowuje się jak dziecko. Na samą myśl o tym, że w ciągu ostatniego miesiąca kilka razy uprawiali seks – albo coś, co go przypominało – robi jej się niedobrze. Ile on ma właściwie lat? Dwadzieścia dwa?

– A jak wyglądał? Czy mógłbyś wyteńczyć umysł i spróbować sobie przypomnieć?

Pete unosi ręce w obronnym geście i cofa się o krok teatralnym ruchem.

– Chwilę, chwilę... to jakieś przesłuchanie? Przecież to nie ja upiłem się tak, żeby zgubić laptopa.

Pete wypija trochę zmiksowanego napoju, a Klara próbuje opanować nerwy.

– Jak wyglądał? – pyta ponownie.

Pete robi taką minę, jakby tym razem rzeczywiście zastanawiał się nad odpowiedzią. Zerka na sufit i kiwa spokojnie głową.

– Dość głupkowato, jak typowy heavymetalowiec. Szczupły, jakby żyłasty... blada twarz. Ubrany był w T-shirt z jakimś wzorem i dzinsy. I jeszcze coś...

Pete zamyka oczy, jak gdyby naprawdę chciał sobie coś przypomnieć.

– Miał tatuaż na dłoni. Ale dość nietypowy: nie symbol, tylko tekst. Wiesz, co mam na myśli. Coś takiego, co przypominało dawne pismo maszynowe.

– Wiem – potwierdza niecierpliwym tonem Klara. – Co to był za tekst?

– W zasadzie dwa słowa: *Remember, remember*, a po nich trzy kropki, jak gdyby dalszy ciąg miał jeszcze nastąpić...

Klara jest tak zaskoczona, że nie wie, co powiedzieć. Od razu przypomina sobie sen dręczący ją od kilku nocy: ludzki cień, zarys sylwetki, ręce, które ją ciągną. Wrażenie jest tak ulotne, że z całych sił próbuje je zatrzymać. Przypomina też sobie szorstki głos, który szeptał jej coś do ucha, gdy leżała na ziemi w zaułku i prawie zupełnie straciła przytomność.

Pete znowu pochyla się w jej stronę.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Klara kręci głową, bo nagle poczuła się zupełnie bezradna. Próbuje się pozbyć tego uczucia, wstaje ze stołka, zdejmuje z lady futerał z laptopem i przewiesza go przez ramię.

Remember, remember, the fifth of November.

To właśnie te słowa szeptał jej do ucha nieznajomy, który odebrał jej laptopa.

– Spotkamy się później? – pyta Pete.

Klara sięga po kieliszek, wypija resztę wina, odwraca się i rusza do wyjścia.

– Nie – rzuca przez ramię. – Nie spotkamy się.

Po wyjściu z baru postanawia nie zapuszczać się w zaułek, a gdy koło niego przechodzi, mocniej przyciska laptopa do boku. Na Shoreditch High Street wchodzi do Tesco, żeby kupić butelkę australijskiego chardonnay i nowy telefon komórkowy z kartą na doładowanie. Płacąc za zakupy, wypowiada głośno numer telefonu, którego nie zapisała, tylko zapamiętała: numer do Blitzie, hakerki, która pomogła jej w zeszłym roku. Uzgodniły, że skontaktują się ze sobą tylko wtedy, gdy sytuacja stanie się naprawdę krytyczna. Klara miała nadzieję, że nie dojdzie do tego aż tak szybko. Jeśli jednak ktoś zna się na zaszyfrowanych informacjach i zagubionych laptopach, to na pewno Blitzie. Dlatego uznała, że sytuacja naprawdę jest krytyczna i nie ma innego wyjścia.

24. Turcja – luty–marzec 2015 roku

Obsługa lotniska wylewa coś na skrzydła samolotu. Na dworze jest już zupełnie ciemno. Patrzę przez okrągłe okienko i dochodzę do wniosku, że właśnie o tym mówił przed chwilą przez mikrofon kapitan samolotu albo ktoś z załogi. Ciecz zalewa metal, a ja recytuję w myślach fragmenty Koranu, których nauczyłem się na pamięć z bratem al-Aminem. Modlę się całym sercem, żeby to, co widzę, okazało się standardową czynnością.

Samolotem leciałem tylko raz w życiu, piętnaście lat temu, gdy przybyliśmy do Szwecji. Niewiele z tego zapamiętałem. Przypominam sobie tylko, że było wtedy ciemno. Podczas jazdy autobusem z lotniska do centrum zmarzłem, a ty siedziałaś obok mnie. Wzięłaś mnie za rękę i uśmiechnęłaś się do mnie. Szwecja pachniała dieslem i nowo położoną podłogą. Czułem się przy tobie całkiem bezpiecznie, chociaż było tak ciemno i cicho, że wydawało mi się, że nie żyję.

To wspomnienie ciągle wraca, przenika mnie do szpiku kości. Czuję się tak, jakby zalewała mnie ropa naftowa, ciężka i tak gęsta, że nie jestem w stanie się ruszyć. To pojedyncze wspomnienie wypiera mi z pamięci wszystko inne: wczorajszy dzień, moje ręce zaciśnięte wokół jego szyi, jej monotony, głośny płacz i moje stopy, gdy wychodziłem z samolotu. Wypiera też wykute na pamięć arabskie wersety i marzenie o kalifacie, Przedmieście, braci, a nawet Boga.

Kiedy samolot przyspiesza i odrywa się od zamrożonego asfaltu, zamykam oczy. Otwieram je dopiero wtedy, gdy po przylocie do Stambułu siedzę w taksówce razem z niewysokim, otyłym mężczyzną w szarej koszuli. Nosi długą brodę i ma na imię Ali. W tym momencie cały świat się zatrzymuje i wszystko zaczyna się od nowa. Opieram się o siedzenie i patrzę przez poplamioną szybę na małe, brudne samochody oświetlone żółtymi promieniami słońca. Z popękanych głośników w taksówce dobiega turecka *pop music*, gdzieś w oddali słychać melodyjny zaśpiew muezina. Dopiero w tym momencie moja przeszłość zamienia się w przyszłość. Dopiero teraz pozwalam ci odejść i rzucam się głową przed siebie, w mój nowy, własny los.

Jak długo jestem już w Stambule? Wystarczająco długo, żeby przestać liczyć dni i dowiedzieć się, gdzie żona Alego kupuje pomidory i bakłażany. Wystarczająco długo, żeby

przy każdej okazji nie robić wielkich oczu i nie bać się jak małe dziecko ruchu ulicznego albo podniesionych głosów w kafejkach. Wystarczająco długo, żeby odświeżyć znajomość arabskiego na tyle, aby choć w ogólnym zarysie zrozumieć, o czym Ali i jego rodzina rozmawiają przy stole. Każdego dnia pytam, kiedy wyjadę. Za każdym razem Ali odpowiada w ten sam sposób.

– *Bukra, inszallah*, jutro, jeśli Bóg pozwoli.

Pomagam Alemu w pracy, która polega na dostarczaniu materiałów biurowych do każdego zakątka tego nieskończonego, pełnego krętych ulic miasta. Razem modlimy się w jego meczecie, gdzie mężczyźni mocno ściskają mi rękę i zapewniają, że Allah okazał mi wielką łaskę, bo dał mi szansę oddania życia za wiarę.

Pewnego dnia, w samym środku deszczowej wiosny, dowiaduję się, że „jutro” nastąpi rzeczywiście jutro.

Mikrobus przyjeżdża o świcie. Ali mnie budzi, a jego żona wciska mi do ręki torbę z plastikowymi pojemnikami. Jest w nich kurczak na zimno, *tabula* i *hummus*. Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, ruszamy w drogę.

Szybko okazuje się, że nie jestem sam. Oprócz mnie w busie jest jeszcze czterech innych mężczyzn. Są mniej więcej w moim wieku i siedzą z tyłu za mną. Patrzę na nich i widzę siebie samego. Jest nas pięciu, pochodzimy z różnych krajów europejskich, ale każdy z nas ma te same oczy pełne udawanej obojętności, te same wspomnienia związane z policyjnymi interwencjami i pustymi mieszkaniami. Kradliśmy takie same dzinsy, paliliśmy takie same samochody, snuliśmy takie same marzenia. Pochodzimy z różnych miast, ale jesteśmy z tego samego przedmieścia.

Podróż przez Turcję trwa pełne dwa dni. Po drodze prawie nie rozmawiamy, bo nie jesteśmy pewni znajomości arabskiego – języka, który nas łączy. Drugiego dnia wieczorem jeden z kierowców odwraca się do nas i pokazuje przez szybę worki wypełnione piaskiem. W pobliżu stoją tureckie pojazdy wojskowe. Kurczy mi się żołądek, czuję pulsowanie w skroniach. Otwieram usta i przez chwilę mam wrażenie, że z emocji zwymiotuję.

– *Al-Dawla* – wyjaśnia kierowca. – Kalifat. To tam, po drugiej stronie tych worków z piaskiem.

25. Londyn – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku

Kiedy budzi ją dzwonek telefonu, na dworze jest nadal ciemno. Klara przewraca się na bok i sięga po aparat. Usta ma suche, czuje gorzki posmak. Podnosi z podłogi stojącą obok łóżka szklankę z wodą i wypija ją, żeby pozbyć się smaku wina. Głowa prawie przestała ją boleć, chociaż poprzedniego wieczoru wypiała prawie trzy czwarte butelki. Nabiera głęboko powietrza i zerka na dzwoniący telefon, ale na wyświetlaczu nie widać numeru. W końcu wciska przycisk „odbierz”.

– Dwieście euro – rzuca do słuchawki.

– Trzysta – odpowiada metaliczny głos po drugiej stronie.

Rok temu uzgodniły, że będą posługiwać się specjalnym kodem. Trzysta euro to zapłata dla kilkunastoletniej hakerki Blitzie, która wynegocjowała taką kwotę w zamian za pomoc przy komputerze. Czasem jej się wydaje, że od tamtej chwili upłynęła cała wieczność. Innym razem odnosi wrażenie, że wydarzyło się to w zeszłym tygodniu. Półtora roku temu Blitzie pomogła jej zdobyć informacje, które mogły doprowadzić do upadku kilku rządów i wywołać zamieszki.

Potem uzgodniły, że będą się ze sobą kontaktować tylko w razie konieczności. Nie chciały zwracać uwagi przedstawicieli potężnych koncernów, którym zupełnie nieświadomie stanęły na drodze do realizacji ambitnych celów. Blitzie stworzyła system złożony z dwóch anonimowych kont internetowych. Uzgodniły, że jeśli będą chciały się ze sobą skontaktować, wyślą na podany adres numer telefonu na kartę. Wtedy ta druga zadzwoni z takiego samego aparatu. Blitzie uważała, że system jest nie do końca bezpieczny, ale nie mogła wymyślić lepszego.

Klara nie wie, jak zacząć rozmowę.

– Co słychać? – pyta w końcu.

– Okej – odpowiada Blitzie. – Ale mam nadzieję, że nie dzwonisz do mnie tylko po to, żeby spytać, jak się mam.

Klara uśmiecha się lekko. Przypomniało jej się, że Blitzie ma bardzo konkretne podejście do życia. Zero współczucia, zero uczuć.

– Nie – odpowiada. – Dzwonię, bo coś się wydarzyło. Gdzie jesteś?

– Daj sobie spokój z takimi pytaniami.

– Okej. Przepraszam.

– Gadaj, o co chodzi. O pierdołach porozmawiamy przy innej okazji.

Klara nabiera powietrza.

– Ktoś mnie napadł, zabrał mi mojego laptopa, a po pewnym czasie go zwrócił.

Klara słyszy, jak Blitzie wypuszcza głośno powietrze. Na pewno pali jointa.

– Palisz? – pyta Klara.

Blitzie wydaje dźwięk przypominający zachnięcie.

– Czy to ważne? Jak to było? Ktoś zwędził ci laptopa?

– Doszło do tego w dość niejasnych okolicznościach. Początkowo mi się wydawało, że go zgubiłam.

– Rozumiem – odpowiada Blitzie, zaciągając się skrętem. – Czy zainstalowałaś na nim to, co ci kazałam?

Klara wchodzi do ciemnej, dusznej kuchni. Powietrze jest ciężkie, jakby zanosilo się na burzę. Siada przy stole i zdejmuje pokrowiec z komputera.

– Jasne – odpowiada. – Po tym, co się wtedy wydarzyło, chyba każdy popadłby w paranoję.

– Paranoja to dobra rzecz – mówi Blitzie. – Ratuje życie. Otwórz program, który ci wysłałam. Powinnaś go znaleźć w folderach z dokumentami, ale jest niewidoczny wśród innych twoich programów. Wygląda jak arkusz kalkulacyjny. Nazywa się Q3 2013. Widzisz go?

Klara przesuwa kursorem po folderze i znajduje plik. Klika dwa razy na ikonę i chwilę później na ekranie otwiera się arkusz kalkulacyjny pełen niezrozumiałych cyfr i kombinacji liter.

– Kliknij dwa razy na komórkę o symbolu G17 – mówi Blitzie.

Klara posłusznie spełnia polecenie i na ekranie otwiera się okienko dialogowe. Klara wbija w nie swój kod dostępu i program otwiera się w nowym okienku.

– Kliknij dwa razy na słowo *Threat* – mówi Blitzie.

Na ekranie pojawia się nazwa pliku.

– Mam przed oczami coś, co przypomina plik .exe. Zawiera datę i godzinę. Co to jest?

– To tak zwany *fishing program*. Cyfry pokazują, kiedy został zainstalowany. Jeśli stało się to w okresie, gdy zabrano ci laptopa, to możesz być raczej pewna, że komputer został zainfekowany. Jeśli nie, to mógł ci się zainstalować w innych okolicznościach, na przykład

gdy wchodziłaś na strony porno.

Klara uśmiecha się krzywo i sprawdza datę. 17 sierpnia. Zaczyna liczyć. Noc przed trzema dniami. Właśnie wtedy się to stało. Przechodzi ją dreszcz. Była wtedy nie tylko pijana. Teraz jest już pewna, że ktoś ją okradł, żeby dostać się do laptopa.

– Tak – potwierdza. – Ktoś tu coś zainstalował.

Wypija łyk wody i bierze tabletkę na ból głowy.

– W co ty się znowu wplątałaś? – pyta Blitzie.

Jej głos brzmi ostro – być może pod wpływem marihuany – ale zawiera też nutkę szczegoego niepokoju.

– Prawdę mówiąc, nie wiem – odpowiada Klara. – Nie mam zielonego pojęcia. Może w nic.

– W jakich okolicznościach straciłaś laptopa? – pyta Blitzie na wdechu. – Okradziono cię?

Klara przypomina sobie tamtą sytuację jak przez mgłę.

– Tak – potwierdza. – Tak mi się przynajmniej zdaje.

– Nie wiesz, czy zostałaś okradziona?

– Trochę wypięłam – przyznaje cichym głosem Klara. – Czuję się tak, jakbym odleciała. Straciłam przytomność, a jak ją odzyskałam, laptopa już nie było.

W słuchawce zapada cisza.

– To do ciebie niepodobne – stwierdza w końcu Blitzie. – Nie dlatego, że cię dobrze znam, ale nie wyglądasz na kogoś, kto zalewa się w trupa.

– Od tamtej pory wiele się wydarzyło – mówi cichym głosem Klara.

– Po co komuś był potrzebny twój laptop? Czym się teraz zajmujesz?

Klara wypija łyk wody i delikatnie masuje czoło.

– Razem z moją szefową przygotowujemy raport dla Unii Europejskiej. Na temat prywatyzacji. Może być wzięty pod uwagę przez unijnych ministrów sprawiedliwości przy podejmowaniu pewnych decyzji, ale część, którą przygotowuję, nie zawiera żadnych kontrowersyjnych treści. Poza tym nie czytałam jeszcze fragmentu przygotowywanego przez moją szefową, a dokumentów nie zapisałam w komputerze.

– A nie sądzisz... nie sądzisz, że ktoś szuka dokumentów, które ja i ty... Wiesz, co mam na myśli? Chodzi mi o to, co wydarzyło się półtora roku temu.

Klara wie, co Blitzie ma na myśli, bo ona też się nad tym zastanawiała, ale nie chciała

tego przyjąć do wiadomości. No bo o co innego może tu chodzić?

– Sama nie wiem – odpowiada cichym głosem. – Ale przecież tylko ty masz dostęp do tamtych dokumentów. Taki zawarłyśmy układ. A jeśli ktoś chciał się włamać do mojego komputera, to czy nie mógł tego zrobić zdalnie?

– To jacyś partacze. Program, który ci wysłałam, ma wbudowanego porządnego firewalla. Być może faktycznie próbowali włamać się na twój laptopa zdalnie, ale im się nie udało, więc postanowili zainstalować ci oprogramowanie ręcznie. Tak przy okazji, w tym ich programie jest coś, co ci się może spodobać. Kliknij na *Location*.

Na ekranie otwiera się mapa Europy. W miejscu, gdzie powinien się znajdować Londyn i wschodnie wybrzeże Szwecji, widać kropki.

– Ten program ma wbudowany GPS. Możesz w niego wpisać jakąś godzinę, a on ci od razu pokaże, gdzie w danym momencie znajdował się twój laptop. To taka forma ochrony przed kradzieżą. Możesz też sprawdzić, gdzie twój laptop znajdował się po tym, jak ci go skradziono.

– Dziękuję – mówi Klara. – Teraz przynajmniej wiem, że coś się tu nie zgadza.

– Wygląda na to, że przyciągasz kłopoty. Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Bądź ostrożna i odezwij się, okej?

– Jasne, nie ma sprawy. Chwilę! Nie rozłączaj się. Mam jeszcze jedno pytanie. *Remember, remember, the fifth of November*. Czy to zdanie coś ci mówi?

– Kojarzy mi się z komiksem *V jak Vendetta*. Na jego podstawie powstał film, którego głównym bohaterem jest Guy Fawkes. To patron wszystkich hakerów. Grupa Anonymous i anarchiści używają tego powiedzenia jako hasła. Internet jest pełen takich buntowniczych bredni. Czemu pytasz?

– To nic ważnego. Po prostu gdzieś to widziałam. Do usłyszenia, Blitzie.

Hasło hakerów wytatuowane na ręce złodzieja? O co tu chodzi?

Klara kończy rozmowę i nagle czuje, że jest bardzo samotna. Marznie, chociaż rano jest ciepły i wilgotny. Kuli się w łóżku z zimna i owija szczelnie kołdrą. Ból głowy powoli ustępuje. Ponownie klika na polecenie *Location* w programie Blitzie. Na ekranie monitora otwiera się mapa zachodniego Londynu, na której widać czerwoną strzałkę. Klara klika na nią i robi maksymalne powiększenie.

3 Formosa Street. Wygląda na to, że jej laptop spędził dwa dni w dzielnicy Little Venice. Zamyka komputer i wygląda na ulicę zatopioną w szarym blasku wczesnego poranka.

Little Venice. W takiej dzielnicy nie ma zbyt wielu anarchistów i hakerów. Najważniejsze, że ma jakiś punkt zaczepienia.

– Przyjdiesz do mnie?

Klara podrywa się z krzesła i odwraca wzrok od ekranu. Minęły cztery godziny, przypadająca na nią część raportu jest na ukończeniu. Była tak bardzo zajęta pracą, że nawet nie zauważyła, że ktoś wszedł do pokoju.

Charlotte ma na sobie jak zwykle długą, obszerną sukienkę. W uszach duże kolczyki, włosy zebrane niedbale w kok. Klara dochodzi do wniosku, że w wyglądzie Charlotte, która zawsze zachowuje się tak, jak gdyby właśnie wyjeżdżała na kongres jogi, jest coś optymistycznego. Wie jednak, że za tą fasadą rodem z bohemy kryje się stalowy charakter.

– Chyba nie zapomniałaś, że jesteśmy dziś umówione na lunch? – przypomina z uśmiechem Charlotte.

Klara zerka na ekran. Jest już naprawdę wpół do pierwszej?

– Nie zapomniałam, tylko nie zauważyłam, że już tak późno.

Zapisuje dokument i w tym samym momencie na szybę okna w poddaszu spadają pierwsze ciężkie krople deszczu. W chwili gdy wstaje z krzesła, pokój rozjaśnia błyskawica.

– O Boże! – woła Charlotte. – Mam nadzieję, że zabrałaś z domu parasol.

Burza ma w sobie coś ożywczego. Klara nie ma nic przeciwko ciepłym kroplom deszczu, gdy razem z Charlotte biegną Catherine Street do niewielkiej włoskiej restauracji, w której Charlotte zarezerwowała stolik.

Wygląda na to, że obsługa zna jej szefową. Ktoś odbiera od nich parasolki, ktoś prowadzi je do stolika przy oknie wychodzącym na ulicę. Siadają, Charlotte ociera twarz lnianą serwetką i uśmiecha się do Klary.

– Mascara rozmazała mi się pewnie po całej twarzy? – pyta.

To prawda. Charlotte ma nałożoną grubą warstwę mascary, która rozmazała jej się w kąciuku oka. Mimo to wcale nie wygląda przez to śmiesznie. Przeciwnie, jej duże brązowe oczy, wysokie kości policzkowe i niedbale związane włosy nadają jej seksownego wyglądu. Klara kręci głową.

– Wcale nie.

Charlotte pochyla się nad stolikiem i do niej mruga.

– Zamówimy po lampce wina? Wiem, że musisz skończyć swoją część raportu, ale

trochę alkoholu chyba nam nie zaszkodzi.

Klara czuje, jak po całym jej ciele rozlewa się przyjemna, ciepła fala.

– Chętnie. Jeśli ty zamówisz, to i ja sobie nie odmówię.

Do jedzenia zamawiają makaron z prawdziwkami i białymi truflami, a potem próbują wina przyniesionego przez kelnera. Lekkość, którą Klara czuje po wypiciu pierwszego łyku alkoholu, sprawia, że na chwilę zapomina o pracy i stresie związanym z laptopem. Chciałaby opowiedzieć Charlotte o wszystkim, co jej się przytrafiło, ale na tę chwilę jest to zbyt skomplikowane, zwłaszcza że trochę upiększyła przebieg zdarzeń. Najpierw pojedzie na ulicę w Little Venice, gdzie według wskazań programu Blitzie znajdował się jej laptop. O wszystkim opowie być może później, w zależności od tego, co ustalą i czego się dowie.

– Co słyhać? – pyta Charlotte. – Rozumiem, że jesteś prawie gotowa ze swoją częścią. Do prezentacji zostało nam już tylko kilka dni.

Klara wypija kolejny łyk wina. Jest wytrawne i bogate w pierwiastki. Chciałaby zamknąć oczy i przez chwilę trwać w tym stanie, rozkoszując się smakiem, który nie wiadomo dlaczego przypomina jej wczesne letnie ranki na wyspie Aspöja, gdy niebo jest czyste, dzień ciepły, a trawa wilgotna od rosy albo przelotnego deszczu. Chciałaby na moment zapomnieć o raporcie i laptopie, ale zamiast tego kiwa głową.

– Oczywiście. Prawie skończyłam. A ty? Przecież to ty masz przygotować najważniejsze tezy.

Charlotte też wypija trochę wina i patrzy na ulicę. Deszcz rozpadał się na dobre, ciężkie krople spadają na chodnik.

– Wszystko w porządku – odpowiada i kiwa w zamyśleniu głową. – Ale to nie taka prosta sprawa.

– Domyślam się, że ludzie mają na ten temat różne poglądy – stwierdza Klara, szukając jej wzroku.

– Masz rację – zgadza się z nią Charlotte. Odwraca się i patrzy jej prosto w oczy. – Nie wszystko jest takie, jak nam się wydaje – mruczy. Wypija łyk wina, bierze kromkę chleba, łamie ją na dwie połowy i w zamyśleniu macza w stojącym na stoliku naczyniu z oliwą z oliwek.

– Co masz na myśli? – pyta Klara, odkładając na talerzyk swój kawałek chleba.

W tym, co mówi Charlotte, kryje się coś, co przypomina jej niedawne słowa Patricka na

dziecińcu. On też powiedział, że nie zawsze rzeczy są takie, jak je postrzegamy. Od razu przypomina jej się jego mapa ze strzałkami i nazwami.

Ale Charlotte tylko kręci głową, chce wrócić do rzeczywistości. Chwilę potem, gdy spogląda na Klarę, zachowuje się tak, jak gdyby jej umysł zaprzętała już zupełnie inna sprawa.

– Nic konkretnego – odpowiada. – Tylko tyle, że te sprawy są... skomplikowane.

W tym momencie kelner stawia przed nimi dwa talerze z parującym jedzeniem, a ich mały świat przy oknie wychodzącym na ulicę wypełnia cudowny zapach trufli. Charlotte nakręca na widelec trochę spaghetti i zaczyna jeść. Spogląda przy tym na ulicę, gdzie nadal pada rzęsy deszcz.

Gdy Klara wróciła z Aspöji, w jej życiu nastąpił dość chaotyczny okres pełen niezwykłych zdarzeń, takich jak kradzież laptopa czy dziwne zachowanie Patricka. Niejasne odpowiedzi Charlotte sprawiają, że zaczyna mieć po dziurki w nosie tych ciągłych pytań, na które brakuje jasnych odpowiedzi. Wypija łyk wina i w nagłym przyływie odwagi pyta:

– Czy słyszałaś o firmie, która nazywa się Stirling Security?

Charlotte spogląda na nią zaskoczona i sięga po kieliszek, żeby popić jedzenie. W jej oczach pojawiają się błyski, które chwilę potem znikają. Patrzy na Klarę pytającym wzrokiem.

– Jak?

– Stirling Security – powtarza cichym głosem Klara. – Ta nazwa obiła mi się gdzieś o uszy.

– W jakim kontekście?

Charlotte nadal trzyma w ręce kieliszek z winem. Opiera się o krzesło i spokojnie patrzy na Klarę. Jej ton zwiastuje zarówno obojętność, jak i groźbę. Klara wyczuwa instynktownie, że stąpa po cienkim lodzie. Chyba nie powinna była wymieniać tej nazwy.

– W żadnym. Wydaje mi się, że natknęłam się na tę nazwę w jakimś raporcie. Wcześniej nigdy nie słyszałam o tej firmie. Rozumiem, że ty też jej nie znasz?

Charlotte kręci głową, ale nie spuszcza z niej wzroku. Powoli sączy wino.

– Twoje pytanie każe mi wrócić do sprawy, z powodu której umówiłam się z tobą na lunch. Chodzi o raport. Najwyższy czas zabrać się do roboty. Mamy go przedstawić w niedzielę. Miałaś mi przysłać swoją część przedwczoraj. Czas skupić się na pracy.

Klara czuje, że płoną jej policzki. Po raz pierwszy usłyszała od Charlotte krytyczne słowa pod swoim adresem. Na dodatek bez powodu.

– Tak, wiem, ale przez to zdarzenie z laptopem i w ogóle... Prześlę ci ten tekst dziś po południu... W zasadzie jest już gotowy.

– Zakładam jednak, że jak zwykle będziesz niechlujna i tendencyjna. Tym razem sprawa jest naprawdę poważna, wszystko musi być na swoim miejscu, i to w eleganckim stylu. Być może będę musiała dokonać w twoim tekście zmian. Dlatego to ważne, żebyś mi go w końcu przysłała, zamiast nad nim siedzieć i nieustannie go dopracowywać. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

Klarze szumi w głowie, dosłownie ją zatkało. Niechlujna i tendencyjna? Przecież zawsze stara się przedstawić swój tok rozumowania w obiektywny sposób. Czy dla prawnika istnieje gorsza obelga niż to, co powiedziała Charlotte?

Kiwa głową, ale nie zamierza się całkowicie poddać.

– Ja twojej części też nie widziałam – odpowiada cicho. – Trudno mi będzie zakończyć mój fragment tekstu, jeśli nie wiem, jakie są twoje końcowe zalecenia.

– Klaro – mówi Charlotte chłodnym jak stal głosem – to mój raport, a ty jesteś tylko moją asystentką. Jeśli nie jesteś w stanie dostarczyć mi tego, o co prosiłam, to może powinnam się zastanowić nad naszą dalszą współpracą? Chyba nie muszę ci tego tłumaczyć?

Klara kręci głową i czuje, jak oczy zachodzą jej łzami. Wyciąga rękę po kieliszek z winem.

– Przyślę ci moją część zaraz po lunchu – odpowiada cichym głosem.

– Świetnie – mówi Charlotte i lekko się do niej uśmiecha. Ale tylko ustami, nie oczami.

26. Sztokholm – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku

Yasmine rozsuwa ciężkie zasłony w swoim pokoju w Hotell Lydmar i wygląda przez okno. Deszcz siecze błyszczące wody kanału. Wygląda to tak, jakby tysiące drobniutkich igieł dziurawiło cienką kalkę. Jest szare późne popołudnie.

W telewizorze lecą właśnie wiadomości. Noc w Bergort była niespokojna. Na ekranie widać płonące samochody i młodych ludzi rzucających kamieniami. Policjanci w ochronnych strojach i młodzież stoją tak daleko od kamer, że przypominają jakieś nierzeczywiste istoty. Yasmine z bijącym sercem oglądała materiał z tych wydarzeń, gdy po raz pierwszy pokazano go pół godziny wcześniej. Wpatrywała się w ekran, żeby ujrzeć choć cień Fadiego albo któregoś z dawnych znajomych. Niestety, materiał był krótki i nie zawierał żadnych szczegółowych informacji. Policja twierdzi, że nie wie, jakie są przyczyny zamieszek, ale „sygnały o tym, że coś się szykuje, docierają od dłuższego czasu”.

Sygnały, znaki. Na całym Przedmieściu jest ich pełno. Gwiazdy i zaciśnięte pięści, martwy kot na latarni. Nikt nie chce z nią o tym rozmawiać: ani Ignacio, ani Parisa. Jeśli ktoś zadaje zbyt dużo pytań, naraża się na niebezpieczeństwo.

Odwraca się i patrzy na pistolet, który zabrała z mieszkania rodziców. Teraz leży na nocnej szafce przy łóżku. W tym wysprzątanym do czysta wielkomiejszczańskim świątku wygląda wprost niesamowicie.

Nigdy nie odczuwała bardziej, że dopuszcza się przestępstwa, niż wtedy, gdy wkładała pistolet i karabin maszynowy do starej torby sportowej. Potem tylko zarzuciła ją na plecy i wyszła z mieszkania.

Czy miała inne wyjście?

Przecież nie mogła zostawić broni w swoim dziecięcym pokoju, bo to by oznaczało, że godzi się, aby wykorzystano ją do robienia strasznych rzeczy, a o czymś takim wolała nawet nie myśleć. Nie mogła też zadzwonić na policję, bo przez całą młodość miała z nią na pieńku. Policjant wyłamał Redowi ramię ze stawu, wybił Karmowi zęby, a potem po prostu zostawił go w szczerym polu za miastem. Inny policjant kazał im siedzieć w suce i wyzywał ich od „ciot”, „bambusów” i „asfaltów”. Gdyby dopadł Fadiego, zabiłby go, rozerwał na strzępy. A ona go zawiodła. Jeśli więc ktoś ma znaleźć wyjście z tej sytuacji, to na pewno ona.

Mało brakowało, a zabrałaby karabin do metra. Na szczęście w ostatniej chwili się rozmyśliła i ukryła go w gęstych krzakach głogu w lasku za szkołą. Wszyscy ukrywają tam „trefne” rzeczy, to taki wieloletni zwyczaj. Uznała, że wystarczy jej sam pistolet ukryty pod koszulą.

Pod materacem zostawiła Fadiemu kartkę z numerem swojego telefonu. Przecież nikt tak po prostu nie gubi karabinu maszynowego. Na pewno nikt z Bergort. Zwłaszcza stąd. Fadi będzie musiał do niej zadzwonić.

Tymczasem ona odwiedzi człowieka, który na nią doniósł.

Głos Ignacia w słuchawce brzmi całkiem spokojnie. Wygląda na to, że cieszy się na spotkanie. Ale to bez znaczenia, jak jego głos brzmi przez telefon. Pierwszą rzeczą, której wszyscy uczą się w Bergort, jest umiejętność kłamania.

Nie może się doczekać tego spotkania. Chce się od niego dowiedzieć, co oznaczają te symbole. Musi go też spytać, dlaczego nasłał na nią ludzi, którzy jej grozili. Co tu się dzieje? Jak to możliwe, że zrobiła się z niego taka tchórzliwa dupa?

„Trzymaj się z dala od Przedmieścia, dziwko”.

W telewizji przez cały czas pokazują relacje z tego, co dzieje się w Bergort, a ona coraz bardziej utwierdza się w przekonaniu, że symbole mają coś wspólnego z zamieszkami. Jest też pewna, że w sprawę zamieszany jest Ignacio. Pytanie brzmi, jaką rolę odgrywa w nich Fadi.

Podnosi się i przegląda w lustrze. Wszyscy mówią, że zeszczuplała. Może to prawda? Opuchlizna na oku znacznie się zmniejszyła. Odnosi wrażenie, że ma inny kolor niż w sali spotkań w siedzibie firmy Shrewd & Daughters.

Oddycha głęboko i ostrożnie bierze do ręki duży matowy pistolet. Ujmuje go w obie dłonie i cofa się o krok w stronę łóżka. Pewnego dnia David zabrał ją ze sobą na strzelnicę we Flatbush i dał jej postrzelać z różnych pistoletów. Pamięta, że czuła się wtedy dziwnie swobodna, wolna. Chodzili tam przez kilka następnych tygodni. To było w okresie, gdy David na pewien czas zrezygnował z imprezowania i pił tylko wieczorami, a od czasu do czasu palił jointy. Nic więcej.

Powoli unosi pistolet i celuje w swoje odbicie w lustrze. Widzi otwór lufowy, a za nim siebie z wyrazem napięcia na twarzy. Nagle czuje, że budzi się w niej jakaś moc, że droga, którą ma przebyć, staje się całkiem prosta. Całe to bagno, jej matka, pieprzone Przedmieście i zdrada Ignacia przestają się liczyć. Ważne jest tylko to, co teraz. Fadi. Jest

tylko jedna rzecz, o której powinna teraz myśleć, i jedna rzecz, jaką powinna zrobić: musi go odnaleźć i zrobić to, co powinna była robić od samego początku – ochronić Fadięgo przed nim samym.

Około piątej wychodzi z pokoju. Przechodząc przez hotelowe lobby, zerka na milczącego recepcjonistę. Jest czysty i zadbany, ma mały wąsik i elegancką kropkowaną muszkę pod szyją. Przez chwilę odczuwa pokusę, żeby do niego podejść i powiedzieć, że pod koszulą, w džinsach, ma ukryty duży pistolet. Jak by zareagował? Podniósłby na nią głos? Przestał być taki grzeczny i usłużny?

Ostatecznie prosi go tylko, żeby zamówił dla niej taksówkę. Potem siada w fotelu i czeka. Pod ubraniem czuje chłód metalu, który daje jej poczucie bezpieczeństwa.

Na dworze nadal pada deszcz. Yasmine wspina się na rampę załadunkową przed Kärrtorp Centrum i kryje się pod ochronnym daszkiem. Kaptur ma naciągnięty na głowę, żeby nikt jej nie rozpoznał. Jadąc taksówką, obserwowała trasę między stacją metra a firmą Johanssons Flytt, w której pracuje Ignacio. Liczy na to, że w drodze do metra Ignacio skróci sobie drogę i skręci w przejście między podjazdem a centrum handlowym. Kiedy się w nim znajdzie, zagrozi mu drogę.

Johanssons Flytt to firma, która zajmuje się przeprowadzkami. Byłaby naprawdę zdziwiona, gdyby się okazało, że pracuje w niej choćby jedna osoba o nazwisku kończącym się na -son.

Opiera się o ceglana ścianę i rozgląda po zajętym do połowy parkingu. Po opadach deszczu asfalt jest gładki i błyszczący. Ogarnia ją to samo uczucie, z którym się obudziła. To nie strach ani przerażenie, tylko poczucie narastającej rezygnacji. Coraz częściej nachodzi ją myśl, że być może wszystko jest już stracone. Fadi też. A może był stracony już wtedy, przed czterema laty, gdy zostawiła go na pastwę losu? Jeśli więc to, co ma dla niej znaczenie, jest już stracone, to równie dobrze może poświęcić wszystko inne. Najgroźniejszy jest zawsze ktoś, kto stracił wszystko.

Ponownie zerka w stronę przejścia i widzi potężną sylwetkę Ignacia. Ubrany jest w mokrą od deszczu kurtkę firmy Varsity i czapkę Braves, džinsy z obniżonym krokiem i czarne air maxy. Ignacio skręca za róg i idzie przejściem. Yasmine wstaje, czuje na plecach chłodny dotyk metalu. Parszywy zdrajca, donosiciel. Serce bije jej coraz mocniej. Teraz będzie się mogła zemścić.

27. Syria – marzec 2015 roku

W końcu zostaję sam pośród piasków. Wieczór jest chłodny i spokojny, w pobliżu słycać tylko silnik oddalającego się mikrobusu, ale i on w końcu cichnie pośród pustych, niedokończonych budynków. Nigdy wcześniej nie czułem się taki samotny i zagubiony. Nawet po twoim nagłym wyjeździe. Nawet wtedy.

To uczucie ogarniało mnie stopniowo, zakradało się powoli do mego wnętrza. Tak, nie widziałem cię od bardzo dawna, a Przedmieście było klatką, którą dobrze poznałem. Ale tutaj? Rozglądam się i nasłuchuję, padam na piasek. Tak wygląda samotność.

Zadzieram głowę i patrzę w rozgwieżdżone niebo. Jest tak piękne, że tracę równowagę i przewracam się na drogę.

Nie wiem, jak długo tak leżę, nagle słyszę czyjeś kroki. Są coraz bliżej. Dopiero gdy moje oczy przyzwyczajają się do ciemności, dostrzegam przed sobą jakąś wioskę albo niewielkie opustoszałe miasto. Biorę do ręki torbę, prostuję się, wstaję z ziemi.

Cyknie świerszczy przerywa nagle metaliczny trzask. Ktoś odbezpiecza broń.

– Kto tam? – słyszę pytanie zadane łamanym arabskim.

– *Salam alejcum* – odpowiadam. Głos mam tak ochryply, że muszę odchrząknąć. – Fadi Ajam ze Szwecji. Przysyła mnie imam Dakhil.

Właśnie to kazano mi powiedzieć po przybyciu na miejsce. Te słowa powinny wystarczyć, chociaż nie do końca jestem tego pewien. Wokół mnie jest zupełnie ciemno, cykają świerszcze.

– Fadi ze Sztokholmu? – upewnia się męski głos.

Mężczyzna mówi po szwedzku. Dialekt jak z przedmieścia, ale nie w Sztokholmie, tylko gdzieś na prowincji. Powoli się odprężam, serce znowu zaczyna bić mi normalnie.

– Tak, tak – potwierdzam. – Fadi z Bergort. Przysyła mnie imam Dakhil.

Znowu rozlega się metaliczny trzask – tym razem mężczyzna zabezpiecza broń. Jest tak blisko mnie, że widzę zarys jego sylwetki, chustę owiniętą wokół głowy jak u mudzahedina, ciemne wojskowe spodnie wpuszczone w wojskowe buty.

– W porządku – mówi z uśmiechem nieznamy. – Nie musisz się powtarzać.

Podchodzi bliżej i zatrzymuje się tuż przede mną. Dopiero teraz widzę, że jest z pochodzenia Somalijczykiem. Ma rzadką brodę, długie włosy i lśniące w uśmiechu białe

zęby.

– Witaj, bracie Ajamie. Dzięki Allahowi, niech błogosławione będzie imię Jego, że dotarłeś do nas bez problemu. Jestem Abu Umar.

Abu Umar prowadzi mnie wiejską ulicą. Wychodzące na tę stronę okna domów straszą ciemnymi, pustymi otworami, chociaż jest dopiero ósma wieczorem.

– Gdzie są wszyscy? – pytam. – Czy nikt tu nie mieszka?

– Jest wojna, bracie – odpowiada Abu Umar. Zerka na mnie z góry, obrzuca szybkim spojrzeniem. – Myślałem, że właśnie dlatego do nas przyjechałeś.

– Owszem, ale gdzie są mieszkańcy? Nie żyją?

Abu Umar kręci głową i robi zmęczoną minę.

– Jak to nie żyją? My zabijamy tylko naszych wrogów i zdrajców. Ludzie uciekli, gdy zrobiło się naprawdę niebezpiecznie i wokół rozgorzały walki. Jeszcze zanim z pomocą Allaha, niech błogosławione będzie imię Jego, odbiliśmy tę wieś.

– Brałeś udział w walkach?

Wiem, że nie powinienem zadawać tylu pytań, bo wyjdę na ignoranta, ale co mam zrobić? Naprawdę niewiele wiem. Wszystko jest tu dla mnie nowe i wzbudza moją ciekawość.

Abu Umar wzrusza ramionami.

– Tutaj nie, ale w wielu innych miejscach tak. Ty też będziesz walczył, jeśli tak zechce Allah, niech błogosławione będzie imię Jego.

Schodzimy niewielkim zboczem i dochodzimy do miejsca, które wygląda jak nędzny rynek. W dwóch domach pali się słabe światło. Czuję zapach mięty i smażonych bakłazanów.

– Widzę, że ktoś tu jednak został.

– W tej części miasta nie został nikt, bracie. Jesteśmy tylko my dwaj. Od tej pory będziemy tu razem mieszkać.

Idziemy w górę wąską uliczką i wchodzimy do budynku z nowymi szerokimi schodami. Wygląda jak zwykły dom mieszkalny. Nie ma w nim żadnych lamp, wszystko jest czarnoszare, tylko w tle słychać szum generatora, a na schody pada słaby żółty strumień światła. W milczeniu idziemy dalej. Światło przypomina mi blask ulicznych latarni na naszym Przedmieściu. Czuję w ustach dziwny słodki, wilgotny smak. Łzy?

Abu Umar otwiera drzwi, ale nie kluczem, tylko po prostu pcha je ręką. Moim oczom

ukazuje się nowoczesnie urządzone mieszkanie. Jest w nim zupełnie ciemno. Wchodzimy do środka i dopiero teraz widzę słabą poświatę bijącą z dużego pokoju.

Na podłodze, wokół małej kuchenki polowej podgrzewanej słabym płomieniem ogniska, siedzą dwaj mężczyźni. Kiedy wchodzimy do środka, unoszą wzrok i patrzą na nas.

– Witaj, bracie! – mówi jeden z nich i wyciąga do mnie rękę.

Jest wysoki i barczysty. Nie tak tłusty jak Mehdi, ale też nie muskularny. Zwykły facet, tyle że większy od innych. Jego szeroki podbródek pokrywa równo przystrzyżona gęsta broda. Włosy ma zakryte takim samym szalem jak Abu Umar. Podaję mu rękę i czuję, że jego dłoń jest ciepła i sucha. Długo ją ściskam i niechętnie puszczam.

– Mam na imię Shahid – przedstawia się nieznajomy. – Witaj, bracie.

Drugi z mężczyzn też podaje mi rękę. Nie ma brody, jest tylko nieogolony. Na głowie ma wojskową czapkę.

– Witaj – mówi. – Niechaj Allah, niech błogosławione będzie imię Jego, zgotuje ci zaszczytną śmierć.

Patrzy na mnie poważnym wzrokiem, a ja zaczynam się czuć nieswojo. To zaskakujące, chociaż o męczeńskiej śmierci rozmawiałem wcześniej z bratem al-Aminem. Wszyscy czekamy niecierpliwie na dzień, w którym trafimy do Raju. Tutaj – w ciemnym domu i pustym, upiornym mieście – ta tęsknota nie jest już tak silna. Pragnienie męczeńskiej śmierci przestaje być czyste i piękne, nagle staje się brudne i odległe.

– Ale nie dziś wieczorem, bracie – dodaje Shahid i przysuwa poduszkę, żeby koło mnie usiąść. – Teraz napijemy się herbaty i zapoznamy się z naszym nowym bratem, Fadim.

Potem odwraca się do mnie i mówi:

– Brat Tariq jest zbyt gorliwy. Nie może się doczekać swoich dziewczyn. To dlatego, że nie jest żonaty.

Shahid śmieje się ze swojego dowcipu. Zalewa wrzątkiem listki mięty wrzucone do pogiętego czarnego kubka i mi go podaje. Tariq się nie odzywa. Siedzi wpatrzony w swój kubek i powoli sączy gorący napój.

Tariq budzi mnie o świcie. Modlimy się do momentu, gdy na niebie ukazuje się żółta słoneczna tarcza. Potem Tariq gdzieś znika. Nawet tego nie zauważyłem.

Dzielę z nim mieszkanie, bo obaj nie jesteśmy żonaci. Inni bracia mieszkają ze swoimi rodzinami. Ci, którzy przebywają tu ponad rok, mają już dzieci.

Nie wiem, kim są, ilu nas jest i jakie mamy zadania. Wydaje się jednak, że rzemiosłem

braci jest walka. Polega ona na tym, że jadą na front, spędzają tam ośmiogodzinny dzień pracy, a po zapadnięciu zmroku wracają do swoich rodzin. Przypomina to zwykłą pracę, taką jak moja, gdy byłem zatrudniony w magazynie. Większość bojowników to Syryjczycy i Irakijczycy. Są rozrzućeni po całej wiosce, żeby trudniej ich było zbombardować. Wygląda na to, że bracia ze Szwecji trzymają się razem.

W puszcze jest trochę herbaty, ale muszę się pomęczyć, żeby uruchomić kuchenkę. Znajduję dwie kromki chleba, a w plastikowym pojemniku trochę humusu. Ledwo zjadłem, w drzwiach staje brat Shahid.

– *Salam alejkum*, bracie – mówi. – Chodź ze mną. To twój dzień.

Staję przed nim, a on wręcza mi broń. Jest ciężka, wyczuwam chłód metalu, krew zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach. To kałasznikow z drewnianą kolbą i zakrzywionym magazynkiem. Nie wiem, co mam z nim zrobić, bo brat Shahid wyszedł już z mieszkania.

Wychodzimy na zakurzone podwórko i piaszczystą ścieżką podchodzimy do parkingu, na którym stoi kilka spalonych samochodów. Jest świt, trzęsę się z zimna. Shahid każe mi się zatrzymać, a sam podchodzi do stojących w odległości dwudziestu kilku metrów samochodów. Mam tysiąc pytań, ale zmuszam się do milczenia. Postanawiam, że będę robił tylko to, co mi każą.

Shahid wraca i prosi o mój karabin. Daję mu go, a on się odwraca i ogląda go ze wszystkich stron. Potem unosi go, przykładając do ramienia i oddaje salwę w stronę kilku puszek, które postawił na masce jednego ze spalonych samochodów. Głośny huk zatyka mi uszy.

– Oczywiście – mrućy Shahid, majstrując przy celowniku.

Potem oddaje jeszcze dwa strzały. W oddali, choć niezbyt daleko od nas, rozlega się grzechot karabinów maszynowych. Towarzyszy mu świst kul i eksplozje. Pochyliam się instynktownie i szukam jakiejś osłony, krew uderza mi do głowy. W tym momencie w moim życiu zaczyna się nowy rozdział.

Shahid odwraca głowę, a widząc, że kucam, uśmiecha się szeroko.

– Co ty robisz, *ey*? *Wallah*, wyglądasz naprawdę głupio.

Opuszcza lufę karabinu i odwraca się do mnie.

– Boisz się? – pyta, robiąc zamaszty ruch ręką w kierunku, z którego dobiega strzelanina. – To front, bracie, a front może być wszędzie.

Prostuję się na drżących nogach.

– A te eksplozje? – pytam.

– To te dupki od Baszszara zrzucają z helikopterów bomby rozpryskowe. Przyzwyczaisz się, bracie. To nasza codzienność.

Mówiąc to, kieruje lufę karabinu w niebo.

– Zbieraj się. Zobaczymy, co z tobą zrobić – mówi, podając mi karabin.

Shahid nie może mi poświęcić całego dnia, bo jedzie na front. Kiedy mi o tym mówi, jestem tak podekscytowany, że znowu rodzi się we mnie nadzieja. Czuję, że jestem bardzo blisko tego, o czym marzyłem. Ale Shahid znowu się ze mnie śmieje.

– W twoim przypadku nie może być mowy o walkach na froncie. Zajmiesz się zaopatrzeniem, potem zobaczymy.

Po tych słowach wsiada do starego fiata, kładzie karabin na siedzeniu dla pasażera i znika w kłębach kurzu.

Moje pierwsze zadanie polega więc na tym, że mam pojechać z kobietami do sąsiedniej wioski na zakupy. Potem razem z jakimś Syryjczykiem mamy przywrócić prąd w jednym z domów. Facet posługuje się tak trudnym dialektem, że prawie w ogóle go nie rozumiem. Za każdym razem, kiedy odwracam się plecami do kobiet, zaczynają chichotać. Wiem, że się na mnie gapią i wytykają palcami. Kiedy temperatura na zewnątrz spada i słońce chyli się ku zachodowi, wracam do mojego pokoju, żeby poczekać na braci. Czuję się niepotrzebny i zbędny. Z prądem też nam się nie udało.

Zdrzemnąłem się trochę na materacu, gdy nagle obudził mnie dźwięk telefonu. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że dobiega z mojej torby stojącej przy oknie. Sięgam do zewnętrznej kieszeni i wyjmuję z niej mój aparat.

– Słucham, tu Fadi.

– Bracie Fadi!

To brat al-Amin. Głos ma ciepły, oddycha regularnie. Biegnie nad Przedmieściem, pokonuje przestrzeń kosmiczną i dociera do samego jądra mojej samotności, kilometr od frontu.

– Nie mamy zbyt wiele czasu, czas to pieniądz – mówi brat al-Amin. – Co u ciebie słychać? Dotarłeś na miejsce?

Jestem tak szczęśliwy, że oczy zachodzą mi łzami. Siadam na nierównym parapecie i szybko o wszystkim opowiadam. O podróży w mikrobusie przez Turcję, o przekroczeniu granicy i o ciemnościach panujących nocą na tych terenach, o braciach i o bezczynności.

Brat al-Amin słucha mnie cierpliwie, pozwala mi wyrzucić z siebie wszystko, chociaż rozmowy prowadzone przez telefon satelitarny są drogie.

– Pociesz się, że będzie lepiej – mówi z uśmiechem. – Przyjechałeś dopiero wczoraj? Uspokój się.

Policzki mi płoną i robi mi się wstyd. To prawda, przyjechałem dopiero wczoraj, więc skąd to rozczarowanie? Przecież nie potrafię nawet strzelać. Kogoś takiego nie mogą wysłać do walki.

– Oczywiście – odpowiadam. – Wybacz, bracie. Będę cierpliwie czekał, aż Allah wyznaczy mi odpowiednią rolę.

– To dobrze, bracie. Rozumiem, że na razie nie masz dla mnie żadnych wiadomości? Mam na myśli to, o czym rozmawialiśmy. Pamiętasz?

Oczywiście, że tak. Mam ujawnić zdrajcę.

– Na razie o niczym nie słyszałem – mówię najciszej, jak tylko potrafię.

– Nie dyskutowano o wielkich operacjach wojskowych? Nie zjawił się nikt obcy?

– Nic takiego się nie wydarzyło.

– Pytam, bo właśnie takimi rzeczami interesują się zdrajcy. Jak tylko się czegoś dowiesz, pojawi się szansa. Najważniejsze, żebyś miał oczy i uszy szeroko otwarte. Masz być gotowy, gdy powiem, że nadszedł twój czas.

Słyszę, że ktoś otwiera drzwi do mieszkania. Rozpoznaję powłóczyste kroki Tariqa na kamiennej podłodze.

– I pamiętaj, że nie wolno ci o tym rozmawiać z braćmi. Zwłaszcza o tym, że jesteś z nami w stałym kontakcie. Już sam fakt posiadania telefonu może wzbudzić ich podejrzenia.

Słyszę, że Tariq jest już blisko, coraz wyraźniej słyszę jego kroki.

– Muszę kończyć – rzucam do słuchawki i wciskam czerwony przycisk.

W chwili gdy wkładam aparat do kieszeni spodni, Tariq otwiera drzwi kolbą kałasznikowa. Jest brudny i zakurzony, ma zmęczoną i niezadowoloną minę.

– Z kim rozmawiałeś? – pyta.

Przełykam ślinę, telefon ciąży mi nagle w kieszeni.

– Z nikim. Modliłem się.

Tariq przygląda mi się bez słowa. Nie wierzy w moje wyjaśnienie, ale nie może mi udowodnić kłamstwa. Nie może mnie też obwinić o to, że się modliłem, więc bez słowa się odwraca i zostawia mnie w spokoju.

Czekam, aż jego kroki ucichną w pokoju, i wyskakuję przez okno. Tariq był wobec mnie podejrzliwy, skradał się jak lis, rozmawiał ze mną niegrzecznym tonem. O co mu chodzi? Czyżby coś go zaniepokoiło? Może się bał, że się przede mną czymś zdradzi?

28. Londyn – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku

Klara wychodzi z biura wcześniej niż zwykle. Po winie, które wypła do lunchu, czuje się pusta i ciężka. Jest podenerwowana, bo musi wysłać Charlotte ostateczną wersję swojej części raportu. W końcu umieściła go w folderze, do którego Charlotte też ma dostęp. Znowu wróciły jej siły i ochota do życia.

Po nerwach związanych z raportem i zagubionym laptopem postanowiła zająć się czymś, co uwolni ją od ostatnich koszmarnych przeżyć. Ma już plan i wie, co robi – pojedzie do Little Venice, żeby sprawdzić, co znajduje się pod adresem 3 Formosa Street.

Nie wsiada więc na rower, żeby jak zwykle pojechać prosto do domu na Navarre Street, tylko rusza piechotą w przeciwnym kierunku, w stronę rzeki. Rzęsisty deszcz, który po południu spadł nagle na Londyn, szybko się skończył, pozostawiając po sobie duchotę i upał. Wokół panuje spokój, który zachęca do ponownego przemyślenia sytuacji.

Klara wchodzi na Waterloo Bridge, ale nie zapuszcza się zbyt daleko. Chce tylko popatrzeć na miejsce, w którym rzeka dzieli to olbrzymie miasto na dwie części.

Zapala papierosa i wsparta o grubą poręcz mostu spokojnie się zaciąga. Z niewiadomych powodów pozostały na niej pojedyncze krople deszczu, chociaż słońce mocno przygrzewa. Dopala papierosa, niedopałek wrzuca do wody i wychyla się przez poręcz, żeby popatrzeć, jak wpada w brązową toń. Kiedy traci go z oczu, zaciska powieki.

Na samo wspomnienie lunchu z Charlotte robi jej się wstyd. Wie, że popełniła błąd, nie powinna była wspominać o Stirling Security. Reakcja Charlotte była zdecydowana i prawie wroga. Nigdy jej takiej nie widziała. Coś tu się nie zgadza. Ciekawe, czym w swoim zaciemnionym pokoju zajmuje się Patrick. Stirling Security, Ribbenstahl, ambasada Rosji...

Nie chce jej się jechać metrem, więc schodzi z mostu i idzie przez Lancaster Place i Bow Street. W okolicach Covent Garden mija grupki turystów. Głośno rozmawiają i śmieją się obładowani zakupami. Z trudem walczy z pokusą, żeby gdzieś na chwilę wstąpić na lampkę wina. W końcu postanawia, że zrobi to dopiero wtedy, gdy zrealizuje swój plan. Nie wcześniej. Na wino musi najpierw zasłużyć.

Idzie krętymi ulicami handlowymi Covent Garden, kieruje się w stronę Seven Dials,

potem na Old Compton Street, a w końcu skręca w stronę stacji metra Oxford Street. Z oddali dobiegają dźwięki werbli i dud, słysząc też coś, co przypomina skandowanie. Znowu jakaś demonstracja, kolejny pozbawiony znaczenia bunt. Tego lata Londyn jest pełen takich protestów.

Nigdy wcześniej nie była w Little Venice. Prawda jest taka, że z wyjątkiem Kensington Gardens nigdy nie była w dzielnicach położonych na północ od Westway. Dlatego kanały i zieleń stanowią dla niej barwną i zaskakującą niespodziankę, chociaż wie, jaką sławą cieszy się stolica Wielkiej Brytanii. Tu już nie słysząc werbli ani skandowania tłumów. Wszędzie panuje cisza, tylko czasem przejedzie jakaś taksówka albo pojedyncze bmw. Nie ma turystów ani malowanych sprejem na ścianach masek Guya Fawkesa, nie ma też litery „A” – symbolu anarchistów. Można odnieść wrażenie, że mieszkańcom dzielnicy udało się uchronić swoją cichą anonimowość. Dzielnica przypomina rezerwat dla przedstawicieli wyższych klas wykonujących kreatywną pracę w elastycznym czasie pracy i dla dzieci kształconych według zasad opracowanych przez Marię Montessori. Przedstawiciele różnych subkultur i ludzie niezadowoleni z życia na razie nie trafili w to miejsce. Takie dzielnice wywołują w Klarze pewną nerwowość. Całe to pretensjonalne samozadowolenie z siebie, łodzie zacumowane w kanałach, puste ulice. Ale to tylko iluzja. Gdzieś za tą potiomkinowską scenografią kryje się ktoś, kto ukradł jej laptopa.

Znalezienie 3 Formosa Street nie zajęło jej zbyt wiele czasu. Wejście do budynku mieści się między elegancką restauracją a butikiem z ubraniami, który ze swymi pomarańczowymi atłasowymi szalami i przewiewnymi lnianymi sukienkami w naturalnych kolorach znakomicie odpowiada gustom bogatych przedstawicieli miejscowej bohemy. Wcześniej, po dokładnym przestudiowaniu mapy dzielnicy, Klara uznała, że na punkt obserwacyjny najlepiej nadaje się pub po drugiej stronie ulicy.

Problem polega na tym, że nie bardzo wie, na co ma tu czekać. Przy wejściu do budynku są trzy domofony, ale na razie nie zdobyła się na odwagę, by podejść i sprawdzić nazwiska lokatorów. Zrobi to później. Postanowiła przecież zachować ostrożność. Zacznie od obserwacji wejścia. Z tego miejsca będzie widziała, kto wchodzi i wychodzi. Jeszcze nie wie, jak wykorzysta te informacje.

Pub o nazwie Prince Alfred jak najbardziej pasuje do tego miejsca, chociaż właściwiej byłoby stwierdzić, że okolica pasuje do pubu. Rżnięte szkło, żelazne okucia, elegancka

stolarka. Klara wchodzi do baru, podchodzi do kontuaru, przez chwilę się waha, co zamówić, i decyduje się na sok pomarańczowy, który w ostatniej chwili zamienia na lampkę białego wina. Siada przy oknie wychodzącym na ulicę i zarzeka się, że wypije tylko jeden kieliszek. To tylko kilka łyków.

Całe popołudnie upływa jej na monotonnym czekaniu. Przez długi czas nic się nie dzieje. W miarę jak na dworze robi się ciemno, pub wypełnia się stopniowo przedstawicielami klasy średniej. Na ulicy zapalają się latarnie. Przez cały ten czas zdążyła wypić trzy kieliszki wina. W końcu przed wejściem do budynku przy 3 Formosa Street coś zaczyna się dziać.

Najpierw kątem oka zauważa ludzką sylwetkę. Jakiś wysoki, chudy mężczyzna szuka w kieszeni spodni kluczy do drzwi. Dopiero po chwili dociera do niej, kto to jest. Nie ma żadnych wątpliwości. To Patrick Shapiro.

29. Sztokholm – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku

Yasmine czeka przez chwilę, potem kuca i rzuca szybkie spojrzenie w stronę parkingu. To dobrze, że pada deszcz. Większość ludzi zostanie w domu, z dala od tego miejsca, a ona będzie miała łatwiejsze zadanie do wykonania.

Spokojnie obserwuje Ignacia, który idzie przez plac niespiesznym krokiem, kołysząc się lekko na boki. Na uszach ma słuchawki, podryguje w rytm jakiegoś przeboju, zanurzony we własnym świecie. Wydaje się, że w ogóle nie zwraca uwagi na padający deszcz.

Dlaczego akurat on to zrobił? Przecież jest tyle innych osób, z którymi łączy ją mnóstwo wspólnych przeżyć i wspomnień. Spędzili razem wiele nocy w studiu i w pokoju Reda, chodzili razem na węgry, tyle razy ogarniało ich zubożenie, tak często marzyli o różnych rzeczach. Tylko jemu ufała, a teraz się okazuje, że ją zdradził, chociaż zależy jej tylko na znalezieniu Fadiego.

Kiedy Ignacio jest już wystarczająco blisko, Yasmine zeskakuje z rampy i spokojnym krokiem rusza w jego stronę. Kaptur ma ciągle nasunięty na czoło. Do tej pory Ignacio nie zwracał na nią uwagi, ale w końcu zauważył, że ktoś idzie w jego kierunku, bo nagle przestał nucić pod nosem. Może doszedł do wniosku, że to dziwne podśpiewywać w czyjejś obecności?

Yasmine go nie zatrzymuje, ale gdy ją minął, odwraca się i ściąga kaptur. Ciepłe krople deszczu spływają jej po czole. Oddech jej przyspiesza, w ustach ma smak rdzy i żelaza. Czuje gwałtowny przypływ adrenaliny. Błyskawicznym ruchem wyciąga pistolet i kieruje go w stronę Ignacia, który jeszcze tego nie widzi, bo dalej jest zatopiony we własnych myślach.

Yasmine podbiega do niego i z całej siły kopie go w zgięcie kolanowe. Tak się to robi na Przedmieściu: zawsze w kolano, zawsze w zgięcie, z całej siły. Ignacio wydaje głośny okrzyk, traci równowagę i osuwa się na kolana. Jest kompletnie oszołomiony, nie wie, co się z nim dzieje. Odwraca się, zdiera słuchawki z uszu i patrzy na Yasmine.

– Kurwa! – krzyczy na cały głos i unosi ręce w górę. – To ty, Yasmine? *Que pasa, len?* Co ty wyprawiasz?

Ale ona nie odpowiada, tylko się rozgląda. W pobliżu nikogo nie ma, są zupełnie sami. Obiema rękami unosi pistolet i bez chwili wahania podchodzi do Ignacia. Patrzy mu prosto

w oczy, niech wie, że to nie przelewki, że sprawa jest poważna. W końcu zatrzymuje się przed nim, trzymając pistolet nie dalej niż metr od jego głowy.

– Komu na mnie doniosłeś, kutasie? – pyta Yasmine. – Tylko tobie ufałam.

– Co ci odbiło? – woła Ignacio. – Żarty sobie ze mnie stroisz? Przestań!

Oddech ma płytki, głos cienki i niepewny. Wie, że Yasmine nie żartuje.

– To nie żarty. Sprawa jest poważna.

Yasmine przyciska koniec lufy do jego policzka, jak na filmie. W jego oczach dostrzega prawdziwy strach. Ale nie tylko.

– O co ci chodzi? Co ty, kurwa, wyprawiasz?

Ignacio patrzy jej w oczy, ale nie jest to zwykłe błagalne spojrzenie. Widać po nim, że naprawdę nic nie rozumie. Yasmine nie zwraca na to uwagi. Zależy jej tylko na jednym – żeby się przyznał.

– Czy w ogóle rozumiesz, co zrobiłeś? – pyta. – Ty głupi chuju! Po tym, co się stało, od razu do mnie przyszli. Znaleźli mnie bez problemu. Wiedziałeś, gdzie mieszkam i po co wróciłam. Dlatego teraz mi powiesz, komu na mnie doniosłeś.

Yasmine jeszcze mocniej przyciska lufę pistoletu do jego policzka, ale widząc, że Ignacio jest kompletnie zagubiony, zaczyna mieć wątpliwości. Nie jest już taka pewna, czy ma rację. Ręka zaczyna jej drżeć.

Ignacio nadal klęczy z uniesionymi rękami, patrzy jej prosto w oczy. Nie pierwszy raz w życiu ktoś grozi mu pistoletem.

– Mówię poważnie, Yazz. *Wallah!* Przysięgam. Nie mam zielonego pojęcia, o co ci chodzi.

Yasmine już wie, że Ignacio mówi prawdę, ale nie umie się z tym jeszcze pogodzić. Przecież była taka pewna. Jeśli nie on, to kto?

Drżącymi rękami jeszcze mocniej przyciska pistolet do jego policzka. W pewnej chwili Ignacio wykonuje lekki ruch do przodu, jakby chciał się pochylić w jej stronę. W tym samym momencie dociera do niej, że Ignacio nie zamierza się bronić ani uciekać. W jego szeroko otwartych oczach widać tak wielką szczerłość, że pistolet, który Yasmine trzyma w dłoniach, robi się nagle bardzo ciężki. W końcu upuszcza go na ziemię, broń uderza o asfalt z głośnym traskiem.

Yasmine czuje się nagle tak, jak gdyby w jednej chwili opuściły ją wszystkie siły, jak gdyby zalała ją fala wspomnień o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatniej doby, ostatniego

tygodnia, a nawet przez ostatnie cztery lata. Powoli osuwa się na ziemię. Nie jest już w stanie utrzymać się na nogach, bo robią się słabe jak cienkie gałązki. Przechodzi do innego świata, ale czuje, jak dwoje silnych ramion mocno ją obejmuje i podnosi z ziemi. Czuje na swoim czole dotyk gęstej brody i słyszy, jak ktoś do niej szepcze: – Spokojnie, Yazz, tylko spokojnie.

Potem idą do cukierni koło stacji metra. Właściciel chce zamykać, w lokalu jest tylko jakiś emeryt z bułką w drżącej dłoni. Yasmine nie pamięta, jak się tam znalazła i skąd na stoliku wzięła się nagle gorąca czekolada i kanapka z serem. Pistolet ma zatknięty za pasek spodni. Ignacio siedzi naprzeciwko niej, milczy i spokojnie ją obserwuje. W ręce trzyma kubek z kawą, w gęstej brodzie zostało mu kilka okruszków po jedzonym ciastku.

– Pistolet nie był nabity – stwierdza cichym głosem Yasmine. Rozgląda się uważnie i dodaje: – Chcę, żebyś o tym wiedział.

Uśmiecha się do niego szeroko, a Ignacio wybucha śmiechem.

– *Good to know* – odpowiada, gryząc z zadowoloną miną ciastko.

I znowu zapada cisza. Yasmine wypija trochę czekolady. Potem pochyła się nad blatem i opowiada o ostrzeżeniu, które znalazła w pokoju w Story Hotell. Była absolutnie pewna, że to on ją zdradził, i chyba po raz setny go za to przeprasza. Nie wspomina jednak o Fadim i o broni. Lepiej nie wyzywać się wszystkich atutów.

– A skąd masz tego gnata? – pyta Ignacio.

Yasmine wzrusza ramionami.

– To długa historia.

Ignacio kiwa głową, zlizuje z palców krem z ciastka i wypija resztę kawy.

– Za to tamte obrazki... – zaczyna Yasmine.

Ignacio kiwa powoli głową, pochyła się nad stolikiem i mówi ściszym głosem: – Miałem nadzieję, że dasz sobie spokój z tą sprawą. Próbowałem cię ostrzec. Ludzie są przerażeni. Te rysunki z symbolem zauważyliśmy jakiś tydzień temu. Najpierw przy placu Piratów, potem wszędzie. Każdego ranka pojawiały się... ja wiem? ...w dwudziestu nowych miejscach. Tylko na samym Przedmieściu. W ciągu jednej nocy.

– A koty?

Ignacio wzrusza ramionami.

– Ja ich nie widziałem. Myślę, że był tylko jeden: ten, którego mi pokazałaś. Ale teraz zdjęcie kota jest już w całym internecie. Paskudnie to wygląda, co? Żeby udusić kota

sznurem? To jakiś *crazy shit*.

Yasmine kiwa głową.

– Masz rację. Ale co to może znaczyć?

– Nie wiem. Oglądałaś dzisiaj wiadomości w telewizji?

– Masz na myśli zamieszki? Czy dochodzi do nich tylko w Bergort?

– Myślę, że zaczęły się u nas, ale potem rozprzestrzeniły się na wiele innych miejsc. Podobno symbol namalowany sprejem pojawił się też w Fittja. Myślę jednak, że Bergort znajduje się w centrum wydarzeń. Samochody płonęły tu prawie każdego wieczoru jeszcze przed tym, co wydarzyło się ostatniej nocy.

Ignacio ścisza głos i rozgląda się, żeby sprawdzić, czy ktoś go nie podsłuchuje.

– Coś się szykuje, siostró. Najgorsze, że to naprawdę jakaś gruba sprawa. I wcale nie chodzi o młodzież, która w taki sposób okazuje niezadowolenie.

– A skąd wiesz?

Ignacio znowu opiera się o krzesło, jak gdyby to pytanie uraziło go do żywego.

– A jak myślisz? Ja miałbym nie wiedzieć? Bądź poważna i mnie też traktuj poważnie. W tej sprawie chodzi o coś zupełnie innego. Ktoś to wszystko organizuje według jakiegoś planu. Zaczęło się od tego, że ktoś umieścił w internecie zdjęcie kota. Potem spłonęło kilka fur, a jak zjawily się gliny, chłopaki obrzucili ich kamieniami. Potem przez dwa dni było cicho, w weekend zamieszki wybuchły na nowo. A teraz? *Shit*, teraz te symbole są na całym Przedmieściu. W ciągu kilku ostatnich nocy podpalono dziesięć wozów.

Ignacio znowu ścisza głos i rozgląda się po cukierni.

– Muszę już iść. Jeśli chcesz, to chodź ze mną, opowiem ci, co wiem, okej?

Wstają od stolika i wychodzą na dwór żegnani wesołym brzęczeniem dzwonka przy drzwiach. Deszcz przestał padać i niebo się rozjaśniło.

– Kiedy w ostatni poniedziałek pytałaś mnie o tamte zdjęcia, uznałem, że lepiej będzie nic nie mówić. Bałem się o ciebie, *querida*. Pochodzisz stąd i chyba jeszcze pamiętasz, jakie obowiązują tu zasady. Ludzie uważają, że nas zdradziłaś. Ni stąd, ni zowąd wyjechałaś i nie dawałaś znaku życia. Na twój temat krążyły straszne pogłoski. My wiemy, że są nieprawdziwe, ale ci, co tego nie wiedzą, gadali, że ukradłaś Redowi mnóstwo kasy i zniknęłaś bez śladu. Sama wiesz, co ludzie potrafią wymyślić.

Yasmine kiwa głową. Bardzo dobrze wie, jak to działa. Wiedziała też o tym w chwili, gdy stąd wyjeżdżała. Zdawała sobie sprawę, że trudno jej będzie wrócić.

– Dlatego wołałem cię w to wszystko nie wciągać. Rozumiem jednak, że sprawa zrobiła się poważna. Sądziś, że to ma coś wspólnego z Fadim? Że to on maluje sprejem ten symbol, który masz na zdjęciu? Pięść i gwiazdę?

– Wiem, że to ma z nim coś wspólnego – potwierdza Yasmine.

Oboje idą spokojnym krokiem tam, skąd przyszli.

– Już ci mówiłem, że to wszystko jest przez kogoś organizowane.

Ignacio odwraca się i patrzy na nią.

– Chłopaki robią to samo co zawsze: bazgrają sprejem po ścianach, palą samochody, rzucają kamieniami i tak dalej. Ale tym razem ktoś za tym stoi. Ten ktoś daje im wskazówki i mówi, co i kiedy mają robić. Malują symbole z gotowych szablonów? *Shit*, siostró! Czy nie wyglądają na bandę nieudaczników? Przecież oni nie potrafią nawet dobrze spalić samochodu!

– Chcesz powiedzieć, że ktoś im daje te szablony?

– Tak. A gdy ma dojść do rozróby, ktoś przywozi tutaj ludzi spoza naszego Przedmieścia. To doświadczeni kolesie. Mają hełmy, proce i wszystko, co potrzeba.

– A kto za tym stoi? Kto to wszystko organizuje? I w jakim celu? Co chce przez to osiągnąć?

Ignacio wzrusza ramionami.

– Sama wiesz, jak to jest. Ludzie gadali i dalej będą gadać. Kiedyś zagadają się na śmierć. Jedni mówią, że to spisek i że stoi za tym jakaś szwedzka firma, która chce nas usadzić. Ktoś inny widział wypasione audi na parkingu przed szkołą. Jeden z tych zamaskowanych typów przyjmował polecenia od faceta, który siedział w samochodzie.

Ignacio wybucha śmiechem i kręci głową.

– Te same pieprzone brednie co zawsze. Za wszystkim stoją jak zwykle Żydzi i zakon iluminatów.

– Tylko po co ktoś miałby się włamywać do mojego pokoju i malować sprejem symbol na ścianie? Co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

Powoli zbliżali się do stacji metra.

– Ktoś puścił farbę. Dał cynk, że zadajesz pytania. Ale to na pewno nie byłem ja. Ktoś o tobie wie. To musi być osoba, z którą rozmawiałaś.

Oboje patrzą na siebie spokojnym wzrokiem.

– Coś ci jeszcze powiem – mówi Ignacio. – Zresztą nie wiem, czy powinienem, bo

wolałbym, żebyś się do tego nie mieszała.

– Powiedz, co wiesz. I tak wcześniej czy później wszystkiego się dowiem.

– Masz rację... Ostatniej nocy wybuchły groźne zamieszki. Wiesz o tym?

Yasmine kiwa głową.

– Byłem na mieście, zanim się zaczęły, po naszej rozmowie. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej. Od chłopaków, których znam. Młodszego brata Alego Fivesa i jego kumpli. Spędzają na mieście prawie każdą noc, ciągle gdzieś rzucają kamieniami albo butelkami. Dowiedziałem się, że polecenia wydaje im jakiś zamaskowany chłopak, a właściwie nie chłopak, tylko facet. Nie wiedzą, kim jest, ale takich jak on, którzy to kontrolują i kierują ludźmi, jest wielu. Zazwyczaj spotykają się na Camp Nou, wiesz, naszym boisku, gdzie gramy w piłkę. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, zacznij od tego miejsca. Wolałbym jednak, żebyś tego nie robiła.

Yasmine znowu kiwa głową.

– Dzięki, będę ostrożna.

– Uważaj, z kim rozmawiasz, i nie wymachuj tak tym gnatem. Następnym razem mogą nie poprzestać na zwykłym ostrzeżeniu. I pamiętaj: to może być każdy.

Yasmine pochyła się i mocno go obejmuje.

– Ja już wiem, kto mnie zdradził – szepcze mu do ucha.

30. Syria – maj i czerwiec 2015 roku

Mijają dni. Sytuacja na froncie nie ulega zmianie, bo ani my, ani wojska al-Asada nie są na tyle silne, żeby doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia. Walki toczą się w wolnym tempie, stają się coraz bardziej mechaniczne. Z workami z piaskiem, domowej roboty granatami i entuzjazmem w oczach robimy szybkie, choć niezbyt energiczne wypadki i jeszcze szybciej się wycofujemy. Przypomina mi to czasy, gdy byłem młodszy, noce, gdy płonęły samochody i walczyliśmy z glinami. W rękach mieliśmy kamienie, w głowach ciasnotę, biedę i testosteron. Tym razem nasze cele są inne, bardziej doniosłe. Mamy inną motywację, jesteśmy bardziej wytrzymali i lepiej uzbrojeni. Nieprzyjaciel odpowiada na nasze ataki bombami rozpryskowymi i wysyła przeciwko nam strzelców wyborowych.

Brat Shahid zabiera mnie czasem tam, gdzie toczą się walki. Robi to, gdy widzi, że ogarnia mnie zwątpienie, że mam dosyć czyszczenia butów i robienia z kobietami zakupów na bazarze.

– Strzelasz coraz lepiej – stwierdza, otwierając drzwi samochodu od strony pasażera. – Może będziemy cię dzisiaj potrzebować?

Kiedy słyszę takie słowa, przepełnia mnie duma i nadzieja, rosną mi skrzydła, ogarnia mnie entuzjazm. Wskakuję do samochodu i w milczeniu jedziemy na linię frontu.

Na miejscu okazuje się, że bracia nie mają dla mnie żadnych zadań. Działają w sposób skoordynowany, jak aktorzy albo tancerze. Strzelają zza osłon i przez dziury w ścianach. Co jakiś czas robią uniki, pochylają się i znowu strzelają. Mają miejsca, w których trzymają granaty, wypracowali wzorce zachowań i rytuały. Ja mam tylko moją nieporadność i zero kwalifikacji. Dlatego zajmuję się czym innym: gotuję im herbatę, pomagam wznosić osłony, napełniać worki piaskiem albo ustawiać domowej roboty granatniki.

Tak właśnie wygląda mój dżihad. Nie przypomina miecza, tylko szczotkę do czyszczenia butów należących do braci; nie przypomina świszczącej kuli wystrzelonej w głowę nieprzyjaciela, tylko pustą łuskę po naboju porzuconą na ziemi i pozbawioną znaczenia. Mimo to dalej się modlę i odmawiam wersety z Koranu. Satysfakcję czerpię z samego faktu rozmowy, gdy wieczorem siedzimy wokół kuchenek polowych i prowadzimy długie dyskusje na różne tematy: że każdy z nas, razem i osobno, jest częścią sprawy, że walczymy

za naszych braci i siostry, że budujemy społeczeństwo, które wybrało Mahometa, niech Bóg ześle mu pokój i obdarzy swoim błogosławieństwem.

Czasem, kiedy wieczorem leżę na materacu, czuję się przepełniony tym uczuciem. Odnoszę wrażenie, że dotykam jądra istoty, że obejmuję go dłońmi i ogarniam sercem. Niekiedy to nie wystarczy, więc siadam przy oknie i tak długo liczę gwiazdy, aż zaczynam się bać, że odległość i pustka mnie unicestwią.

Nigdy jednak nie zwierzam się z tego bratu al-Aminowi podczas naszych krótkich i nieregularnych rozmów prowadzonych przez trzeszczący telefon satelitarny. Wolę opowiadać o bohaterstwie naszych braci na froncie, w moich bujdach występuję w roli głównego bohatera. Brat al-Amin słucha mnie uważnie i chwali, że tak dobrze się z nimi zintegrowałem. Zapewnia mnie też, że Allah – niech błogosławione będzie imię Jego – jest ze mnie dumny. Za każdym razem przypomina mi o zdrajcy i o tym, że mam zachować ostrożność i nie przyznawać się przed braćmi, że ze sobą rozmawiamy. Nie jest nawet pewien, czy powinienem zaufać bratu Shahidowi. Al-Amin twierdzi, że tylko razem możemy temu zaradzić. Prosi, żebym mu opowiedział, jak nam się tutaj żyje. Interesują go wszystkie szczegóły. Prosi mnie na przykład o zdjęcia okolicy, więc chętnie mu je wysyłam. Dzięki temu nie muszę zmyślać: wszystko mogę udokumentować i o wszystkim szczegółowo opowiedzieć.

– Nasza szansa w końcu nadejdzie – powtarza często brat al-Amin. – Dlatego musisz zachować czujność. Mam pewien plan. Otóż zdarza się czasem, że wysocy przywódcy zjawiają się niespodziewanie na miejscu, żeby obejrzeć, jak walczą nasze oddziały na froncie. Za każdym razem nocują gdzie indziej, żeby szpiedzy tych psów i lokajów z Zachodu, oby wiecznie płonęli w ogniu piekielnym, nie mogli ich zabić za pomocą swoich bomb i dronów. Kiedy się zjawią, przystąpimy do realizacji naszego planu.

– A na czym on polega? – pytam podekscytowany. – I jak mogę pomóc?

– Powiadom mnie, kiedy się u was zjawią, a ja uratuję naszych przywódców i zdemaskuję zdrajcę, który chce ich zabić.

Pewnego czerwcowego dnia, gdy jestem już po obiedzie, pod nasz dom podjeżdża z dużą prędkością samochód brata Tariqa, wzniesając za sobą gęste tumany czerwonego pyłu. Jest gorąco, jak latem na Przedmieściu. Siedzę z kubkiem miętowej herbaty, oparty plecami o rozgrzaną od słońca ścianę. Przed chwilą próbowałem naprawić rury wodociągowe w łazience. To dość niezwykle, że bracia wracają z frontu o tej porze dnia. Może coś się

stało? Może te tchórzliwe psy raniły albo zabiły w walce któregoś z naszych braci? Widząc, że samochód zatrzymuje się przed domem, wstaję i podbiegam do niego.

– Co się stało? – pytam brata Tariqą.

Jak zwykle obdarza mnie pogardliwym i podejrzliwym spojrzeniem. Zaczynam żałować, że tak biegłem. Zachowałem się jak idiota, sługa albo niewolnik.

– Mam dla ciebie zadanie, Fadi – odpowiada brat Tariq.

Zawsze tylko „Fadi”. Nigdy nie zwraca się do mnie „bracie”. Jak gdybym nawet tego nie był wart.

– Zgoda – odpowiadam. – Zrobię, co tylko będę mógł, żeby móc służyć Allahowi, niech błogosławione będzie imię Jego.

– Wiesz, gdzie jest zajazd dla gości, prawda?

Potwierdzam skinieniem głowy. Zajazd to pusty dom mieszkalny przy targu. Stoi w jedynej części miasta, gdzie nadal mieszkają ludzie. Widziałem tam nawet brudne dzieci siedzące na ziemi przed meczetem. Czasem sami śpimy w zajeździe. Chodzi o to, aby nie nocować w tym samym miejscu, bo inaczej te psy i lokaje zrzucą na nas nocą bomby.

– Jasne – odpowiadam. – Dlaczego pytasz?

– Dziś w nocy będą u nas goście. Przygotuj razem z kobietami trzy pokoje, połóż materace i pościel. Będzie dwanaście osób.

– Dwanaście?

Goście to u nas rzadkość. Kilka razy przez naszą wieś przejeżdżały pojedyncze grupy bojowników jadących na inny front. Po drodze zatrzymywali się u nas. Ale od mojego przyjazdu zdarzyło się to tylko jeden czy dwa razy. Poza tym nigdy nie było tych gości aż tylu.

– Tak – potwierdza Tariq. – Dwunastu. Poradzisz sobie?

Znowu ten jego pełen wyższości uśmiech na twarzy. Jakoś to przełknę. Jednocześnie przychodzi mi na myśl, że być może takie zdarzenie miał na myśli brat al-Amin. Może to na taką okazję czeka zdrajca? Ważni goście, o których będzie mógł powiadomić władze.

– Jasne. A kto przyjedzie?

– O tym nie musisz wiedzieć, Fadi. Przygotuj materace i wodę. Poproś też siostrę Monę i inne kobiety, żeby poszły na bazar kupić jagnię.

– Całe jagnię?

– Chyba wyraziłem się jasno?

Tariq się odwraca i wraca do jeepa. Rzuca karabin na siedzenie i rusza z powrotem w kierunku, z którego przyjechał.

Czekam, aż opadnie kurz, i po chwili słyszę tylko nieregularny grzechot karabinów maszynowych. Dopiero wtedy wyciągam z kieszeni telefon satelitarny i z mocno bijącym sercem dzwonię do brata al-Amina.

31. Londyn – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku

Klara nadal siedzi nieruchomo na krześle. Jest sparaliżowana widokiem Patricka, który majstruje przy zamku. Wygląda na to, że się zaciął. W końcu otwiera drzwi i wchodzi do klatki. Dopiero w tym momencie Klara budzi się z odrętwienia i nalewa sobie do kieliszka resztę wina z butelki.

Nie spuszczać budynku z oczu, przechodzi przez pub i wychodzi na ulicę. Z tego miejsca może obserwować wszystkie piętra. Zapala papierosa i staje blisko wejścia do pubu, żeby Patrick jej nie zobaczył, jeśli przypadkiem wyjrzy przez okno.

Minutę później w oknie na trzecim piętrze zapala się światło. Klara nie wie, co dzieje się w środku, ale widzi cień człowieka na ścianie.

Patrick. Czy to on ukradł jej laptopa? Wprawdzie to dziwak, który zachowuje się nienormalnie, ale żeby od razu oskarżać go o kradzież? Czuje gwałtowny przypływ siły i odwagi, jest zdecydowana działać. Czy to skutek wypitego wina? O co mu chodzi? Dlaczego ukradł jej laptopa i zainstalował w nim swój program? Żeby ją śledzić?

A może jest po prostu zazdrosny, że to ona pomaga Charlotte przygotować raport? Z jakiego innego powodu miałyby napisane na tablicy w swoim pokoju zdanie „The Stockholm Conference”? Wprawdzie słyszała, że wykładowcy na uniwersytetach podkradają sobie prace i podstawiają nogi, ale żeby zrobić coś takiego? Kraść koleżance z pracy komputer, żeby się do niego włamać?

Co spodziewał się tam znaleźć? A może chciał ją zniszczyć, wykasować to, co napisała, i skompromitować ją w oczach Charlotte?

Przez cały czas się bała, że wszystkie te wydarzenia wiążą się jakoś z tym, co stało się w tamto Boże Narodzenie, że chodzi o międzynarodową aferę i że jest w to zamieszany jakiś wywiad. Tymczasem sprawa jest prosta jak drut. Chodzi o zwykłą ludzką zazdrość kogoś tak małego, jak Patrick Shapiro.

Nie ma jednak czasu, żeby dalej snuć swoje rozważania, bo w mieszkaniu na trzecim piętrze gaśnie światło. Klara szybko kryje się w cieniu. Chwilę potem z budynku naprzeciwko wychodzi Patrick. Starannie zamyka za sobą drzwi i rusza szybkim krokiem w kierunku stacji metra na Warwick Avenue.

Klara przez chwilę się waha, ale w końcu pozwala mu się oddalić na pewną odległość.

Zastanawia się, czy nie powinna za nim pobiec, chwycić za ramię i krzyknąć: „O co ci chodzi, błaznie?”.

Ale po dziesięciu metrach zatrzymuje się i wraca w zacienione miejsce, gdzie przed chwilą stała. Zauważyła bowiem, że z cienia po drugiej stronie ulicy wyszli dwaj mężczyźni, którzy od razu ruszyli za Patrickiem. Mieli w sobie coś, co się jej nie spodobało. Wytarte dzinsy? Błyszczące, skórzane kurtki? Barczyste plecy? Sposób, w jaki się poruszają, wtapiają w tło, a zarazem wyróżniają wyglądem wśród innych ludzi? Nagle uświadamia sobie, że sprawa może być o wiele bardziej skomplikowana, niż jej się wydaje. Niewykluczone, że chodzi o coś więcej niż zazdrość Patricka, a w sprawę zamieszani są dwaj mężczyźni w skórzanych kurtkach i butach na gumowej podeszwie.

Mimo to nie umie się powstrzymać. Wypite wino i nowy cel, jaki sobie wyznaczyła, skłaniają ją, żeby ruszyć śladem całej trójki ulicą Warwick Avenue. Robi to jakby wbrew swojej woli. Dzięki temu przez chwilę czuje, że naprawdę żyje.

Nie patrzy na Patricka, tylko skupia uwagę na mężczyznach w skórzanych kurtkach. Idzie za nimi w tak dużej odległości, że prawie traci ich z oczu. Kiedy dochodzi do stacji metra, jest prawie pewna, że ich zgubiła. W ostatniej chwili spostrzega, że jeden z nich – ten z ogoloną na łyso głową – schodzi na peron. Czuje się tak, jakby nadjeżdżający pociąg miał się za chwilę wykoleić, doprowadzając tym samym do katastrofy.

W pewnym momencie zatrzymuje się w pół kroku. Szumi jej w głowie, świat wiruje jej przed oczami. Nagle słyszy głośnie krzyki. Jak we śnie widzi, że pociąg dojechał tylko do połowy peronu i zatrzymał się jak smok z japońskich kreskówek *manga* – płaski, biały, zmęczony.

Na peronie jest około trzydziestu osób. Niektóre z nich stoją nieruchomo i przyciskają dłonie do uszu, jakby chciały je zasłonić przed chrzęstem kół. A przecież na stacji panuje niezwykła cisza.

Nagle słyhać głośnie krzyki. Po chwili w stronę czoła składu biegnie mężczyzna z kobietą. Cała ta scena jest tak nierealna, jakby ktoś otworzył okno oddzielające od siebie dwie różne rzeczywistości: po jednej stronie istnieje zwykły świat, w którym ludzie czekają spokojnie na pociąg; po drugiej znajduje się świat chaosu, w którym ludzie krzyczą na cały głos, a przypominające smoki pociągi zatrzymują się w połowie peronu.

Klara się rozgląda, ale nie widzi ani Patricka, ani mężczyzn w skórzanych kurtkach. Podchodzi do stojącego w pobliżu kolorowego mężczyzny ubranego w garnitur. Jest w jej

wieku i zachowuje się spokojnie – nie krzyczy, nie panikuje, tylko stoi nieruchomo i patrzy na nieruchomy pociąg, jak gdyby obserwował jakąś artystyczną instalację.

– Co się stało? – pyta Klara.

Niestety, mężczyzna jest chyba w szoku. Usta ma na wpółotwarte i nie może oderwać wzroku od torów. Powoli się odwraca, ale nie patrzy na Klarę. Jego spojrzenie biegnie gdzieś poza nią – albo przez nią. Wyciąga rękę w stronę pociągu i mówi niepewnym, zdezorientowanym głosem:

– Przed chwilą jakiś facet wpadł pod pociąg.

32. Bergort – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku

Jeśli zdrajcą nie jest Ignacio, to może nim być tylko jedna osoba. Jeśli słusznie się domyśla, to ta zdrada ma jeszcze większy ciężar gatunkowy i jest jeszcze bardziej zdumiewająca.

Parisa. Yasmine przeciska się przez tłum pasażerów na stacji metra Slussen i intensywnie myśli. Dlaczego ona? Dlaczego ją zdradziła? W takim miejscu jak Bergort pojęcie lojalności jest trudne do zrozumienia, nawet jeśli ktoś tu mieszka. Po czterech latach nieobecności wie na ten temat jeszcze mniej. A przecież była pewna, że ich przyjaźń jest silniejsza niż wszystko inne.

Zresztą kto wie? Może Parisa po prostu wspomniała Mehdiemu, że ją spotkała, a on wyciągnął z tego własne wnioski? W takim razie rodzi się pytanie, dlaczego Mehdi jej groził. Przecież zależy jej tylko na znalezieniu Fadiego – pod warunkiem, że żyje i wrócił do Sztokholmu.

W otoczeniu brudnych ścian metra nie jest w stanie skupić myśli, więc przeciska się przez barierki i wychodzi na Södermalmstorg. Na dworze pada deszcz. Jej oczom ukazuje się sztokholmska starówka, która przypomina pastelowe ciastko na talerzu. Jeśli ktoś mówi, że jest ze Sztokholmu, to pewnie ma na myśli to miejsce. Sztokholm na wodzie, Sztokholm czystych, eleganckich domów, Sztokholm zielonych wysp i piwnych ogródków. Nigdy nie myślała, że Sztokholm to właśnie to miejsce. Jej Sztokholm znajduje się na Przedmieściu.

Przechodzi przez ulicę i wychyla się przez barierkę nad wodą. Co się właściwie stało? Fadi żyje. Świadomość tego faktu przepełnia ją dziwną czułością, może nawet szczęściem albo nadzieją na nie. Z drugiej strony odczuwa pustkę. Jeśli żyje, to dlaczego się z nią nie skontaktował? A ta broń pod łóżkiem? W co on się wplątał?

Nagle ogarnia ją tęsknota za Davidem; ale nie za tym, którego zostawiła niecały tydzień temu w Nowym Jorku, i nie za tym, który uderzył ją pięścią w głowę, przez co do dzisiaj czuje pulsowanie w skroni. Tęskni za Davidem, z którym przyjechała do Ameryki i który uświadomił jej, że nie powinna dłużej mieszkać w świecie betonu, że musi wyjechać z Przedmieścia. Tęskni za Davidem, który jej uświadomił, że Przedmieście ciągnie ją w dół, że jest niewolnicą pewnych wzorców biorących się z nierównych, dysfunkcyjnych

lojalności. Tęskni za Davidem, który pracował po całych dniach i nocach, malował obrazy, żeby zarobić na ich wspólny wyjazd. Tęskni za Davidem pełnym energii i miłości, w którym nie było pustki i dziur, za Davidem, który pozwolił jej nie dostrzegać konsekwencji i sygnałów ostrzegawczych i sprawił, że odważyła się wyrwać z tego miejsca. Jak spłaciła ten dług? Jak mu się odwdzięczyła za to, co dla niej zrobił, gdy tak bardzo potrzebowała pomocy? Zostawiła go, gdy potrzebował jej najbardziej.

Yasmine kuca przy barierce i czuje, jak powoli schodzi z niej powietrze. Prawie cały tydzień broniła się przed takimi myślami, chociaż wiedziała, że taka chwila w końcu przyjdzie, że sytuacja sprowokowana przez nią na Brooklynie była wynikiem przelotnego oczarowania, które nie ochroni jej po wszystkie czasy. Wie jednak, że akurat w tym momencie nie może się poddać takim myślom.

Musi się uodpornić.

Powoli się prostuje. David i Fadi. Mama. To od nich uciekła, to od nich musi nadal uciekać. Jak żyć, gdy człowieka ciągnie w różnych kierunkach?

Ale ona już dokonała wyboru. Wiedziała o tym od chwili, gdy zaginął Fadi, gdy dotarła do nich wiadomość o jego śmierci i gdy potem się dowiedzieli, że wrócił na Przedmieście. Już nigdy więcej go nie zawiedzie. Powoli się odwraca i idzie w stronę stacji metra.

W Bergort coś wisi w powietrzu. Czuje to w chwili, gdy wysiada na peron. Trudno to pochwycić zmysłami. Jakby zapach gazu łzawiącego i acetonu, policyjne pałki i płonąca guma. Widzi potłuczone szkło na peronie, symbol namalowany sprejem na każdym słupie, widzi to w oczach pasażerów. Atmosfera w Bergort robi się coraz gęstsza. Ktoś odkręcił gaz. Teraz wystarczy jedna mała zapałka i wszystko wyleci w powietrze.

Yasmine przypomina sobie, że podobny nastrój panował w poprzednich latach, gdy była bezrobotna i nie miała się czym zająć. W piaskownicach i przed pustymi lodówkami, w zamkniętych świetlicach i po przegranych meczach piłkarskich rosła frustracja: z żalu, że lato się skończyło, i z braku pieniędzy. W tamtych czasach do zamieszek dochodziło z byle powodu.

Widzi to teraz, gdy idzie rampą w stronę miasta: na parkingu, gdzie stoją dwa spalone samochody, w oczach chłopaków gromadzących się przed lokalem Syryjczyka, po sposobie, w jaki trzymają papierosy, jak plują i wypuszczają dym w kierunku pędzących po niebie chmur. Widzi to w ich spojrzeniach i błędnych priorytetach. W ich krótkim śmiechu słyszy, że się zaczęło, że lont już się tli.

Parisy nie ma w salonie fryzjerskim, a ponieważ Yasmine nie chce, żeby jej matka ją zobaczyła, przyspiesza kroku i kieruje się w stronę placu Piratów. Wszędzie widać namalowane sprejem symbole z szablonu. Jest w tym coś nieprzyjemnego, jakiś totalitaryzm, czysta propaganda.

Plac jest pusty, ułożone w szachownicę płyty nadal leżą równo, ale są śliskie od porannego deszczu. Yasmine przechodzi obok szyldu reklamującego mrożonego kurczaka. Jego bezsens doprowadza ją nagle do takiej wściekłości, że z całej siły uderza w niego pięścią. Reklama wydaje żałosny dźwięk i dalej kołysze się na zardzewiałej podporze. Yasmine zadziera głowę, patrzy na betonowe bloki i anteny satelitarne.

– Fadi, gdzie jesteś? – szepcze.

Blok, w którym mieszka Parisa, przypomina wszystkie inne bloki na Przedmieściu. Dziesięć pięter, popękana fasada, balkony pokryte łuszczącymi się pastelowymi farbami, które irytują w swoim dążeniu do pokonania szarości. Drzwi wejściowe do budynku są otwarte, wystarczy je tylko pchnąć. Na siódme piętro trzeba wejść schodami, bo winda jak zwykle jest zepsuta.

Wspinaczka po schodach jest jak podróż w czasie: echo kroków po każdym pokonanym stopniu, chłodne powietrze, zapach czosnku i smażonego farszu wydobywający się z jednego z mieszkań, stłumiony płacz dziecka. Yasmine przypomina sobie zimowe noce, gdy nie mieli co z sobą zrobić, gdy wiaty przystanków autobusowych były zbyt chłodne, a świetlica od dawna nieczynna. Wchodzili do budynków, w których żadne z nich nie mieszkało, i pili tanie piwo kupione u Syryjczyka. Dym z papierosów wydostawał się przez niedomknięte drzwi na dwór i dostawał się w zasięg ulicznych latarni, gdzie nabierał niebieskotalowej barwy. Yasmine nie może określić, kiedy to wszystko się wydarzyło – dawno temu czy może wczoraj?

W końcu zdyszana dociera na siódme piętro. Ciężki pistolet uwiera ją pod koszulą naciągniętą na dzinsy. Na klatce schodowej nadal słychać echo jej kroków. Podchodzi do drzwi Parisy, zakrywa palcem judasza i wciska dzwonek.

W mieszkaniu słychać ruch i szuranie stóp po podłodze. Ktoś zwraca się do kogoś spokojnym tonem, jak do małego dziecka. Kroki cichną przy drzwiach, niewidoczna na razie osoba próbuje najwidoczniej wyrzeć przez judasza. W końcu słychać szcęk klucza przekręcanego w zamku. Parisa uchyla lekko drzwi, nie zdejmując łańcucha. Na rękę trzyma małe dziecko.

– To ja – mówi Yasmine.

Parisa przekręca głowę, żeby lepiej ją widzieć przez szparę, i uśmiecha się do niej. Ustami, nie oczami.

– To ty? – pyta. Yasmine od razu widzi po jej minie, że Parisa jest zaniepokojona tą niespodziewaną wizytą.

– Musimy porozmawiać, siostro.

Specjalnie wymawia to zdanie zimnym, lekko ironicznym tonem. Parisa głaszcze dziecko po policzku i patrzy jej niespokojnie w oczy. Zerka przez ramię, potem znowu pochyla się do szpary w drzwiach i mówi ściszym głosem:

– Nie tutaj i nie teraz.

Yasmine czuje, że ogarnia ją złość. Ma ochotę chwycić Parisę, wywlec ją na klatkę schodową, przeciągać po twardej kamiennej podłodze i krzyknąć: „Czy to ty mnie wydałaś, szmato?”.

Na widok dziecka jej złość jednak ustępuje.

– Kiedy? – pyta.

– Jutro – odpowiada Parisa jeszcze bardziej ściszym głosem.

W jej oczach pojawia się przelotny błysk. Robi prawie niewidoczny ruch głową za siebie, jakby chciała dać do zrozumienia, że nie jest sama.

– Wiem coś o Fadim – szepcze. – Jutro ci wszystko opowiem.

Parisa jeszcze raz zerka przez ramię.

– Jutro o trzeciej w parku zabaw.

33. Syria – czerwiec 2015 roku

Siedzę przy otwartym oknie wychodzącym na ulicę i nagle słyszę ryk silników, który przerywa panującą we wsi ciszę. Księżyc jest prawie w pełni, cała wioska tonie w srebrzystej poświacie, przytłumionym blasku i czarnych cieniach. Bracia zatrzymali się w zajeździe, zapach smażonej jagnięciny dociera aż tutaj, to znaczy do mieszkania, w którym ja i Tariq śpimy najczęściej.

Ja też chciałem tam pójść, ale kiedy za dnia zwróciłem się z tą prośbą do brata al-Amina, kazał mi tu czekać, sfotografować samochody, a potem wysłać mu SMS-a, gdy będą w drodze.

Mniej więcej po minucie widzę ostre światła reflektorów pierwszego pojazdu, który wjeżdża do wsi. Pozostałe nadjeżdżają z dużą prędkością. Okazuje się, że nie są to brudne, zakurzone wozy, jakimi jeździmy my, tylko dwa prawdziwe czarne SUV-y z przyciemnionymi szybami. Za nimi jadą dwa pick-upy z zamontowanymi na pace ciężkimi karabinami maszynowymi. Wyjmuję telefon, robię kilka zdjęć i wysyłam je od razu bratu al-Aminowi. Dopiero potem idę do zajazdu.

Jestem mniej więcej w pół drogi, gdy nagle czuję wibrowanie telefonu w kieszeni spodni. Wyjmuję aparat i widzę zdjęcie jakiegoś Araba o ciężkim, zmęczonym spojrzeniu. Ma gęstą, przyprószoną siwizną brodę i jest w nieokreślonym wieku. Może mieć równie dobrze czterdzieści, jak i pięćdziesiąt lat. Trudno to powiedzieć w odniesieniu do braci, którzy mieszkają tu od dłuższego czasu. Wyglądają tak, jak gdyby starzeli się w walce, a każdy rok na froncie równał się pięciu latom w zwykłym życiu codziennym.

„Jeśli przywódcą tej grupy jest ten mężczyzna, to zaczynamy akcję – pisze al-Amin. – Jest mądry i silny. Potwierdź, gdy go zobaczysz. *Inszallah*, bracie, już wkrótce dopadniemy zdrajcę”.

Czuję, jak krew uderza mi do głowy. Mocno ściskam karabin i dokładnie przyglądam się zdjęciu. Nie bardzo wiem, jak brat al-Amin zamierza rozwiązać problem ze zdrajcą, ale jestem pewien, że zostanie on szybko ukarany. Napełnia mnie to tak wielką radością, że przyspieszam kroku.

Goście zdążyli już wysiąść z samochodów i teraz stoją razem z braćmi wokół „grilla”, który tam wcześniej ustawiłem. Ów „grill” to dwa cementowe bloczki z metalowymi

prętami. W powietrzu unosi się zapach jagnięciny, którą Mona marynowała przez kilka godzin. Wyczuwam czosnek i inne przyprawy. Zazwyczaj jadamy skromnie, żeby nie odwracać myśli od modlitw i Allaha. Tak dużych kawałków jagnięciny nie jadłem od przyjazdu, dopiero teraz czuję, jak bardzo jestem głodny. Przede wszystkim jednak jestem podekscytowany, że już wkrótce ujawnimy zdrajcę i ten kundel zostanie złożony w ofierze, tak jak to jagnię.

Goście są ubrani podobnie jak my: mają lekko zużyty kamuflaż, szale i kałasznikowy przerzucone przez ramię. Ale w ich postawie i sposobie poruszania się jest coś, co sprawia, że od razu widać, że należą do innego gatunku ludzi. Myślę o Redzie, Blackeye'u i o tobie. Wydaje mi się, że wszyscy wyglądaliśmy podobnie, nawet gdy byliśmy starsi. Mimo to nie należymy do tego samego gatunku. Od samego początku było wiadomo, kto trafi na front, a kto będzie jeździł w SUV-ach z przyciemnionymi szybami.

W tym samym momencie zauważa mnie brat Tariq i daje mi znak, żebym podszedł bliżej.

– To brat Fadi Ajam – wyjaśnia po arabsku. – Nasz nowy członek. Tak jak ja pochodzi ze Szwecji, ale nawrócił się, chwala niech będzie Allahowi, aby uwolnić swoich arabskich braci i siostry.

– *Salam alejkum* – mówią goście.

– *Alejkum salam* – odpowiadam, dzięki czemu mam pretekst, żeby na nich spojrzeć.

Od razu zauważam mężczyznę, którego zdjęcie przysłał mi brat al-Amin. W blasku ognia widzę jego przyprószoną siwizną brodę i zmęczone oczy. Wygląda przynajmniej na pięćdziesiąt lat, choć równie dobrze może być starszy. Podchodzi do mnie brat Umar.

– Czy wiesz, kto to jest? – szepcze mi do ucha. Kręcę przecząco głową. – Pochodzi z Jemenu, odpowiada za obozy treningowe i cudzoziemskich bojowników.

Umar jeszcze bardziej ścisza głos.

– Krążą pogłoski, że jest bezwzględny.

Odwracam się do brata Umara, ale on patrzy już w innym kierunku. Kiedy wieczorami popijamy herbatę i o czymś dyskutujemy, nigdy niczego nie krytykujemy. Między wierszami można jednak wyczytać, że wielu braci jest niezadowolonych z pewnych decyzji, takich jak ataki w Europie czy masowe egzekucje. Wiem, że Umar i Shahid są takiego samego zdania jak ja, a mianowicie, że akty barbarzyństwa to błędna droga. Taki terror nie ma absolutnie żadnego sensu, bo walka toczy się tutaj. Wyzwolenie też przyjdzie stąd. Możemy żyć na tych ziemiach jak muzułmanie. Inne rzeczy mogą poczekać. Nie odzywamy się jednak,

zostawiamy to Allahowi, niech błogosławione będzie imię Jego. Niech się stanie według Jego woli.

Ponownie zerkam na mężczyznę z siwą brodą. Brat al-Amin pisał, że to mądry człowiek, że pomoże nam zidentyfikować zdrajcę. Teraz to najważniejsza sprawa. Jestem głodny, ale to się nie liczy. Kiedy brat Umar odchodzi, odsuwam się powoli od ogniska, aż jestem pewien, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Kogo ja obchodzę? Jestem tylko zwykłym sługą.

Ostrożnie wymykam się za róg i zachodzę na tył jednego z budynków. O tej porze z frontu dobiegają pojedyncze strzały. Wieczorem panuje zazwyczaj spokój, a bracia, którzy tam są, utrzymują tylko zajmowane pozycje. Ostrożnie wyjmuję z kieszeni telefon i dzwonię do brata al-Amina. Odbiera po pierwszym sygnale, głos ma napięty i niezwykle twardy.

– Bracie Fadi, czy to nasz człowiek? – pyta.

– Tak – potwierdzam. – To człowiek ze zdjęcia. Przywódca. Co mam zrobić?

– Wracaj do ogniska. Jedz i módl się, jak gdyby nigdy nic. Niedługo się odezwę.

Na tym rozmowa dobiega końca. Nie usłyszałem nawet zwykłego *Salam alejkum* ani pochwał na cześć Allaha. Stoję nieruchomo z telefonem w ręce.

Skąd al-Amin wiedział, że mamy tu ognisko?

Nie mam jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo nagle słyszę za sobą ciche kroki. Chwilę później słyszę metaliczny trzask odbezpieczanego zamka w karabinie.

34. Londyn – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku

Klara znowu patrzy na tory. Wydaje jej się, że peron i wielki biały smok skaczą w żółtym świetle reflektorów, ludzie wokół niej poruszają się chaotycznie i niezdarnie, a ona walczy o to, żeby odzyskać kontrolę nad otoczeniem. Wolałaby, żeby obrazy nie migotały i nie skakały jej przed oczami, ułożyły się w jeden uporządkowany ciąg, zamiast być mieszaniną pojedynczych strzępów. Obserwuje, jak motorniczy otwiera drzwi i wychodzi z kabiny. Porusza się jak na zwolnionym ujęciu. Klara mruży oczy i zaciska pięści. Kilka osób idzie w kierunku czoła pociągu. Nie potrafi powiedzieć, ile ich jest – dwie, a może trzy. Jest w takim stanie, że nie umie ich policzyć.

Waha się, ale nogi same niosą ją w stronę ludzi stojących na skraju peronu. Jakaś kobieta zeskoczyła na tory, inni wychylają się i patrzą w dół. Ludzie rozmawiają głośno, krzyczą coś do siebie, ale ich głosy są dziwnie przytłumione. Klara prawie ich nie słyszy. Maszynista podchodzi do nich, widać po jego minie, że jest zły.

– Co za dureń! – krzyczy na cały głos. – Musiał się rzucić akurat pod mój pociąg!

Głos ma ostry i straszny, wali pięścią w wagon. Robi to z taką siłą, że wyraźnie słychać uderzenie o plastik albo o blachę. Potem się odwraca i jakby kurczy w sobie, przypomina pusty i pomarszczony balon, z którego uleciało powietrze. Stoi oparty plecami o wagon i cały się trzęsie wstrząsany szlochem. Ktoś się nad nim pochyla i sadza go na peronie z wyciągniętymi do przodu nogami. Maszynista przypomina w tej pozycji dziecko ubrane w jasnoniebieski turban. Jego czarna broda lśni w blasku reflektorów.

Nogi niosą Klarę dalej, na skraj peronu. Są chyba nieświadome faktu, że wolałaby zostać tam, gdzie przed chwilą stała, odwrócić się i uciec. I nagle tam jest, tuż nad torami. Chciałaby odwrócić wzrok, ale oczy i szyja odmawiają jej posłuszeństwa. Pochyla się, żeby zobaczyć, co jest na szynach.

Nie słyszy własnego krzyku. Ktoś ją uspokaja, obejmuje ramieniem. Przez dłuższą chwilę nie zdaje sobie sprawy, że płacze. Dociera to do niej dopiero w chwili, gdy ktoś głaszcze ją dłonią po policzku, odciąga od torów, prowadzi na środek peronu i sadza na drewnianej zielonej ławce.

Kiedy ten chaotyczny film wreszcie się kończy i Klara znowu widzi wszystko w

jaskrawych barwach, na peronie roi się od strażaków, lekarzy i sanitariuszy. Widzi nosze i torby, w których prawdopodobnie znajdują się narzędzia do ratowania ludzkiego życia. Niestety, jest już za późno.

Stojący obok niej mężczyzna rozmawia z policjantem, który nie przypomina typowego angielskiego bobby'ego w charakterystycznym hełmie. Funkcjonariusz ma na głowie zwykłą czapkę z daszkiem, za pas zatknięte różne akcesoria. Nie ma tylko broni.

– Potem po prostu zrobił krok i spadł na tory – tłumaczy mężczyzna. – Wyglądało to tak, jak gdyby się poślizgnął, stracił równowagę i niechcący spadł.

– Widział pan całe zdarzenie? – pyta policjant.

– Chyba tak. Kątem oka.

Mężczyzna jest wyraźnie zadowolony ze swojej odpowiedzi. Widać po nim, że czuje się wprost uszczęśliwiony faktem, że może wystąpić w roli świadka. Klara odwraca się do niego i widzi przed sobą mężczyznę w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Ma krótkie bokobrody i ubrany jest w garnitur. Jego wygląd zdradza, że jest zamożny i przyzwyczajony do sytuacji, kiedy on coś mówi, a inni go słuchają. Ale Klara wie, że w rzeczywistości mężczyzna nic nie widział. To, o czym opowiada policjantowi, nie jest prawdą.

– Ktoś go zepchnął – mówi cichym głosem.

Mężczyzna odwraca się w jej stronę, a policjant patrzy na nią spod uniesionych brwi. Ma przyjazne brązowe oczy.

– Słucham? – pyta.

– Powiedziałaś, że ktoś go zepchnął – powtarza Klara i od razu czuje, że mówienie sprawia jej trudność. Musi prawie wyciskać słowa z ust. – Dwaj faceci ubrani w skórzane kurtki. Ostrzyżeni na jeża.

Widać, że mężczyzna jest zmieszany. Uśmiecha się nieśmiało, niepewnym wzrokiem zerka na policjanta, który też odwraca się do Klary.

– Schodziłam na peron, gdy to się stało – wyjaśnia Klara.

– Ale nie widziała pani samego momentu, gdy tamten człowiek spadł na tory?

– Przecież już mówiłam, że nie spadł. Zepchnęli go tamci dwaj gangsterzy.

– Ale pani tego nie widziała?

Klara prostuje się i patrzy na policjanta. Czego on nie rozumie?

– Nie. Nie widziałam samego zdarzenia, ale wiem, że było tak, jak mówię. Oni go śledzili.

W oczach policjanta pojawia się inny blask, mężczyzna dziwnie się uśmiecha. Policjant obejmuje Klarę, jakby chciał ją uspokoić, ochronić przed czymś, wytłumaczyć jej dziwne zachowanie.

– Rozumiem – mówi. – Zajmiemy się tym później, dobrze?

– Nie słyszał pan, co powiedziałam? Oni go zepchnęli!

Klara pochyła się tak blisko, że prawie dotyka jego śmiesznej czapki. Policjant cofa się o krok i odpycha ją delikatnie ręką, która nadal spoczywa na jej ramieniu. Klara ją odtrąca.

– Czy pani piła dzisiaj alkohol? – pyta policjant.

– Alkohol? A co to ma wspólnego z tą sprawą?

Policjant zerka na mężczyznę z bokobrodami. Wymieniają porozumiewawcze spojrzenie, policjant kręci głową. Klara znowu robi krok w jego stronę, jest już tak blisko, że czuje bijący od niego zapach mydła i potu. Ogarnia ją furia.

– Nikt inny nie przedstawił policji takiej wersji wydarzeń jak pani – stwierdza policjant.

– Przyjmę od pani zeznanie, ale proszę się uspokoić, dobrze?

– Niechże mnie pan w końcu wysłucha! – woła Klara. – Widziałam, jak ci dwaj szli za nim aż na sam peron. Byli ostrzyżeni na jeża, pochodzili z Europy Wschodniej.

Klara wie, że nie powinna podnosić głosu, ale denerwują ją ich lekceważące spojrzenia.

– Możecie sobie myśleć, że jestem histeryczką, ale powtarzam: stało się tak, jak mówię. Znam człowieka, który zginął pod kołami pociągu. Ma na imię Patrick.

Klara już nie mówi, tylko krzyczy. Na peronie robi się nagle cicho, jak gdyby betonowe ściany wchłonęły wszystkie inne dźwięki z wyjątkiem jej głosu. Policjant znowu odwraca się w jej stronę. Jego łagodne przed chwilą spojrzenie robi się twarde.

– Proszę pani, naprawdę nie ma powodu do krzyku. Obiecuję, że spiszę pani zeznanie. Najpierw jednak przesłucham tego dżentelmena.

Policjant wskazuje mężczyznę z bokobrodami, który patrzy na nią w dziwny sposób. W jego wzroku kryje się tak dogłębne zrozumienie jej wersji, że doprowadza ją to do szaleństwa. Na dodatek ten jego uśmiezek na twarzy.

– Proszę usiąść, postaram się pani pomóc – mówi policjant. Ujmuje ją łagodnie za łokieć i prowadzi do ławki. – Proszę tu na mnie poczekać.

Potem odwraca się do mężczyzny z bokobrodami.

– Dokończmy naszą rozmowę tam dalej – mówi, wskazując pobliski filar.

Klara czuje gwałtowny przyływ adrenaliny i smak wina w ustach. Chciałaby coś

zrobić, ale czuje się bezradna. Policjant ma gdzieś i ją, i jej zeznanie. Nikt inny nie zauważył tamtych dwóch facetów. Wzięli ją za histeryczkę, która widziała coś, czego nie ma. Już wyrobili sobie zdanie na jej temat.

Obejmuje głowę rękami, wpatruje się w peron i przez dwie minuty siedzi nieruchomo. Nikt nie zwraca na nią uwagi. Nagle czuje, że znowu ogarnia ją złość. Najpierw się z nią cackali, pocieszali i zapewniali, że się nią zajmą, a teraz, kiedy ich naprawdę potrzebuje, została sama. Spogląda w stronę filara, gdzie policjant nadal przesłuchuje świadka. Mężczyzna z bokobrodami odpowiada na pytania ożywionym głosem, wykonuje gwałtowne ruchy. Klara wie, że jego zeznanie jest w całości nieprawdziwe. Ale cóż, policja zawsze wierzy takim jak on.

Po jakimś czasie wstaje spokojnie z ławki i rusza w stronę ruchomych schodów. Ktoś je odłączył od prądu. Nikt nie zwraca na nią uwagi. Czuje, że za chwilę straci nad sobą kontrolę. Została sama ze swoim problemem. Tylko ona wie, co wydarzyło się naprawdę. Nikt inny.

W połowie schodów zaczynają jej drżeć nogi. Z trudem utrzymuje równowagę. Ręce też jej się trzęsą. Nie jest w stanie nad tym zapanować.

Patrick ukradł jej laptopa, a potem został zamordowany. Ktoś wepchnął go pod pociąg.

Robi się jej niedobrze. Gwałtowny ucisk w klatce piersiowej zmusza ją do zatrzymania się na schodach. Chyba zaraz zwymiotuje. Czuje szok i strach. O co w tym wszystkim chodzi?

35. Syria – czerwiec 2015 roku

– Z kim rozmawiasz, psie?

Głos Tariqa jest chłodny i spokojny, prawie przyjazny. Kręci mi się w głowie, czuję się tak, jakbym chciał nabrać powietrza i nie mógł. Stoję z telefonem w ręce i patrzę na Tariqa. Wpatruję się w lufę kałasznikowa, którą we mnie wymierzył. Stoi w pozycji do oddania strzału, z kolbą przyłożoną do ramienia. Karabin jest odbezpieczony i wycelowany w moją pierś. Wokół nas panuje całkowita cisza. Umilkł grzechot karabinów maszynowych, nie słysząc też naszych gości, bo siedzą za ścianą budynku, za który się wymknąłem. Jesteśmy tu sami: ja i Tariq.

Mam całkowity zamęt w głowie, słyszę głos al-Amina. Skąd wiedział, że palimy ognisko? Tariq nadal stoi z wycelowanym we mnie karabinem.

W tym momencie znowu dzwoni telefon. Wibruje i świeci w mojej ręce. Przypomina małą latarkę rozświetlającą ciemności. Tariq macha niecierpliwie lufą.

– Kto dzwoni? – pyta. – Z kim rozmawiałeś, psie?

– Z mamą w Szwecji.

– Odbierz i przełącz na tryb głośnego mówienia albo klnę się na Boga, że zastrzelę cię na miejscu.

Waham się. Bez względu na to, co zrobię, zginę. Czy taką śmierć można uznać za męczeńską? Strzał w klatkę piersiową z powodu nieporozumienia, do którego doszło na piaszczystym podwórzu za pustym domem?

Telefon nadal wibruje i podskakuje mi w ręce. Nie chcę jeszcze umierać, ani jako męczennik, ani jako zwykły śmiertelnik. Nie teraz i nie w takich okolicznościach.

– Tylko spokojnie – mówię do Tariqa. – Zachowaj spokój.

Unoszę telefon w teatralnym geście, wciskam zielony przycisk, przełączam na tryb głośnego mówienia i słyszę brata al-Amina. Mówi zdyszczanym, podekscytowanym głosem.

– Wróciłeś do ogniska, Fadi? – pyta bez żadnego wstępu. – Musisz podejść do przywódcy, zrozumiałeś? Jeśli tego nie zrobisz, nie zidentyfikujemy zdrajcy.

Patrzę na Tariqa. Lekko opuścił lufę, przysłuchuje się rozmowie, ale nic nie rozumie.

– Dobrze – potwierdzam. – Zaraz tam pójde.

– Pospiesz się! – mówi al-Amin. – Będziemy mieć tylko chwilę na ujawnienie zdrajcy.

Idź już!

– Mam tylko jedno pytanie – pytam. – Skąd wiedziałeś, że palimy tu ognisko?

W słuchawce zapada cisza, słyszę tylko jego oddech.

– Ty mi o tym wspomniałeś, bracie Fadi. Powiedziałeś, że rozpalacie grilla. Nie pamiętasz?

– Nie. Nic takiego nie powiedziałem.

– Nieważne, bracie. Wracaj do przywódcy, bo inaczej nam się nie uda.

Spoglądam na Tariqą, który daje mi znak, że mogę odejść. Opuścił broń i nad czymś się zastanawia. Po chwili wyciąga gwałtownie rękę, chwyta telefon i krzyczy do niego:

– Kim jesteś? Dla kogo pracujesz?

W tle słychać kilka głosów, chwilę później brat al-Amin się rozłącza. Patrzę przerażonym wzrokiem na Tariqą. Wygląda jak sparaliżowany, stoi nieruchomo z wyłączonym telefonem w ręce.

– On chciał powiedzieć, że wśród nas jest zdrajca – wyjaśniam szeptem. – Musimy go ujawnić.

Tariq patrzy na mnie i dopiero teraz w jego oczach pojawia się blask zrozumienia.

– To prawda. Tym zdrajcą jesteś ty, Fadi.

Potem wszystko rozgrywa się w błyskawicznym tempie. Tariq zarzuca karabin na ramię, w jego małych oczach pojawia się strach. Robi kilka kroków w stronę domu i spogląda na ciemne niebo rozświetlone blaskiem księżyca. W tym samym momencie rozlega się jakiś dźwięk. Tariq patrzy na mnie, ja na niego i nagle w moim życiu dokonuje się gwałtowna zmiana. Wszystko wokół nas się rozpada, nic nie jest takie, jakie powinno być.

Na początku czuję się jak sparaliżowany. Słyszę jakiś niezidentyfikowany dźwięk, który przypomina pomruk, dobiega z góry i jest coraz bliżej. Przypomina dźwięk wydawany przez lądującego ogromnego owada. Na myśl przychodzi mi tylko jedna rzecz, przed którą każdego dnia się ukrywamy, która tak bardzo nas przeraża.

Dron.

W tym samym momencie dociera do mnie straszna prawda – zdrajcą jest brat al-Amin. Zdrajcami są też pozostali bracia: Dakhil, Taimur i Tasheem. To odkrycie robi na mnie piorunujące wrażenie. Zaczynam rozumieć, o co przez cały czas toczyła się gra. To dlatego się mną zajęli, pomagali mi i mnie wspierali. Z tego samego powodu wysłali mnie do Syrii. Przez cały czas przyświecał im tylko jeden cel – żebym któregoś dnia pomógł im doprowadzić dzieło zdrady do końca.

W mojej głowie trwa burza myśli. Przypominam sobie modlitwy i spotkania na Przedmieściu. Cały ostatni rok. Oszukali mnie i wykorzystali. Tylko po co? Kim są, po czyjej stoją stronie?

Chwilę później ogarnia mnie potężna fala nienawiści i rozpacz. Jest jak morski przyływ, który porywa wszystko, co stanie mu na drodze – całą pobożność i chęć czynienia dobra. Dosłownie wszystko.

Nie jestem w stanie utrzymać się na nogach, bo ciężar, jaki na mnie spadł, jest zbyt duży. Osuwam się na ziemię. Pomruk, który wydaje z siebie dron, staje się coraz wyraźniejszy. Co robić? Nie wiem, co robić, tkwię nieruchomo w pozycji na czworaka. Tariq ciągnie mnie za ramię i krzyczy:

– Musimy stąd uciekać! Nie rozumiesz? Zaraz wszystkich nas zabiją!

Huk pierwszej eksplozji zatyka mi uszy. Pod brzuchem i nogami czuję piasek. Otwieram oczy w chwili, gdy drugi pocisk spada tuż za budynkiem, w miejscu, w którym znajdują się bracia. Cały świat robi się nagle biały, leżymy ogłuszeni eksplozją. Wokół nas jest tylko fosfor i zniszczenie.

Leżę na brzuchu, potem przewracam się na plecy i siadam wyprostowany. Świat wokół mnie został rozerwany na strzępy, teraz jest cichy i obozwładniający. Czuję, że ktoś mnie ciągnie, odwracam głowę i widzę brata Tariqa. Twarz ma brudną i zakrwawioną, porusza ustami. Zrywam się z ziemi i biegnę za nim do jednego z domów. Potykamy się i wpadamy na siebie, zbiegamy schodami do piwnicy. Sekundę później na miejsce, gdzie przed chwilą leżeliśmy, spada kolejny pocisk. Świat wokół nas się trzęsie. Leżymy na betonowej posadzce, z góry sypie się na nas tynk i farba.

Potem zapada całkowita cisza.

36. Sztokholm – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku

Jest ciepły wieczór. Yasmine wraca metrem do centrum miasta, ale myślami jest gdzie indziej. Wjeżdża schodami na poziom Dworca Centralnego i wychodzi na ulicę. Przez cały czas myśli tylko o tym, co jest dla niej naprawdę ważne.

Powoli idzie wzdłuż kanału w stronę Hotell Lydmar. Robi to automatycznie, bo jeszcze nie wie, czy chce tam wrócić. Nogi niosą ją same.

Parisa wie coś o Fadim.

Yasmine broni się przed przypuszczeniem, że zdradziła ją jej dawna przyjaciółka. Nadal ma przed oczami widok dziecka i wystraszony wzrok Parisy. Nikt nie jest w stanie zrozumieć więzi łączących ludzi na Przedmieściu ani ich motywów. Zwłaszcza po tak długiej nieobecności.

Nadal odczuwa skutki zmiany czasu po przylocie z Ameryki. Na szczęście to już końcowa faza jet laga. Musi się przespać kilka godzin, zanim wróci na Przedmieście i zaczai się koło boiska Camp Nou.

W głowie ma natłok myśli. Tylko dwie osoby wiedziały, w którym hotelu się zatrzymała: Ignacio i Parisa. Niewykluczone, że Parisa wygadała się przed kimś, kto ma coś wspólnego z zamieszkami. Czy zrobiła to nieświadomie? Może tak, a może nie. Komuś bardzo zależy, żeby Yasmine trzymała się z daleka od Bergort. Tylko komu? I dlaczego Parisa reaguje tak alergicznie na jej pytania dotyczące Fadiego i symboli na ścianach?

Teraz na dodatek okazało się, że Parisa wie coś o Fadim. Nie mogła albo nie chciała opowiedzieć jej o tym w swoim mieszkaniu.

Yasmine zatrzymuje się przy moście Strömsbron i spogląda na brudną beżową fasadę Zamku Królewskiego. Potem przenosi wzrok na srebrnoszarą taflę wody, łodzie cumujące przy nabrzeżu, zieleń na Strömsholm. Tak tu pięknie! W niektórych miejscach Sztokholm jest wprost cudowny.

W pewnej chwili zaczyna odczuwać dziwny niepokój. Odwraca wzrok od Zamku Królewskiego i patrzy na Operę. Na skrzyżowaniu zapaliły się czerwone światła, wszystkie samochody posłusznie się zatrzymały. Po drugiej stronie ulicy stoi mężczyzna. Ubrany jest w błyszczące, niebieskie spodnie dresowe, kangurkę i białe tenisówki. Ma

ogoloną głowę, płaski, bokerski nos i zielone tatuaże na szyi i karku. Widząc, że go zauważyła, uśmiecha się spokojnie, z wyższością, ale nie rusza się z miejsca.

W tym momencie zapala się zielone światło i samochody ruszają ze skrzyżowania. Yasmine stoi jak wmurowana, widok na drugą stronę ulicy na chwilę przesłania jej przejeżdżający szary meblowóz. Czuje, jak pod ubraniem uwiera ją pistolet.

Kiedy wóz meblowy odjeżdża, mężczyzny po drugiej stronie ulicy już nie ma. Wygląda to tak, jak gdyby nigdy go tam nie było, jak gdyby nigdy na nią nie patrzył. Na dworze jest ciepło, ale Yasmine czuje, że przechodzi ją dreszcz. Czy to początki paranoi?

Szybko rusza do hotelu. Co dziesięć kroków ogląda się za siebie, ale widzi tylko spacerujących nad wodą turystów i bogatych mieszkańców Sztokholmu z dziecięcymi wózkami, którzy wybierają się do Svenskt Tenn. Wchodzi do hotelu, skinieniem głowy pozdrawia recepcjonistę i kieruje się prosto do windy.

Idzie korytarzem, a gdy dociera do swojego pokoju, gwałtownie się zatrzymuje. Na klamce wisi jakiś przedmiot przywiązany cienkim sznurkiem. Yasmine podchodzi bliżej. Na szczęście to nie zdechły kot, tylko zwykła mała koperta.

Zdejmuje ją z klamki, otwiera drzwi i wchodzi do pokoju. Siada na rozkopanym łóżku, czuje, że serce bije jej szybciej. Zamyka oczy, otwiera kopertę i wyjmuje z niej zwykłą kartkę formatu A4. Powoli ją rozkłada.

Okazuje się, że to zdjęcie wydrukowane z komputera. Przedstawia zamaskowanego mężczyznę, który trzyma w dłoni wycelowany w obiektyw – to znaczy w nią – duży czarny pistolet. Mężczyzna jest barczysty, między kołnierzem koszuli a kapturem widać tatuaż przedstawiający egzotyczny zielony wzór. Na kartce są trzy słowa: „Podejdź do okna”.

Yasmine kładzie kartkę na łóżku i czuje, że zaczyna jej nagle szumieć w głowie. Automatycznie podchodzi do okna.

Ostrożnie rozsuwa żaluzje i widzi przed sobą Zamek Królewski. Przez chwilę mu się przygląda, a potem przenosi wzrok na ulicę między hotelem a kanałem.

Od razu go zauważa. Mężczyzna stoi po drugiej stronie ulicy, jakieś trzydzieści metrów od wejścia, zwrócony plecami do wody, ze wzrokiem utkwionym w okno jej pokoju. Ubrany jest w lśniące spodnie dresowe, kangurkę z kapturem i białe tenisówki. Na szyi widać zielony tatuaż.

Na jej widok unosi rękę. Dawny uśmiech zastąpiło obojętne, puste spojrzenie. Nagle układa dłoń w taki sposób, że przypomina pistolet, i wykonuje ruch, jak gdyby do niej

strzelił. Potem opuszcza rękę, przez chwilę stoi nieruchomo, a następnie spokojnie się odwraca i rusza brzegiem kanału przed siebie.

37. Syria – czerwiec 2015 roku

Leżymy nieruchomo na ziemi, w całkowitym milczeniu, jak martwi. Nawet nie wiem, jak długo.

Wokół nas panuje prawie kompletna cisza. Jedyne dźwięki, jakie dociera do naszych uszu, to monotony szum dwóch wciąż wiszących nad nami dronów, jak gdyby ich operatorzy chcieli ocenić efekty spustoszenia, którego przed chwilą dokonali. W końcu drony odlatują i robi się zupełnie cicho. Czekam jednak do chwili, aż nabieram pewności, że ich nie słychać.

– Tariq?

Tariq wydobywa się spod zwałów tynku i kawałków gipsu, płatów farby i potrząskanego szkła i odwraca się do mnie. Twarz ma zakrwawioną, brudną od pyłu. Nie odpowiada, tylko patrzy na mnie w milczeniu.

– Jesteś ranny – mówię. – Masz krew na twarzy.

Patrzy na mnie chłodnym wzrokiem. Po jego oczach widzę, jak bardzo mną gardzi i mnie nienawidzi. W końcu siada i otrzepuje się z gruzu. Pod zwałami ruin szuka swojego karabinu, w końcu go znajduje. Podnosi się i staje na niepewnych nogach.

– Musimy stąd wyjść – mówi. – Ty też, zdrajco. Zwłaszcza ty.

Idzie schodami na górę i uchyla drzwi. Przez szczelinę wpada do środka słaba księżycowa poświata. Ja też się podnoszę, biorę karabin, telefon i idę za Tariqiem.

Tuż za drzwiami powstał ogromny krater. To pewnie ślad po pocisku, który wystrzelono w naszym kierunku, gdy stamtąd uciekaliśmy. Oni naprawdę chcieli nas wszystkich zabić.

Al-Amin. Uważałem go za brata. Wierzyłem, że nim jest. Tymczasem się nie zawahał, posłał mnie prosto w objęcia śmierci. Nawet mnie namawiał, żebym wszedł do budynku.

Dlaczego? Dla kogo pracują bracia? Dla al-Asada? Dla innych wrogów? Dla Dżabhata al-Nusry? Ale przecież tylko Amerykanie dysponują dronami. Wygląda na to, że bracia nas sprzedali. Mnie też. Uczynili to ci, którzy byli moimi braćmi, chociaż im ufałem i spotykałem się z nimi prawie cały rok.

Zdrada i zaufanie. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Podchodzę do ściany i wymiotuję. Tariq obszedł w tym czasie krater i pokonał połowę odległości do budynku,

gdzie przebywali bracia.

Wolę nie oglądać miejsc, w które trafiły pociski. Nie wiem, czy wytrzymam ten widok. Będę musiał stanąć twarzą w twarz z masakrą, do której się przyczyniłem. Moją głowę rozsadza ból i huk, jakbym nie spał przez kilka nocy albo tygodni z rzędu. Wlokę się przed siebie, z trudem utrzymuję się na nogach. Wiem, że nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Muszę stawić czoła temu, co się stało. Nie mogę się ukryć, więc przyspieszam kroku i zrównuję się z bratem Tariqiem.

Ale on udaje, że mnie nie widzi. Idzie dalej równym, spokojnym krokiem.

– Przysięgam na Allaha, że o niczym nie wiedziałem – mówię do niego. – Oni mnie oszukali. Myślałem, że chodzi o wykrycie zdrajcy w grupie.

Łzy ciekną mi po policzkach. Chciałbym, żeby Tariq się do mnie odezwał, zauważył, że z nim jestem. Samo jego spojrzenie uznałbym za błogosławieństwo. Ale on nie zwraca na mnie uwagi, tylko idzie dalej. Traktuje mnie jak powietrze, jakbym w ogóle nie istniał.

Nagle słyszemy jakieś głosy i silnik samochodu. Zatrzymujemy się, Tariq pochyla się i wygląda za róg, ale od razu się prostuje, co może oznaczać, że przyjechali nasi ludzie. Głosy stają się coraz wyraźniejsze, ktoś biegnie w jego kierunku, woła, żeby się położył na ziemi. Tariq odmawia.

Stoję za rogiem, prawie nie oddycham, nie jestem pewien, co powinienem zrobić, jak ocenić to, co zrobiłem. Opieram się o szorstką ścianę domu, zamykam oczy i głęboko oddycham. Nie mogę się jednak dłużej ukrywać, więc otwieram oczy i wychodzę na podwórze.

Całe podwórze zamieniło się w ogromny lej przysypany gruzem. Z tego, co jeszcze niedawno było ścianami z piasku, kamienia i pożółkłej trawy, pozostał tylko kurz, pył i dwumetrowej głębokości leje w miejscach, gdzie spadły pociski. Przed budynkiem stoją dwie zardzewiałe karetki pogotowia z włączonymi silnikami. Po podwórzu kręcą się sanitariusze i żołnierze. Starszy mężczyzna w poplamionym białym fartuchu trzyma w ręce but. Dopiero po chwili zauważam, że tkwi w nim kawałek ludzkiej nogi.

Karetki przyjechały na próżno, bo nie ma kogo ratować. Są tu już chyba od dłuższego czasu, wygląda na to, że przyjechały, jeszcze zanim odleciały drony, bo sanitariusze zdążyli ułożyć w rzędzie zwłoki znalezione w gruzach. Staram się unikać tego widoku, nie chcę oglądać makabrycznych szczegółów. Ale nie mogę. Wszędzie leżą ludzkie tułowia bez głów i kończyn. Niektóre są przebite na wylot albo rozerwane na strzępy. Najdziwniejsze

jest to, że są też zwłoki całkowicie nietknięte.

Nagle czuję, że muszę podejść i przyjrzeć im się z bliska. Powiniennem się dowiedzieć, ilu ludzi zginęło. Zbliżam się jak we śnie i zaczynam liczyć. Nawet nie czuję, że ktoś okrył mnie kocem. Dociera to do mnie dopiero wtedy, gdy idę wzdłuż ciał i liczę je głośno po szwedzku.

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

Nie w każdym przypadku potrafię określić, czy to, na co patrzę, jest oddzielnym ciałem i czy należą do niego wszystkie zgromadzone szczątki. Nie wiem, czy zakrwawione nogi należą do właściwych zwłok i czy głowa z wielką dziurą w oku należy do pokiereszowanego tułowia. Przypomina to układankę z puzzli.

– Siedem, osiem, dziewięć...

Ktoś kładzie mi rękę na ramieniu, ale strząsam ją z siebie.

– ...dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście, szesnaście.

Ktoś znowu ciągnie mnie za ramię. Przerywam liczenie i odwracam się. Tariq.

– To nie ma sensu – mówi. – Taka była wola Allaha. Oni już otrzymali swoją nagrodę. Powinniśmy się z tego cieszyć.

Tariq obejmuje mnie ramieniem, ale nie rozumiem jego gestu. Przecież przed chwilą nazwał mnie zdrajcą. Wie, że to była moja wina, że Allah nie ma z tym nic wspólnego. To wszystko moje dzieło. Mimo to obejmuje mnie, odciąga od zwłok i prowadzi do ambulansu.

– Doliczyłem się tylko szesnastu ciał – mówię do człowieka w białym fartuchu, który kilka minut wcześniej trzymał w ręce but z nogą. – Przed atakiem było tu przynajmniej dwadzieścia pięć osób.

Mężczyzna sadza mnie na ziemi, podaje butelkę z wodą i zmusza, żebym się napił.

– Nigdy nie udaje nam się znaleźć wszystkich ciał – odpowiada. – Po niektórych zostają tylko dym i gruzy.

Siadamy z Tariqiem nad brzegiem krateru. Wszędzie unosi się znany nam zapach: proch, ogień i śmierć.

– Muszę wrócić do Szwecji – mówię. – Zniszczę tych, którzy ponoszą za to winę.

Tariq nie odzywa się, tylko kiwa głową ze wzrokiem utkwionym w stos gruzów.

– Nie może im to ująć bezkarnie – kontynuuję. – *Wallah*. Przysięgam, zapłacą za to, co tu się stało.

Tariq zerka na mnie z boku.

– Jak chcesz tego dokonać, bracie? – pyta.

– Stanę się jak dym – odpowiadam. – Dym i piasek.

38. Sztokholm/Bergort – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku

Kiedy Yasmine się budzi, słyszy, że pokój wypełnia jakiś dźwięk, chociaż firany w oknie zasunęła maksymalnie szczelnie, jak gdyby rzeczywiście mogła się dzięki temu odseparować od tych, którzy stanowią dla niej zagrożenie i ciągle ją obserwują. Przewraca się na bok, zerka na telefon i sprawdza czas. 19:34. Przespała ponad godzinę. Jak to możliwe, że w ogóle zasnęła?

Okazuje się, że dostała maila. Zaspana siada w łóżku i klika na link.

„Cześć, Yasmine – czyta napisany po angielsku tekst. – Chciałem tylko sprawdzić, jak ci idzie w Sztokholmie. Pracujemy nad pewnym projektem, symbol, który nam pokazałaś, idealnie się do niego nadaje. Skontaktuj się z nami jak najszybciej, dyskutujemy o pewnej kampanii i chcielibyśmy poznać szczegóły”.

Yasmine mruga, żeby skoncentrować się na treści. Nadawcą maila jest Mark, adres kończy się na „shrewd@daughters.com”. *Fuck!* Nie poświęciła ich sprawie ani minuty, a oni czekają, aż im coś wyśle. Ale nie ma się co dziwić. Przecież płacą jej za pokój po cztery tysiące koron za dobę.

O co mu chodzi z tym nowym projektem? Skąd go wzięli? Nie ma siły o tym myśleć. Nie teraz. Źle by się stało, gdyby zablokowali jej kartę, więc szybko wysyła im maila z informacją, że dzieją się tu same ciekawe rzeczy i po weekendzie znowu się z nimi skontaktuje.

Wstaje z łóżka i podchodzi do okna. Jedną ręką unosi zasłonę, drugą wkłada pistolet za plecy i ostrożnie wygląda na ulicę. Mężczyzny w dresowych spodniach już tam nie ma, więc z powrotem zaciąga zasłonę.

Bez względu na to, z jakiego powodu ktoś chce ją zatrzymać z dala od Przedmieścia, powinna w końcu pojechać do Bergort.

– Czy jest stąd jakieś inne wyjście? – pyta w lobby portiera, u którego niedawno zamówiła śniadanie. – Takie, które nie wychodzi bezpośrednio na nabrzeże? Pewnie nocują tu czasem jacyś celebryci? Czy są tu jakieś tylne drzwi?

Portier nie robi zdziwionej miny ani nie zadaje niepotrzebnych pytań.

– Oczywiście, że tak – odpowiada, wyciągając rękę. – Wyjście dla personelu jest tam.

Yasmine nadal odczuwa zdenerwowanie i napięcie, ale uprzejma odpowiedź portiera sprawia, że ma prawie ochotę podejść i go objąć.

Do Bergort dociera około wpół do dziewiątej. O ile nastrój panujący w dzielnicy rano był wyraźnie odczuwalny, o tyle teraz jest wprost magnetyczny. Atmosfera jest gęsta, jakby zanosilo się na burzę. Na peronie stoją grupki młodzieży w dżinsach i koszulach. Palą papierosy i plują na szyny. Tym razem nie ma jednak mowy o zwykłych przepychankach, śmiechach i gwizdach. Przypominają nadmuchane balony z własnym polem elektrycznym, które pękają, syczą i czekają, aż dojdzie do wyładowania i eksplozji.

Przy rampie na placu stoją samochody należące do różnych stacji telewizyjnych. Zaaferowani dziennikarze i operatorzy kamer szurają kablami i trzaskają mikrofonami. Po drugiej stronie placu stoją radiowozy i policjanci w hełmach na głowach. Ubrani są w schludne mundury i mają krótko ostrzyżone włosy. Jak na meczu piłkarskim, myśli Yasmine. Nie wiadomo tylko, co to za drużyny i gdzie są bramki.

Na boisku ze sztuczną trawą panuje spokój. Są na nim tylko dwaj chłopcy, którzy odbijają piłkę o wysokie ogrodzenie. Wydawany przez nią odgłos odbija się wzmożonym echem między blokami. Yasmine przypomina sobie, jak Fadi wyglądał w młodszym wieku, kiedy w spoconym i brudnym T-shircie schodził z boiska z zaczerwienioną twarzą i podrapanymi kolanami. W pośpiechu, na stojąco zjadał kolejny talerz płatków, żeby jak najszybciej wrócić na dwór, do kolegów. To właśnie tak zapamiętała młodszego brata.

Yasmine siada na przekrzywionej ławce i opiera się o nią plecami. Tak, to było dawno temu. Zamyka oczy, a wtedy głosy chłopców przypominają jej głos Fadiego.

Kiedy zaczyna się ściemniać, zewsząd dobiegają krzyki matek, które wołają swoich synów do domów. W ich głosach jest coś, co skłania chłopców do posłuszeństwa. Ten wieczór nie jest taki jak inne. Dzisiaj nie zostaną dłużej na dworze. Muszą być posłuszni rodzicom, chyba że któryś z nich żyje w strefie cienia i jest zwykłym przestępcą.

Yasmine wie, że gdyby ona i Fadi byli teraz dziećmi, nikt by ich nie wołał do domu. Wraca obraz matki, którą widziała poprzedniego dnia w ciemnym mieszkaniu. Przypomina sobie jej zmęczone oczy i szpitalne ubranie. Dopiero w tym momencie uświadamia sobie, że matka nigdy nie wołała ich do domu, nie pytała, gdzie są, ani nie prosiła ich, żeby już wrócili. Przez cały czas była zajęta pracą. Pilnowała tylko, żeby zawsze mieli co jeść i w co się ubrać. Uderza ją podwójna wymowa tego, co przed chwilą do niej dotarło: ich matki nigdy nie było, gdy jej potrzebowali; ich matka była przy nich zawsze.

Yasmine idzie przez pusty plac do kiosku, żeby kupić kawę, chociaż chodzi jej głównie o to, żeby się trochę poruszać. Z kubkiem w ręce krąży między blokami a krzakami. Na dworze robi się coraz ciemniej. Światło znika nad dachami, polami i sosnami, aż w końcu balkony i tunel pod torami spowija całkowita ciemność. Yasmine wraca na boisko, rzuca torbę na ławkę, kładzie się na niej, opiera głowę o torbę, prostuje nogi i czeka.

O północy podnosi się z ławki. Ciało ma zdrętwiałe i zeszywniałe. Na Przedmieściu zapadły ciemności, nietypowo jak na tę porę roku głębokie i ciężkie jak aksamit. Nadal jest ciepło, ale lato powoli się kończy. Yasmine patrzy na boisko, przez szpary w ogrodzeniu widzi zarysy ludzkich sylwetek. Próbuje je policzyć i wychodzi jej na to, że jest ich dwadzieścia kilka.

Nagle słyszy głos. Jest donośniejszy niż pozostałe.

– Zamknąć gęby i słuchać! Zaczynamy dziś wieczorem! Niech zobaczą, na co stać chłopaków z Bergort. Mam rację?

Słyszą aplauz i gwizdy. Chłopcy szarpiają za ogrodzenie, aż całe trzeszczy. Yasmine podkrada się ostrożnie pod krzaki koło boiska. Poznaje ten głos. Wie, do kogo należy. To tu się zbiegają i stąd rozchodzą wszystkie nitki i powiązania. Zerka przez rzadkie w tym miejscu gałęzie i liście. Ten, którego ma na myśli, jest starszy i nie taki gruby jak kiedyś. Nadal jest wysoki, ale ma bardziej wysportowaną sylwetkę. Tylko głos mu się nie zmienił.

Mehdi. Kiedyś należał do bandy Fadiego. Teraz jest chłopakiem Parisy.

Powinna się była domyślić. To dlatego Parisa miała taką niewyraźną minę, a na ścianie jej pokoju pojawił się kot. To oczywiste, że Mehdi jest zamieszany w te rozróby. Tylko po co robić z tego dramat? Po co te groźby? Po co martwe koty i wytatuowani gangsterzy? Jest też coś, czego nie pojmuje: co to wszystko ma wspólnego z Fadim?

– Bracia, poczekajcie jeszcze! – słyszy głos Mehdiego na boisku. – Jest tu z nami przyjaciel, który nam pomoże, tak jak pomagał nam wczoraj! *Wallah!* Obiecuję wam, że dziś wieczorem te świnię dostaną za swoje!

Z cienia po drugiej stronie boiska wyłania się mężczyzna i podchodzi do Mehdiego. Yasmine nie widzi jego twarzy, bo jest zasłonięta kominiarką. Ubrany jest w takie same niebieskie spodnie od dresu jak człowiek, który rano stał przed Hotell Lydmar.

Mężczyzna ma na sobie luźną koszulę. Od jego pleców aż po szyję ciągnie się zielony tatuaż ukryty częściowo pod kominiarką. Teraz prawie wszyscy je mają, nie tak jak kiedyś, gdy były prawdziwą rzadkością. Yasmine jest absolutnie pewna – to ten sam człowiek.

Kim jest? O co tu chodzi?

– Posłuchajcie uważnie – zaczyna mężczyzna w spodniach od dresu. – Dziś wieczorem podpalimy całe to gówno!

Po tych słowach rzuca na ziemię pęk kominiarek.

– Załóżcie je. Widzieliście, co się dzieje na placu. Jest tam pełno ludzi z telewizji. Chyba nie chcecie, żeby pokazali wasze twarze w wiadomościach?

Chłopaki wybuchają śmiechem, pochylają się, biorą kominiarki i naciągają je na głowy. W jednej chwili każdy z nich staje się kimś innym. Prosty gest polegający na założeniu kominiarki zmienia wszystko. Śmieją się, popychają. Nie są już znudzeni, mają w końcu zajęcie. Nie są już ani chłopcami, ani dziećmi.

Po założeniu kominiarek stają się dorosłymi mężczyznami, anonimowymi żołnierzami. Nie pojedynczymi osobami, tylko masą. Przestają być kimś, kogo należy rozumieć i chronić, tylko kimś, kogo trzeba zwalczać.

W końcu milkną świadomi powagi sytuacji i nagłej zmiany, jaka się w nich dokonała. Napięcie na boisku staje się wprost wyczuwalne.

– Wasze dzisiejsze zadanie to nie zabawa – kontynuuje mężczyzna. – Nie będziemy tam sami. Będziemy siać zamęt nie tylko w Bergort, ale wszędzie. Zjednoczymy się z naszymi braćmi. Jest wiele przedmieść, ale tylko jedno Przedmieście, bracia!

Chłopcy, którzy w jednej chwili stali się mężczyznami i zamienili w jedną, potężną masę, zaczynają podskakiwać, krzyczeć, uderzać i kopać w ogrodzenie.

Zjednoczeni z braćmi. Jest ich dwudziestu, może trzydziestu. Ilu mieszkańców liczy Bergort? Trzy, cztery tysiące? Przecież na boisku nie ma wszystkich braci. To tylko grupka dzieciaków, którym nie chce się wracać do domu.

Mężczyzna w spodniach od dresu przyciąga dwie duże, ciężkie torby i je otwiera. Z jednej wyjmuje butelkę, z drugiej kanister z jakąś cieczą.

– To koktajle Mołotowa – wyjaśnia. – Tu jest lejek, tu butelka, tu materiał. A tu paliwo – dodaje, potrząsając kanistrem. – Wystarczy to wszystko połączyć i koktajl gotowy.

Bracia rozchodzą się po boisku i napełniają butelki benzyną. Kiedy są gotowi, mężczyzna w spodniach od dresu daje kilku z nich jakieś przedmioty, które przypominają metalowe proce z grubą gumową taśmą.

– Zrobicie to samo co wczoraj – wyjaśnia, wskazując na pięcioosobową grupę. – Zaczniecie na parkingu. Przynajmniej pięć samochodów, ale im więcej, tym lepiej. Jak

zjawią się gliny, uciekacie kładką. Będziemy czekać na was pod mostem...

Mężczyzna przerywa na chwilę, żeby wybrać inną dziesięcioosobową grupę.

– ...z koktajlami Mołotowa – kończy poprzednie zdanie. – Damy tym gnojkom popalić.

Ukarzcie ich za krzywdy, jakie wam wyrządzili. Spalcie ich!

Chłopcy są podekscytowani, z trudem studzą emocje. Bije od nich prawdziwa złość.

– Kiedy będzie już po wszystkim, podpalicie sklep ICA. Niech się zamieni w wielką pochodnię.

Mężczyzna wskazuje na inne przedmioty leżące na trawie. Przypominają dwa duże młoty.

– Rozbijecie nimi szyby – wyjaśnia. – Ale możecie też użyć czegokolwiek! Potem będziemy działać w zależności od rozwoju sytuacji. Brat Mehdi będzie utrzymywał kontakt z poszczególnymi grupami. Zapamiętajcie jego numer telefonu i róbcie wszystko, co wam każe, jasne?

Chłopcy, którzy zamienili się w mężczyzn, podskakują z emocji. Są gotowi wyjść na ulice, podpalać, szerzyć chaos.

Mehdi jeszcze coś mówi, a potem wszyscy rozchodzą się w grupach. Niektórzy w kominiarkach, inni bez nich, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Po pewnym czasie na miejscu zostaje tylko Mehdi i mężczyzna w spodniach od dresu.

– Dopilnujesz wszystkiego? – pyta mężczyzna.

– Przecież wiesz, bracie – odpowiada Mehdi. – Sprawa jest szokująco prosta.

Podają sobie ręce i mężczyzna w dresach odchodzi w zacieniony zakątek boiska.

Yasmine szumi w głowie, czuje, jak szybko bije jej serce. Czy powinna podejść do Mehdiego? Wykluczone, nie wolno jej ryzykować, przecież Parisa ma jej coś do powiedzenia o Fadim.

A ten facet w dresach? Kim jest? Yasmine znowu ukrywa się w krzakach i kuca ze wzrokiem utkwionym w nieznanego, który oddala się wolnym krokiem.

Przypomina sobie symbol malowany na ścianach i ostrzeżenie, które przekazał jej tego dnia mężczyzna w dresowych spodniach przed Hotell Lydmar. Najwidoczniej nie chcą jej tutaj, bez względu na to, o co w tym wszystkim chodzi. Niestety, zabrnęła już tak daleko i ryzykuje tak wiele, że... Facet jest najwidoczniej kimś w rodzaju przywódcy. Na czyje zlecenie działa? Czuje, że nie powinna rezygnować z dotarcia do prawdy. Przez pewien czas kryje się za krzakami, a potem się prostuje i rusza za nieznanym mężczyzną, który wchodzi między bloki.

Kiedy dochodzi do dwóch dziesięciopiętrowych wieżowców, ściąga z głowy kominiarkę. Po jakimś czasie wchodzi między trzypiętrowe budynki. Yasmine idzie za nim w takiej odległości, że nawet jeśli mężczyzna się odwróci, nie zauważy jej. Nadal ma przed oczami widok jego dłoni ułożonej w pistolet. W końcu przestaje o nim myśleć, bo musi się skupić na Fadim. Być może teraz do niego trafi.

Mężczyzna jest już prawie przy szkole. Budynki są stare i zaniedbane, widać na nich skutki działania warunków atmosferycznych: śniegu, lodu i słońca. Mężczyzna skręca przez zaśnieżone krzaki, przy których Fadi zazwyczaj na nią czekał, gdy byli jeszcze dziećmi. Idzie na parking; oprócz stojącego pod latarnią lśniącego granatowo-czarnego bmw nie ma tam żadnego innego samochodu. Wóz różni się od wysokiej klasy pojazdów, które można tu czasem zobaczyć. Należą do piłkarzy wpadających w odwiedziny do swoich rodzin albo do Szwedoli, którzy zrobili większą kasę. Zawsze są czarne, mają chromowane koła i zaciemnione szyby, a ich właścicielami są albo bandyci, albo celebryci. Ten, który akurat stoi na parkingu, ma opływowe kształty, jest wystarczająco skromny i anonimowy, żeby nie zwracał niczyjej uwagi.

Mężczyzna w spodniach od dresu podchodzi do samochodu od strony pasażera, pochyla się do okna i mówi coś do osoby siedzącej w środku. W tym samym momencie po drugiej stronie Przedmieścia rozlega się słaba eksplozja – to pierwszy samochód stanął w płomieniach. Nagle mężczyzna odwraca się w stronę, gdzie stoi Yasmine, i przez chwilę patrzy w jej kierunku. Yasmine ukrywa się za rogiem budynku, jakieś dwadzieścia metrów od niego. Przez moment jej się wydaje, że mężczyzna ją zauważył. Przechodzi ją dreszcz, czuje narastającą panikę.

Na szczęście mężczyzna znowu odwraca się do samochodu. Mówi coś do osoby siedzącej za kierownicą i wsuwa do środka rękę. Po chwili Yasmine widzi w niej kopertę. Mężczyzna otwiera ją i wyjmuje coś, co przypomina zwitek banknotów. Szybko je liczy, unosi na pożegnanie rękę, opuszcza parking i rusza w stronę stacji metra. Yasmine nie bardzo wie, czy powinna za nim iść. Istnieje ryzyko, że tamten zauważy ją na peronie. Przecież wie, jak wygląda.

Kierowca samochodu włącza silnik, zapala światła i wyjeżdża z parkingu. Yasmine patrzy za nim. Może to on doprowadzi ją do celu?

Zapamiętuje numer rejestracyjny wozu: ERG 525.

Wklepuje go do telefonu i ani na moment nie spuszcza samochodu z oczu. Wyjeżdżając z

parkingu, auto mija ją w odległości nie większej niż dziesięć metrów. Yasmine pochyla się, żeby zajrzeć do środka. W słabym blasku latarni dostrzega przez chwilę mężczyznę siedzącego za kierownicą.

Jest od niej starszy o mniej więcej dziesięć lat. Jasny blondyn z prostym nosem i wysokimi kośćmi policzkowymi, typowy Szwedol w krawacie, z zaczesanymi do tyłu włosami. Na pewno nie pochodzi stąd, w tym otoczeniu wydaje się wprost nierzeczywisty, jak postać z filmu science fiction. Ich spojrzenia przez chwilę się spotykają. Mężczyzna wygląda na zmęczonego, pustego w środku i przerażonego.

39. Bergort – sobota, 8 sierpnia 2015 roku

Bergort. Nic się tu nie zmieniło. Jest ten sam beton i ta sama trawa, zapach sosen i ciepłego kebabu z ulicznych budek. Każdy krok przypomina o przeszłości. Wszystko jest po staremu. Wszystko, z wyjątkiem mnie, bo ze mnie został strzęp człowieka. Ogolona głowa i brudne ubranie, bezsenne noce i dziesięć kilogramów wagi mniej. Podcięto mi skrzydła, ręce mi się trzęsą, oczami wyobraźni widzę ludzkie ciała bez głowy, stóp, nóg, ramion, dłoni... Czasem widzę sam tułów. Jestem niczym. Żyję wyłącznie nadzieją zemsty.

Aż do zmroku ukrywam się w lasku za szkołą. Wieści w Bergort rozchodzą się szybko, więc muszę się trzymać na uboczu, czekać na stosowną okazję. Kiedy cienie między budynkami są wystarczająco długie, zarzucam torbę na ramię i ruszam do centrum. Na ulicach dominuje młodzież. W parku zabaw skrzeczą mewy, podskakują na piasku. Ich widok napawa mnie smutkiem. Chciałbym do nich podejść i o wszystkim opowiedzieć, stanąć przed nimi na pochyłym zboczu, pokazać im moje chude ramiona i ogoloną głowę i powiedzieć: „Spójrzcie na mnie! Uciekajcie stąd, póki możecie”.

Zatrzymuję się przed dziesięciopiętrowym budynkiem, przesuвам wzrokiem po oknach i po spękanej fasadzie, z której odłazi farba. Nie pamiętam, które mieszkanie należy do Mehdiego, ale jestem pewien, że to ten blok.

Wyjmuję telefon i nie zastanawiając się nad tym, co robię, wysyłam mu SMS-a o treści: „Wyjdź. Czekam”.

Potem siadam na ścieżce rowerowej i czekam. W tym miejscu nikt nie zauważy mnie z okien. Wkrótce potem Mehdi wychodzi z budynku, przeciąga się i rozgląda dokoła. Podnoszę się i stoję nieruchomo. Mehdi bada mnie uważnym wzrokiem, możliwe, że mnie nie poznaje. W końcu rusza powoli w moją stronę z pobladłą twarzą.

– Nie wierzę – mówi. – To chyba cud.

Zatrzymuje się z wahaniem. Przeciąga rękami po twarzy, zamyka oczy i znowu na mnie patrzy, jakby się bał, że zaraz zniknę.

Przez moment stoimy nieruchomo w milczeniu. Nie spuszczam go z oczu. Wiem, co teraz widzi – cień z przeszłości. Hologram, który drży i jest tak cienki, że prawie przezroczysty.

– Fadi? – pyta w końcu. – *Brush*, to ty?

Nie odpowiadam, bo od dawna z nim nie rozmawiałem. Podchodzi jeszcze bliżej i

dopiero teraz widzę, że jest przestraszony, że się waha. Patrzy na mnie, jak gdyby nie do końca był zdecydowany, co zrobić: zostać czy odwrócić się i odejść.

Kiwam głową, próbuję się uśmiechać, rozkładam ramiona. Wiem, że od dawna nie mam prawa na cokolwiek liczyć. Mehdi robi ostrożnie kolejny krok w moją stronę.

– To nie może być prawda – mówi. – Bracie... przecież ty nie żyjesz. Tak w każdym razie słyszeliśmy. Wszyscy myśleli, że przeniosłeś się na tamten świat.

Mehdi ciągle nie jest pewien, czy nie jestem duchem. Znowu próbuję się uśmiechnąć.

– Jak widzisz, żyję – odpowiadam. – Wielu innych braci zginęło, ale ja żyję.

Mehdi patrzy na mnie z zaciekawieniem i zdumieniem. W końcu podchodzi do mnie, rozkłada ręce i mnie obejmuje.

– Fadi, przysięgam: wszyscy myśleliśmy, że zginąłeś w Syrii. Powiedziano nam, że stało się to podczas ataku z użyciem drona. Jak na jakimś pieprzonym filmie. W internecie gadali, że wszyscy bojownicy z Bergort zostali zabici razem z jakimś przywódcą Państwa Islamskiego.

Potwierdzam skinieniem głowy, nie patrzę mu w oczy.

– Masz fajkę? – pytam.

Mehdi stoi nieruchomo i ciągle patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby miał przed sobą zjawę.

– Jasne... – odpowiada, podając mi paczkę papierosów z przemytu, które kupił u Syryjczyka.

Biorę jednego, zapalam i się zaciągam. Dostaję ataku kaszlu, łapię łapczywie powietrze. Ostatni raz paliłem ponad pół roku temu, ale wszystko mi jedno.

– To był rzeczywiście atak drona – potwierdzam. – Zginęło w nim wielu braci. Chodźmy stąd, nie lubię stać w jednym miejscu.

Ruszamy ulicą, zapach sosen robi się coraz słabszy, coraz bardziej oddalamy się od miejsc związanych z naszym dzieciństwem i młodością i od tego, kim jesteśmy teraz. W parku zabaw jest ciemno, nikogo tu nie ma, sprzęty są jak zwykle w opłakanym stanie. Siadamy w piaskownicy, jak za dawnych lat, przepuszczamy piasek między palcami.

– Dlaczego wróciłeś? – pyta Mehdi. – Przecież byłeś prawdziwym *haddi*, miałeś gęstą brodę i w ogóle.

Mehdi wybuchają śmiechem, a ja dopiero teraz uświadamiam sobie, że już dawno nie słyszałem, jak ktoś się śmieje. Nagle sam zaczynam się śmiać. Barwa mojego głosu

wprawia mnie w zdumienie – jest wysoki i nierówny. Natychmiast milknę.

Mehdi patrzy na mnie i pochyła się, jak gdyby chciał wyczytać coś z mojej twarzy. Jest tak blisko mnie, że instynktownie się cofam.

– Jesteś chudy jak szczapa, człowieku. A twoje oczy... *Shit*, ty już jesteś martwy. Chyba jednak miałem rację: jesteś duchem.

– Wróciłem, bo muszę załatwić pewną sprawę – wyjaśniam cichym głosem. Unoszę głowę i patrzę mu prosto w oczy. – Chcę zabić drani, którzy nas zdradzili.

Na dworze nie jest chłodno, ale w moim cienkim ubraniu trzęsę się z zimna. Opowiadam Mehdiemu o wszystkim, co się wydarzyło: o fałszywych braciach, o wyjeździe na Bliski Wschód, o prawdziwych braciach wśród czerwonych piasków, o bracie Tariqu, o ludzkich głowach, o rozszarpanych wybuchem korpusach, o kończynach i o bucie z ludzką nogą. O wszystkim.

– *Shit* – mówi na koniec Mehdi. – *Fuck!* To brzmi jak historia z filmu. Ale ty to naprawdę przeżyłeś.

Tak, to był prawdziwy koszmar.

– Gdzie będziesz mieszkał? U rodziców?

Kręcę przecząco głową.

– Muszę się ukrywać. Wszyscy myślą, że nie żyję. Ty też. Niech tak zostanie. Muszę być jak duch, bracie. Obiecuj mi, że dochowasz tajemnicy. W końcu jesteśmy kumplami, razem się wychowaliśmy. Potem wydarzyło się tamto... Wiem, że was wystawiłem i nigdy za to nie przeprosiłem, ale teraz proszę cię: pomóż mi.

Mehdi kładzie mi rękę na ramieniu i pochyła się w moją stronę.

– *Fo sho*, bracie, możesz na mnie liczyć.

Przez chwilę nad czymś się zastanawia.

– Niewykluczone, że i ty będziesz mógł mi w czymś pomóc.

40. Sztokholm – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Na Tegnérsgatan już teraz jest ciepło, chociaż nie ma jeszcze ósmej. Miasto budzi się do życia, z secesyjnych budynków wychodzą kobiety z wózkami. Yasmine potrzebuje niecałej minuty, żeby znaleźć dom z numerem dziesięć. Od pół godziny stoi w promieniach słońca po drugiej stronie ulicy i czeka. Spokojnie popija kupioną po drodze w jakiejś budce kawę z kubka.

Ustalenie nazwiska właściciela samochodu, który widziała poprzedniego dnia w Bergort, okazało się łatwiejsze, niż się spodziewała. Tak naprawdę było i łatwe, i trudne. Najpierw dowiedziała się w internecie, jak sprawdzić, do jakiej firmy należy samochód. Znalazła konkretną stronę, wpisała numer wozu i już po chwili na ekranie pojawiła się odpowiedź. Okazało się, że samochód jest zarejestrowany na firmę Merchant & Taylor. Z niejasnych informacji znajdujących się na jej stronie wynikało, że prowadzi międzynarodową działalność piarowską. Jej motto brzmiało: „Tworzymy klimat dla zmian”.

Yasmine zauważyła, że władze firmy są dumne ze swoich pracowników, bo na oficjalnej stronie znalazła zarówno zdjęcia, jak i nazwiska każdego z nich. Okazało się, że biuro w Sztokholmie zatrudnia trzech mężczyzn mniej więcej w wieku tego, którego widziała w samochodzie. Wszyscy wyglądali jak celebryci, mieli wybielone zęby i gładką cerę. Golfiści, żeglarze, *whatever*. Od razu się domyśliła, kim jest facet widziany przez nią w samochodzie na parkingu. Dostrzegła to w jego przestraszonych oczach. Nie potrafił tego ukryć nawet na zdjęciu, na którym zgodnie z założeniem miał prezentować pewną minę.

George Lööv. Prawnik. Specjalista od *government relations* i *interest mobilization*. Nie wiadomo, co te określenia znaczą, ale pieprzyć to. Interesuje ją tylko jego adres, a ustalenie tego zajęło jej kilka sekund. Po prostu wpisała jego nazwisko w wyszukiwarkę.

Zamyka oczy i przeciąga dłonią po włosach. Jak się w to wplątałeś, Fadi?

Kiedy otwiera oczy, Lööv wychodzi właśnie z budynku. Wygląda jak prawdziwi yuppie: ciemny garnitur, jasne, lśniące włosy, biała koszula zapięta na dwa guziki, pod którą z pewnością kryje się wysportowana sylwetka. W górną kieszonkę marynarki ma niedbale zatknęłą chusteczkę w czerwone kropki.

– Wilk z Wall Street – mruczy Yasmine.

Odsuwa się od ściany i rusza za Lööwem, który idzie tak szybko, że Yasmine musi co jakiś czas przyspieszyć, żeby nie stracić go z oczu. Na szczęście Lööw jest wysoki, więc nietrudno go obserwować. Idą wzdłuż cmentarza świętego Jana.

Na Malmskillnadsgatan Lööw zwalnia i wchodzi do niewielkiego kiosku. Yasmine zatrzymuje się i czeka na chodniku zaledwie kilka metrów od wejścia. Nie bardzo wie, co zrobić, ale na szczęście minutę później Lööw wychodzi z kiosku z plikiem najważniejszych gazet pod pachą. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby ktoś kupował tyle gazet naraz. Lööw ogląda pierwszą stronę „Aftonbladet”, potem ją składa i ogląda następną. Coś do siebie mówi, brzmi to jak „cholera”.

Na pierwszych stronach wszystkich gazet znajdują się fotografie płonących samochodów, młodzieży w kominiarkach i oddziałów prewencji. O Bergort pisze się wszędzie, bo zamieszki wybuchły zupełnie niespodziewanie i nabrały takiego charakteru, że zaniepokoiły klasę średnią. Lööw przyspiesza kroku, Yasmine rusza spokojnie za nim. W pewnym momencie Lööw korzysta z okazji, że ruch chwilowo się zmniejszył, i przechodzi przez ulicę tuż przed mostem łączącym Malmskillnadsgatan z Kungsgatan. Yasmine przez chwilę się waha, ale potem rusza za nim i utrzymuje dystans około dziesięciu metrów.

Po drugiej stronie ulicy stoi żółty pojemnik na śmieci. Lööw znika za nim i Yasmine traci go z oczu. Jakby się rozpułnął w powietrzu. Może wszedł do jakiegoś budynku? Przed nią wznosi się biurowiec, ale Lööwa nigdzie nie widać. Niech to szlag! Gdzie on się podział?

Na szczęście chwilę później wszystko się wyjaśnia: Lööw zszedł po prostu schodami prowadzącymi z mostu na Kungsgatan. Yasmine podbiega do nich i widzi, że Lööw znajduje się mniej więcej w połowie drogi na dół. Spokojnie rusza za nim.

Po zejściu na dół Lööw skręca w lewo. Na ulicy jest już sporo ludzi, więc Yasmine bierze po dwa stopnie, żeby nie stracić go z oczu. Kiedy Lööw przechodzi pod mostem, jest zaledwie pięć metrów za nim. Przechodzi na drugą stronę, skręca w lewo i wchodzi w bramę, którą, jak się wydaje, idzie się w miejsce, gdzie jedna z wież styka się z mostem nad Kungsgatan. Yasmine pochyla głowę i wchodzi na górę. Okazuje się, że schody nie prowadzą na sam most, tylko do jednego z dwóch starych wieżowców stojących po obu stronach ulicy. Przypominają miniaturę Gotham, wyglądają jak stare drapacze chmur w Tribeca, tyle że są o jedną trzecią niższe. Wieże Królewskie, tak się chyba nazywają. Właściwie to żadne drapacze chmur, każdy z nich ma zaledwie dziesięć pięter.

Yasmine przez chwilę się waha. Jeśli dotarła za Lööwem aż dotąd, to równie dobrze

może iść za nim dalej. Zdecydowanym krokiem podbiega do wejścia i w ostatniej chwili – zanim drzwi zdążyły się za nim zamknąć – wchodzi do środka.

W lobby jest ciemno, jej wzrok dopiero po dłuższej chwili dopasowuje się do otoczenia. Lööw stoi w starej, wykładanej drewnem windzie z lustrami, która swoje najlepsze lata ma już za sobą. Przyciska guzik i drzwi windy zaczynają się zamykać. Widząc Yasmine, blokuje je.

– Na górę? – pyta.

Głos ma lekko poirytowany, jak gdyby wcale nie chciał jej wpuścić do środka, tylko zmusił się do tego ze względu na wrodzoną uprzejmość. Yasmine czuje, że ogarnia ją niepokój. Co powinna zrobić w sytuacji, gdy facet, którego śledzi, zaprasza ją do windy?

– Tak... – odpowiada z wahaniem i robi ostrożny krok w jego stronę.

– Nie wie pani, dokąd chce jechać? – pyta Lööw.

Wygląda na to, że zdążył się jej przyjrzeć i przestał być poirytowany tą sytuacją. Uśmiecha się do niej zalotnie, jest pewny siebie. Yasmine zna ten uśmiech, od dawna widzi go wszędzie: w Bergort i na Östermalmie, w Nowym Jorku i Tokio. Przypomina sobie niezręczną kwestię „How are YOU doin’?”, wypowiedaną przez Joeya, gdy próbuje podrywać dziewczyny w amerykańskim serialu *Przyjaciele*. Razem z Fadim oglądali w telewizji wszystkie powtórki.

Po krótkim zastanowieniu dochodzi do wniosku, że zachowanie Lööwa może sprzyjać jej planom.

– Jasne, że wiem – odpowiada z uśmiechem. – A pan?

Yasmine prawie słyszy, jak Lööw mlaska z radości, uszczęśliwiony faktem, że podjęła z nim grę.

– Na piętnaste. To wyżej czy niżej niż pani?

Yasmine próbuje rozszyfrować nazwy firm zapisane na mosiężnych tabliczkach umieszczonych przy guzikach. Wyżej, odpowiada w myślach. Być może kiedy winda się zatrzyma, uda jej się zobaczyć, do jakiej firmy wchodzi Lööw. Na szesnastym piętrze mieści się firma o nazwie Stocktown Pictures. Nazwa nie ma dla niej żadnego znaczenia.

– Ja na szesnaste – odpowiada Yasmine.

Lööw wciska guzik i winda rusza w górę. Yasmine czyta nazwy firm mających siedzibę na piętnastym piętrze. Nazwa kancelarii adwokackiej wyłoczona jest na tabliczce. Obok niej zauważa jeszcze jedną nazwę zapisaną na kawałku papieru i przyklejoną taśmą:

Stirling Security.

Coś jej to mówi, ale z niczym konkretnym się nie kojarzy.

– Jest pan adwokatem? – pyta z taką miną, jak gdyby Lööw jej zaimponował.

Lööw prostuje się i chrząka.

– Nie do końca, chociaż jestem prawnikiem. Można powiedzieć, że pracuję w branży piarowskiej.

– Aha... myślałam, że pan jedzie do kancelarii adwokackiej – mówi Yasmine, wskazując palcem tabliczkę.

– Nie, jadę do tej drugiej firmy. To jeden z naszych klientów.

Lööw mruga do niej, w jego oczach pojawia się jakiś błysk. Ale Yasmine dostrzega w nich także niepokój i zdenerwowanie. Wyraźnie widać, że pod tą wygładzoną powłoką coś się kryje. Lööw ma na czole głębokie zmarszczki, oczy lekko nabiegłe krwią. Przez cały czas się na nią gapi. Typowy samiec, wszędzie ich pełno.

Winda zatrzymuje się z cichym zgrzytem, Lööw zмага się przez chwilę z żelazną kratą.

– Do widzenia – rzuca na pożegnanie i obdarza ją uśmiechem.

Yasmine czuje, że nie powinna była tego powiedzieć. Wie o tym, jeszcze zanim otworzy usta, ale w tym jego uśmiechu i niepewnej, zestresowanej twarzy jest coś takiego, że nie może się powstrzymać.

– Dlaczego płaci pan ludziom z Bergort, żeby wywoływali chaos w mieście?

Kiedy wypowiada to zdanie, Lööw jest już na zewnątrz. Słyszy jednak jej słowa i zatrzymuje się w pół kroku. Wygląda teraz jak wygłodzony mały lew trafiony w biegu strzałą zawierającą środek usypiający.

Lööw odwraca się, upuszcza na podłogę dwie gazety i od razu się pochyla, żeby je podnieść. Yasmine wysuwa stopę, żeby zablokować drzwi windy. Lööw powoli się prostuje i rusza w jej stronę. Przestał się do niej uśmiechać, jest już zupełnie innym człowiekiem niż przed minutą. Nie jest jednak groźny, tylko wyraźnie przestraszony.

– Kim pani jest? – pyta, podchodząc bliżej.

– Czy to oni płacą za te zamieszki? – odpowiada Yasmine, wskazując tabliczkę na drzwiach z czerwonym logotypem firmy Stirling Security.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – syczy Lööw i rzuca nerwowe spojrzenie przez ramię. Yasmine słyszy, że na samym dole klatki schodowej otwierają się drzwi i ktoś idzie po marmurowej posadzce. Niewidoczna postać naciska przycisk, ale nic to nie daje, bo

Yasmine blokuje windę.

– Idę na spotkanie – mówi Lööw. – Będą na nim ci, którzy w tej chwili czekają na dole na windę.

Yasmine nadal blokuje drzwi i słyszy, jak na dole ktoś próbuje ściągnąć windę. Wyciąga z kieszeni telefon, otwiera folder ze zdjęciami zrobionymi ostatniej nocy i bez pośpiechu podsuwa Lööwowi do obejrzenia kilka fotek zrobionych mężczyźnie z tatuażem.

– To z ostatniej nocy, dupku. To twój wóz.

Osoba czekająca na dole na windę jest coraz bardziej zdenerwowana. Lööw przełyka ślinę, jest zupełnie blady.

– Nie wierzę – mówi. – Niech to szlag!

Wpatruje się w Yasmine uważnym wzrokiem i pyta:

– Jesteś dziennikarką?

– Nie – odpowiada Yasmine. – Szukam kogoś. Jest zamieszany w tę sprawę. Pan mnie w ogóle nie interesuje, panie Lööw.

Na dźwięk swojego nazwiska Lööw aż się wzdrygnął. Czuje się nieswojo. Ta kobieta tyle o nim wie, podczas gdy on nie wie o niej nic.

– Jeśli mi nie powiesz tego, co chcę wiedzieć, naślę na ciebie dziennikarzy. Kapujesz? Wyślę te zdjęcia do jakiejś redakcji i gra skończona. *Game over*.

Yasmine wskazuje na gazety, które Lööw nadal przyciska do piersi jak tarczę.

– Tutaj nie możemy o tym rozmawiać – szepcze Lööw. – Poważnie. Nie tutaj i nie teraz. To nie tak, jak ci się wydaje.

Nagle zaczyna mu drgać powieka. Stres? A może coś więcej?

– No to gdzie i kiedy?

– Umówmy się na jutro, dobrze? Daj mi swój numer telefonu.

Yasmine patrzy na niego uważnie.

– Żartujesz? Zaproponuj miejsce i czas. Do południa.

– Okej, okej... schody przed Biblioteką Miejską, o dziewiątej.

– *Don't be late* – mówi Yasmine i wciąga nogę do windy. – I nie zapomnij, że cię znalazłam. Jeśli będzie to konieczne, znowu to zrobię.

W tym samym momencie drzwi się zamykają i winda rusza w dół.

Yasmine widzi przed szybem windy niskiego mężczyznę w zwykłym granatowym garniturze. Ma sześćdziesiąt kilka lat i łysinę okoloną wianuszkiem krótko ostrzyżonych

włosów. Jest dość szczupły, porusza się zwinnie, jakby przez długie lata uprawiał gimnastykę albo sporty walki. Oczy ma zimne, zielone, o intensywnym, obojętnym spojrzeniu, jak u smoka.

– Dlaczego blokuje pani windę? – pyta po angielsku z mocnym słowiańskim akcentem.

– *Sorry* – odpowiada Yasmine. Mijając go, odwraca wzrok.

Czy to z nim ma się spotkać Lööw? Czy to on pracuje w Stirling Security? Jeśli tak, to łatwo zrozumieć, dlaczego Lööw miał taki rozbiegany, wystraszony wzrok.

Yasmine wychodzi na ulicę i od razu czuje ulgę. Przed wejściem stoi czarny mercedes, który zajmuje kawałek chodnika. Wygląda równie ponuro i obojętnie, jak mężczyzna spotkany przy windzie. Numery na tablicy rejestracyjnej nie są szwedzkie. Mają niebieski kolor i zupełnie inną kombinację liter i cyfr: DL012B. Wyjmuje telefon i zapisuje je w pamięci. Czy ma to cokolwiek wspólnego z Fadim? Czuje się coraz bardziej przygnębiona. Może właśnie ten trop doprowadzi ją do celu?

41. Londyn – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Dochodzi wpół do jedenastej. Klara zatrzymuje się przed schodami prowadzącymi do wejścia do budynku na Surrey Street, gdzie mieści się instytut. Nogi ciążyą jej tak samo jak głowa. W głowie ma pustkę, pojedyncze wspomnienia z poprzedniego dnia. Czekaąc w pubie naprzeciwko budynku, w którym – jak się później okazało – mieszkał Patrick, piła kieliszek za kieliszkiem. Potem pojawili się tamci faceci w skórach. Czuje, że grunt usuwa jej się pod nogami. Skąd wie, że śledzili Patricka? Wprawdzie pojawili się akurat w tamtym momencie, ale przecież nie ma dowodów na to, że za nim szli. Są tylko jej paranoiczne przypuszczenia, zbyt dużo wypitego wina i trochę kobiecej intuicji, która tkwi w niej tak głęboko, że nie daje jej spokoju.

Oczami wyobraźni widzi twarz Patricka leżącego na torach metra. Jego otwarte martwe, puste oczy i minę tamtego policjanta sugerującą, że jest pijana. Zamyka oczy i czuje, jak przepełnia ją żal i poczucie winy. Była pijana, i to nieźle. Czy to dlatego Patrick nie żyje? Czy gdyby zrezygnowała z kilku ostatnich lampek wina, sprawy potoczyłyby się inaczej?

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – szepcze do siebie, popychając ciężkie drzwi.

Kiedy wchodzi do środka, powstaje przeciąg. Puszczają drzwi, które zamykają się z głośnym trzaskiem.

Na półpiętrze przed drzwiami pokoju Charlotte ktoś postawił stolik. Leży na nim liliowy bukiet, a obok stoi świeca. Jej płomień drży, bo wieje od źle zaizolowanych okien. Przy świecy leży kartka z kondolencjami dla rodziców Patricka. Podpisali się na niej pracownicy instytutu. Klara przez chwilę się waha, ale w końcu podchodzi do stolika i bierze do ręki długopis. Nie potrafi się jednak zmusić, żeby cokolwiek napisać. Coś się w niej przelewa, drży. Stale ma przed oczami ciało Patricka leżące na torach. Chwyta się stolika, żeby nie stracić równowagi.

– Klaro – słyszy za sobą głos. – Chyba już słyszałaś tę straszną wiadomość?

Klara odwraca się i widzi Charlotte, która stoi w drzwiach swojego pokoju. Wygląda na zmęczoną. Ma zapadnięte oczy i przezroczystą skórę. Jej gęste, kręcone włosy, zwykle zebrane w węzeł, teraz są rozpuszczone. Przypominają aureolę wokół głowy.

Klara kiwa głową, ale milczy. Chciałaby opowiedzieć o tym, co się wydarzyło

poprzedniego dnia: o laptopie, mężczyznach w skórzanych kurtkach i o Patricku leżącym na szynach. W ostatniej chwili przypomina sobie reakcję Charlotte, gdy podczas lunchu zapytała ją o Stirling Security, i ogarnia ją strach. Kręci jej się w głowie i czuje się tak, jak gdyby wszystko się na nią nagle zważyło. Opiera się o ścianę i zamyka oczy.

– Źle się czujesz? – pyta Charlotte i prawie dotyka ustami jej ucha. Klara czuje jej dłoń na swoim ramieniu i włosy na policzku. Odwraca twarz, żeby Charlotte nie poczuła w jej oddechu zapachu alkoholu.

– Wszystko w porządku – odpowiada i powoli otwiera oczy. – Nie ma powodów do obaw. – To wszystko jest takie chore.

Charlotte kiwa głową i zagląda jej w oczy.

– Kto by pomyślał? Nawet jeśli Patrick był dziwny, to jednak nie wyglądał na przygnębionego.

– A niby dlaczego miał być przygnębiony? – pyta Klara, patrząc Charlotte w oczy. Pozornie wyrażają współczucie, ale tak naprawdę są bezgranicznie zimne i obojętne.

– Klaro – zaczyna Charlotte, chwytając ją za rękę. – Policja znalazła w jego mieszkaniu wydrukowany pożegnalny list.

– Jak to wydrukowany?

Charlotte wzrusza ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Tak nam powiedzieli.

– Masz na myśli wydruk z komputera?

– Tak właśnie twierdzą, ale chyba nie to jest najważniejsze?

Klara czuje, że ogarnia ją nagła fala chłodu, i znowu cała sztywnieje. Jeśli Patrick nie używał komputera, to dlaczego wydrukował z niego akurat pożegnalny list?

– Przykro mi to mówić, ale bez względu na to, jak bardzo poruszyła nas ta historia, powinniśmy się wziąć w garść. Jutro jedziemy do Sztokholmu. Musimy się skoncentrować na raporcie. Innymi sprawami zajmiemy się po powrocie. To chyba jasne?

„Nie! – ma ochotę krzyknąć Klara. – To wcale nie jest takie jasne! To nienormalne! Zachowujesz się dziwnie, chociaż właśnie ktoś zginął!”

Ostatecznie Klara tego nie robi. Kiwa tylko głową i mówi:

– Zrobię, co w mojej mocy.

Klara zatrzymuje się na skrzypiącym półpiętrze przed pokojem Patricka i czeka, aż Charlotte zamknie drzwi do swojego pokoju, który znajduje się piętro niżej. Musi się

dowiedzieć czegoś więcej o Stirling Security i sprawdzić, czym Patrick się zajmował, dlaczego ukradł jej laptopa i dlaczego musiał zginąć.

Nabiera głęboko powietrza, podchodzi do starych drewnianych drzwi i naciska klamkę.

Ku jej zdumieniu drzwi nie są zamknięte na klucz. Od razu otwierają się z cichym skrzypieniem. Powoli, żeby hałas jej nie zdradził, otwiera drzwi szerzej. Żaluzje są zaciągnięte, pokój tonie w ciemnościach. Klara wchodzi do środka i nasłuchuje, czy ktoś nie idzie na górę.

Kiedy jest pewna, że na korytarzu nikogo nie ma, zapala światło i odwraca się w stronę białej tablicy, na której Patrick robił notatki. Okazuje się, że jest pusta i tylko odbija światło rzucane przez sufitową lampę.

Tablica wygląda na zupełnie nową. Nie ma na niej ani jednego punktu, ani jednej kreski. Biurko też wygląda na wysprzątane. Nie ma na nim notesu, papierów, poczty. A przecież jeszcze we wtorek ugięło się pod ciężarem leżących na nim w absolutnym porządku stosów papierów.

Na regale zostało mnóstwo książek Patricka poświęconych tematom związanym z obroną praw człowieka. Zniknęły za to segregatory, które wcześniej zapełniały przynajmniej dwie półki.

Podobno ludzie, którzy planują samobójstwo, porządkują przed śmiercią swoje sprawy. Tak by to wyjaśniła Charlotte.

Ale ona wie, że Patrick nie robił tu żadnych porządków.

42. Bergort – niedziela, 9 sierpnia – niedziela, 16 sierpnia 2015 roku

Czekam na otwarcie sklepów. Jadę do centrum, żeby zwinąć nowe ubranie: džinsy, T-shirt i tenisówki. W Galerii wybrałem czarną bejsbolówkę z nadrukiem NY, ale ostatecznie z niej zrezygnowałem, bo przez cały czas myślałem o tobie. Zastanawiałem się, co na mój temat sądzisz, czy tak jak inni wierzysz w moją śmierć. Napawa mnie to smutkiem, poczuciem winy i złością. Nie wiem, jak temu wszystkiemu zaradzić. Przecież w pewnym sensie i tak jestem martwy, a moje ciało przypomina pustą, niezamieszkałą skorupę. Odnoszę wrażenie, że mój słaby mózg prawie nie funkcjonuje, że nastawiony jest wyłącznie na wykonanie zadania. Tylko to trzyma mnie jeszcze przy życiu.

Każdego wieczoru czaję się za blokiem, w którym mieszka brat Dakhil. Dawniej spotykaliśmy się u niego z braćmi prawie każdego dnia. Od tamtej pory upłynęła cała wieczność, a ja tkwię teraz w innym życiu, w innym świecie i w innym ciele.

Obserwuję, jak bracia przychodzą i wychodzą. Jest Dakhil z gęstą rudą brodą, jest brat Tasheem i brat Taimur. Brakuje tylko brata al-Amina.

Sam nie wiem, co tak naprawdę robię. Próbuję poznać ich zwyczaje? Może czekam na odpowiedni moment, żeby uderzyć? Może tylko zbieram się na odwagę albo szukam dna nienawiści? Co zrobić, jak już do niego dotrę? Gdy namierzę zdrajcę?

Ta cała ich gadanina. Modliliśmy się i płakaliśmy, gdy nasi bracia walczący na froncie stracili kontrolę nad Kobanê³, przeklinaliśmy amerykańskie bomby i bezwzględność Kurdów, cieszyły nas postępy w al-Hasace, przepełniała nas siła, gdy nasi bojownicy podchodzili pod Aleppo. Jak bardzo byliśmy dumni, gdy w końcu dostaliśmy zgodę na wyjazd.

– Teraz, po stracie Kobanê, najgorsze jest już za nami – twierdzili. – Kurdowie są mocni, ale w al-Hasace rządzą ludzie al-Asada, a oni są już zmęczeni. *Inszallah*, bracie, jeszcze zobaczysz, jak smakuje zwycięstwo.

Same kłamstwa! Perfidna gra! Wszystko tylko po to, żeby zniszczyć braci.

Ponownie zadaję sobie pytanie: co zrobię, kiedy już ich namierzę i odzyskam odwagę?

Już wiem – po prostu ich zniszczę.

Noce spędzam w komórce obok śmietnika w piwnicy bloku, w którym mieszka Mehdi. To jedno z tych pomieszczeń, do których ktoś zawsze ma klucz. Kiedyś, gdy byliśmy młodszy, pociągaliśmy tu z butelki i zostawialiśmy na noc, gdy nie mieliśmy ochoty wracać do domu. Teraz Mehdi jest tu kimś, to on rządzi chłopakami i tylko on ma klucz do komórki, więc nikt mi nie przeszkadza. Leżę w ciemnościach na materacu, otulony śpiworem, który ukradłem razem z butami do koszykówki w sklepie sportowym. Mehdi przynosi mi do jedzenia jakieś resztki, czasem jeździmy do McDonalda, ale nie w Bergort. Wybieramy miejsca, gdzie nigdy nie byłem, więc nikt mnie nie rozpozna.

Czas mija. Pewnego dnia, gdy Mehdi ma wolne, jedziemy nad jezioro małą mazdą, którą od kogoś pożyczył. Jest ciepło, zostawiamy za sobą molo, wąską plażę, hałasujące dzieci. Chodzimy po lasku na bosaka, opadłe z drzew igliwie kłuje nas w stopy. Siedzimy na kamieniu na niewielkim występie nad dołem, w którym lubiliśmy grillować.

– Pamiętasz? Kiedyś dobierałeś się tutaj do Aishy! – mówi Mehdi, uderzając się ze śmiechem po udach. – Dziwne, bo to wcale nie była taka ładna laska! Ależ byłeś wtedy napalony, *brush*. Jak pieprzony królik!

Nie mogę się powstrzymać od śmiechu. To było tak dawno temu. Ile mieliśmy wtedy lat? Trzydzieści?

– *Khalas!* – odpowiadam. – Przestań, bracie, Aisha to ładna dziewczyna.

Mehdi tylko kręci głową i znowu śmieje się na cały głos. Potem siedzimy przez chwilę w milczeniu. W końcu pyta:

– Pamiętasz, co ci niedawno powiedziałem? Że możemy sobie wzajemnie pomóc?

Patrzę na niego i kiwam głową na potwierdzenie.

– Jasne. O co tylko poprosisz, *brush*. Bez ciebie by mnie tutaj teraz nie było.

Mehdi przysuwa się bliżej i kuca przede mną, żeby móc rozmawiać szeptem.

– Pewnie wiesz, że w Bergort coś się szykuje. Widziałeś symbol malowany sprejem na ścianach? Czujesz, że coś wisi w powietrzu, prawda?

Czuję na twarzy ciepłe promienie słońca, przepełnia mnie spokój. Kładę się w dole wypełnionym igliwem i kamieniami. Po tym, co powiedział Mehdi, przypominam sobie, że widziałem ten symbol właściwie wszędzie. Także w oczach chłopaków. Kiedy wieczorem schodzę do piwnicy, słyszę, jak o nim szepczą. Jestem jednak tak bardzo zaprzątnięty własnymi sprawami, że w ogóle mnie to nie interesuje. Tak, zauważyłem symbol, ale to wszystko.

– Jasne – odpowiadam. – Od razu się domyśliłem, że coś jest na rzeczy.

Mehdi kiwa gorliwie głową.

– To bardzo dobrze. Wiesz, czasem rzeczywiście coś się dzieje. Gliny kogoś pobiją albo ktoś zostaje zabity. W takich sytuacjach całe Przedmieście ogarnia szaleństwo. My też to kiedyś przerabialiśmy, pamiętasz?

Kiwam na potwierdzenie głową, bo faktycznie coś sobie przypominam. Przed pięcioma laty zamieszki na Przedmieściu trwały dwie noce. Przyjechały gliny z tarczami, pałkami i całym swoim chłamem, ale nie mieli z nami szans, bo byli za wolni i za słabi. Nie pamiętam jednak, jak to się zaczęło i jak się skończyło.

– Tym razem jest inaczej, bo wszystko jest zaplanowane – kontynuuje Mehdi. – Kapujesz? Pomagają nam ludzie, którzy się na takich rzeczach znają i chcą nam pomóc wywołać straszną wojnę. Zaczynamy od symboli, działamy psychologicznie. Budujemy nastrój: nadzieja, strach. Rozumiesz?

Wzruszam ramionami.

– Jeśli ty tak twierdzisz...

– Potem ruszymy na całego. Sto procent mocy, bracie! Nie tylko my, bo pójdą za nami inne przedmieścia. To będzie pieprzona wojna! A ty możesz nam pomóc, *ghost*! Wystarczy, że wyjdiesz nocą na ulice. Możesz zacząć od malowania symbolu, na wszystkich ścianach, na wszystkich ulicach.

Przypominam sobie, że kiedyś też tak zaczynaliśmy. Wszyscy byliśmy oszołomieni, bo umieliśmy stanąć w zwartym szeregu i razem z innymi braćmi wymierzać sprawiedliwość: za to, że byliśmy bici pałkami albo podduszani, za każdą noc zmarnowaną w celi aresztu, za każdy wieczór spędzony bez sensu w policyjnej suce. Musimy w końcu zmusić te świny do odwrotu, niech się pogubią, przejdą do defensywy. Mamy moc i chcemy ją pokazać – tu, na Przedmieściu.

Niestety, w przeciwieństwie do Mehdiego czuję tylko pustkę. Bezsens, który we mnie wibruje, nagina nade mną gałęzie sosen, zasłania słońce i zwiastuje ciemność. Co on mi proponuje? Żebym rzucał kamieniami w policjantów, gdy w tym samym czasie nasi bracia giną tysiącami? Mam się zadowolić kilkoma płonącymi samochodami, gdy amerykańskie drony rozrywają naszych braci na strzępy? To nic, a nawet mniej niż nic. Ale cóż, po wszystkim, co dla mnie zrobił, jestem mu to winien. Dlatego zmuszam się do uśmiechu i mówię:

– Okej, bracie. Zrobię, o co prosisz. Nie ma sprawy.

Kiedy wjeżdżamy do Bergort, robi się ciemno. Mehdi przez cały czas gędzi o zamieszkach i ich skali. Obiecuje, że symbole pokryją całe Przedmieście, i od razu pokazuje mi jeden z nich – pięść z wkomponowaną gwiazdą. Twierdzi, że zasieją strach, że wszyscy będą kraść i że o całej akcji wie zaledwie kilku kolesi. Po tych wyjaśnieniach wciska mi kilka szablonów i pojemników ze sprejem.

Kiedy dojeżdżamy do Bergort, jest już ciemno. Ulice rozświetlają bladożółte latarnie. Proszę Mehdiego, żeby mnie podwiózł pod mój dawny blok. Patrzy na mnie zdumionym wzrokiem, ale zatrzymuje samochód we wskazanym miejscu. Biorę torbę i wysiadam.

– Co zamierzasz, bracie? Myślałem, że chcesz się ukrywać?

– Oni już śpią – odpowiadam, zerkając w stronę okien, w których nie pali się światło.

– Co masz w tej torbie? Nosisz ją wszędzie ze sobą jak osioł. Pewnie to coś ważnego?

Przez chwilę się waham, ale nie mogę się oprzeć pokusie i postanawiam mu pokazać, co jest w środku. Niech wie, że sprawa jest *fucking* poważna. Kładę torbę na siedzeniu pasażera i ostrożnie otwieram zamek błyskawiczny. Mehdi się pochyła, zagląda do środka i w jednej chwili jego oczy robią się wielkie jak spodki.

– *What the fuck*, bracie? – pyta. – *What the fuck*?!

– Jak widzisz, sprawa jest poważna – odpowiadam, biorąc do ręki chłodny, ciężki pistolet. – Oko za oko, bracie. Ci, którzy mnie oszukali, będą musieli za to zapłacić.

Mehdi kiwa z powagą głową, a ja zatykam pistolet za pasek spodni i zaciągam zamek w torbie.

– Karabin ukryję w mieszkaniu rodziców – wyjaśniam. – Bezpieczniejszego miejsca nie znajdę. Jeśli chcesz, mogę cię nauczyć strzelać z pistoletu.

W mieszkaniu jest ciemno i cicho. Kiedy moi rodzice nie pracują, kładą się spać wcześniej. Torba jest ciężka, pasek wrzyna mi się w ramię. Wchodzę do przedpokoju i płuca wypełnia mi ciężkie, duszne powietrze. Ostatni raz byłem tu kilka miesięcy temu. Teraz prowadzę zupełnie inne życie.

Mógłbym ukryć broń w lesie, bo tam ukrywaliśmy kiedyś przed światem inne rzeczy. Mógłbym wykopać dół, zakryć go gałęziami, igliwiem i liśćmi. Broń byłaby tam bezpieczna, może nawet bardziej niż tutaj.

Jeśli tak, to co mnie tu przygnało? Poczucie bezpieczeństwa kojarzące się z przeszłością? Słaba nadzieja, że nagle uchylą się drzwi, ktoś zapali nocną lampkę i usłyszę

kroki w sypialni? Wypowiedziane szeptem pytanie, co tu robię i co mam w torbie? Nagłe spotkanie, które zmusi mnie, żebym im spojrzął w oczy?

Stoję nieruchomo w przedpokoju i nasłuchuję. Może właśnie to by wystarczyło? Wąski strumień światła, stłumione kroki, szeptem zadane pytanie? Może po czymś takim zrezygnowałbym z moich zamiarów?

Nasz dawny pokój wygląda tak samo jak w dniu, kiedy go opuściliśmy. Jest tylko czystszy. Staram się nie hałasować. Podnoszę materac i opróżniam torbę. Broń wkładam pod łóżko, gdzie kiedyś ukrywałem różne przedmioty. Dzisiaj robię to ostatni raz.

Idąc do wyjścia, zatrzymuję się w przedpokoju. Stoję jak wmurowany, ciarki przechodzą mi po plecach. Mógłbym przysiąc, że usłyszałem jakiś dźwięk dobiegający z dziennego pokoju. Jakby coś nagle zaskrzypiało albo zapiszczało.

Odwracam się powoli w tamtą stronę. W pokoju jest ciemno, prawie czarno, bo zasłony są dokładnie zaciągnięte. Drzwi do ich sypialni są zamknięte. Natężam słuch i próbuję sobie przypomnieć, czy kiedy tu wszedłem, drzwi nie były uchylone. Stoję nieruchomo, nie bardzo wiem, co zrobić, serce bije mi jak oszalałe. Ale wszędzie panuje prawie kompletna cisza. Słyszc tylko szum wentylatora dobiegający z suszarni w piwnicy. Stoję w tej pozycji tak długo, że drętwieje mi noga. Ostrożnie się odwracam, przemykam do wyjścia i wychodzę na klatkę schodową.

Zatrzymuję się na ścieżce rowerowej i czuję ulgę wymieszaną z rozczarowaniem. Nikt mnie nie widział, plan jest nadal aktualny. Na tym właśnie polega życie. Żyję dla celu, który sobie wyznaczyłem – to on jest moim życiem.

43. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Popołudniowe słońce stoi już wysoko. Niebo jest błękitne i czyste, na parkingu stoją spalone samochody. Asfalt zasypany jest okruchami szkła, w sklepie Syryjczyka straszą puste futryny okienne. Właściciel stoi przed wejściem z miotłą w rękę, wzrok ma zły i ponury.

– Pieprzone gnojki, popaprańce – mruczy do siebie.

Yasmine przygląda się ludziom i wszędzie widzi puste, zmęczone twarze. To ich samochody zostały zniszczone, to ich sklep spożywczy spłonął, to ich dzieci boją się wychodzić wieczorami na ulice. Zresztą za dnia też robią to niechętnie. Z wielu ścian bije w oczy symbol namalowany sprejem – czerwona pięść z gwiazdą. W całej dzielnicy utrzymuje się atmosfera zagrożenia i oblężenia, jak gdyby zaczęło się odliczanie w oczekiwaniu na totalny chaos.

Yasmine idzie w stronę centrum. Pistolet wpija jej się w plecy, ale jest zdziwiona, że tak szybko się do niego przyzwyczaiła. Po tym, jak przed Hotell Lydmar zobaczyła tamtego bandytę, zdecydowała się włożyć do broni magazynek.

Od jej ostatniej wizyty w tym miejscu minęło pół doby. Nocne zniszczenia widoczne są gołym okiem, ale dziwi ją, że wszystko jest teraz inne, normalne. Zbite szyby w sklepie spożywczym, mleko rozlane na brudnym chodniku. Ma się to jednak nijak do chaosu, którego doświadczyła nocą. Nie ma krzyków i pożarów, nie ma anonimowych chłopaków ściganych przez równie anonimowych policjantów.

Na rynku przed sklepem spożywczym stoją dwa radiowozy. Czterej policjanci w koszulkach z krótkimi rękawami i w czapkach zsuniętych na tył głowy opierają się o samochody i piją kawę z kartonowych kubków. Bardzo się starają, żeby nie robić groźnego wrażenia, jak gdyby nocą działo się w Bergort coś zupełnie innego, a po ulicach nie przemykały mroczne cienie. Ale bez względu na to, co robią, i tak wyglądają jak żołnierze piechoty na przepustce albo chłopscy synowie, którzy stali się armią okupacyjną i ciągle jeszcze nie zrozumieli, jak do tego doszło. Nie wyglądają groźnie, tylko naiwnie, jakby nie zdawali sobie sprawy z nienawiści, jaką budzą na Przedmieściu.

Yasmine jest ich prawie żal. Wie jednak, że nocą znowu przywdzieją swój bojowy rynsztunek. Będą się kryć za tarczami i kratownicami, w ich rękach pojawią się pałki.

Oni też wiedzą, że cała dzielnica o tym wie. W ich zachowaniu jest coś nienaturalnego, jakby przez cały czas trwali w napięciu. Widzą dokoła symbole namalowane sprejem i spalone samochody i wmawiają sobie, że nie dopuszczą, aby ktoś wniósł lont do prochowni, chociaż w głębi duszy wiedzą, że na jakiegokolwiek działanie z ich strony jest już za późno.

Yasmine siedzi na ławce w promieniach słońca i czuje, że ogarnia ją coraz większy niepokój. Deszcz przestał padać i znowu jest ciepło, ale piasek pod leżącymi w piaskownicy szpadelkami i popękkanymi samochodzikami jest nadal wilgotny. W końcu, tuż przed trzecią, słyszy za sobą głos Parisy:

– Yazz? *Sorry* za spóźnienie.

Parisa stoi przy krzywej furtce prowadzącej na plac zabaw. Yasmine rusza w jej stronę po wilgotnym piasku.

– Nic się nie stało – odpowiada, wzruszając ramionami.

Podchodzi do Parisy i patrzy jej prosto w oczy.

– Co za bajzel! – mówi. – Mam na myśli to, co działo się nocą.

Parisa kiwa głową, jak gdyby nie zdążyła się zastanowić nad tym, co się stało.

– Tak to bywa – odpowiada. – Sama wiesz najlepiej. Gliny dają nam wycisk, a my im oddajemy.

Yasmine się waha. Czy Parisa nie wie, że Mehdi jest w to wszystko zamieszany, że w pewnym sensie kieruje tymi wydarzeniami?

– Czyje jest tamto dziecko? – pyta. – Twojej siostry?

Parisa nie patrzy jej w oczy, jej wzrok błądzi po placu zabaw, aż w końcu zatrzymuje się na sklepie Syryjczyka z wybitymi szybami. Słyszając pytanie Yasmine, kręci głową.

– Tylko mi nie mów, że to wyskrobek twojej matki?

Yasmine wybucha głośnym śmiechem, robi wszystko, żeby rozładować napięcie, które jest już łatwo wyczuwalne. Parisa kręci głową i patrzy na nią trochę wzburzonym, a trochę zbuntowanym wzrokiem.

– To moje dziecko. Ma na imię Nour.

Yasmine aż cofa się ze zdumienia.

– Co? Chyba żartujesz? Ty...

Yasmine przerywa, bo nie wie, co powiedzieć.

– A co w tym dziwnego? – pyta Parisa. – Czy to, że mam dziecko, to dla ciebie aż taki

szok?

– No, nie... Zresztą sama nie wiem.

– Nie każdy chce zabrać dupę w troki i wyjechać do Nowego Jorku. Nie wszyscy zamierzają rujnować sobie życie.

– Nie to miałam na myśli, siostró – tłumaczy się Yasmine. – Chodzi mi o to, że... Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Jak to dlaczego? – pyta Parisa z lekko złośliwym uśmiechem na ustach. – Przecież cię tu nie było, siostró. Nie wydzwaniałaś do mnie każdego dnia, prawda? Nie zasypywałaś wiadomościami na Facebooku, siostró.

Yasmine zwraca uwagę na sposób, w jaki Parisa wypowiada słowo „siostró”. Ona też wypowiadała je w podobny sposób poprzedniego dnia w jej mieszkaniu. Wzrusza ramionami, bo czuje, że Przedmieście znowu na nią wpełza, przygniata do ziemi, miażdży w swoim uścisku. Jego długie macki ciągną ją z powrotem do siebie. Nie ma znaczenia, jak daleko ktoś chce wyjechać.

– *Whatever* – odpowiada Yasmine. – Dziewczynka jest słodka.

Yasmine stoi ze wzrokiem wbitym w ziemię. Przecież to ona miała wzbudzić w Parisie poczucie winy. Ciekawe, że w tej dzielnicy sprawy przybierają czasem zupełnie inny obrót. Nic nie jest postanowione na stałe – z wyjątkiem chaosu.

– Czy to dziecko Mehdiego? – pyta.

Parisa nie odpowiada, tylko kiwa głową.

– Chodź ze mną – mówi po chwili. – Coś ci pokażę.

– Co takiego? – pyta Yasmine, patrząc na nią uważnym wzrokiem.

– Podobno chcesz się dowiedzieć czegoś o Fadim. Powiedziałaś, że wszystkie inne sprawy masz w nosie, bo zależy ci tylko na nim.

– To nie jest tak, że wszystko inne mam w nosie. Ale jeśli Fadi żyje, muszę go znaleźć. Kapujesz?

Yasmine czuje coraz większą wściekłość. Parisa i pieprzone Przedmieście. Cały ten bajzel, stagnacja, dziwne powiązania i ciągłe poczucie winy.

– Chodź już – powtarza Parisa, odwraca się do niej plecami i odchodzi.

44. Bergort – poniedziałek, 17 sierpnia – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku

Kolejne dni wyglądają podobnie. W poniedziałek wsiadamy razem z Mehdim w mazdę gruchota i jedziemy jak najdalej stąd. Tylko ja i on. Słuchamy klasycznych kawałków Pirate Tapes, Mehdi podśpiewuje refreny w rytmie rap. Ma beznadziejny głos, przerywają mu ataki astmy. Ciągłe fałszuje, nie pamięta słów. Rozśmiesza mnie tym tak bardzo, że na chwilę zapominam, kim jestem i kim się stałem.

Parkujemy samochód i wąskimi ścieżkami zagłębiamy się w las, jak grzybiarze. Zachowujemy się jak typowe Szwedole. Wokół panuje cisza, słychać tylko trzaskanie plastikowych pojemników z pustymi szklankami i puszkami, które Mehdi ze sobą zabrał. Kiedy jesteśmy już na tyle daleko od piaszczystej drogi, że możemy poczuć się bezpiecznie, ustawiamy puszki na zwalonym pniu i cofamy się o jakieś dwadzieścia metrów. Otwieram torbę przywiezioną z Syrii i wyciągam z niej rosyjski pistolet.

Mehdi już raz widział broń. Przed kilku laty Lis pokazał nam stary, zardzewiały rewolwer. Był z siebie taki dumny, chociaż wiedział, że zostało mu niewiele życia. W jego zniszczonych heroiną oczach dało się zauważyć, że koniec jest bliski, więc wcale nam nie zaimponował. Byliśmy raczej przygnębieni tą sytuacją. Kilka miesięcy później nie żył.

Ale to stara historia. Ten pistolet pochodzi z czasów drugiej wojny. Kiedy Mehdi go ode mnie bierze, drżą mu dłonie, błyszczą oczy.

– *Shit, brush* – mówi. – Skąd to masz?

– Zabrałem ze sobą, gdy stamtąd uciekłem. Tam nikt nie kontroluje, kto ma ile broni. Do kraju wracałem cały tydzień, ciężarówkami i autobusami. Nie mogłem tak po prostu pojechać na lotnisko i zarezerwować lot.

Mehdi unosi pistolet i celuje z niego do drzew.

– Walczyłeś tam? – pyta.

Patrzy na mnie z podziwem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałem. Widać po nim, że uwierzy we wszystko, co mu opowiem. Opowiadam więc o froncie, o bombach rozpryskowych, które zrzucały na nas gnojki al-Asada, o dwóch granatach domowej roboty i o tym, jak bracia unoszą karabiny nad głowę i strzelają ze szczelin w ścianach zburzonych

domów, o zapachu siarki, o pustyni i o tym, ilu niewiernych zabili. A gdy Mehdi pyta, czy ja też kogoś zabiłem, kiwam głową na potwierdzenie i odwracam wzrok.

Przecież zabiłem naszych braci.

Siedzimy na dwóch pniach, Mehdi opycha się czekoladą, ale nie częstuje mnie jak dawniej. Denerwuje mnie tym, chociaż tyle dla mnie zrobił. Kiedy jednak widzę, jak się obżera, i słyszę, jak mlaszcze, ogarnia mnie złość. Po co tu w ogóle przyszliśmy? Po co mam go uczyć strzelać? Słyszę jego astmatyczny oddech, opieram się o pień drzewa i patrzę na niego.

– Może mi w końcu zdradzisz, o co w tym wszystkim chodzi? – pytam. – Po jaką cholere przyszliśmy do lasu jak jacyś Szwedole?

Mehdi patrzy na mnie i popija colę, która ścieka mu z kącików ust.

– Pojebało cię? – pyta. – Straciłeś humor czy co?

Kręcę przecząco głową.

– *Whatever...* Ale chyba możesz mi zdradzić, co się dzieje na Przedmieściu. Skąd te zamieszki? O co tu chodzi?

Mehdi kiwa spokojnie głową. Czekoladę przeżuwa tak intensywnie, że aż nabrzmiewają mu policzki.

– To się ciągle rozprzestrzenia. W weekend dojdzie do prawdziwej eksplozji, bracie. Mamy faceta, który to wszystko koordynuje. Rozumiesz?

Wzruszam ramionami.

– A co się stanie, jeśli faktycznie do tego dojdzie? Co tu jest, kurwa, grane? Założę się, że w końcu kogoś zastrzelisz, palancie.

To jedyna rzecz, o jaką wcześniej pytałem. Nie dlatego, że mnie to jakoś szczególnie obchodzi, tylko dlatego, że wydaje mi się to zupełnie pozbawione sensu. Mam na myśli pomysł, żeby zabić jakiegoś gliniarza w Bergort. Przypomniały mi się chłopaki, których widziałem pierwszego wieczoru po powrocie, ich gadaninę na Camp Nou i na placu zabaw. Jak to na nich wpłynie, jeśli któregoś dnia zobaczą, jak taki Mehdi zabija glinę?

– Spokojnie, *relax* – odpowiada Mehdi. – Aż tak głupi to nie jestem. Siedzę w tym po uszy, a nasz Serb płaci mi po tysiąku za noc tylko za to, że wywołuję chaos. Jak pamiętasz, kiedyś robiliśmy to za darmo.

Mehdi wybuchają śmiechem, a ja sopluję na ziemię i zerkam na niego z ukosa. Zaczynam rozumieć. To oczywiste. Przecież na tym się wychowaliśmy, to był nasz poligon

doświadczalny. Zawsze w gotowości do rozróby, zawsze z rozpędem albo w zwolnionym tempie, z rojeniami na przyszłość pod warstwą brudu i chaosu. Zawsze jakaś sprawa, którą można spieprzyć. Nigdy bliżej niż czubek własnego nosa, nigdy dalej niż do kolejnego *pay check*.

Po południu Mehdi przychodzi do mojej kryjówki – szarej, ponurej jaskini. Wygląda na podenerwowanego, syczy i świszczuje bardziej niż zwykle. Rozbieganym wzrokiem rozgląda się po komórce.

– Sie masz, bracie – mówi. Podaje mi rękę i na wpeł mnie obejmuje.

– Co się dzieje? – pytam. – Wyglądasz na zdenerwowanego.

Mehdi zamyka za sobą metalowe drzwi, wchodzi do komórki i patrzy na mnie poważnym wzrokiem.

– Ktoś próbuje cię namierzyć – mówi. – Słyszał, że wróciłeś. Sam wiesz najlepiej, jak to u nas działa. To tylko kwestia czasu.

Siadam na materacu. To prawda, znalezienie mnie było kwestią czasu, chociaż starałem się zachować ostrożność. Tu, na Przedmieściu, takie rzeczy dzieją się szybko.

– Skąd o tym wiesz?

– Mam kontakty. Ta sama osoba pyta też o symbole, co mnie niepokoi. Mówiłem ci, że szykują się tu ważne sprawy, a ci, którzy pociągają za sznurki... to znaczy ci, co płacą... wściekną się, gdy ktoś się wygada, zanim jeszcze wszystko się zacznie. Wierz mi, z nimi lepiej nie zadzierać. Jeśli ktoś cię zobaczy, stracisz szansę na zemstę. Od tej pory musimy być ostrożni.

– Kto mnie widział?

Mehdi unika mojego wzroku, w końcu patrzy na mnie poirytowany.

– Ktoś, kogo nie znasz. Trzymaj się w ukryciu, bo inaczej się wyda, że wróciłeś. Jesteś *haddi*. Mogą cię szukać ci z bezpieczki. Akurat ich potrzebujemy tu najmniej, bo za kilka dni wszystko się zacznie.

Czuję się trochę zagubiony na skutek tak nagłego przyływu informacji.

– Powiedz mi tylko, kto to jest. Pytał o mnie jeden ze zdrajców? Jeden z tych, co wysłali mnie do Syrii?

W ustach robi mi się sucho. Ukrywam się, prawie w ogóle nie wychodzę za dnia na ulicę, a mimo to ktoś mnie wypatrzył? Jak to możliwe?

– To nie jest teraz najważniejsze. Musisz się na jakiś czas przyciąć. Tylko tak będziesz

mógł się zemścić, jeśli nadal tego chcesz.

Przenosimy do komórki starą konsolę do gier i telewizor, podłączamy się do gniazdka na korytarzu. Mehdi jest zbyt skąpy, żeby pożyczyć mi nowe urządzenie, więc siedzę przy starym ps3 i gram w *FIFĘ* i *HALO*. Mehdi przychodzi po mnie we wtorek, jedziemy do lasu, uczę go strzelać z pistoletu. Przez cały czas opowiada o zamieszkach i chaosie. Gęba mu się nie zamyka.

Obserwuję, jak mu to idzie. Tuż przed oddaniem strzału zamyka oczy, pociąga za spust i tak fatalnie chybia, że wybucham śmiechem. Tysiąc koron za każdą noc za podpalenie Przedmieścia. Kominiarki, kije bejsbolowe i kamienie przeciwko glinom. Nie jesteśmy już dziećmi, co przepęlnia mnie wielkim żalem i pustką. Zaczynam żałować, że już nic się nie wydarzy, nic nam się nie uda i nigdy nie trafi się nam prawdziwy *break*.

Jest czwartkowy wieczór. Stoję po drugiej stronie ulicy naprzeciwko budynku, w którym spotykają się zdrajcy. Obserwuję, jak po kolei schodzą się do mieszkania Dakhila. Przyjeżdżają z centrum i z innych przedmieść. Słysząc pokrzykiwania, w mieszkaniu robi się harmider. Chłopaki jak zwykle nakręcają się przed nocną akcją. Zanim jednak nastąpi wybuch, na chwilę zapanuje spokój. Tak to wyglądało przez dwie ostatnie noce. Każdego dnia zamieszki stają się coraz bardziej intensywne, gwałtowne, chłopaków stale przybywa.

Nie wiem, dlaczego to robię, ale dzisiaj zostaję dłużej. Siadam na ławce przed budynkiem i czekam. Do domu wracam zazwyczaj wtedy, gdy się upewnię, że wśród tych, którzy weszli do środka, nie ma al-Amina. Dzisiaj jest inaczej. Mimo ostrzeżeń Mehdiego nie ruszam się z miejsca.

Wieczór jest ciepły, a ja czuję się zmęczony i samotny. Może dlatego, że nie mam dokąd pójść. Mimo to postanawiam czekać.

Zapada zmierzch, prawie zapadam w drzemkę. Obserwuję, jak po kolei zapalają się lampy. Bracia, którzy polegli w czasie ataku drona, modlą się teraz pewnie w Raju.

Zauważam go w chwili, gdy prostuję się na ławce. Jest na parkingu, na końcu ścieżki rowerowej. Zamyka pilotem swój samochód, to chyba golf. Rozlega się charakterystyczne kliknięcie. Al-Amin rusza szybkim krokiem w stronę budynku.

Ma na sobie to samo ubranie co dawniej – skórzaną marynarkę i kufi. Przy uchu trzyma telefon i po cichu z kimś rozmawia, ale chyba go nie słucha. Zastygam na ławce, nie mogę się ruszyć. Moje myśli zaprzęta tylko jedna rzecz: czy rozmawia teraz przez ten sam

telefon, z którego dzwonił do mnie przed dwoma tygodniami? Czy to ten telefon pomógł w zabiciu braci?

Zanim zdążę o czymkolwiek pomyśleć i wstać z ławki, brat al-Amin jest na klatce schodowej.

A więc nadal tu jest. Może zawsze przychodzi tak późno? Może jest tu pierwszy raz od dłuższego czasu? Może to jego ostatnia wizyta? A może wrócił z jakiejś misji? Czuję nagły przypływ adrenaliny. Czy to ta chwila? Jedyna okazja? Wszyscy bracia są już na górze. Zaczynam drżeć na całym ciele. Nigdy się nie zastanawiałem, co zrobię w chwili, gdy go zobaczę. Marzyłem o tym przez cały czas i to marzenie właśnie się spełniło.

Staję obok ławki, zadzieram głowę, ale nic nie widzę, bo firany są zasunięte. Jestem jak sparaliżowany, nie potrafię zapanować nad emocjami. Nagle drzwi budynku się otwierają i wychodzą z niego bracia. Jeden po drugim odchodzą asfaltową alejką, aż w końcu zostają tylko dwaj: Dakhil i al-Amin. Są zbyt daleko ode mnie i nie słyszę, o czym rozmawiają, ale wygląda na to, że spotkanie dobiegło końca. Podają sobie ręce, obejmują się, po czym imam Dakhil odwraca się, żeby wrócić do swojego mieszkania, a al-Amin rusza w stronę parkingu. W pewnym momencie odwraca się i mówi:

– Spotkamy się jutro, po piątkowej modlitwie.

Znowu zapadam się w siebie, czuję, że wraca mi ostrość widzenia. Obraz nabiera konkretnych kształtów, robi się bardziej wyraźny niż kiedykolwiek.

Spotkamy się jutro. Tak, odpowiadam w myślach. Na pewno się spotkamy.

45. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Na niebie świeci słońce. Parisa i Yasmine idą szybkim krokiem. Mijają trzypiętrowe budynki, gdzie Yasmine i Fadi razem dorastali, i niewielki zieleniec porośnięty ostami i dmuchawcami. Trochę dalej rośnie laszek, w którym bawili się w czasach, gdy Fadi był małym chłopcem. Opowiadała mu o Ronji, a on tak bardzo bał się leśnych strzyg i zbójników, że cały drżał. Kiedy w lesku zapadał zmierzch, bawili się w grillowanie kiełbasek, a do domu wracali ukradkiem, skostniaли z zimna. Przez całą drogę chichotali, a zamieszanie, które wywoływali swoim powrotem, zakłócało panującą w domu ciszę.

– Dokąd idziemy? – pyta Yasmine.

– Zobaczysz – odpowiada cicho Parisa. – Zaraz będziemy na miejscu.

Trawa jest tu wysoka. Yasmine woli nawet nie myśleć o tym, że roi się w niej od węży. Przyspiesza kroku, żeby zrównać się z Parisą. Kiedy ich oczom ukazuje się skraj lasu, zatrzymują się.

– To tutaj – mówi Parisa. W jej oczach i głosie czai się jakieś napięcie, jakby była czymś podenerwowana. – Idź pierwsza.

Yasmine zatrzymuje się i patrzy na nią.

– Nie ma mowy – odpowiada. – To ty mnie tu przyprowadziłaś. Chciałaś mi pokazać coś, czego szukam.

Parisa wzdycha i wzrusza ramionami.

– Jak chcesz – mówi i rusza w górę po rozgrzanych od słońca kamieniach.

Yasmine przez chwilę się waha, ale w końcu idzie za nią.

O tym, że to pułapka, uświadamia sobie w chwili, gdy dochodzą na skraj lasu. Przenika ją chłód, wewnątrz czuje pustkę, wszystko jak gdyby z niej wypływa. Na spotkanie wychodzą im dwaj mężczyźni w dżinsach i ciemnych koszulach z długim rękawem. Nic nie mówią, tylko wpatrują się w nią spod kominiarek, takich samych, jakie poprzedniego dnia zakładała młodzież na Camp Nou.

Yasmine czuje gwałtowny przypływ adrenaliny, świat wokół niej rozbłyska nagle tysiącem świateł. Odwraca głowę, żeby spytać o coś Parisę, ale widzi tylko jej plecy. Przyjaciółka biegnie po zboczu i nawet się nie ogląda.

Mężczyźni są coraz bliżej. Nic nie mówią, tylko idą spokojnie w jej stronę. Na dłoniach

mają czarne rękawiczki, ręce trzymają szeroko rozłożone, jak gdyby chcieli ją chwycić. Yasmine się cofa, strach nie pozwala jej odwrócić się do nich plecami. W końcu jednak robi to, chce uciec, zostawić wszystko za sobą, bez względu na to, z kim ma do czynienia. Niestety, w tym momencie zauważa trzeciego mężczyznę. On też ma na głowie czarną kominiarkę i idzie w jej stronę po zboczu. Yasmine uświadamia sobie, że nie ma drogi ucieczki.

Mężczyzna schodzący ze zbocza ubrany jest w lśniące spodnie od dresu. Na szyi ma zielony tatuaż sięgający miejsca, gdzie kończy się kominiarka. Yasmine jest tak przerażona, że nagle „wychodzi” ze swojej fizycznej powłoki: widzi się „z drugiej strony”, z pewnego oddalenia, jak stoi w bladym lasu, pod bladym słońcem, otoczona trójką zamaskowanych mężczyzn. Jest zdana na własne siły, wystawiona na łaskę trójki mężczyzn. Mimo to woła za Parisą: – Dlaczego mnie zdradziłaś?

Ale Parisa nie odpowiada, bo przed chwilą zniknęła między drzewami.

46. Londyn – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Wprawdzie jest jeszcze popołudnie, ale piątkowy wieczór zaczął się w Library na dobre. Klara wchodzi do środka i przeciska się między spoconymi klientami w cienkich koszulkach w kratę. Przy kontuarze jest ciasno, ale jest tu nie pierwszy raz, więc już po chwili nawiązuje kontakt wzrokowy z Pete'em.

– Wyglądasz na wykończoną – mówi barman. Nalewa jej pełny kieliszek chardonnay i przesuwa w jej stronę po mokrym blacie.

– Dzięki – mruczy Klara i wypija duży łyk.

Od razu czuje się lepiej. Przez jej ciało przelewa się fala ciepła. Zamyka oczy. Całe szczęście, że przed wyjazdem wyprała ubrania. Teraz tylko wróci do domu i wrzuci je do torby.

Na myśl o powrocie do Sztokholmu ogarnia ją radość. Stara się zagłuszyć wyrzuty sumienia wywołane tym, że nie skontaktowała się z Gabriellą. Od tygodni myślała tylko o tym, że w końcu się z nią spotka. Potem wydarzyła się ta historia z Patrickiem i wszystkie plany wzięły w łeb.

Postanowiła, że zadzwoni do niej wieczorem. Sięga po kieliszek i wypija kolejny łyk wina. Otwiera oczy i widzi, że Pete obserwuje ją z niepokojem. No tak, jego zdaniem pije zbyt szybko. Pewnie teraz myśli o tym, co przytrafiło się jej w ostatnią niedzielę. Nie spuszczając z niego oczu, wypija resztę wina. *Fuck* z nim i z całym jego niepokojem. *Fuck all of them.*

Pochyliła się nad blatem, daje Pete'owi znak, żeby do niej podszedł, i mówi:

– Czy widziałaś osobę, która zwróciła mojego laptopa?

Pete kręci głową.

– Już ci mówiłem, że to nie był nasz stały klient. Nigdy przedtem go nie widziałem. Czy u ciebie wszystko w porządku? Masz minę jak...

– Nie – przerywa mu Klara. – Nic nie jest w porządku. Absolutnie.

Po tych słowach odwraca się i rusza w stronę wyjścia.

Po drodze jak zwykle zachodzi do Tesco. Kupuje taką samą jak zawsze schłodzoną butelkę australijskiego chardonnay po 7,99 funta za sztukę i curry do podgrzania w mikrofalach. Płaci

w kasie, wychodzi na ulicę i nagle czuje, że wszystko robi zbyt szybko, jakby nie kontrolowała własnych myśli, które tylko przemknęły jej przez głowę i uciekły, zanim zdążyła się na nich skupić.

Za każdym razem, kiedy zostaje sama, zachowuje się tak, jak gdyby nie kontrolowała swojego mózgu, który bez względu na jej zachowanie wciąż przywołuje wspomnienia o zdarzeniach z poprzedniego dnia albo wybiega myślami do przodu. Na przykład Patrick leżący na torach – nietknięty kołami pociągu, bez kropli krwi na ciele, a jednak martwy. Pusta ludzka skorupa. Klara cieszy się, że to tylko przelotny obraz. Potem przypomina sobie mężczyzn w skórzanych kurtkach, białe wino, Sztokholm, listę rzeczy do prania, Gabriellę, dziadka i znowu Patricka. Boże, przecież za dwa dni ma się odbyć prezentacja raportu. Dlaczego ją to spotyka? Znowu widzi Patricka na torach, mężczyzn w skórzanych kurtkach, biuro.

Takie myśli ją osłabiają, nie jest w stanie zrobić ani kroku więcej, chociaż jest prawie pod domem. W końcu siada na krawężniku. Zapomina przy tym, co ma w reklamówce, i mocno uderza butelką o chodnik. Słysząc trzask kruszonego szkła i wino wylewa się na asfalt.

– Cholera! – syczy Klara i odskakuje na bok, żeby nie poplamiło jej ubrania.

Czuje się zupełnie bezsilna. Przez moment zbiera jej się na płacz, więc chowa twarz w dłoniach i pochyla głowę. Ale łzy nie chcą płynąć. Przez palce widzi na asfalcie okruchy szkła, niedopałki papierosów, opakowania po słodyczach, piasek.

Kiedy w końcu otwiera oczy, ogarnia ją panika – ciężka i dusząca jak wodna fala. Po drugiej stronie ulicy, nie dalej niż dziesięć metrów od niej, stoi jakiś mężczyzna, który przez cały czas się na nią gapi. Patrzy na niego i wydaje jej się, że gdzieś go już widziała. Włosy jeżą jej się na głowie. Dopiero po chwili uświadamia sobie, kim jest. W tym samym momencie wszystkie elementy układają się w całość: noc w zaułku, utrata przytomności, laptop. Teraz jest już na sto procent pewna – to nie Patrick, tylko ten mężczyzna ukradł jej laptopa.

47. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Mężczyźni są coraz bliżej. Zatrzymują się mniej więcej cztery, pięć metrów przed nią, stoją z rękami opuszczonymi po bokach. Twarze mają ukryte pod czarnymi kominiarkami. W tle słyhać huk metra wyjeżdżającego z tunelu. Uderzenia kół o szyny przerywają ciszę i zagłuszają wszystkie inne dźwięki. Yasmine się cofa, ale przez cały czas ich obserwuje.

– Proszę... – mówi, unosząc ręce. Wie, że to, co zaraz powie, zabrzmie bezradnie i patetycznie. – Bez względu na to, kim jesteście... Ja tylko szukam mojego brata.

Mężczyźni stoją nieruchomo i patrzą na nią beznamiętnym wzrokiem. Yasmine próbuje ich zrozumieć, nawiązać kontakt wzrokowy. Mężczyzna z zielonym tatuażem spogląda na nią spokojnie, ale oczy ma jak kamienie. Są ciemnoszare i zimne, ukryte w głębi kaptura. Ten, który stoi w samym środku, też tylko na nią patrzy, wzrok ma nieruchomy i obojętny. Za to w oczach trzeciego, który trzyma się z boku, kryje się coś więcej. Zachowuje się nerwowo, ma rozbiegane spojrzenie, patrzy to na nią, to na swoich kolegów. Kogoś jej przypomina.

Yasmine próbuje przełknąć ślinę, ale usta ma całkowicie wysuszone, język klei jej się do podniebienia. Odwraca się do trzeciego mężczyzny, żeby zajrzeć mu w oczy.

– Ja tylko szukam mojego brata – powtarza.

Mężczyzna z tatuażem robi krok w jej stronę i rozkłada ręce. Dłonie ma otwarte, jak gdyby chciał pokazać, że nie zamierza jej skrzywdzić. Ale Yasmine zna ten gest, widziała go tysiące razy. Jego sens jest wprost przeciwny, nie pasywny, tylko agresywny. Dlatego robi kolejny krok do tyłu. Widząc, jak mężczyźni z rozbieganymi oczami drżą nogi, odwraca się do niego.

– Jestem stąd, *wallah*, jestem jedną z was.

– Ostrzegaliśmy cię – odzywa się nagle mężczyzna z tatuażem. Głos ma mroczny i głuchy, jakby dobiegał z więziennej celi. – Daliśmy ci jasno do zrozumienia, żebyś przestała węszyć. Niestety, nie okazałaś nam szacunku i dlatego nie mamy innego wyjścia.

Yasmine nie wie, jak to się stało, ale nagle w dłoni mężczyzny pojawia się nóż. Klinga aż się iskrzy, jej blask ją oślepia.

– Proszę... – powtarza. – Ja naprawdę szukam tylko mojego brata.

– Zachowuj się poważnie – mówi trzeci z mężczyzn, któremu drżą nogi. – Przecież

mówiliśmy...

– *Khalas!* – przerywa mu syczącym głosem mężczyzna z tatuażem i zerka na niego z ukosa. – Zamknij gębę, palancie.

Potem znowu odwraca się do Yasmine. Stoi z rękami opuszczonymi po bokach, lekko odchylony i pewny siebie, jakby takie sytuacje były dla niego codziennością. Nóż lśni mu w dłoni.

– Chyba nie rozumiesz – mówi takim tonem, jakby rozmawiał z dzieckiem. – Masz sobie dać z tym spokój. Już nie należysz do tego miejsca. Nie masz tu czego dłużej szukać. Twój brat nie żyje, a nas nie ma, rozumiesz? Jesteśmy duchami.

Mężczyzna z rozbieganym wzrokiem nie spuszcza wzroku z noża.

– Mój brat nie umarł – szepcze Yasmine.

– Coś ty powiedziała, dziwko?

Jest już prawie tuż przed nią, na wyciągnięcie ręki. Z tego miejsca mógłby bez problemu dosięgnąć ją nożem. I właśnie to sprawia, że Yasmine odzyskuje wigor; mężczyzna wspomniał o śmierci Fadiego, a ją nazwał dziwką. Stoi przed nią z tym swoim żalonym tatuażem, pieprzonym nożem w ręce, w lśniących, pedalskich spodniach od dresu. Yasmine czuje się tak, jak gdyby leciała bezwładnie twarzą w dół, w głąb studni, tam, skąd przyszła. Tyle razy widziała takich jak oni, z nożami, kastetami, ogolonymi głowami, skrzywionymi nosami i zmarnowanym życiem. Są jak David, jak wielu innych w tej dzielnicy. Mają własne zasady i oczekiwania, stosują przemoc i groźby. Myśli o Fadim, o pistolecie i pięści Davida, który uderzył ją w skroń. I wie jedno: ma tego wszystkiego dość, nie wytrzyma tu ani sekundy dłużej. To się musi wreszcie skończyć.

Sama nie wie, jak to się dzieje, ale w jej ręce pojawia się nagle pistolet. Nim zdąży pomyśleć, wykonuje automatyczny ruch, który ćwiczyła z Davidem na strzelnicy. Zanim poziom adrenaliny opadnie, ujmuje pistolet w obie ręce i kieruje lufę prosto w czoło mężczyzny z tatuażem.

Przez całe dzieciństwo obrywała: w sypialni, w kuchni, w dużym pokoju. Całe ciało miała posiniaczone i ukrywała to ze wstydem. Robiła to dla Fadiego. Nie protestowała, gdy bił ją David. Pozwalała mu na to, prosiła, a nawet zmuszała go do tego. Robiła to dla swojego dobra. Ale dość tego. W rękach trzyma przedmiot, który skupia w sobie wszystko, co do tej pory potulnie znosiła: nienawiść, jaką w sobie dusiła, wymierzoną przeciwko tamtym rzeczom, przeciwko Fadiemu i Davidowi, rodzicom, Parisie i całemu pieprzonemu

Przedmieściu. Właśnie to trzyma teraz w dłoniach. Jak gdyby obejmowała tę nienawiść obiema rękami, jak gdyby zrobiona była ze stali i krwi.

Oczy mężczyzny nabierają nagle innego wyrazu. Dwaj pozostali zaczynają się wycofywać. Ten z rozbieganymi oczami unosi ręce.

– Nie nazywaj mnie więcej dziwką – mówi Yasmine. – Mój brat żyje.

Mężczyzna nie spuszcza z niej oczu. Widać po nim, że strach i zaskoczenie minęły.

– Co chcesz zrobić, dziwko? – pyta. – Zastrzelić mnie?

Ostatnie zdanie wypowiada spokojnie i powoli, ale gdy Yasmine naciska spust, dźwięk jego słów ginie w ogłuszającym huku.

48. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Wstaję przed szóstą. Sprawdzam godzinę na telefonie komórkowym i odczuwam ulgę, że jest już rano, chociaż w panujących ciemnościach nie jest to takie oczywiste. W nocy nie mogłem zasnąć. Jak tu spać, gdy całe życie przewija się przed oczami, a za każdym razem, gdy zamykam oczy, słyszę głos mojej siostry, widzę jej twarz, ciała braci ułożone na ziemi i po kolei analizuję błędne decyzje, które składają się na moje krótkie, zmarnowane życie.

W samym środku nocy otworzyłem ciężkie drzwi prowadzące na korytarz, odnalazłem w ciemnościach schody, a gdy się okazało, że drzwi nie są zamknięte na klucz, poczułem ulgę. Przypomniałem sobie, jak przed stu laty weszliśmy na dach jednego z tych budynków, i poczułem, że to jedyna rzecz, która ma w moim życiu jakiś sens: wejść na samą górę, jak najbliżej nieba. Dlatego ruszam ostrożnie schodami w górę, idę lekko jak duch. Docieram na strych i zatrzymuję się na ostatnim szczeblu drabinki prowadzącej na dach.

Powietrze jest tu ciężkie i wilgotne, wszędzie czuć zapach betonu i smród ekskrementów. Doznania zmysłowe są tak intensywne, że zaczynam mieć wrażenie, że całe to pieprzone Przedmieście wypełniło mi sobą płuca. Ogarnia mnie tak wielkie przygnębienie, że od razu przyspieszam. Biorę po dwa szczeble, przechodzę przez otwór i wchodzę na dach nad dziesiątym piętrem. Wieje letni wiatr, a na szarym nocnym niebie świecą blade gwiazdy. Posuwam się na czworaka, aż docieram na sam skraj dachu. Wydaje mi się, że szkoła leży u mych stóp, że jest taka mała, że mógłbym ją ukryć w dłoni. Wokół mnie wznoszą się dziesięciopiętrowe wieżowce. Widzę fragment zamku, więzienie i nasze Camp Nou, które przypomina znaczek pocztowy. Jest plac zabaw dla dzieci i osiedle trzypiętrowych bloków. Odwracam głowę i na wielkim parkingu widzę płonące samochody. Są jak małe, bezwartościowe świece. Słyszę głosy docierające aż na dach, obserwuję grupy młodzieży i oddziały policji w bezsensownym tańcu.

Pełnę na czworaka na drugi skraj dachu i widzę mój dom. Jest tak mały, jak inne domy, i niczym się od nich nie różni. Domyślałam się, że to, co miało się zacząć, już się zaczęło. My też tam zaczynaliśmy, siostró. Mogło być inaczej, ale wyszło, jak wyszło.

Stało się to, co się stało.

Odwracam głowę i widzę lasek. Kiedyś się w nim bawiliśmy, a później spotykałem się tam z braćmi. Trochę dalej jest mieszkanie imama Dakhila. Pomyślałem sobie, siostró, że

wszystko skończy się właśnie tam, w pobliżu miejsca, gdzie się zaczęło. Przemieszczam się na środek dachu i przewracam na plecy. Patrę w gwiazdy i podejmuję ostatnią próbę. To prawdopodobnie jedyna prawdziwa próba w całym moim życiu. Przez chwilę wydawało mi się, że stanie się to teraz, że takie rzeczy dzieją się w chwili, gdy ktoś jest w potrzebie.

Wstaję, odwracam się we właściwym kierunku, wykonuję konieczne gesty i wypowiadam słowa. Klękam. Powoli się pochylam, dotykając głową pomarszczonej, suchej papy. Zaczyna świtać, a ja widzę wokół siebie płonące samochody, las, beton i całe moje życie. Dochodzę do wniosku, że jeśli Bóg istnieje, na pewno jest obecny tutaj i teraz. Dlatego recytuję święte wersety z gorliwością, do której nigdy przedtem nie byłem zdolny. W tej niezwykłej chwili szukam łaski, pojednania i pokory bardziej żarliwie niż kiedykolwiek wcześniej.

Nie wiem, jak długo tak leżałem pogrążony w modlitwie. Na pewno na tyle długo, że nie byłem w stanie tego dłużej wytrzymać. Czuję się tak wyczerpany, że przewróciłem się na bok i skulony przeleżałem w tej pozycji cały ranek. Czekałem do chwili, w której uświadomiłem sobie, że nikt nie odpowie na moje błagania i że jestem sam. Zupełnie sam. Możliwe, że samotność przynosi czasem ulgę. Rozważam tę kwestię, ukrywając się w mojej ciepłej komórce w piwnicy. Żałuję tylko jednej rzeczy: że nie oszczędzono mi tego, przez co przeszedłem. Zastanawiam się, dlaczego wcześniej nie zrozumiałem, że nigdy nie istniało nic innego poza nami i że nic nie jest w stanie wypełnić pustki, jaką po sobie zostawiłaś.

Właściwie to nieprawda, bo są też inne rzeczy, których żałuję. Na przykład tego, że pozwoliłem ci wyjechać. To bardzo trudne, nic więc dziwnego, że czuję się tak, jak gdyby ktoś przygwoździł mnie do podłogi. Nie mam już sił na tego rodzaju rozmyślanie. Dlatego zmuszam się, żeby nasycić się tym, co mi jeszcze pozostało – zemstą. Zdrajcy odpowiedzą za swoje czyny. Co potem? Nie wiem. Na razie widzę tylko ciemność.

Wsuwam rękę na sam koniec śpiwora, wydaję z niego mój stary rosyjski pistolet i sprawdzam stan magazynka. Z Syrii zabrałem tylko broń: dwa pistolety i karabin. Dzięki nim dokonam zemsty. Dokładnie sprawdzam, czy pistolet jest zabezpieczony, wsuwam go pod koszulę, za pasek spodni i siadam na materacu oparty plecami o ścianę.

Zanim przystąpię do realizacji mojego planu, muszę zrobić jeszcze jedną rzecz. Wyrwam z notesu kartkę, biorę długopis z niebieskim tuszem i piszę.

Najpierw do Mehdiego, któremu za wszystko dziękuję. Proszę go też, aby przechował mój drugi list – do ciebie. Jeśli kiedykolwiek wrócisz.

Zaczynam od początku i piszę właściwie o wszystkim, co uznaję za ważne: jak czekałem na ciebie przy krzakach przed szkołą i jak drzemaliśmy na podłodze w zimnym mieszkaniu; piszę o braciach z dzielnicy, o Syryjczyku, o podpalaniu samochodów i o wielu innych rzeczach, na przykład o tym, jak się miotąłem, ścigając twój cień po całym Przedmieściu. Przede wszystkim jednak zapewniam cię, że nic, co się wydarzyło, nie wynikało z twojego błędu. Piszę o sobie, o betonowych domach i braciach, o tych, którzy nazywają się naszymi rodzicami, o szkole i ciemności, która na mnie napiera, krępuje mnie i ciśnie. Głównie jednak piszę o sobie.

Piszę też o Dakhilu i al-Aminie, o ich zdradzie i bombach, o nogach oderwanych od tułowia i o leżących w rzędzie zwłokach. Kończy mi się papier, więc wyrywam kolejną kartkę. Piszę do momentu, aż zabraknie tuszu w długopisie. Tekst staje się coraz bardziej wyblakły i cienki, na końcu prawie wcale go nie widać.

Kiedy kończą mi się tematy, padam na materac. Wyrzuciłem z siebie wszystko, co wiąże mnie z dawnymi czasami. Nie ma też tego, co przywiodło mnie tutaj. Do zrobienia została mi już tylko jedna rzecz.

49. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Akcja nabiera tempa. Świat zamiera. Dźwięki, które było przed chwilą słychać, ucichły. Jeden z mężczyzn w kominiarce na twarzy odwraca się i ucieka. Podskakuje i pędzi między krzakami jak zajęca, zbiega po zboczu, wpada między osty porastające pole. Yasmine nawet za nim nie patrzy, zostawia go w spokoju. Jest skonsternowana tym, co przed chwilą zrobiła, zmieszana ciszą i bezruchem.

Mężczyzna z tatuażem leży przed nią w wysokiej trawie. Przestał być groźny, kwili teraz tylko jak szczenię. Dłonie przyciska do uda w miejscu, gdzie trafił go pocisk.

Drugi z mężczyzn, ten z rozbieranymi oczami, klęczy przed Yasmine z uniesionymi rękami.

– Yazz! Proszę cię, nie rób mi krzywdy! Ja nie wiedziałem... Chciałem tylko...

Yasmine patrzy na nich beznamiętnie. Cała ta sytuacja wydaje jej się nierzeczywista. Słońce, mężczyzna wijący się z bólu i ten drugi, który błaga o łaskę. Dopiero w tym momencie dociera do niej, że nadal trzyma w ręce pistolet i przez cały czas mierzy w głowę klęczącego przed nią mężczyzny. Wie, kto to jest, przez cały czas wiedziała.

– Zdejmij tę kominiarkę, Mehdi, ty pieprzony chuju – mówi Yasmine.

Mehdi posłusznie spełnia jej polecenie. Po jego szerokiej twarzy płyną łzy.

– Yazz! Mam dziecko, daruj mi życie!

Yasmine opuszcza broń.

– Jesteś zwykłym dupkiem, Mehdi. Nie zastrzelę cię. Do niego też bym nie strzeliła, gdyby nie wyciągnął noża.

Mehdi kiwa energicznie głową. Widać po nim, że gotów jest spełnić każde jej polecenie.

– Przysięgam, Yazz, nic o tym nie wiedziałem.

Ale ona go nie słucha. Pochyliła się nad mężczyzną, do którego strzeliła, i ściąga mu z głowy kominiarkę.

– Powinniśmy jakoś opatrzyć tę ranę – mówi.

Mężczyzna spogląda na nią chłodnym wzrokiem. Nagle zdejmuje dłoń z rany, żeby ją uderzyć. Yasmine odskakuje od niego.

– Nie chcesz, to nie – mówi. – To ciebie trafiła kula, nie mnie. Ale bez względu na to, jak bardzo cię nienawidzę, nie chcę, żebyś umarł.

Odwraca się do Mehdiego i wydaje mu polecenie:

– Zdejmij koszulę i przewiń mu ranę. Masz telefon?

Mehdi kiwa głową, zdejmuje kurtkę i ściąga koszulę przez głowę.

– Zadzwoń na pogotowie, *len*. Twój kumpel potrzebuje pomocy.

– I co im powiem? Że do niego strzeliłaś?

– Nie potrzebuję żadnego pieprzonego pogotowia! – protestuje mężczyzna, próbując stanąć na nogach. Niestety, ból jest tak silny, że z powrotem opada na plecy i znowu przykłada dłoń do rany.

– Powiedz im, że został postrzelony. Mówię poważnie. Reszta mnie nie obchodzi. Pamiętaj tylko, żeby mnie w to nie mieszać.

Mehdi pochyła się nad rannym mężczyzną i obwiązuje mu ranę koszulą. Mężczyzna nie spuszcza z Yasmine wzroku.

– Zabiję cię za to, dziwko – syczy. – Nie wiesz, z kim zadarłaś.

Próbuje się roześmiać, ale ból jest tak silny, że śmiech przypomina raczej syk.

– Tu nie chodzi tylko o Bergort, głupia cipo. To, co widzisz, dzieje się naprawdę.

Yasmine znowu się nad nim pochyła.

– W takim razie może mnie oświecisz, o co w tym wszystkim chodzi? I co to ma wspólnego z moim bratem?

– Wiem tylko tyle, że cię zabiję, pieprzona dziwko – syczy mężczyzna przez zaciśnięte zęby.

Mehdi ciągnie ją za ramię.

– Musimy się stąd ewakuować, zanim zjawią się gliny.

– Nigdzie nie pójde – odpowiada Yasmine. Bierze do ręki pistolet i mierzy w drugą nogę mężczyzny z tatuażem. – Nie ruszę się stąd, dopóki ten dupek mi nie powie, gdzie jest Fadi i co go łączy z tymi rozróbami. Zaczynaj mówić, koleś, bo inaczej strzelę ci w drugą nogę.

Czuje się trochę oszołomiona, a nawet podekscytowana całą sytuacją. Teraz to ona ma władzę, a narzędzie przemocy trzyma w dłoni. Takie odszczekiwanie sprawia jej przyjemność. Wprost marzy o tym, żeby wpakować facetowi kulę w drugą nogę. Ale Mehdi ciągnie ją za ramię i szlocha.

– Nie rób tego, Yazz. Przysięgam, że on nic nie wie o twoim bracie. Na sto procent! Nikt nic nie wie, oprócz mnie.

W chwili gdy zatrzymują się przed wejściem do dziesięciopiętrowego wieżowca, w którym mieszka Mehdi, Parisa i jej mama, słyszą karetkę jadącą na sygnale. Jest gdzieś po drugiej stronie Przedmieścia, zaraz wjedzie na teren osiedla.

– Szybko się zjawili – mruczy Mehdi.

Yasmine nie odpowiada, tylko otwiera drzwi prowadzące na klatkę schodową. Ma w nosie to, co się stało. Myśli tylko o Fadim, który gdzieś tu jest, i o tym, że Mehdi przez cały czas wiedział o jego obecności.

Wchodzi do wilgotnej klatki schodowej, odwraca się do Mehdiego i rozkłada ręce.

– Dokąd teraz? – pyta.

Mehdi przechodzi obok niej, otwiera kluczem drzwi prowadzące do piwnicy i rusza przodem. W ciszy panującej w budynku słychać tylko przytłumione echo ich kroków. Mehdi prowadzi ją dalej, gdzie wilgoć jest jeszcze bardziej odczuwalna. Po drodze mijają płataninę zardzewiałych rur i suszarnię, w której słychać włączone pralki. W końcu Mehdi zatrzymuje się przed białymi stalowymi drzwiami, które niczym się nie różnią od innych drzwi w piwnicy.

Yasmine pęka głowa, z trudem łapie oddech. Twarz zeszywniała jej od płaczu. Mehdi podchodzi do drzwi i pochyla się, żeby włożyć klucz do zamka.

– Chwileczkę – mówi Yasmine.

Zostawiła Fadiego przed czterema laty. Przez cały ten czas żyła z poczuciem winy, w całkowitej pustce, bez niego i bez Przedmieścia. Kilka tygodni temu usłyszała, że nie żyje. Zamyka oczy i widzi kota wiszącego na ulicznej lampie, symbole na ścianach i płonące samochody. Kiedy Fadi był małym chłopcem, często zasypiał w jej ramionach. Wciąż pamięta jego oczy w tamten ostatni wieczór, gdy zostawiła go na pastwę losu, i widzi krew, która pojawiła się przed kilkoma minutami w lesie. Co ją teraz czeka? Dokąd Mehdi ją doprowadzi?

Przełyka ślinę, patrzy na niego i daje znak ręką, żeby otworzył drzwi. Mehdi ostrożnie puka.

– To tylko ja, bracie – mówi i uchyla drzwi.

Yasmine zamyka oczy. Nie jest pewna, jak zareaguje na to, co za chwilę zobaczy. Po kilku sekundach otwiera oczy i widzi, że Mehdi zapalił w środku światło.

– Nie ma go – mówi. Podchodzi do materaca i podnosi z niego plik kartek. – Myślę, że coś dla ciebie zostawił.

50. Londyn – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Widok mężczyzny stojącego po drugiej stronie ulicy paraliżuje Klarę. Widzi tylko jego czarny T-shirt, czarne dżinsy i zniszczone długie włosy. Od razu przypomina sobie jego żylaste dłonie, którymi zdierał z niej plecak, i słowa szeptane jej do ucha.

W końcu odzyskuje kontrolę nad ciałem i wstaje. Cofa się w stronę budynku, który ma za plecami, nie spuszczać mężczyzny z oczu. Ten unosi ręce, jak gdyby chciał jej pokazać, że jest nieuzbrojony.

Na moment rozdziela ich przejeżdżający samochód, ale Klara dalej stoi jak sparaliżowana, niezdolna oderwać od niego oczu, ruszyć się z miejsca. Ma jednak na tyle sił, żeby się trochę cofnąć.

Remember, remember, the fifth of November.

Tak, to te słowa szeptał jej do ucha i to samo zdanie ma wytatuowane na nadgarstku. Powoli przechodzi przez ulicę z lekko uniesionymi rękami i otwartymi dłońmi. Chce pokazać, że nie jest niebezpieczny. Ale przecież już raz jej groził, pokazał, do czego jest zdolny.

Remember, remember, the fifth of November.

Klara ciągle się cofa, aż czuje za plecami wystawę sklepową. Mężczyzna idzie powoli w jej stronę, jest już kilka metrów od niej. Nagle ze sklepu wybiega grupa rozbawionej hiszpańskiej młodzieży, która po chwili znika po drugiej stronie ulicy.

Dopiero wtedy mężczyzna podchodzi do Klary.

– Klaro – zaczyna spokojnym głosem. Mówi po angielsku z amerykańskim akcentem. Głos ma zaskakująco miły i jasny, prawie dziecięcy, a przy tym przerażająco niebezpieczny. – Proszę mi wybaczyć, ale musimy porozmawiać.

Mężczyzna jest już tak blisko, że mógłby jej dotknąć ręką. Twarz ma bladą, płaską jak zimowy księżyc, palce długie i smukłe. Zachowuje się jak ktoś, kto nie lubi przebywać na otwartej przestrzeni.

Klara podnosi ręce, jak gdyby chciała mu zasygnalizować, żeby nie podchodził bliżej, że i tak jest już zbyt blisko.

– Nie wiem, co pani wie, ale to ja zabrałem laptopa – mówi mężczyzna.

Klara tylko kiwa głową, bo cała zeszywniała ze strachu. Zaciska dłonie i postanawia, że

jeśli nieznajomy wykona jeszcze jeden ruch w jej stronę, kopnie go w krocze. W szóstej klasie kopnęła tak swojego kolegę, Callego, gdy chciał ją złapać za piersi. Po tym, co zrobiła, żaden chłopak nie próbował jej molestować. Teraz też jest gotowa, zaraz wybuchnie.

– Przykro mi – kontynuuje mężczyzna. – To była pomyłka. Głupio się zachowałem.

Klara patrzy na niego, ale nie czuje ulgi, chociaż jego wyznanie brzmi szczerze. Nie odzywa się, czeka, co będzie dalej.

– Patrick nie żyje – mówi mężczyzna. – Zepchnęli go z peronu pod pociąg.

Klara przełyka ślinę.

– Skąd pan go zna? Kim pan jest?

– Nazywam się Cross – odpowiada mężczyzna, rozglądając się nerwowo po ulicy. – Nie mam zbyt wiele czasu, więc może się przejdziemy?

– To był mój pomysł – zaczyna Cross. Idą Virginia Road w kierunku Ravenscroft Park. Rosnące tam drzewa rzucają szeroki cień. – Od razu przyznam, że cholernie głupi. Patrick strasznie się na to krzywił. Ale ja przez długi czas byłem jego zwolennikiem. Patrick prawie się dowiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Wiedziałem, że musi zdobyć dostęp do jednego z waszych komputerów. Wcześniej próbował to zrobić na własną rękę. Ja zresztą też.

Klara zatrzymuje się i kręci głową.

– O czym pan mówi? O co w tym wszystkim chodzi, do jasnej cholery?

Ale Cross nie zwraca na nią uwagi, daje jej tylko znak, żeby się nie zatrzymywała. Klara nie spuszcza go z oczu, zerka na niego z ukosa, gotowa do walki albo ucieczki. Czy w ogóle powinna z nim iść?

– Patrick mówił, że weekend spędza pani w Szwecji. Sprawdziliśmy więc rozkład lotów i śledziliśmy panią od przylotu. Czekaliśmy na okazję, aż odstawi pani laptopa. Niestety, nic takiego się nie stało. Okazja trafiła się dopiero w tamtym hipsterskim barze. Byłem wtedy na prochach, porządnie najarany. W barze wpadłem na pewien pomysł. Odczekałem na stosowną okazję i wrzuciłem pani do drinka dwie tabletki. Potem tylko czekałem, aż narkotyk zadziała.

Klara patrzy na Crossa zdumionym wzrokiem. O czym on bredzi?

– Chwileczkę – mówi. Zatrzymuje się i kręci głową. – O czym pan mówi? Wrzucił mi pan do drinka prochy? To jakieś szaleństwo.

Cross kiwa głową i odwraca wzrok.

– Jak już wspomniałem, to nie był najlepszy pomysł. Zgadzam się z panią. Lepiej by było, gdyby Patrick zrobił to po swojemu. Być może dzisiaj...

Cross nie kończy zdania, ale Klara wie, co ma na myśli. Dochodzą do parku, idą alejką i siadają na ławce. Klara wyjmuje paczkę papierosów i zapala jednego, nie częstując Crossa.

– Powie mi pan w końcu, o co w tym wszystkim chodzi? – pyta.

Cross rozgląda się niespokojnie po parku. Po chwili się uspokaja i patrzy na Klarę.

– Chodzi o pani pracę – wyjaśnia. – O to, kto opłaca wasze studia i badania.

Klara chce mu spojrzeć w oczy, ale Cross znowu rozgląda się po parku. Po chwili wstaje z ławki. Robi to jak zbyt pobudzone dziecko albo jakby się nagle czegoś przestraszył.

– Chodzi o Stirling Security? – pyta Klara.

– Patrick ustalił wiele faktów – odpowiada Cross, jakby nie usłyszał jej pytania. Zdejmuje plecak, wyjmuje z niego grubą tekturową teczkę i kładzie ją Klarze na kolanach. – Proszę. Nie wiem, co w niej jest. Patrick ukrył ją na podwórzu, za instytutem, w którym pracujecie. Kiedy zginął, zabrałem ją stamtąd. Gdy wróciłem do domu, okazało się, że ktoś był w moim mieszkaniu i przewrócił je do góry nogami.

Klara czuje teczkę na kolanach. Przyciąga ją do siebie i patrzy na Crossa. W jego oczach widzi łzy.

– Wie pani, to nasza subkultura. Anonymous. Cyfrowy bunt. Nikt nie przypuszczał, że to się tak skończy, że Patrick zginie.

– Byliście parą? – pyta Klara. – Był pańskim chłopakiem?

Cross kiwa nieśmiało głową.

– To dla niego przyjechałem do Londynu. Czy pani wie, że dostał pracę na Harvardzie? Był prawdziwym idealistą, ciągle tylko mówił o prawach człowieka. Szybko się zorientował, że z pani szefową i z całym waszym instytutem coś jest nie tak.

Klara wstaje z ławki i bierze Crossa za rękę.

– To znaczy jak? I dlaczego ukradł mi pan mojego laptopa?

Cross zdążył się już trochę uspokoić. Klara nadal trzyma go za rękę.

– To ma coś wspólnego z raportem, który przygotowujecie na konferencję w Sztokholmie. Patrick był pewien, że ktoś przekupił pani szefową, że pisze raport na

zlecenie jakiejś firmy albo lobbysty. Uważał, że ten dokument ma duże znaczenie. Nie udało nam się jednak dowiedzieć, co pani szefowa pisze ani do jakich doszła wniosków. Potem Patrick ustalił, że przygotowuje pani fragment raportu. Wtedy pomyślałem, że może poznamy jego treść poprzez pani laptopa. Niestety, tam też go nie było.

Klara kręci głową.

– Moja szefowa nie chciała mi pokazać końcowych wniosków. A dlaczego zaufała pan właśnie mnie? Może ja też zostałam przekupiona?

Cross patrzy jej prosto w oczy i wzrusza ramionami.

– A komu miałem ufać? Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Wiem tylko tyle, że muszę stąd zniknąć. Nie czuję się tu bezpiecznie. Jeśli tamci się dowiedzą, że pani go ma, znajdzie się pani w niebezpieczeństwie.

Cross wskazuje na teczkę, którą dał Klarze.

– Muszę wyjechać z Londynu. Niech pani z tym zrobi, co uzna za stosowne. Ja się wypisuję. Jeszcze raz przepraszam za tamto z laptopem.

Po tych słowach odwraca się i znika wśród drzew.

Klara zamawia taksówkę. Nadal jest oszołomiona i zagubiona, czuje się samotna i opuszczona. Na jej kolanach leży czerwona teczka, ale nie ma odwagi jej otworzyć.

Co ma z nią zrobić? Jak się zachować? Jutro leci do Sztokholmu, a jeszcze nie jest spakowana. Patrick nie żyje, wiele wskazuje na to, że został zamordowany. Cały świat stanął na głowie. Chyba powinna się napić.

Taksówka zatrzymuje się przed Library. Klara patrzy na rozjaśnione wnętrze, widzi w środku ludzi, słyszy ich śmiech i znowu robi jej się niedobrze. Pochyliła się i każe kierowcy jechać dalej. Ucieknie w inne miejsce, gdzie nikt jej nie zna.

51. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Jest późne popołudnie. Stoję przed wejściem do bloku, w którym się wychowywałem. Czas się dla mnie zatrzymał. Sekunda trwa godzinę, minuta cały ranek. Za cztery albo pięć godzin będzie po wszystkim. Staram się teraz nad tym nie zastanawiać, odsuwam takie myśli na później, bronię się przed nimi, ale wysoki poziom adrenaliny sprawia, że szumi mi w głowie i cały drzę. Nie chodzi o to, że boję się tego, co ma nastąpić. Wprost przeciwnie: nie mogę się doczekać. Chcę zobaczyć oczy al-Amina, gdy padnie przede mną na kolana. Czy będzie błagał o życie? Jak człowiek, który chciał mnie zabić, będzie się zachowywał w chwili, gdy ja będę chciał zabić jego?

Tych, którzy są naszymi rodzicami, nie ma w domu. Mieszkanie jest puste i czyste, panuje w nim półmrok. Zatrzymuję się w przedpokoju. To tutaj lubiliśmy leżeć, siostrzo. Na podłodze, po południu. Przepytywałaś mnie ze szwedzkich słówek. Uprawialiśmy tu „domowe zapasy”, żeby się rozgrzać. Kładłem ci głowę na kolanach i czułem się bezpiecznie, jak nigdy później.

Przez chwilę chce mi się płakać, ale wiem, że to nic nie da, że nie ma drogi odwrotu. Wszystko się skończyło, i to dawno temu.

Kiedy jednak uchylam drzwi do naszego pokoju, czuję się tak, jak gdyby cały wszechświat wokół mnie nagle się zatrząsł, zatrzymał i po chwili wystartował od nowa. Stoję w progu, skronie mi pulsują, ogarnia mnie uczucie, którego nie potrafię zdefiniować. Coś się nagle zmieniło, nic nie jest takie jak przedtem. Przez żaluzje prześwitują promienie światła, które jak zwykle błędzą po podłodze. Twoje łóżko jest zasłane i wygładzone, wygląda tak samo jak w dniu twojego wyjazdu. Patrzę na moje łóżko przykryte jasnoniebieską kapą. Teraz jest pomarszczona, nierówna, jak wtedy, gdy byłem tu tydzień temu.

Podchodzę do materaca, powoli go unoszę, odciągam i zamykam oczy. Czas znowu oszalał. To, co zwykle trwa dwie sekundy, teraz nagle rozciąga się na całą godzinę. Materac jest tak ciężki, że zsuwa się z łóżka i spada na podłogę.

Otwieram oczy i widzę, że torby nie ma. Podchodzę do łóżka, pochylam się i czuję, że serce bije mi przyspieszonym rytmem. Znajduję złożoną kartkę formatu A4. Podnoszę ją i rozpoznaję twój kanciasty charakter pisma. Świat się nagle zatrzymuje i przestaje dla mnie

istnieć. Tekst zawiera tylko cztery słowa.

„Zawsze będę cię chronić”.

Pod spodem jest numer twojego telefonu.

I to wszystko.

52. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Yasmine stoi jak sparalizowana. Czuje się tak, jak gdyby nagle straciła obie kończyny, jedną po drugiej. Z listem przyciśniętym do piersi osuwa się powoli na cienki materac leżący na ziemi. Oczy ma zaciśnięte tak mocno, że świat wokół niej przestaje istnieć.

Poznaje nierówny charakter pisma Fadiego. Widać, że jest zagubiony i przygnębiony. Oba te uczucia przewijają się przez cały tekst i słabną dopiero na końcu listu. Skończył mu się tusz w długopisie, końcowe słowa wycisnął na papierze suchym czubkiem.

Mehdi jest w sąsiednim pomieszczeniu. Słysząc, jak podnosi i przenosi różne przedmioty z miejsca na miejsce, jakby czegoś szukał.

Myślała, że Fadi nie żyje. Niedawno się dowiedziała, że to nieprawda, ale teraz znowu grozi mu śmierć. Szkoda, że nie zaopiekowała się nim przed czterema laty. Żałuje, że go wtedy nie objęła i nie pociągnęła za sobą... Gdyby go ze sobą zabrała... Gdyby Fadi zrobił to, o co prosi Mehdiego w liście – został i poczekał na jej powrót...

A może próbował, ale Przedmieście mu nie pozwoliło? Więzi łączące go z Bergort są przecież tak elastyczne, że wciągnęło go z powrotem. Tak samo jak teraz wciąga ją. Mehdi kładzie jej dłoń na ramieniu. Yasmine otwiera oczy.

– Fadi zabrał pistolet, a w domu waszych rodziców ukrył jeszcze jeden pistolet i kałasznikowa.

Yasmine kręci głową.

– To już nieaktualne. Znalazłam broń i zabrałam ją stamtąd.

Mówiąc to, wyjmując pistolet spod koszuli.

– Jak myślisz, gdzie go zdobyłam?

Mehdi kiwa głową i kuca z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Okej – odpowiada. Widać po nim, że nadal jest oszołomiony.

Yasmine prostuje się i patrzy na jego spuszczoną głowę, rozbiegane oczy, workowate dzinsy, tenisówki. Wygląda jak wtedy, gdy był małym chłopcem, jak Fadi, gdy był małym chłopcem, jak ona, gdy była małą dziewczynką. Z jego dawnej postawy nic nie zostało, przed chwilą okazało się, czym tak naprawdę jest: zewnętrzną maską typową dla *bravado*, fasadą, która miała skrywać złe decyzje i wynikający z nich chaos. Całym jej życiem, całym życiem Fadiego. Wyłącznie błędnymi decyzjami, tylko i wyłącznie chaosem.

Kłęka na materacu, bierze Mehdiego za ręce i odsuwa je od jego twarzy. Mehdi patrzy na nią zdumionym wzrokiem.

– *Ey*, Mehdi, bracie. Musimy to jakoś rozwiązać. Chyba rozumiesz?

Mehdi patrzy na nią bez słowa i tylko kiwa głową.

– Jak? – pyta w końcu.

– Musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz. O tym, co się wydarzyło w lesie, o symbolach, o rozruchach, o Fadim i o tym, czym się teraz zajmuje. Kapujesz, bracie? Najwyższy czas się oczyścić.

Mehdi zdradza jej, czego dowiedział się od Fadięgo: jak zwerbował go Dakhil, o tajemniczym bracie al-Aminie i telefonie satelitarnym, o wszystkim, co powiedzieli mu inni i czego dowiedział się na własną rękę. Wszystko, co mówi, przypomina sensacyjny film o dronach, zabitych braciach, syryjskiej pustyni, oczach Fadięgo i o broni.

– Przysięgam, że to prawda – kończy swoją historię Mehdi. – Patrzyłem mu prosto w oczy, widziałem jego broń i jak z niej strzela. Widziałem jego oczy, *Yazz*. Przysięgam, wyglądał jak szaleniec. Myślę, że on naprawdę oszalał.

Mehdi opowiada jej o Przedmieściu i o gangsterze Rado, którego postrzeliła w nogę. Rado pojawił się w Bergort nagle i nie wiadomo skąd. Przywiózł ze sobą kilku podobnych typków. Wszyscy mieli tatuaże i martwe oczy. Typowi Serbowie, recydywa.

– Przysięgam, *Yazz*, wyglądali tak, jakby dopiero co wyszli z pierdła w Kumli. Prawdziwe psychole. Rado powiesił martwego kota na latarni! To wszystko jest takie porąbane!

– Ale o co w tym wszystkim chodzi? – pyta Yasmine. – I po co się do nich przyłączyłeś? Co z tobą, bracie? Przecież masz dziecko!

Mehdi wzrusza ramionami, ucieka wzrokiem i przeciąga dłonią po twarzy.

– Ja już, kurwa, nie wyrabiam. Parisa też ma wszystkiego dosyć. Nie byliśmy gotowi na dziecko. W każdym razie nie ja. Mieszkamy u jej matki, w jednym pokoju z dzieckiem, jak jacyś pieprzeni żebracy. Rado, ten, którego postrzeliłaś, zrobił ze mnie kogoś w rodzaju szefa. Chłopaki mnie słuchają, są we mnie wpatrzeni jak w obraz! Rado daje nam kasę. *Yazz*, my z Parisą nic nie mamy. A on nam dawał po tysiąc papierów dziennie, przez dwa tygodnie. Dla nas to kupa szmalu.

Mehdi robi przerwę, ma zawstydzoną twarz. Ale Yasmine nie ma czasu, żeby zajmować się jego strachem.

– Jesteś idiotą. Gdyby nie ten cały bałagan, to bym cię wyśmiała. Myślisz, że ludzie dają forszę za darmo? Chyba cię pogięło, palancie.

– Przepraszam – mruczy niewyraźnie Mehdi. – Sprawa jest jasna, głupio się zachowałem. Niepotrzebnie się przed nimi wygadałem, że szukasz Fadięgo. Szykowaliśmy się do rozróby, więc pomyślałem, że jak się przyczaisz i będziesz siedzieć cicho, za tydzień sytuacja sama się rozwiąże: ja dostanę kasę, a Fadi się zemści. Wszyscy coś zyskają, pod warunkiem, że nie będziesz się mieszać. Nawet mi do głowy nie przyszło, że chcieli cię skrzywdzić. Powiedziałem im tylko, że ktoś pyta o symbole i zamieszki i że musimy coś zrobić, żeby z tym skończyć. A to, co się stało dzisiaj... to przez Parisę. Popełniła błąd.

Yasmine pochyła się w jego stronę.

– Parisa popełniła błąd? – pyta powoli. – Jaki błąd?

– Chciałem powiedzieć Fadiemu, że go szukasz. Przysięgam. Fadi na to zasłużył. Ale ona uważała, że to zbyt niebezpieczne, że nikt nie powinien się o nim dowiedzieć, nawet ty. Wiesz... naprawdę potrzebowaliśmy forsy. Sam już nie wiem...

– Czego nie wiesz?

– No bo wyjechałaś tak nagle – rzuca Mehdi, patrząc jej prosto w oczy. – Nie odpisywałaś na maile, żyłaś po swojemu. Może Parisa chciała ci się w ten sposób „odwdzięczyć”?

Mehdi robi zawstydzoną minę.

– Zrobiłem, jak kazała, i nie powiedziałem Fadiemu, że go szukasz. A tamtych poprosiłem, żeby cię tylko nastraszyli. Obiecali, że cię nie skrzywdzą.

Przez chwilę siedzą w milczeniu. Mehdi patrzy jej prosto w oczy. Yasmine wie, że zostało jej niewiele czasu. Za to Przedmieścia jest za dużo, żeby je tak na raz wchłonąć.

– A o co chodzi z Rado i z całą tą rozróbą? – pyta Yasmine. – Co to za facet? Co tu jest grane, bracie? Ktoś chce wywołać chaos? Tylko po co? Przecież to nikomu, kurna, niepotrzebne.

Mehdi wzrusza ramionami i zerka na nią spode łba.

– Krążą plotki – odpowiada.

– Jakie plotki?

– Podobno kryje się za tym coś ważnego. Komuś zależy, żeby na Przedmieściu wywołać chaos.

– Komu? I dlaczego?

Mehdi wzrusza ramionami.

– Mówią, że jakiś Szwedol rozdaje pieniądze na parkingu przed szkołą. Gadają, że stoi za tym jakaś firma. Ja naprawdę nic nie wiem. Nie zadawałem pytań, bo potrzebny mi był *cash*. Rozumiesz?

– Ja też niewiele o tym wiem. A ten Rado? Kto to jest?

Mehdi znowu wzrusza ramionami.

– Jest taki jak ja. Zwykły koleś, który chce zarobić parę groszy. Całe to zamieszanie ma w dupie. Chodzi mu o kasę. Ale po tym, co mu zrobiłaś, naprawdę się wkurwi.

Mehdi aż się wzdrygnął. Głos ma bezradny, jak gdyby szlochał.

– Rado nie zapomina takich rzeczy. To prawdziwy twardziel, nie taki *wannabe* jak ja. Po tym, co się dzisiaj stało, zabije nas.

Yasmine wie, że Mehdi ma rację. Nikt nie strzela do gangstera ot tak sobie. Nie psuje mu roboty. Wie, jaka jest za to cena.

– To nieważne – mówi. Pochyliła się w stronę Mehdiego i kładzie mu dłonie na ramionach. – Teraz liczy się tylko Fadi. Innymi sprawami zajmiemy się później.

– Ależ ja byłem głupi – stwierdza Mehdi. – Po co mi to wszystko było?

– Daj sobie z tym spokój. Musimy ustalić, gdzie są tamci dżihadyści, gdzie jest Fadi i co zamierza zrobić. Teraz to najważniejsze.

Mehdi unosi głowę i patrzy jej w oczy.

– Wiem, co on planuje.

53. Londyn – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Klara sama nie wie, dlaczego prosi taksówkarza, żeby zawiózł ją akurat do One Aldwych Hotel. Przeczytała gdzieś, że to luksusowy obiekt, w pewnym sensie anonimowy, położony z dala od miejsc, w których zazwyczaj bywa. Płaci kierowcy za kurs i wysiada z taksówki. Przez wielkie witryny okienne obserwuje, jak mężczyźni w skrojonych na miarę garniturach zamawiają wyszukane koktajle dla towarzyszących im pań z ostrym makijażem i upiętymi włosami. Ogląda się w lustrze i dziwi się, że po tym, co przydarzyło jej się w ciągu ostatniego tygodnia, nie wygląda gorzej.

Wigor odzyskuje dopiero po wypiciu pół kieliszka wina. Wyjmuje plastikową teczkę i kładzie ją na niskim mahoniowym stole. Wypija kolejny łyk wina, a potem następny. Odczuwa coraz większą ulgę, stres powoli ustępuje. Podchodzi do baru i zamawia drugi kieliszek wina. Wraca do stolika, nabiera powietrza i otwiera teczkę z dokumentami.

Teczka jest grubsza, niż jej się początkowo wydawało. Zawiera trzydzieści kilka stron tekstu. Klara bierze kieliszek i wypija łyk wina. Tym razem mniejszy niż poprzednio. Jest już znacznie spokojniejsza. Pochyla się nad plikiem kartek. Pierwsza z nich to wydruk ze strony internetowej firmy Stirling Security. Niedawno ją przeglądała. Rozpoznaje naiwny, dość kiepsko opracowany opis tego, czym firma się zajmuje.

Puls od razu jej przyspiesza. Znowu Stirling Security. Nic nowego.

Kolejny dokument to wydruk ze strony internetowej banku Ribbenstahl & Partners w Lichtensteinie. *Market leading confidential private banking*. Okej, tam też już zaglądała.

Szybko przegląda kolejne kartki i znajduje coś, co przypomina wydruk artykułu opublikowanego kilka miesięcy wcześniej w dużej angielskiej gazecie dla biznesu. Tytuł artykułu: *Corporate Kremlin enters EU lobbying arena*.

Bierze kartkę i rozsiada się wygodnie na krześle z kieliszkiem w ręce. Autor artykułu opisuje metody stosowane przez powiązane z rosyjskim rządem firmy, które starają się zdobyć pozycję w Brukseli. Według niego najbardziej charakterystycznym przykładem jest sposób, w jaki Gazprom i inne rosyjskie firmy energetyczne, posługując się dużymi amerykańskimi firmami lobbystycznymi i kancelariami prawnymi, próbują wpływać na ustawodawstwo obowiązujące w Unii Europejskiej.

Klara wzdycha i wypija kolejny łyk wina. Dla niej to żadna nowina, bo nadal pamięta

dyskusję, która toczyła się w Brukseli przed kilku laty. Niedbale odwraca kartkę i przegląda komentarze czytelników. Jest ich ponad trzydzieści. Jej uwagę przyciąga ten, w którym pojawia się nazwa Stirling Security. Ktoś posługujący się nickiem Red-Threat99 pisze: „W epoce coraz powszechniejszej zgody na to, aby pewne zadania powierzane do tej pory policji wystawiać na przetarg, niezwykle ważne staje się to, aby decydenci wiedzieli, kto stoi za przedsiębiorstwami, które o to występują, takimi jak na przykład MRM, Vienna Continental czy też agresywna, dysponująca rozległymi możliwościami Stirling Security. Firma ta przez ostatnie osiemnaście miesięcy zdobyła mocną pozycję w wielu krajach Europy. Uczestniczyłem w spotkaniach, na których jej przedstawiciele pojawiali się w towarzystwie rosyjskich dyplomatów. Chodzi o to, aby nie oddawać komuś kluczy do bram naszego miasta tylko po to, żeby zaoszczędzić pieniądze”.

Klara przewraca kartkę na drugą stronę, ale tego wpisu nikt nie skomentował. Odkłada papiery na stolik. Rosyjska firma ochroniarska, która chce wejść na europejski rynek? Przecież w tych papierach nie ma nic konkretnego. Wszystko, co do tej pory przeczytała, można znaleźć w internecie.

Wypiła już prawie całe wino, więc wstaje od stolika, żeby zamówić kolejny kieliszek. Widząc, że w teczce jest jeszcze kilka dokumentów, siada z powrotem na krzesło i wyciąga ze środka osiem ostatnich kartek. Wyglądają jak kopie pokwitowania wypłat.

Układa kartki w taki sposób, żeby padało na nie światło lampki stojącej na stoliku. Teraz łatwiej będzie odczytać tekst. Na początku zwraca uwagę na kwotę pięciuset tysięcy koron, która widnieje na pierwszej stronie. Dokument datowano dwa miesiące wcześniej. Przegląda dalsze strony i znajduje tę samą sumę w bieżącym miesiącu, zaledwie przed dwoma tygodniami. Wraca do poprzedniej kartki i stwierdza, że pieniądze przelano na konto w banku Ribbenstahl & Partners z siedzibą w Vaduz w Liechtensteinie. Przelewu dokonała firma Stirling Security. Płatność wiąże tę firmę z bankiem! Tylko co to oznacza?

Klara czuje, jak puls jej przyspiesza. Energicznie sięga po ostatnie kartki znalezione w teczce. Przypominają wydruki korespondencji mailowej. Nadawcą pierwszego maila jest ktoś posługujący się inicjałami GL i adresem mailowym gl@stirlingsecurity.com. W chwili gdy widzi, że odbiorcą maila jest Charlotte Anderfeldt, świat wokół niej zatrzymuje się w miejscu.

Czyta maile, którymi Charlotte wymieniła się z GL, i dochodzi do wniosku, że są kompletnie nierzeczywiste. Cała korespondencja prowadzona była po szwedzku. Sposób

formułowania zdań przez GL przypomina styl, z którym już się kiedyś zetknęła. Niestety, nie potrafi go skojarzyć z konkretną osobą. Jest zupełnie zdezorientowana. GL wysłał swój pierwszy mail przed prawie dwoma miesiącami:

Dziękuję za kolejne konstruktywne spotkanie w Londynie! Zarówno ja, jak i cała nasza firma – Stirling Security – cieszymy się, że będziemy z Panią współpracować i wspierać Pani ważne badania. Załączam potwierdzenie wpłaty zaliczki na konto, które założyliśmy w Ribbenstahl. Jak już wspomniałem, jest rzeczą niezwykle ważną, aby ze zrozumiałych względów nie upubliczniać naszej współpracy. Proszę wykasować całą naszą korespondencję, tak jak to uzgodniliśmy. Liczę na owocną współpracę!

Są też dwa maile dotyczące spotkania w Sztokholmie niecały miesiąc wcześniej. Klara z trudem przypomina sobie ten wyjazd. Charlotte wiele podróżuje i trudno się w tym połapać. Ostatni mail, który przyszedł od GL, jest sprzed tygodnia.

Charlotte,
załączam potwierdzenie drugiej wpłaty, którą na pewno zauważyła Pani na swoim koncie. Jak już wspomniałem przez telefon, na dzień przed konferencją możemy się spotkać w naszym biurze przy Kungsgatan 30. To bardzo dobry termin. Proponuję jedenastą. Pokazałem napisaną przez Panią wersję Orłowowi, który przedyskutuje ją z naszym międzynarodowym kierownictwem. Ogólnie rzecz biorąc, jest bardzo zadowolony. Z tego, co wiem, trzeba wygładzić kilka szczegółów. Dobra robota!

Pozdrawiam, GL.

Klara czuje, jak szumi jej w uszach. Uważnie się rozgląda i dochodzi do wniosku, że elegancko ubrani goście, którzy znajdują się w lokalu, uważnie ją obserwują. Szybko zbiera papiery i wychodzi na ulicę.

Wieczór jest ciepły i wilgotny. Klara wyjmuje paczkę papierosów, zapala jednego i powoli się uspokaja.

Rosyjska firma ochroniarska. Bank w Lichtensteinie, gdzie Charlotte ma na koncie milion koron. Konferencja w Sztokholmie, na której ma zaprezentować ekspercką opinię dla ministrów z krajów członkowskich Unii Europejskiej na temat możliwości prywatyzacji pewnych obszarów działalności policji. Opinię, której Charlotte nie pozwoliła jej jeszcze przeczytać.

A do tego śmierć Patricka w Little Venice i dokumenty w niebieskiej teczce, które prawdopodobnie stały się przyczyną jego śmierci. I śledzący go mężczyźni w czarnych skórzanych kurtkach. Naprawdę ich widziała. Nie jest obłąkana.

– Charlotte – szepcze Klara. – W co ty się wpakowałaś?

54. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Yasmine i Mehdi siedzą na zboczu wzniesienia naprzeciwko torów metra, po drugiej stronie kładki. Jest popołudnie, promienie słońca odbijają się od zabrudzonych okien pięciopiętrowego domu, który pokazał jej Mehdi. Na prawo od budynku znajduje się zaniedbany plac, Yasmine przechodziła dzisiaj przez niego. Nie chce jej się wierzyć, że od wydarzeń w lesie minęły tylko dwie godziny. W piasku nadal widać ślady opon karetki pogotowia i policyjnych radiowozów, które tędy jechały.

Yasmine patrzy na Mehdiego i osłania oczy przed słońcem.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – pyta.

Są tu od godziny. Przez cały ten czas nic się nie wydarzyło, Yasmine robi się coraz bardziej nerwowa. Fadi zamierza zrobić coś strasznego, niewybaczalnego. Po czymś takim będzie musiał zniknąć na zawsze – jeszcze zanim zdążył wrócić. Mimo to dobrze go rozumie. Tamci ludzie go zdradzili i zrobili z niego mordercę. Właściwie to wszyscy go zdradzili. Po czymś takim człowiek chce się zemścić, bez względu na konsekwencje. Dobrze to rozumie, bo przychodzi taka chwila, gdy wszystko inne przestaje się liczyć.

Mehdi kiwa głową, ale robi to niezbyt przekonująco.

– Wiem, że brodacze spotykają się na jednym z wyższych pięter – wyjaśnia.

– Dowiedziałeś się tego od Fadiego?

Mehdi wzrusza ramionami.

– Wszyscy wiedzą, że jak ktoś chce się z nimi skontaktować, powinien szukać ich tutaj.

Yasmine czuje, że najchętniej by stąd poszła, żeby gdzieś przeczekać, aż wszystko się skończy. Zamyka oczy, ale w tym samym momencie Mehdi ciągnie ją za nogę.

– I co, nie miałem racji? – pyta, wskazując kładkę.

Yasmine wstaje z ziemi i spogląda w tamtym kierunku.

Asfaltem idą dwaj mężczyźni. Jeden jest północnym Afrykańczykiem ubranym w długą koszulę i szerokie spodnie. Ma długą, zmierzwioną brodę i *kufi* na głowie. Drugi mężczyzna jest młodszy i z wyglądu przypomina zachodniego Europejczyka. Ale on też ma brodę. Rozmawiają ze sobą ściszymi głosami, słowa są niezrozumiałe. Otwierają drzwi i wchodzi do klatki schodowej.

– Wygląda na to, że idą na spotkanie – mówi cicho Yasmine.

Pochyla się nad torbę, którą przynieśli z krzaków za szkołą, i ostrożnie wyciąga z niej kałasznikowa.

Mehdi patrzy na nią przerażonym wzrokiem.

– Co robimy, Yazz?

– Ty możesz robić, co chcesz, *loser*. Ja zrobię to, co powinnam. To tyle w tym temacie.

Yasmine czuje w dłoniach ciężar broni. Spogląda na kładkę, ale widzi tam tylko wysokiego mężczyznę z *kufi* na głowie. On nie ma brody.

– Jeszcze jeden – mówi.

Mężczyzna wchodzi do bloku i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Yasmine wychodzi z krzaków, żeby lepiej widzieć. Nie zauważyła Fadiego, ale ma wrażenie, że jest gdzieś blisko. Prawie czuje jego obecność, jak gdyby emitował fale radiowe, które tylko ona może wyłapać. Odwraca się, klęka i przygotowuje broń do strzału.

W tym samym momencie rozlega się głośny trzask. Yasmine podskakuje w miejscu i prawie pada na ziemię. Przez otwarte okno albo drzwi balkonowe dobiegają podniesione głosy. Potem słychać dźwięk rozbijanego szkła, jakby coś spadło na podłogę, ludzkie głosy, krzyki i słowa modlitwy. Yasmine podnosi się z ziemi. Nogi jej drżą, ale karabin trzyma w garści.

– *Fuck!* – woła. – On tam jest. On tam jest!

55. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Kartka w jednej ręce, pistolet w drugiej. Idę schodami na samą górę, zatrzymuję się koło strychu. W końcu jestem tak blisko ciebie, że wystarczy zadzwonić. Jestem też blisko tego, po co tu wróciłem. To jedyna rzecz, dla której żyłem przez ostatni miesiąc. Za minutę będzie po wszystkim. Pół piętra niżej przez brudne okno wpada na klatkę trochę światła.

Bracia zaraz tu będą. Rozwijam kartkę i czytam. To twój charakter pisma, twoje słowa. Dlaczego wróciłaś, siostrzo? Po czterech latach. Dlaczego teraz?

Brat Shahid opowiadał nam wieczorami o męczennikach. Słuchaliśmy go przerażeni. Jego słowa wywarły na nas wrażenie. Pytaliśmy go, jak ci męczennicy przygotowywali się do samobójczych ataków, jak się zachowywali, czy nie podlegali wpływom zewnętrznym. Jak o nich dbano na tydzień przed śmiercią, co jedli, żeby jak najwięcej czasu poświęcić na modlitwy, na myślenie o Raju i rozważanie tego, co mieli zrobić. Co czuli, gdy przywiązywano im wokół bioder i piersi ładunki wybuchowe i prowadzono na miejsce, żeby nic ich nie rozproszyło, żeby mogli skupić się tylko na swojej misji, żeby nie zajmowały ich inne myśli niż tylko te o Raju. Dzięki temu ich misja stawała się prosta i czysta.

Od powrotu do Szwecji myślę o sobie właśnie w takich kategoriach. Robiłem to przez wszystkie dni, które spędziłem w piwnicy. Traktowałem to jako przygotowanie, chociaż przestałem się modlić i straciłem nadzieję, że trafię do Raju. To ostatni akt odwagi, ostatni akt chaosu i sprawiedliwości. Potem nie zostanie mi nic. Będziesz tylko ty i kartka od ciebie.

Znowu myślę o rzeczach, o których nie powinienem myśleć. O moim życiu, o sobie samym. Wcześniej się przed tym broniłem, bo od chwili, gdy moi bracia zostali zamordowani – a właściwie od chwili, gdy ja ich zamordowałem – nie mam prawa myśleć o takich sprawach. Od tamtej pory mam tylko to życie. Siedzę więc i ściskam pistolet w dłoni. Tysięczny raz sprawdzam magazynek. Została mi tylko zemsta.

Znowu biorę kartkę, którą od ciebie dostałem. Ostatni raz czytam powoli twoje słowa, a następnie drę ją na drobne kawałeczki i rzucam na podłogę. Spadają na schody jak konfetti, płatki śniegu, cząsteczki zapomnienia.

W pewnym momencie na parterze znowu otwierają się drzwi. Głosy braci rozchodzą się

echem po klatce schodowej. W dłoni czuję chłód i ciężar pistoletu.

Zamykam oczy i słyszę brata Taimura, który mówi szeptem.

– Nie chodzi mi o to, że dłonie nie podlegają zasadzie *awrah*. Ale jeśli mają aż tak surowe zasady, to ryzykują, że ludzie zaczną od nich odchodzić. Chyba rozumiesz, co mam na myśli.

Typowa rozmowa o życiu w państwie islamskim. Drugi z mężczyzn mruczy coś pod nosem. Domyślam się, że to brat Tasheem. On zazwyczaj milczy, nie przerywa, gdy inni coś mówią. Od miesiąca czekałem na tę okazję, w myślach zabijałem ich wszystkich, jednego po drugim. Oczami wyobraźni widzę, jak klęczą przede mną z rękami uniesionymi nad głową, a ja strzelam po kolei do wszystkich. Jak się zachować teraz, gdy są już tak blisko? Przypominam sobie ludzkie szczątki porzucane w czerwonym piasku i trupy ułożone w rzędzie. Tak, ci zdrajcy zasłużyli na zemstę. Sami się o nią prosili.

Szumi mi w głowie, wyjmuję z kieszeni drugi magazynek. Jeszcze raz sprawdzam, czy są w nim naboje. Oglądam go na wszystkie strony. Zawiera czternaście naboji. Nie tak to sobie zaplanowałem. Zamierzałem użyć kałasznikowa, ale nie mogę już dłużej czekać. Zwłaszcza teraz, gdy znalazłem kartkę od ciebie. Nie wiem, na jak długo wystarczyłoby mi takiej determinacji i stanowczości. Czuję, że oba te uczucia powoli mnie opuszczają.

Ci, którzy kiedyś byli moimi braćmi, stoją przed drzwiami mieszkania. Tymi samymi, przez które tyle razy i ja wchodziłem. Dzwonek dalej jest zepsuty, bracia pukają i drzwi się otwierają. Słyszę głos Dakhila.

– *Salam alejkum*, bracia. Wejdźcie.

Drzwi się zamykają. Jest ich trzech, został jeszcze jeden. Największy zdrajca spośród wszystkich. Pot spływa mi po plecach, chociaż na klatce schodowej panuje chłód. Krew pulsuje mi w żyłach, wolałbym, żeby płynęła wolniej. Muszę się uspokoić.

Nagle ktoś otwiera drzwi na parterze. Słyszę, jak wchodzi po schodach, bierze po dwa stopnie. Schodzę niżej, żeby wyrzeć przez czarną metalową poręcz. Coraz wyraźniej słyszę ciężki oddech. Mogę przysiąc, że czuję zapach potu.

W końcu go widzę. Stoi przed drzwiami mieszkania, odwrócony do mnie plecami. Nic się nie zmienił. Szerokie barki, mała czapka na głowie, dzinsy, ciężkie buty. Puka do drzwi, otwiera brat Dakhil.

– Spóźniasz się, bracie.

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo w tym samym momencie zbiegam szybko po schodach.

Biorę po dwa, trzy stopnie naraz, trzymam przed sobą pistolet, celuję w nich. Błyskawicznie dobiegam do drzwi, przykładam bratu al-Aminowi pistolet do głowy i popycham go na brata Dakhila. Świat wiruje mi przed oczami, brat Dakhil krzyczy coś przerażonym głosem, cofa się do przedpokoju, ja popycham al-Amina i też coś krzyczę.

Wymachuję pistoletem i nagle pada strzał. Rozlega się ogłuszający huk. Bracia krzyczą, prawie płaczą, coś spada na podłogę i rozbija się na kawałki, a ja krzyczę na cały głos:

– Róbcie, co wam każę! Róbcie, co wam każę!

Mówię jakby nieswoim głosem. Jest mocny i ostry. Al-Amin próbuje odwrócić głowę, ale uderzam go wściekle kolbą. Uderzenie jest tak silne, że pęka mu łuk brwiowy. Po twarzy i szyi płynie mu strużka jasnoczerwonej krwi, kapie na koszulę i kurtkę. Mam to gdzieś, cały czas krzyczę i popycham ich do dużego pokoju. Tyle razy tu byłem – razem z nimi. Przez cały czas krzyczę i wymachuję pistoletem. Robi się zamieszanie, nic już nie widzę, czas i przestrzeń przestają istnieć. Mówię im, żeby klękneli na grubym dywanie i założyli ręce za głowę. Posłusznie robią, co im każę. Widzą, że ogarnia mnie szaleństwo, więc nie protestują. Patrzę na nich i słyszę głos brata Dakhila:

– Bracie Fadi, to mój dom, bądź tak miły...

Nie kończy, bo uderzam go lufą w głowę z taką siłą, że odskakuje w bok. Dakhil osuwa się na podłogę.

– Zamknij się! – wołam. – Po prostu się zamknij!

Bracia milkną i przez chwilę panuje całkowita cisza. Patrzę na nich i w ich oczach widzę zdumienie wymieszane ze strachem. Nachodzą mnie wątpliwości, ale wiem, że nie mogę im teraz odpuścić ani pozwolić, żeby wygasła we mnie chęć zemsty. Unoszę pistolet i znowu w nich celuję. Mimo to odnoszę wrażenie, że coś jest nie tak. Staram się nad sobą zapanować.

Jest ich czterech, więcej, niż przypuszczałem. Tym czwartym jest chłopiec klęczący na końcu dywanu. A może tylko wygląda na chłopca? W każdym razie jest młodszy ode mnie. Patrzy wprost przed siebie, po twarzy płyną mu łzy. Tracę rezon, walczę ze sobą, ale w końcu podchodzę do niego.

– Kim jesteś? – krzyczę, wymachując pistoletem. – I co tu robisz?

Chłopiec porusza wargami. Widać, że się modli.

– Jestem brat Firas – odpowiada. – Bracia wskazali mi drogę do Allaha, niech błogosławione będzie imię Jego.

Zamyka oczy i znowu zaczyna się modlić. Drżą mu wargi i nozdrza. Czuję całkowitą pustkę, ogarnia mnie strach. Brat Firas to ja. Kolejny Fadi. Kolejny naiwny, z którego zrobią zdrajcę.

Złość i bezsens tego, co się dzieje, całkowicie mnie zaślepiają. Przestaję panować nad sytuacją. Dociera to do mnie dopiero w chwili, gdy się odwracam i widzę wymierzony we mnie pistolet. Większego kalibru i nowocześniejszy niż mój. Ktoś wyrywa mi z ręki pistolet. Jestem bezsilny, nic więcej nie zrobię.

– Oddaj go – mówi al-Amin, patrząc na mnie pustym wzrokiem. – To koniec.

56. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Yasmine zbiega po zboczu. Pędzi jak na skrzydłach, jakby unosiła się w powietrzu. Dobiega do budynku, napiera na ciężkie drzwi i wpada do klatki schodowej, w której czuć chłód i wilgoć. Słyszy hałas dobiegający z góry, pewnie drzwi do mieszkania są uchylone. Karabin ciąży jej w rękach. Wbiega po schodach, bierze po dwa, trzy stopnie naraz, słyszy za sobą astmatyczny, świszczący oddech Mehdiego. Drugie, trzecie piętro. Na górze robi się cicho. Nie słyhać ani strzałów, ani podniesionych głosów. Przeraza ją to tak samo jak wtedy, gdy ktoś strzelał i krzyczał.

Czwarte piętro. Jeszcze tylko kilka stopni i zatrzymuje się na półpiętrze. Nasłuchuje i nabiera powietrza. Daleko za sobą, gdzieś niżej, słyszy kroki Mehdiego i świszczący oddech wydobywający się z jego płuc.

W końcu się uspokaja. Chwyta karabin i odbezpiecza go tak, jak nauczyła się na strzelnicy. Ustawia go na tryb jednostrzałowy. Zerka w górę. Co tam zastanie? Co ma zrobić, gdy tam wejdzie? Powoli stawia pierwszy krok. Stara się zachować czujność. Jest już prawie na piątym piętrze. Robi kolejny krok i następny.

Drzwi mieszkania są uchylone. Żaden z sąsiadów nie wyszedł na klatkę. Pewnie już wiedzą, że mają pilnować własnych spraw. Niewykluczone, że są w pracy albo w meczecie w centrum miasta. Yasmine podchodzi bliżej i słyszy głosy dobiegające z mieszkania. W pewnym momencie ktoś mówi podniesionym głosem:

– To koniec.

Ale to nie jest głos Fadiego.

Słowom towarzyszy huk, jak gdyby ktoś upadł na podłogę. Potem odzywają się inne głosy – wzburzone, zmieszane.

Yasmine jest już przy samych drzwiach. Opiera się plecami o chłodną ścianę, przykładając karabin do ramienia, lufę opuszcza w dół. Kątem oka widzi Mehdiego, który dopiero teraz wchodzi na piętro. Daje mu ręką znak, żeby trzymał się z tyłu. Woli nie ryzykować. Lepiej, żeby niczego nie spieprzył.

W mieszkaniu znowu słyhać podniesione głosy.

– Co ty tu robisz? – pyta ktoś ponurym tonem. – Byłeś martwy, psie. Po co tu

przyszedeś?

W ślad za tymi pytaniami rozlega się odgłos przypominający kopnięcie. Towarzyszy mu przytłumiony, bolesny dźwięk.

– To Fadi – mówi do siebie Yasmine. – Fadi!

– To zwykły kundel – kontynuuje ten sam głos. – Innego wyjaśnienia nie ma. To *takfir*, a więc ktoś gorszy niż zdrajca. To morderca!

W tym momencie do rozmowy włącza się trzecia osoba. Pyta stłumionym, pełnym napięcia głosem:

– Bracie Fadi, co tam się stało? Co tu robisz?

Yasmine słyszy jęki i szlochanie, jakieś inne głosy. Jest w nich zwątpienie, złość, a na końcu rezygnacja. Nadal trzyma karabin przyłożony do ramienia. Serce mocno jej bije, krew pulsuje w żyłach. Jest już jednym krokiem w pokoju, ale nie umie się zmusić, żeby wszystko przerwać. Co tam się dzieje?

– Co on robi?

– Trzymajcie go!

Nagle słyszy głos Fadiego. W ogólnym tumultie brzmi słabo i jest trudny do rozróżnienia. Jest jednak pewna – to jego głos. Yasmine czuje, że coraz słabiej trzyma karabin w garści, świat zaczyna zwalniać, wszystko wokół niej nabiera sensu.

– Uspokójcie się! Dajcie mu powiedzieć!

W mieszkaniu zapada cisza, Yasmine słyszy głos Fadiego. Brzmi jak wtedy, gdy był w trudnej sytuacji, gdy go oskarżano, gdy wszystko sprzysięgało się przeciwko niemu i nikt nie stawał po jego stronie. Zaczyna mówić, wypluwa z siebie słowa i oskarżenia.

– To wasza wina! Wy za to odpowiadacie! Wy ich zamordowaliście!

– O czym ty mówisz? – pyta ktoś spokojnym tonem, ale od razu przerywa mu ktoś inny. Ma ponury głos.

– Usłyszeliśmy wystarczająco dużo, *takfir*. Przychodzisz tu z bronią i nam grozisz? Za kogo ty się uważasz? Wiesz, jaka jest kara za odejście od wiary?

– Kara? – pyta szyderczym tonem Fadi. – Jaka kara? To wy zamordowaliście braci! Przez telefon! To wy wysłaliście drona. To ty dałeś mi telefon!

I znowu odzywa się tamten spokojny głos. Mówi powoli, z wahaniem.

– Jaki telefon? O czym on mówi?

– Telefon satelitarny brata al-Amina – odpowiada Fadi, a ponieważ nikt nie reaguje na

jego słowa, mówi dalej: – Jak to? To wy nic nie wiecie? Mówię o telefonie, który dał mi al-Amin.

W tym momencie rozlega się głośny odgłos. Yasmine aż się wzdrygnęła.

– Zamknij gębę! – mówi mężczyzna ponurym głosem. – On kłamie! To morderca i szpieg, przysięgam!

– O jakim telefonie on mówi, bracie al-Amin? – pyta spokojny głos.

Pozostali mężczyźni zaczynają się burzyć. Są zaskoczeni i zdziwieni.

– Nie było żadnego telefonu, to jakieś brednie. On się boi umrzeć. Boi się, że Bóg go ukarze za to, na co sobie zasłużył. To wszystko, bracie Dakhilu.

Tym razem jego głos brzmi inaczej. Jest w nim jakaś nerwowość i strach. Yasmine czuje, że ogarnia ją przerażenie. Powoli, na drżących nogach, otwiera drzwi mieszkania. Równie powoli wsuwa głowę do środka i zagląda do ciemnego przedpokoju. Skronie ma wilgotne od potu, zbielełe palce zaciska na karabinie. Drzwi na końcu pomieszczenia są uchylone. Yasmine widzi plecy osób, które chodzą po pokoju. Jedna z nich pochyła się nad postacią leżącą na podłodze. Yasmine domyśla się, że to Fadi. Z mocno bijącym sercem wchodzi do wąskiego przedpokoju.

– Przestań kłamać! – słyszy czyjś ponury głos. – Wszyscy wiedzą, że kłamiesz!

Pozostałe osoby krzyczą coś oburzonym tonem.

– Odłóż broń, bracie al-Aminie. Musimy wyjaśnić, o co tu chodzi.

Ale on ich nie słucha. Stoi na szeroko rozstawionych nogach, pochylony do przodu, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Jak gdyby szykował się do oddania strzału.

Na chwilę zapada cisza. W końcu słychać cichy, stłumiony głos Fadiego:

– To wy... to wy ich zamordowaliście.

– Zamknij się! – krzyczy mężczyzna o ponurym głosie. – To koniec twoich kłamstw.

W tym momencie rozlega się strzał.

Huk jest tak ogłuszający, że wypełnia całe mieszkanie. Yasmine czuje, że świat wokół niej nagle się kurczy. Zapada cisza, a jej zbiera się na wymioty. Przyciska broń do ramienia, czuje pulsowanie w skroniach, gwałtownie oddycha. Robi trzy szybkie kroki, nabiera powietrza i kopniakiem otwiera drzwi do pokoju. Wszystko wiruje jej przed oczami. Twarze i ciała zlewają się w jeden obraz, tworzą mozaikę, kalejdoskop krwi i chaosu. Celuje w mężczyznę z pistoletem w ręce. Mężczyźni odwracają się w jej stronę. Wszystko przestaje dla niej istnieć – z wyjątkiem broni.

Yasmine patrzy na Fadięgo, który leży na dywanie w kałuży krwi. Dopiero teraz dociera do niej prawda o tym, co się wydarzyło. W tym samym momencie wszystko się dla niej kończy. Jej złożony z klocków świat błyskawicznie się rozpada, elementy układanki rozsypują się powoli wokół niej. Nic się już nie liczy, świat przestaje istnieć. Yasmine zaciska dłoń na karabinie, kładzie palec na cynglu, otwiera usta i zaczyna krzyczeć na cały głos.

57. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Dopiero gdy słyszę twój głos, dociera do mnie, że żyję. Krzyczysz głośno, jak tamta syryjska kobieta, gdy bracia wrócili z ciałem jej syna na plandece samochodu. To był potworny odwieczny zwierzęcy ryk pełen straszego żalu. Ale nie zginąłem. Próbuję się poruszyć, coś powiedzieć.

– Yasmine – syczę przez wpólotwarte usta, które nadal przyciskam do dywanu. Czuję w nich smak krwi i strachu.

Odwracam głowę i widzę brata Dakhila, który trzyma w ręce mój pistolet. Nagle pochyła się i kładzie go powolnym ruchem na podłodze. Wzrok ma skierowany w stronę drzwi. To stamtąd dobiega twój głos. Myślę, że to właśnie on strzelił w powietrze. Może chciał tylko przestraszyć al-Amina, który już się poddał?

Kiedy jestem pewien, że al-Amin przestał we mnie celować, odwracam się w twoją stronę i wpótleżąc, unoszę się na łokciu. Patrzę na ciebie po raz pierwszy od kilku lat i widzę twoje oczy. Nigdy takie nie były. Na początku są puste, nieludzkie, gotowe zabić bez względu na konsekwencje. Jesteś szczupła, nad okiem masz opuchliznę, usta wpólotwarte, wargi poruszają się bezdźwięcznie. W rękach trzymasz broń, którą zabrałaś z naszego mieszkania. W twoich drobnych dłoniach wydaje się olbrzymia, groteskowa. Mierzysz do człowieka, o którym na ułamek sekundy prawie zupełnie zapomniałem.

Czuję, że zaraz to zrobisz. Naciśniesz spust i przekroczysz granice innego świata, w którym nie wolno ci przebywać. Dlatego krzyczę:

– Yasmine! Ja żyję! Jestem tutaj!

Na chwilę odwracasz głowę i patrzysz na mnie. Jesteś zdziwiona, prawie przerażona, jakbym był duchem... A może już nim jestem? Mrugasz, w twoich oczach dokonuje się zmiana. Przystają być puste i obojętne, pojawia się w nich coś, co pamiętam z dawnych czasów. Już to straciłem, a teraz nie umiem ani z tym żyć, ani bez tego istnieć. Opuszczasz karabin i ustępujesz na bok, jesteś całkowicie zagubiona.

Al-Amin jakby tylko na to czekał. Jest nieuzbrojony, bo gdy weszłaś do pokoju, rzucił pistolet na podłogę. Teraz pochyła się szybko, nie spuszczaając z ciebie wzroku. Jesteś tak zszokowana i zmieszana, że nie reagujesz. Usta masz wpólotwarte, karabin drży w twoich rękach.

Odwracam się i sięgam po mój pistolet, który Dakhil położył na podłodze. Jest śliski, ale udaje mi się chwycić kolbę w dłoń. Zaciskam na niej palce, krew lepi mi się do twarzy. O niczym innym nie myślę, tylko przewracam się na bok, wyciągam rękę i celuję w al-Amina. Jest zaledwie metr ode mnie. Zamykam oczy i pociągam za spust.

58. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Yasmine osuwa się na kolana z karabinem przyłożonym do ramienia. Palce z całej siły zaciska na broni. Odwraca się i patrzy na Fadiego. Jej brat w jednej ręce trzyma pistolet, za pomocą drugiej próbuje się podnieść z podłogi. Twarz ma zakrwawioną.

– Nie ruszać się! – krzyczy Yasmine, kierując lufę karabinu w stronę mężczyzn. – Stańcie w rogu pokoju! Wszyscy! No, już!

Mężczyźni posłusznie wykonują jej polecenie, z uniesionymi rękami przechodzą na drugą stronę pokoju. Oczy mają szeroko otwarte i przestraszone.

– Mehdi! – woła Yasmine w stronę klatki schodowej. – Potrzebny mi samochód!

Mehdi nie odpowiada, ale jego ciężkie kroki odbijają się echem na schodach. W całym domu zapada cisza. Fadi wstaje w końcu z podłogi.

– Yasmine...

Jego oczy są pełne... miłości? A może jeszcze czegoś?

– Wróciłaś.

Podchodzi do wysokiego mężczyzny leżącego na podłodze. Jego twarz oświetlają promienie słońca, które przebiły się przez żaluzje. Mężczyzna ciężko oddycha i cicho jęczy. Fadi pochyla się nad nim.

– Kim jesteś? – pyta. – Dla kogo pracujesz?

Mężczyzna unosi głowę, trzyma się za ramię i patrzy na niego.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiada.

Fadi omiata go pustym wzrokiem. Stoi z opuszczonymi po bokach rękami. W jednej trzyma pistolet. W kącikach jego ust czai się słaby uśmiech.

– Mam to w dupie – mówi. – Nie obchodzi mnie to. Zamordowałeś naszych braci i tylko to się liczy. Za coś takiego jest tylko jedna kara, bracie.

Ostatnie słowa prawie z siebie wypluwa. Krople jego krwi spadają na twarz mężczyzny. Yasmine spogląda to na niego, to na ludzi stojących w rogu pokoju. To nie powinno się tak skończyć.

– Fadi, już po wszystkim, bracie! Zostaw go w spokoju!

– Jego? – pyta Fadi. – *Wallah*, nie ma na świecie innej osoby, którą chciałbym zabić bardziej niż tego psa.

– Fadi! – krzyczy Yasmine. – Przestań, to już koniec!

Mężczyzna patrzy na podłogę i mruczy coś niezrozumiale pod nosem.

– Co powiedziałaś? – pyta Fadi, pochylając się nad nim.

Mężczyzna zamyka oczy i chrząka.

– Pracuję dla policji – odpowiada.

– Jak to, kurwa, dla policji? – krzyczy Fadi.

– Dla SÄPO, policji bezpieczeństwa. Przysięgam, że to prawda.

Fadi patrzy na niego niepewnym wzrokiem.

– Dla SÄPO? Przez cały czas dla nich pracowałeś?

Mężczyzna znowu unosi głowę i patrzy mu prosto w oczy.

– Fadi – mówi Yasmine spokojnym głosem. – Musimy uciekać. Nie możemy tu zostać.

Zwłaszcza że to gliniarz.

Yasmine jest już tak zestresowana, że tylko wskazuje głową na drzwi i robi krok w ich stronę. Ale Fadi jej nie słyszy. Nadal stoi z pistoletem wycelowanym w mężczyznę leżącego na podłodze.

– Kto wysłał drony? – pyta.

– Jak to kto? Chyba wiesz, że zachodnie służby ze sobą współpracują.

– Czy to znaczy, że byłem dla was jedynie przynętą? Głupcem, którego chcieliście zabić, żeby załatwić kogoś innego?

Fadi przyciska lufę pistoletu do głowy mężczyzny. Ciężko oddycha. W jego oczach dokonuje się nagle zmiana. Ciemność, która się w nich kryje, robi się nagle tak czarna i głęboka, że zdaje się wypełniać cały pokój.

– Ostatecznie do tego nie doszło – mówi Yasmine. – Przecież żyjesz.

Robi krok do przodu i wyciąga do niego rękę.

– Dostałeś kolejną szansę. Proszę, nie odrzucaj jej.

Fadi znowu się pochyla i przyciska mężczyznę pistoletem do podłogi. Twarz zaczyna mu drgać.

– Zaufałem ci – szepcze ze łzami w oczach.

Yasmine ujmuje spokojnie rękę, w której Fadi trzyma pistolet, odsuwa ją od głowy policjanta i kieruje w stronę podłogi.

– *Jalla* – szepcze mu do ucha. – Chodźmy już stąd.

59. Sztokholm – piątek, 21 sierpnia 2015 roku

Jesteśmy na Przedmieściu. Pamiętam, że słyszałem wozy policyjne i widziałem pulsujące niebieskie światła. Mehdi przez cały czas zachowywał spokój. Prowadził samochód, nie przekraczając dozwolonej prędkości, jak jakiś emeryt.

W końcu wjeżdżamy na autostradę i emocje opadają. W aucie mamy spluwy i dobrze nam z tym. Bracia byli zagubieni i kompletnie zaskoczeni tym, co się stało. Na pewno dopilnują, żeby do naszego zniknięcia al-Amin nie zdążył nikogo powiadomić.

Kiedy wychodziliśmy z mieszkania, w oczach Dakhila dostrzegłem wstyd. Zastosował tyle środków ostrożności, a tymczasem w ich szeregi zakradł się donosiciel. Gdyby mieli jaja, już by nie żył. Skończyło się na gadaniu i biletach lotniczych. Nic dziwnego, bracia znają wojnę jedynie z opowiadań.

Słońce rozświetla betonowe domy i zakłady przemysłowe, a ja próbuję zetrzeć krew z twarzy. Używam do tego kilku nasączanych serwetek, które Mehdi znalazł w reklamówce z pieluchami na tylnym siedzeniu.

Wiem, że na mnie patrzysz. Czuję twój wzrok na moich policzkach, ogolonej głowie i zmrużonych oczach. Mimo to nie potrafię się odwrócić, żeby na ciebie spojrzeć. Zbyt wiele się zdarzyło, zbyt wiele upłynęło czasu.

– Czy to naprawdę ty, Fadi? – pytasz.

Kiwam głową, wodzę wzrokiem po kominach i magazynach. Brązowych cegieł prawie nie widać, teraz zasłaniają je tablice reklamowe i cienkie jak papier biurowce ze szkła i stali. Spoglądam na most, roziskrzoną wodę i lśniące fasady domów. W ciągu dziesięciu minut mój świat całkowicie się zmienił. Dopiero teraz mogę na ciebie spojrzeć.

Promienie słońca padają na twoje włosy. Siedzisz z twarzą przy brudnej szybie, spoglądasz na miasto i podziwiasz krajobrazy. Widać, że robią na tobie wrażenie. Aż trudno uwierzyć, że wróciłaś. Zadaję ci pytanie, ale robię to szeptem, może mnie nie usłyszysz.

– Jak mnie znalazłaś?

Odwracasz się i po raz pierwszy patrzę ci w oczy, nie odwracam wzroku. Oczy masz zmęczone, jest w nich coś, czego nie potrafię nazwać. To, co w nich widzę, przypomina miłość. Jeszcze nie wiem, jak sobie z tym poradzę.

– Po prostu chciałeś, żebym cię znalazła, *habibi*.

Mehdi jedzie wzdłuż kanału, przejeżdżamy koło Opery, widzimy białe łodzie, które pływają wśród wysp, koło Muzeum i Kungsträdgården. W końcu zwalnia i parkuje przed dużym budynkiem, który przypomina muzeum. Na drugim brzegu, za łodziami i nabrzeżem, wznosi się szary, ponury zamek. Mehdi pochyla się i patrzy na inny budynek, stojący trochę dalej, w głębi ulicy. Rosną przed nim wielkie drzewa.

– Mieszkasz tutaj? W Hotell Lydmar? – rzuca przez ramię. – Luksus, siostró. Jestem zszokowany.

– Naprawdę? – pytam. – Jak to możliwe, Yazz?

– To długa historia.

– Popatrzcie – mówi Mehdi, wskazując dwóch facetów siedzących na ławce w głębi ulicy. Ubrani są w dżinsy i kangurki, na czoła mają naciągnięte czapki.

– Kto to? – pyta Yasmine.

Mehdi wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale nie przypominają gości tego hotelu.

W tym momencie znowu odzywa się jego telefon. Dzwonił przez całą drogę, ale Mehdi nie odbierał. Teraz wyjmuje go z kieszeni i patrzy na wyświetlacz.

– *Fuck!* To Parisa.

Przyciska telefon do ucha i na naszych oczach ulega całkowitej przemianie. Nie jest już twardzielem z ulicy, tylko łagodnym chłopcem gotowym służyć swojej dziewczynie.

– Hej, *baby* – mówi Mehdi. Uśmiechamy się z Yasmine zdumieni jego zachowaniem.

Mehdi nie odzywa się, ale w tylnym lusterku widzimy jego twarz. Najpierw robi się blada, potem przybiera barwę popiołu, a na końcu okrywa się śnieżną bielą.

– Nie wiem, gdzie są – mówi z zaciśniętymi zębami.

Po kilku sekundach rozmowa dobiega końca. Mehdi milczy.

– Co się dzieje? – pyta Yasmine.

– Odezwij się, bracie. Co jest grane?

– Chcą dostać Yazz – odpowiada spokojnym głosem Mehdi.

– Co takiego?

Kręci mi się w głowie. Chyba czegoś tu nie zrozumiałem. Wróciłaś i uratowałaś mi życie. Nic nas tu dłużej nie trzyma. Jesteśmy wolni. Nic nie mogą nam zrobić.

– Co się dzieje? – pytam. – Yazz, wyjaśnij mi!

Odwracasz się do mnie, wzrok masz ciężki i zmęczony.

– To banda Mehdiego. Wiesz, czym się zajmują... Burdy na Przedmieściu i tak dalej. To długa historia, Mehdi namówił ich, żeby mnie nastraszyli. Chcieli mnie zmusić, żebym przestała cię szukać. Jest wobec nich lojalny. Głupi, ale lojalny. *Anyway*, skończyło się tym, że postrzeliłam jednego z nich w nogę.

Wzruszasz ramionami, jakby to była bułka z masłem.

– A teraz pewnie chcą, żebyśmy trzymali język za zębami, bo inaczej się zemszą?

Opieram się o siedzenie i zamykam oczy.

– Naprawdę postrzeliłaś jednego z nich w nogę? – pytam.

Nie odpowiadasz, tylko pochylasz się, żeby spojrzeć na dwóch facetów stojących przed wejściem do hotelu. Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni.

– A co ma z tym wspólnego Parisa? – pytam.

Mehdi nabiera powietrza i powoli je wypuszcza.

– Przed chwilą u niej byli. Słyszałem to w jej głosie. Kazali jej zadzwonić. To ich sposób na przekazanie wiadomości.

Rozumiem. Każdy z nas wie, jak to tutaj działa: przesyłanie wiadomości, sieć powiązań, groźby.

– Dali mi czas do jutra, kazali mi cię znaleźć – mówi Mehdi. – Co mam zrobić?

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. W końcu słyszę twój głos: – Chyba wiem, gdzie powinniśmy zacząć.

60. Sztokholm – piątek, 21 sierpnia – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Na Tegnérsgatan 10 zjawiają się dopiero wieczorem. Są tak wyczerpani, że jeszcze trochę i padną. Yasmine spogląda na Fadięgo, który ledwo trzyma się na tylnym siedzeniu. Jest tak przezroczysty, że bardziej niż kiedykolwiek przypomina upiora.

Mehdi przejeżdża powoli obok domu z numerem 10 i skręca w Döbelnsgatan. Dochodzi siódma. Popołudnie upłynęło im błyskawicznie.

– Zaparkuj tutaj – mówi Yasmine, wskazując wolne miejsce między dwoma samochodami po drugiej stronie ulicy, przeciwnej do kierunku jazdy.

Mehdi zawraca na skrzyżowaniu i parkuje. Zamyka oczy i opiera się o fotel. Widać, że jest w fatalnym stanie. Nie spodziewał się, że ktoś będzie groził jemu i jego rodzinie.

Mehdi nigdy nie był zbyt bystry i wiele kłopotów ściągnął na siebie wyłącznie z powodu głupoty. Mimo to Yasmine jest go żal. Podobnie jak Parisy, chociaż ta ją zdradziła. Ciągłe pamięta, że na Przedmieściu istnieją nici powiązań, krzyżują się przeróżne – często sprzeczne – sojusze. Teraz Mehdi i Parisa są na głębokiej wodzie i być może tylko ona, Yasmine, jest w stanie ich uratować.

Pochyla się między fotelami i wygląda na ulicę. Z miejsca, w którym stoją, łatwo dostrzec wejście do budynku z numerem dziesięć.

– W Observatorielunden jest schronisko – mówi do Fadięgo. – Powinieneś się przespać, *habibi*. Ja zostanę tutaj.

– Jak to tutaj? – dziwi się Mehdi, przecierając oczy.

– W tym domu mieszka Lööw, facet, który płaci twoim nocnym rozrabiakom. To ktoś w rodzaju twojego szefa. Mam się z nim spotkać dopiero jutro, ale wolę go mieć na oku. Zostań z Fadim i bądź w kontakcie. Zobaczymy się jutro.

Yasmine budzi się wcześnie rano. Ulica jest jeszcze pusta, zalana złotozieloną poświatą, która unosi się nad parkiem. Nocą zmarzła i teraz trzęsie się z zimna. Kark i plecy jej zeszywniały, prostuje się w fotelu, szcękając zębami. Jak długo spała? Patrzy na telefon – dochodzi siódma.

Lööw wrócił do domu po jedenastej. Przyszło jej na myśl, żeby go zaskoczyć, ale potem

postanowiła poczekać i spotkać się z nim tak, jak uzgodnili: w Bibliotece Miejskiej.

Nie ufa mu. Kto wie, co knuje?

Jest przemarznięta, ale nie ma się czym okryć, a na sobie ma tylko czarną koszulę i cienką nylonową kurtkę. Głowa jej pęka, bo przez kilka ostatnich nocy źle spała. Otwiera drzwi i wysiada z samochodu. Wszędzie panuje spokój. Aż trudno sobie wyobrazić, że w mieście może być tak pusto i cicho.

Na fotelu pasażera leży stara czerwona czapka z daszkiem. Yasmine wiąże swoje długie włosy w kitkę, a potem naciąga czapkę na głowę. Nie jest to perfekcyjne przebranie, ale lepszego w tym momencie nie ma.

Rusza szybkim krokiem Tegnérgatan, żeby się rozgrzać i rozprostować kości.

Niecałe dwie godziny później udaje jej się wyżebrać w jakimś lokalu kubek kawy i kanapkę z serem z poprzedniego dnia. Ma szczęście, bo lokal jest jeszcze zamknięty. Potem wraca do samochodu. Na dworze jest już cieplej, jej ciało powoli odżywa.

Wyjmuje telefon i wysyła SMS-a do Fadiego: „Wszystko w porządku? Odezwę się po spotkaniu z Lööwem”.

Sprawdza godzinę: jest 8:35. Powinna już chyba wyjść na spotkanie. Mimo to prawie zapada w drzemkę. W pewnej chwili widzi spod na wpół przymkniętych powiek, że ktoś wychodzi z budynku numer dziesięć i kieruje się w stronę ulicy Sveavägen. Yasmine natychmiast odzyskuje czujność i prostuje się w fotelu. George Lööw ubrany jest w ciasne, wąskie chinosy, brązowe buty i obcisłą ciemną sportową marynarkę typu blazer. Włosy tak jak wczoraj ma zaczesane do tyłu. Yasmine nie spuszcza go z oczu. Wysiada z samochodu, zamyka go pilotem i rusza za Lööwem. Wie, że powinna zachować ostrożność. Lööw pewnie się nie spodziewa, że ktoś go śledzi, ale przecież zna ją z widzenia.

W pewnej chwili Lööw wyjmuje telefon i przykłada go do ucha. Yasmine przyspiesza kroku i zmniejsza odstęp do zaledwie dwóch metrów. Ulice są prawie puste, więc jeśli Lööw nagle zawróci, od razu ją zobaczy. Ale jakie to ma znaczenie? Ważniejsze jest chyba to, żeby usłyszeć, o czym rozmawia w drodze na spotkanie. Lööw czeka ze słuchawką przy uchu, a potem rzuca do telefonu:

– *I'm on my way now.*

Ulicą przejeżdżają dwa samochody, które zagłuszają jego dalsze słowa. Yasmine udaje się jedynie wyłapać powtarzane kilka razy stwierdzenie *makes me uncomfortable* – „stawia mnie w niewygodnej sytuacji”. Podczas rozmowy Lööw nerwowo przeczesuje

ręką włosy, jak gdyby był czymś zmieszany.

Wreszcie kończy rozmowę i wsuwa aparat do kieszeni spodni. Yasmine wchodzi do najbliższej bramy i czeka, aż znajdzie się w bezpiecznej odległości od niego. Po dojściu do Wyższej Szkoły Handlowej przechodzi na drugą stronę Sveavägen i idzie za Lööwem drugą stroną ulicy. Można powiedzieć, że oboje są prawie na tej samej wysokości, z tą różnicą, że Lööw patrzy przed siebie, a ona nie spuszcza go z oczu. Lööw wygląda na zdenerwowanego, zachowuje się tak, jakby kogoś albo czegoś szukał wzrokiem. Co jakiś czas przeczesuje ręką włosy, jak gdyby ciągle był niezadowolony ze sposobu, w jaki mu się układają.

Koło McDonalda zwalnia kroku i znowu sięga po telefon. Jest 8:50, za dziesięć minut ma się spotkać z Yasmine. Na podjeździe przed wejściem do biblioteki po drugiej stronie ulicy stoi zaparkowany meblowóz. Yasmine przemyka dyskretnie i staje za nim. Lööw zatrzymuje się. Jest sam, widać go ze wszystkich stron. Jego kumple trzymają się pewnie w bezpiecznej odległości od niego.

Czas mija powoli. Dwadzieścia minut wleczę się jak całe przedpołudnie. Lööw chyba też ma takie wrażenie, bo nie może ustać w miejscu. Chodzi w tę i z powrotem, patrząc na telefon albo na wejście do biblioteki.

Mija kolejne dziesięć minut, a potem jeszcze pięć. Jest już prawie 9:30. Ożywienie Lööwa przechodzi powoli w apatię. Kiedy w końcu się zorientuje, że Yasmine nie przyjdzie na spotkanie?

Lööw znowu przykłada telefon do ucha i zerka w stronę cienia rzucanego przez budynek biblioteki. Czyżby to tam ukryli się jego kumple? Stoi zrezygnowany, z opuszczonymi rękami, po chwili znowu zerka na swój ogromny zegarek. Wreszcie kończy rozmowę, wzrusza ramionami i rusza ulicą Sveavägen. Ruch jest już większy i Yasmine traci go na chwilę z oczu. Po nocy spędzonej w samochodzie i po godzinie stania za meblowozem cała jest zeszywniała. W pewnym momencie Lööw znowu pojawia się w zasięgu jej wzroku, przechodzi na jej stronę ulicy. Widać po nim, że się uspokoił. Skręca w prawo i kieruje się tam, skąd przyszedł.

Yasmine odczeka chwilę, a potem zerka ku wejściu do biblioteki. Miała rację. Na podjeździe pojawiają się dwaj mężczyźni, ale nie razem, tylko jeden za drugim. Mimo to od razu rzuca się w oczy, że działają wspólnie. Yasmine mruży oczy, żeby ich lepiej widzieć. Żaden nie przypomina miejscowego bandziora. Idą wyprostowani, na szeroko

rozstawionych nogach. Obojętnie rozglądają się po ulicy. Jeden z nich ma czapkę z daszkiem i wygląda jak Szwed. Yasmine wzrusza ramionami. Co za różnica? Od razu widać, że to obstawa Lööwa. W pewnym momencie przy chodniku zatrzymuje się volvo i obaj wsiadają do środka, na tylne siedzenia.

Yasmine głęboko oddycha. Pod koszulą czuje ciężar pistoletu. Dzięki niemu czuje się bezpieczniej. Spokojnie rusza za Lööwem. Jest sam. Teraz może się z nim spotkać.

61. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Yasmine czeka kilkanaście metrów dalej w bramie i obserwuje, jak Lööw wchodzi do kawiarni Sosta na Sveavägen. Dwie minuty później wychodzi na ulicę z niewielkim kubkiem w ręce. Wyszukuje miejsce oświetlone słońcem i opiera się plecami o ścianę. W jednej ręce trzyma kubek z kawą, drugą szuka czegoś w telefonie. Na jego twarzy maluje się napięcie.

Yasmine rozgląda się uważnie po ulicy, żeby sprawdzić, czy nie zauważy gdzieś dwóch typków z jego obstawy. *Fuck it!* Wóz albo przewóz.

Spokojnym krokiem rusza w stronę kawiarni i zatrzymuje się przed Lööwem, który jest tak zajęty telefonem, że nie zwraca na nią uwagi.

– Mam pod kurtką pistolet – mówi Yasmine i unosi dyskretnie dolną część okrycia, żeby mu pokazać, że mówi prawdę.

Lööw tak się wzdrygnął na jej widok, że resztę kawy z kubka wylał sobie na rękaw granatowej marynarki.

– Co? O co chodzi? – pyta, cofając się o krok.

– Nie ruszaj się – syczy Yasmine. – Odstaw kubek na stolik i chodź ze mną.

Lööw jest wyraźnie podenerwowany, ale posłusznie wykonuje jej polecenie. Potem idą obok siebie chodnikiem.

– Nie musimy rozmawiać w taki sposób – mówi Lööw. – Byliśmy umówieni godzinę temu, ale nie przysłaś.

Lööw błądzi wzrokiem po jadących ulicą samochodach. Mruga z taką częstotliwością, jakby zaraz miał dostać ataku epilepsji.

– Widziałam, dupku, że przyszedłeś ze swoimi gorylami, i dlatego postanowiłam to zrobić po mojemu – odpowiada Yasmine. Po chwili zawraca i ciągnie go za sobą w stronę biblioteki.

U stóp wzgórza, na którym stoi obserwatorium, znajduje się niewielki plac zabaw. Yasmine właśnie tam się kieruje, a gdy docierają na miejsce, każe Lööwowi usiąść na ławce. Potem staje przed nim i zmusza go, żeby spojrzał jej w oczy.

– Myślałeś, że jestem tak głupia i wejdę prosto w pułapkę, którą na mnie zastawiłeś? Puknij się w łeb, pajacu.

Lööw opiera się o ławkę, ma rozbiegany wzrok.

– To nie był mój pomysł. Czego ty właściwie chcesz? Kim w ogóle jesteś?

Lööw patrzy jej przez chwilę w oczy, a potem znowu kieruje wzrok w stronę huśtawek i drabinek stojących w parku zabaw.

– Mam cię gdzieś – odpowiada spokojnym głosem Yasmine. – Mam w nosie to, co robisz na Przedmieściu i kim są ludzie ze Stirling Security. Kapujesz? Ja i mój brat wplątaliśmy się w tę sprawę, a ty masz dopilnować, żeby nas z niej wypłatać. Nie wiem, czym się zajmujesz, ale twoi goryle mają nas zostawić w spokoju. Jasne?

Lööw kiwa powoli głową.

– Ja... – zaczyna, ale nie kończy, tylko znowu nerwowo przeczesuje ręką włosy. – Nie mam nad nimi władzy. Za tym, co się dzieje, stoją pewne siły, o wiele potężniejsze, niż ci się wydaje.

– Masz na myśli Rosjanina, z którym się wczoraj spotkałeś? O co chodzi z tą firmą? Kim oni są?

Lööw znowu patrzy jej w oczy. Tym razem spokojniej. Nie jest już taki rozedrgany i podenerwowany.

– Nie wolno mi o tym rozmawiać. Im zależy na tym, żeby rozróby w Bergort trwały jak najdłużej. Część z nich sami inspirowali. Tak jak symbol złożony z pięści i gwiazdy. Widziałaś go?

Yasmine potwierdza skinieniem głowy.

– Wszyscy go znają.

– To oni go wymyślili, Stirling Security. Potem przekazali go ludziom, którzy koordynują zamieszki. Więcej nie wolno mi powiedzieć.

– A Rosjanin? Dlaczego jeździ wozem na numerach dyplomatycznych?

– Można powiedzieć, że to główny szef Stirling Security. Ale proszę cię, nie mieszaj się do tej sprawy. W grę wchodzi naprawdę wielkie pieniądze.

– A jaka jest twoja rola w tym wszystkim?

– Robię, co mi każą. Ta firma jest w pewnym sensie moim klientem.

Lööw patrzy na Yasmine błagalnym wzrokiem.

– Wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż ci się wydaje. Zgadza się, to jakieś szaleństwo. Ale i tak powiedziałem już za dużo. To cholernie skomplikowana sprawa.

Lööw przez moment milczy, w końcu wyraźnie się uspokaja.

– Mam spotkanie za mniej więcej pół godziny – mówi błagalnym tonem. – Dotyczy Stirling Security. Jeśli się nie zjawię...

– Co wtedy?

Lööv kręci tylko głową.

– Musisz mi pozwolić odejść. Nie mogę nie przyjść na to spotkanie. To po prostu wykluczone.

– Mam gdzieś twoje spotkanie. Jedyne, co możesz zrobić, to wypłatać mnie i mojego brata z tej sprawy. Nie mamy z nią nic wspólnego.

– Rozumiem. Zrobię to, obiecuję. Musisz mi uwierzyć. Zrobię, co tylko się da, okej?

Ze Sveavägen do budynku, w którym znajduje się siedziba Stirling Security, jest tylko dziesięć minut piechotą.

– Chyba rozumiesz, że nie wolno ci tam ze mną iść? – pyta z niepokojem Lööv. Rozkłada ręce i przeciąga nerwowo dłonią po włosach. Zatrzymują się przed wejściem do kawiarni. Yasmine patrzy na niego obojętnym wzrokiem.

– Poczekam tu na ciebie – odpowiada. – Jeśli spróbujesz wciągnąć mnie w jakąś pułapkę albo wykiwać...

Yasmine nie kończy zdania. Lööv unosi ręce w obronnym geście, a potem odwraca się i podchodzi do stojącej przed wejściem kobiety w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Oboje wchodzi do środka i w tym samym momencie Yasmine odbiera powiadomienie, że przyszedł SMS. Okazuje się, że ktoś przysłał jej jakieś wideo. Yasmine wyjmuje słuchawki, wkłada je do uszu i włącza nagranie. Chwilę później świat zaczyna wirować jej przed oczami, a ona powoli osuwa się w przepaść.

62. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Budzę się w chwili, gdy Mehdi wchodzi do pokoju. Wygląda na wykończonego, jakby w ogóle nie spał. Ciężko oddycha, świszczce i sapie. Nic dziwnego, waży dziewięćdziesiąt pięć kilogramów. Opiera się o futrynę drzwi naszego małego pokoju w schronisku. Przez szczelinę w żaluzjach przebijają się pojedyncze promienie słońca.

– Sie masz, Mehdi – mówię, siadając w łóżku. – Kiepsko wyglądasz, bracie.

Mehdi zamyka oczy i oddycha gwałtownie. W drodze do naszego pokoju musiał pokonać schody, najwidoczniej go to wykończyło.

– Nie mogłem zasnąć. Poszedłem na spacer.

Widać po nim, że jest podenerwowany. Bawi się telefonem.

– Rozumiem – odpowiadam, wciągając koszulkę przez głowę. Wstaję, zakładam dzinsy.

– Cała ta sprawa jest pojebana.

Biorę telefon leżący obok łóżka. Okazuje się, że dostałem wiadomość od Yasmine. Zadzwoń po spotkaniu z Lööwem. Szybko odpisuję: „Wszystko w porządku. Zdzwonimy się później”.

– Yazz to mądra dziewczyna, bracie – mówię. – Załatwi to, bo wszystko potrafi załatwić.

Mehdi wzrusza ramionami i podchodzi do okna. Podciąga żaluzje i wygląda na ulicę. Kiedy znowu się do mnie odwraca, drżą mu ręce, ucieka z oczami i głośno dyszy. Wygląda na to, że nerwy zżerają go od środka. Próbuję go uspokoić.

– Daj spokój – mówię. – Nie wytrzymam tu dłużej. Chodźmy coś zjeść.

Dochodzi wpół do dziesiątej, ale mimo wczesnej pory cała dzielnica Vasastan jest już skąpana w słońcu. Na dworze jest naprawdę ciepło. Wygląda na to, że lato przypuszcza swój ostatni atak w tym roku. Mimo problemów, które są dla mnie nie w pełni zrozumiałe, czuję się spokojniejszy. Od dawna nie czułem się tak dobrze. To dlatego, że wróciła Yazz.

To nie przeze mnie – a właściwie nie tylko przeze mnie – zostali zabici nasi bracia w Syrii. Wina leży nie tylko po mojej stronie. Przez chwilę czuję się prawie wolny. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek miał nocne koszmary wywołane widokiem rozerwanych ludzkich ciał i białego światła.

– Rozmawiałeś z Parisą? – pytam. Kupiliśmy sobie po kubku kawy, a teraz idziemy ulicą do miejsca, gdzie wczoraj zaparkowaliśmy samochód. Mehdi wpatruje się ciągle w telefon, wzrok ma roztargniony, oczy rozbiegane. Zaczyna mnie to denerwować.

– Co jest, bracie? – pytam. – Jakoś sobie poradzimy, okej? Do kogo tak esemesujesz? Do Parisy? Co u niej?

Mehdi wyrzuca kubek z niedopitą kawą do kosza na śmieci.

– Tak, tak – odpowiada. – Sorry, wszystko okej. Po prostu się niepokoję.

– Z powodu tej historii?

Mehdi nadal unika mojego wzroku.

– Tak... Przecież nie mam innego powodu.

Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby Mehdi się tak zachowywał. Nawet w dzieciństwie. Przez chwilę odnoszę wrażenie, że cała ta jego gadanina sprzed tygodnia o zamieszkach i buncie wydarzyła się tysiąc lat temu.

– Wygląda na to, że sytuacja wyjaśniła się ostatniej nocy, i to bez twojego udziału – stwierdzam, pokazując mu w gazecie artykuł pod tytułem *Bergort płonie*.

Mehdi tylko kiwa głową.

– Daj spokój. Przejdźmy się, zanim Yazz się pojawi.

Stara czerwona mazda stoi tam, gdzie ją zostawiliśmy. W porównaniu z innymi samochodami, wśród których są SUV-y i wozy marki BMW, wygląda jak porzucona przez kogoś mała, skromna zabawka.

– Dokąd chcesz jechać? – pytam. – Yazz powiedziała, że dopóki nie załatwi swoich spraw, mamy się nie pokazywać w Bergort.

Ale Mehdi nie reaguje, jakby mnie nie słyszał. Podchodzi do samochodu, wyciąga kluczyki, jest skoncentrowany. Przyspieszam i zrównuję się z nim w chwili, gdy włożył kluczyk do zamka.

– Bracie, rozmawiaj ze mną. Co jest grane?

Mehdi otwiera drzwi i składa fotel w taki sposób, żeby można było wejść na tylne siedzenie. Zastanawiam się, dlaczego mam siedzieć z tyłu. Mehdi odwraca się do mnie. Jego twarz wyraża tak dogłębny smutek, że nie wiem, co powiedzieć.

– Przykro mi, bracie – odpowiada świszczącym od astmy głosem. – Naprawdę.

To ostatnie słowa, jakie słyszę z jego ust, bo w tym samym momencie ktoś rzuca mnie na samochód, przyciska do maski i wykręca ręce na plecach. Potem zakłada mi na nadgarstki

opaskę uciskową i wpycha głowę do środka na tylne siedzenie. Próbuję krzyczeć, ale dostaję cios w głowę zadany jakimś przedmiotem. Wydaje mi się, że to młotek albo pistolet. Kątem oka widzę cień, niewyraźną sylwetkę człowieka, który trzyma w ręce kaptur. Naciąga mi go na głowę, a ja nie mogę się bronić. Chwilę później nie widzę ani samochodu, ani ulicy, ani ludzi.

Leżę wciśnięty w lewy róg samochodu, ktoś przytrzymuje mi ręką głowę. Jedziemy spokojnie przez miasto. Nic nie widzę, czuję się zagubiony, próbuję uregulować oddech. Słyszę podekscytowane głosy, ale nie rozumiem, o czym rozmawiają. I nagle słyszę Mehdiego. Zwraca się do mnie po arabsku, chociaż błędnie wymawia niektóre słowa. Chce, żeby inni nas nie zrozumieli:

– Przykro mi, Fadi. Oni chcą tylko Yazz. Obiecali, że ciebie puszcza wolno.

Ale mam go gdzieś. Leżę spokojnie na tylnym siedzeniu i czuję, że kaptur na mojej głowie robi się coraz bardziej wilgotny od łez.

63. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Po tym, co przydarzyło jej się w ciągu ostatnich dni, Klara powinna czuć się o wiele gorzej. Po przylocie na lotnisko Arlanda wsiadła do ekspresu jadącego do centrum Sztokholmu. Ból głowy prawie całkowicie ustąpił. Poprzedniego dnia wieczorem, kiedy w końcu dotarła z One Aldwych do domu, w jednym z dzielnicowych sklepików kupiła dwa pierożki *samosa* i na wszelki wypadek popiła je litrem wody. Po przyjsciu do domu nie mogła zasnąć, chociaż była bardzo zmęczona, a po wypiciu sporej ilości wina czuła przyjemny szum w głowie. Leżała więc w łóżku i do trzeciej w nocy przewracała się z boku na bok. W końcu zapadła w drzemkę. W pokoju było za gorąco, z ulicy dobiegał zbyt duży hałas, w głowie miała burzę myśli, a przed oczami widok Patricka leżącego na torach. Rozmyślała o Stirling Security i o korespondencji między Charlotte a tajemniczym GL. Kilkanaście razy wstawiała z łóżka, żeby sprawdzić, czy drzwi na pewno są zamknięte na klucz, czy kuchenka jest wyłączona, a paszport leży w torebce...

Właściwie mogłaby wylecieć po południu, bo Charlotte potrzebuje jej dopiero na prezentacji, to znaczy w czwartek rano. Dopłaciła jednak pięćdziesiąt funtów i przebukowała lot na inną godzinę, żeby zdążyć do biura Stirling Security na Kungsgatan, gdzie Charlotte jest umówiona na spotkanie. Musi sprawdzić, kto kryje się pod inicjałami GL.

Małe monitory LCD w pociągu wyświetlają najnowsze informacje. Na ekranie widać płonące samochody i zamaskowanych młodych ludzi, którzy obrzucają kamieniami wycofujących się policjantów. Rozpoczęte w Bergort na początku tygodnia zamieszki przeniosły się nocą na inne dzielnice leżące na przedmieściach Sztokholmu.

To tak jak w Londynie, gdzie przez całe lato trwały rozruchy i demonstracje.

Zanim jednak zdążyła się zorientować, co dokładnie dzieje się na przedmieściach Sztokholmu, na ekranie pojawiła się reklama firmy oferującej „całościowe i holistyczne rozwiązania w zakresie bezpieczeństwa na poziomie makro”. Krew zastyga jej w żyłach, gdy ekran na moment ciemnieje, a po chwili pojawia się na nim logo i napisana czerwonymi literami nazwa firmy: Stirling Security.

Na Kungsgatan 30 dociera tuż przed dziesiątą. Okazuje się, że siedziba firmy mieści się w

jednej z dwóch „wież” stojących przy tej ulicy. Niezłe miejsce jak na biuro.

Kilkanaście metrów od wejścia znajduje się kawiarnia. Klara zajmuje miejsce przy stoliku stojącym przy oknie. Wystarczy się lekko wychylić, żeby mieć widok na osoby wchodzące i wychodzące z firmy.

Podchodzi do barku i zamawia croissanta, cappuccino i wodę mineralną. Wraca do stolika i dopiero teraz czuje, jak kiepsko odżywiała się przez ostatnie dni. Mimo to nie jest głodna. Przez cały czas myśli o tym, że ma za sobą ciężki tydzień.

Marzy jedynie o kieliszku chłodnego białego wina. Na samą myśl o tym zaczyna odczuwać jakąś dziwną pustkę. Wie, że to niezdrowe, bo alkoholu nie wolno pić codziennie. Człowiek popada w końcu w takie uzależnienie, że jeśli nie wypije pół butelki, nie zaśnie. Na pewno nie powinna myśleć o winie już o dziesiątej rano, nawet jeśli jest na nogach od piątej.

Wyjmuje telefon i sprawdza godzinę. Dziesiąta piętnaście. Spotkanie zacznie się za trzy kwadranse.

Za dwadzieścia jedenasta przed wejściem zatrzymuje się taksówka. Klara pochyła się w stronę szyby, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale natychmiast się cofa, widząc, że z auta wysiada Charlotte, która od razu kieruje się do wejścia. Wyjmuje telefon i przeprowadza krótką rozmowę. Rozłącza się, chowa komórkę do torebki i dalej stoi na chodniku, jakby na kogoś czekała.

Po kilku minutach coś się zaczyna w końcu dziać. Klara wstaje z krzesła. Z początku nie wierzy własnym oczom i dlatego pochyła się bardziej, żeby móc obserwować ulicę pod lepszym kątem. Nie ma jednak wątpliwości – przed wejściem do budynku stoi George Lööv! Ma na sobie letnie ubranie: jasne, świetnie skrojone chinosy i granatową sportową marynarkę z chusteczką w górnej kieszonce. Do tego lśniące brązowe pantofle. Włosy ma trochę dłuższe niż ostatnim razem, zaczesane do tyłu, spłowiałe od słońca po kolacji w Sandhamn i żeglowaniu w okolicach Marstrand. Oczy ma lekko rozbiegane i wystraszone. Przypominają oczy ściganego zwierzęcia.

George Lööv. Co za zbieg okoliczności.

Jego widok przypomina Klarze o tym, co wydarzyło się podczas świąt Bożego Narodzenia na archipelagu Świętej Anny. Była wtedy u swoich dziadków na wyspie. Lööv to lobbysta z Brukseli, który nieświadomie prawie doprowadził do jej śmierci. W ostatniej sekundzie obudziło się w nim sumienie, dzięki czemu uratował życie jej i Gabrielli.

Klara zamyka oczy. To chyba jakiś sen. Owego dnia poznała swojego ojca, którego nigdy przedtem nie widziała. Zaraz potem umarł na jej rękach. Lööw naprawdę uratował ją w ostatniej chwili.

Od tamtej pory rzadko się ze sobą kontaktowali. Dwa razy przysłał jej maila, pytając, jak sobie radzi w Londynie. Ostatnio nawet mu nie odpisała.

Lööw zatrzymuje się przed wejściem do kawiarni. Nie jest sam. Towarzyszy mu kobieta w dżinsach i wiatrówce. Wygląda na to, że pochodzi z rodziny imigrantów. Długie, kręcone włosy ma zebrane pod czerwoną bejsbolówką. Jest atrakcyjna, bije od niej pewność siebie, co sprawia, że nie można od niej oderwać wzroku. Jej młodość stoi w całkowitej sprzeczności z konserwatywnym, wygładzonym wyglądem Lööwa. Oboje zupełnie do siebie nie pasują.

Wygląda na to, że o czymś dyskutują, a Lööw próbuje przekonać dziewczynę do swoich racji. Wymachuje rękami, nerwowo przeczesuje włosy. W końcu się odwraca i rusza ulicą. Po drodze przechodzi obok kawiarni, w której siedzi Klara. Gdyby nie szyba, mogłaby go dotknąć.

Już chce wstać z krzesła, żeby za nim pobiec, gdy nagle sobie przypomina, że Charlotte nadal czeka na kogoś na ulicy. Od razu się domyśla, dokąd idzie Lööw, który bez chwili wahania podchodzi do Charlotte, bierze ją pod rękę, otwiera drzwi i oboje wchodzi do ciemnej klatki schodowej.

Klara czuje, że zaraz eksploduje jej mózg. Od razu przypomniała sobie adres mailowy w teczce Patryka: gl@stirlingsecurity.com... GL to George Lööw. W jej życiu wydarzyło się już mnóstwo dziwnych rzeczy, ale tego się nie spodziewała. Nie przyszłoby jej do głowy, że Lööw reprezentuje Stirling Security. Z drugiej strony wcale jej to nie dziwi. Poznała go na tyle, że wie, iż Lööw obraca się w podejrzanych kręgach, zwłaszcza w tak podejrzanej branży, jak lobbystyczna.

Odwraca głowę i zaczyna obserwować dziewczynę, która nadal stoi przed kawiarnią. Trzyma w ręce telefon, w uchu ma słuchawkę. Stoi ze wzrokiem wpatrzonym w mały ekran.

Nagle cofa się o krok, opiera o ścianę i osuwa na ziemię, jak gdyby ktoś zadał jej potężny cios w żołądek.

64. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Wideo trwa piętnaście sekund i nie zawiera brutalnych scen. Na zaścielonym łóżku leży bezbronny człowiek. Na głowie ma czarny kaptur, nadgarstki i kostki związano mu białą taśmą. Na nagraniu pojawiają się dwie dłonie, które zdejmują mu kaptur. Okazuje się, że to Fadi. Wargi ma spękane, twarz wychudzoną. Mruży oczy, chroniąc je przed ostrym światłem. Pluje i wije się na łóżku, krzyczy do obiektywu kamery: „Olej ich! Nie rób tego, co ci każą!”. Ktoś podchodzi do łóżka i wymierza mu policzek otwartą dłonią. Potem obiektyw kamery zatrzymuje się na innym zamaskowanym mężczyźnie. Na głowę ma naciągniętą taką samą kominiarkę jak ci, którzy niedawno wzniecali zamieszki w Bergort. Taką samą jak te, które Mehdi i jego kołesie nosili poprzedniego dnia.

– Masz czas do piątej, suko – mówi mężczyzna. – Sześć godzin. Możliwe, że sami znajdziemy cię wcześniej. Ale jeśli za pięć piąta nie będzie cię przed szkołą, załatwimy twojego braciszka. Jasne?

W tym miejscu nagranie się kończy. Yasmine rozgląda się. Jej świat wygląda teraz zupełnie inaczej niż przed minutą. Wszystko się ze sobą zlewa albo odpycha – samochody, asfalt i domy. Cofa się o krok, opiera plecami o ścianę i osuwa na ziemię. Znowu widzi normalnie, ale jeszcze chwila i musiałyby zwymiotować. Za wiele tego wszystkiego jak na nią. Za dużo poplątanych nici i węzłów. Tak wiele wspomnień i zdarzeń ciągnie ją i Fadię z powrotem na Przedmieście. Zbyt dużo, żeby kiedykolwiek udało im się wymknąć z jego objęć.

Jak go znaleźli? Kto go zdradził? Mehdi?

Jedna zdrada prowadzi do drugiej. Tylko on mógł go zdradzić. Nie ma innego wyjaśnienia.

Łzy płyną jej po policzkach, ale nie umie ich powstrzymać. Została sama, nikt jej nie pomoże. Jak zwykle.

Dopiero po chwili słyszy czyjś cichy głos. Ktoś przy niej stoi. Powoli odwraca głowę w prawo i widzi kobietę z dużymi brązowymi oczami i ciemnymi włosami obciętymi „na pazia”. Kobieta pochyla się nad nią i podaje jej chusteczkę higieniczną. Yasmine bierze ją automatycznym ruchem i zastyga w pół ruchu, jak gdyby nie wiedziała, co z nią zrobić.

Kobieta kładzie jej rękę na ramieniu i pyta:

– Czy mogę ci jakoś pomóc? Jak masz na imię?

65. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Klara patrzy na zapłakaną dziewczynę siedzącą na chodniku z chusteczką w ręce. Wygląda na zagubioną, jakby nie wiedziała, gdzie jest, a w miejscu utrzymywały ją niewidoczne stalowe pręty, które nagle pękły pod ogromnym ciężarem, przez co upadła wprost na betonowy chodnik.

Klara bardzo dobrze wie, co dziewczyna w tej chwili czuje, i dlatego kładzie jej ostrożnie rękę na ramieniu.

– Myślę, że mogę ci pomóc.

Dziewczyna nie odpowiada. Klara pomaga jej wstać i opiera ją o ścianę.

– Nie mogę tu zostać, nie mogę... – bełkocze dziewczyna. Wrywa jej się z rąk i patrzy na nią takim wzrokiem, jak gdyby dopiero teraz ją zauważyła. – Wszystko w porządku – odpowiada. – Może mnie pani puścić.

W jej głosie słychać wrodzoną, z trudem powstrzymany agresję, jakby chciała pokazać, że nie potrzebuje niczyjej pomocy, bo nie wierzy w dobre ludzkie intencje albo doznała w życiu zbyt wielu rozczarowań. Nagle się odwraca i rusza w stronę placu Stureplan.

– Poczekaj! – woła za nią Klara. Przez chwilę się waha, rozważa różne warianty. Lööwa może odnaleźć później, ale dziewczyna ma naprawdę jakiś poważny kłopot. Musi się dowiedzieć czegoś więcej.

– Poczekaj! – woła ponownie.

Dziewczyna zerka na nią przez ramię, ale nie zatrzymuje się. Dla niej ta rozmowa dobiegła końca.

Klara dobiega do niej i znowu kładzie jej rękę na ramieniu. Tym razem dziewczyna od razu ją strząsa.

– Powiedziałaś, żebyś mnie nie dotykała – mówi. – Sorry. Dzięki za chusteczkę, ale nie potrzebuję pomocy. Okej?

– Ja też znam Lööwa. Widziałam cię z nim.

Dziewczyna patrzy na nią, a potem kręci lekko głową.

– Nie mam czasu na takie dramaty – odpowiada. – On jest twój, kobieto. Możesz mi wierzyć. Pewnie pieprzy się na boku z innymi, ale nie ze mną.

Klara nie może się powstrzymać od śmiechu.

– Jasne... Skąd go znasz?

– Pytasz poważnie? W ogóle mnie nie obchodzi. Żegnam.

Dziewczyna odwraca się i rusza przed siebie.

– Co wiesz o Stirling Security? – woła za nią Klara w akcie desperacji.

Dopiera teraz dziewczyna się zatrzymuje i odwraca do niej. Przez chwilę wpatruje się w Klarę, a potem powoli do niej podchodzi.

– Coś ty powiedziała?

– Stirling Security. Co o nich wiesz? To ważne.

– Co to znaczy ważne? Skąd możesz wiedzieć, co jest ważne?

Klara przełyka ślinę i nie spuszcza dziewczyny z oczu. Jej reakcja jest dla niej potwierdzeniem, że powinna kontynuować tę rozmowę. Już wie, że jest na właściwym tropie.

– Wiem, że giną ludzie, a Stirling Security ma z tym coś wspólnego – zaczyna spokojnym głosem. – George też jest w to zamieszany.

W oczach dziewczyny dokonuje się nagła zmiana. Spod twardej maski wyłania się obraz zwykłej, zrozpaczonej kobiety.

– Co wiesz? Mów, bo mam cholernie mało czasu.

– Mam na imię Klara. Lööwa znam z dawnych czasów, wiem, że prowadzi ciemne interesy. Wiem też, że Stirling Security szykuje jakąś brudną sprawę. Ma to coś wspólnego z Rosją albo z jakąś rosyjską firmą.

Klara zdaje sobie sprawę, że brzmi to dość chaotycznie. Dlatego wyjmuje z kieszeni papierosa i zapalniczkę. Jest tak podenerwowana, że całkowicie zaschło jej w ustach. Zaciąga się i czuje gorzki smak dymu.

– Myślę, że ma to coś wspólnego z jutrzejszym spotkaniem ministrów sprawiedliwości – kontynuuje Klara. – Ściślej mówiąc: z raportem, który przygotowuje moja szefowa.

Klara znowu się zaciąga. Ulicą jadą samochody, chodnikiem idzie grupa spacerowiczów i turystów. Świat kręci się po staremu, ale one tkwią we własnej nierzeczywistej bańce.

– Ktoś zamordował mojego kolegę z pracy. Doszło do tego, gdy zaczął badać tę sprawę.

Klara wypowiada to zdanie szeptem, więc dziewczyna podchodzi bliżej, żeby ją lepiej słyszeć. Spogląda na Klarę intensywnym, pytającym wzrokiem i bawi się telefonem, który trzyma w ręce. Ma taką minę, jak gdyby zamierzała podjąć ważną decyzję.

– Porwali mojego młodszego brata – oznajmia w końcu cichym głosem przepełnionym głęboką samotnością.

Klara czuje zimny dreszcz na plecach, na rękach dostaje gęsiej skórki.

– Boże! I sądzisz, że ma to coś wspólnego z George’em?

Dziewczyna przeciąga dłonią po twarzy i po włosach i kiwa głową.

– W pewnym sensie – odpowiada.

– Dzwoniłaś na policję? To znaczy, czy możesz zadzwonić na policję?

Dziewczyna patrzy na nią zdumionym wzrokiem.

– Żartujesz sobie?

Klara kiwa ze zrozumieniem głową.

– Co się dokładnie stało? Dlaczego go porwali?

– To długa historia. Fadi, mój brat, zaginął. Potem się okazało, że wyjechał do Syrii. Myśleliśmy, że go tam zabili, ale nagle wrócił. Ma coś wspólnego z tymi rozruchami na przedmieściach.

– Masz na myśli te burdy?

– Tak, w Bergort. Był w nie zamieszany jego kumpel, który potem wciągnął w to Fadiego. Teraz go porwali.

– Kto to zrobił?

– Ci, którzy tym sterują i za wszystkim stoją. Płatni bandyci.

Dziewczyna pokazuje palcem na ulicę.

– Stirling Security czy jak się tam nazywają. Lööw dla nich pracuje, to on płaci chłopakom za to, żeby każdej nocy wywoływali zamieszki na ulicach, bo to prowadzi do chaosu. Za firmą stoi jakiś pieprzony Rosjanin. Porusza się furą na niebieskich tablicach dyplomatycznych. Ma własnego szofera.

Klara od razu przypomniała sobie kilka faktów: tablicę w pokoju Patricka, ambasadę Rosji, przelewy dla Charlotte, bank w Vaduz. I oto pojawia się w tym wszystkim George Lööw.

– Czego chcą w zamian? – pyta Klara. – Mam na myśli porywaczy.

– Mnie. Chcą dostać mnie. Zostało mi tylko kilka godzin.

Do Klary momentalnie dociera, że nie poradzi sobie sama z tą sprawą.

– Będzie nam potrzebna pomoc – mówi. – Nam, a właściwie tobie. Jeśli mi pozwolisz, pomogę ci, bo wiem, do kogo możemy się zwrócić. Niczego nie mogę obiecać, ale to i tak

lepsze niż nic.

Dziewczyna całkowicie straciła kontrolę nad swymi uczuciami. Maską spada i po jej twarzy płyną łzy. Z rezygnacją kiwa głową.

– Nie wiem, co mam zrobić – odpowiada. – Nie mam pojęcia.

– Chodźmy – mówi Klara. Bierze ją za rękę i rusza w stronę Stureplan. Zamierza zadzwonić do kogoś, z kim powinna się skontaktować dawno temu.

66. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Powierzchnia wody jest tak gładka, że przypomina wypolerowane kamienie, po których można przejść suchą nogą ze Skeppsbron do Hotell Lydmar po drugiej stronie kanału. Ale hotel to już przeszłość, nigdy więcej się w nim nie zjawi.

Zostawiła w nim siebie sprzed kilku dni. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy David uderzył ją pięścią w skroń. Pamięć o tym incydencie zdążyła już zżółknąć i zblaknąć i dlatego Yasmine czuje się tak, jak gdyby przeżyła go jakaś inna osoba. Przez cały ostatni tydzień coraz bardziej redukowałą się jako człowiek: każdego dnia o kolejną cienką warstwę, aż w końcu zostało z niej samo jądro. Prototyp. Ktoś, kto ogranicza się w swoim życiu tylko do tego, żeby przeżyć. Ktoś, kto chroni.

Zerka na idącą obok niej kobietę. Klara trzyma telefon przy uchu. Kim jest? Dlaczego jej zaufała? Z jakiego powodu? Brązowe oczy z siateczką zmarszczek w obu kącikach, dziwny akcent typowy dla szwedzkiej prowincji, sposób, w jaki jej dotykała... Może po prostu jej zależy? A może prawda jest taka, że ona, Yasmine, nie ma już sił, żeby poradzić sobie z tą sprawą na własną rękę?

Już po wpół do dwunastej. Zostało pięć godzin, żeby coś wymyślić. Za pięć godzin po raz ostatni w życiu wsiądzie w metro jadące do Bergort.

Klara kończy rozmowę i zamyka kłapkę telefonu. Przez całą drogę od Kungsgatan przez Kungsträdgården aż do tego miejsca, które znajduje się po drugiej stronie Starego Miasta, nieprzerwanie z kimś rozmawiała. Yasmine nie chciała podsłuchiwać, ale zauważyła, że na początku Klara mówiła niepewnym, przestraszonym głosem. Brzmiało to tak, jak gdyby chciała się przed kimś usprawiedliwić. Stopniowo robiła się coraz bardziej pewna siebie. W jej głosie dało się wyczuć coś w rodzaju zadowolenia, chociaż opowiadała o człowieku zepchniętym pod pociąg, o tajemniczych bankach, o instytucie badawczym, a na końcu o niej.

Po skończonej rozmowie Klara odwraca się do niej.

– Moja najlepsza przyjaciółka, Gabriella, jest adwokatem. To bardzo mądra osoba. Ma mnóstwo kontaktów.

Yasmine kiwa niepewnie głową. *Fuck!* Jak taka prawniczka może jej pomóc?

– Gabriella umie załatwić różne rzeczy. Jeśli ktoś ma ci pomóc w twojej sprawie, to na pewno ona.

Yasmine zatrzymuje się i spogląda w stronę kanału. Patrzy na białe łodzie i statek z wysokimi masztami, który cumuje po drugiej stronie, przy wyspie Skeppsholmen. Czuje, jak opuszczają ją siły. Powoli się osuwa, kuca.

– Kurna – mruczy. – To się nie uda... Nic nie kapujesz... Jak to sobie wyobrażasz?

Klara ją obejmuje.

– Nie twierdzę, że nam się uda – odpowiada spokojnym głosem. – Możliwe, że wszystko pójdzie nie tak, jak trzeba.

Odwraca głowę i patrzy poważnym wzrokiem na odległe skały na Södermalmie. Po chwili znowu patrzy na Yasmine.

– Niczego ci nie obiecuję, ale bywa, że trzeba po prostu odpuścić, zamknąć oczy i czekać z nadzieją, że się uda. Czasem tylko to nam pozostaje.

67. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Taksówka, którą przyjechała Gabriella, zatrzymuje się przed wejściem do budynku na Skeppsbron 28, gdzie mieści się kancelaria adwokacka Lindblad & Wiman. Klara i Yasmine siedzą na schodkach prowadzących do wejścia. Klara obserwuje drżące nogi Yasmine. Od chwili gdy dotarły na miejsce, dziewczyna co minutę zerka na telefon, żeby sprawdzić godzinę.

Gdy Gabriella wysiada z taksówki, Yasmine znowu sprawdza godzinę.

– Czy to ona? – rzuca przez ramię.

Klara kiwa głową, powoli wstaje i podchodzi do samochodu. Gabriella ubrana jest w ciasne ciemne dżinsy i długą koszulę w kratę, która sięga jej prawie do kolan. Rude włosy związała niedbale w dwa warkocze. Przypomina bardziej hippiskę, która przed chwilą wyszła spod prysznic, niż adwokata specjalizującego się w sprawach karnych, a na dodatek wspólnika w jednej z najbardziej prestiżowych kancelarii adwokackich w Szwecji.

Klara widzi po minie Yasmine, że ta dość sceptycznie oceniła jej przyjaciółkę.

Gabriella podchodzi do Klary i mocno ją obejmuje. Klara od razu wyczuwa znany zapach perfum – drzewo sandałowe i magnolia. Tak właśnie pachnie przyjaźń.

– Bardzo mi przykro – szepcze jej do ucha. – Tyle razy chciałam...

– Ciii... – przerywa jej Gabriella. – Ja też, Klaro, ja też.

Delikatnym ruchem odsuwa ją od siebie i podaje rękę Yasmine.

– To ty jesteś Yasmine, prawda? – pyta. – Mam na imię Gabriella. Wiem, że w takim stroju nie przypominam adwokata, ale zapewniam cię, że nim jestem.

Wyjmuje z kieszeni pęk kluczy i kartę do domofonu.

– Niesamowite – mówi z uśmiechem. – Nawet w sobotę mogę wejść do naszego biura.

Gabriella otwiera kluczem drzwi wejściowe, wyłącza kartą system alarmowy i prowadzi je eleganckimi ciemnymi schodami na trzecie piętro, gdzie mieści się siedziba kancelarii. Żeby wejść do środka, przykłada oko do niewielkiej kamery, która wykonuje skan gałki ocznej. Po chwili rozlega się dźwięk świadczący o tym, że system zaakceptował obraz z jej siatkówki. Gabriella wkłada klucz do zamka, przekręca go i zaraz potem masywne, ciężkie

drzwi otwierają się bezdźwięcznie. Gabriella puka w nie, żeby zademonstrować, że nie wydają prawie żadnego dźwięku, a potem zaprasza Klarę i Yasmine do środka.

– Pancerne. Dębowe panele z wewnętrznym zbrojeniem – wyjaśnia dumnym tonem. – Nasze biuro przypomina supernowoczesny fort przeniesiony z dawnych czasów na dzisiejszą starówkę. *I love it!*

– Super! – przytakuje jej Klara. – Dawniej tu tak nie było.

Gabriella wybuchając śmiechem i patrzy na nią z rozbawieniem.

– Ostatni raz byłaś tutaj w czasach, gdy odbywałam letnią praktykę, a moje biuro mieściło się na drugim piętrze, w komórce z narzędziami do sprzątanina. Od tamtej pory wiele się wydarzyło.

Korytarz, którym idą, rozjaśnia niewidoczne źródło światła. Wygląda na to, że system włączył się automatycznie w chwili, gdy Gabriella otworzyła drzwi. Na ścianach wiszą artystyczne fotografie z wizerunkami poważnych wytatuowanych mężczyzn. Cały cykl przypomina reportaż zdjęciowy z zakładu karnego. W ciepłym, z rozmysłem dobranym świetle kancelaria przypomina bardziej hip-hopową wytwórnię płytową niż poważną kancelarię adwokacką. Gabriella zatrzymuje się na końcu korytarza przy wysokich białych drzwiach i otwiera je kluczem.

Pokój, do którego wchodzi, ma około piętnastu metrów kwadratowych. Stoi w nim jasny komplet wypoczynkowy i masywne antyczne biurko z ciemnego drewna. Z okna za biurkiem rozciąga się niczym niezakłócony widok na kanał wodny, którym statki wpływają do Sztokholmu.

– No, no – stwierdza z podziwem Klara i podchodzi do okna. – Aż trudno uwierzyć, że jesteś wspólnikiem w takiej firmie.

Patrzy na Gabriellę i w jej oczach dostrzega smutek.

– A czy po tym, co się wydarzyło na wyspie, i po mojej ciężkiej pracy dla tej firmy mieli inne wyjście? Po prostu przyszła kolej na mnie.

Klara przytakuje skinieniem głowy. To Gabriella rozwiązała tamtą zagadkę i to ona negocjowała z wazniakiem z amerykańskich służb; to ona doprowadziła do wyciszenia sprawy, dzięki czemu wszyscy wyszli z niej z twarzą. Udało jej się przekonać CIA, że ani ona, ani Klara nie zamierzają upubliczniać pozyskanych informacji ani robić przecieku do mediów. Obiecały, że zachowają je dla siebie.

Biorąc pod uwagę powyższe okoliczności, nie ma się co dziwić, że awansowała.

Zasłużyła na to bardziej od innych. Mimo to Klara wie, że Gabriella każdego dnia myśli o Mahmoudzie i nie może pozbyć się myśli, że zapłacił śmiercią za jej karierę.

Gabriella siada na kanapie obok Yasmine z laptopem na kolanach. Mimo warkoczy i piegów od razu widać, że jest jednym z najlepszych adwokatów w Szwecji.

– No dobrze – zaczyna spokojnym tonem. – Porwano twojego brata, tak? Na początek wyjaśnij mi, jak się o tym dowiedziałaś. Od tego zaczniemy.

68. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Yasmine rozgląda się po pokoju. Fantastyczny lokal, jak na filmach. Jest nawet bardziej elegancki niż pokoje w Hotell Lydmar. Od razu widać, że to poważna firma, a nie byle kancelaria, do której można się wkupić dzięki karcie kredytowej.

Przypominają jej się powtórki z serialu *Ally McBeal*. Oglądała go z Fadim, leżąc na podłodze. Z trudem do niej dociera, że takie miejsca istniały już wtedy, i to zaledwie dwa przystanki od mieszkania, w którym spędzili dzieciństwo.

Nie potrafi wysiedzieć w miejscu, przez cały czas sprawdza, która godzina. W końcu siada na szarej kanapie.

Nogi ciągle jej drżą. Czas płynie błyskawicznie. Chciałaby krzyknąć: „Weźcie się do roboty, zróbcie cokolwiek!”. Na szczęście Gabriella siada obok niej na kanapie. Wygląda jak typowa hippiska z wielkiego miasta, ale po jej zachowaniu widać, że jest doświadczoną prawniczką. Yasmine na moment się odpręża.

– Opowiedz mi, jak porwano twojego brata – mówi Gabriella.

Yasmine zaczyna opowiadać. Robi to szybko i chaotycznie, połyka słowa, bo czas płynie, a one już i tak go tyle zmarnowały. Opowiada o filmie wysłanym przed trzema kwadransami na jej komórkę i o zdjęciach, które dostała od mamy, o symbolu malowanym na ścianach na Przedmieściu i o broni w torbie, o zamieszkach, o Lööwie i banknotach, które rozdawał na szkolnym parkingu.

Kiedy pada nazwisko „Lööw”, Klara i Gabriella wymieniają się szybkimi spojrzeniami, jak gdyby wiedziały o nim i całej sprawie o wiele więcej. Yasmine to zauważa, ale nie przerywa. Na koniec wspomina o zdradzie i lesie, w którym postrzeliła w nogę jednego z bandytów; miał chyba na imię Rado.

Potem opowiada o Fadim: o jego wyjeździe do Syrii i o tym, jak wrócił do Szwecji, żeby się zemścić; o tym, jak postrzelił w ramię jednego z braci, który twierdził, że pracuje dla szwedzkiej policji bezpieczeństwa. O ucieczce do centrum i o zdrajcy Mehdim. Na końcu mówi o tym, czego dowiedziała się o Lööwie i co powiedział jej o szablonach, pieniądzach i Stirling Security. Ponownie wspomina o filmie, bo wypadło jej z głowy, że mówiła o nim na samym początku.

Gabriella przez cały czas milczy. Nie odrywa wzroku od ekranu laptopa, tylko coś na

nim pisze. Robi to tak szybko i nieregularnie, że uderzenia w klawiaturę przypominają dźwięki wydawane przez podskakujący popcorn.

Kiedy Yasmine po raz trzeci wspomina o filmie, Gabriella kładzie jej ostrożnie rękę na ramieniu.

– Zatrzymajmy się na tym – mówi.

Przez chwilę milczy, czyta, co napisała. Klara pochyła się nad laptopem, żeby przeczytać tekst. W pewnym momencie Gabriella unosi wzrok i patrzy jej w oczy.

– Opowiedz mi jeszcze raz o facecie, który twierdził, że jest agentem SÄPO. Wszystko, co wiesz.

Yasmine kręci głową. Noga znowu zaczyna jej drżeć. Marnują czas. Rozmawiają nie o tym, co trzeba. Czy w taki sposób można komukolwiek pomóc?

Dochodzi do wniosku, że spotkanie z Gabriellą było błędem. Wstaje z kanapy i przeciąga dłonią po włosach.

– Pyta pani poważnie? Jestem pewna, że nie porwali go ani agenci SÄPO, ani dżihadyści. Porywaczom chodzi o to, żebym milczała. Chcą się też na mnie zemścić, bo jednego z nich, który ma na imię Rado, postrzeliłam w nogę. To zwykli bandyci. Stirling Security wynajęło ich tylko po to, żeby wywołali rozruchy. Inna sprawa, czy ci ze Stirling Security cokolwiek wiedzą o moim bracie. Na Przedmieściu obowiązuje prosta zasada: jeśli ktoś kogoś postrzeli, nie ujdzie mu to płazem. Chyba pani tego nie zrozumiała. Dlatego spytam wprost: czy mogłybyśmy się skupić na ratowaniu mojego brata, zamiast zajmować się pieprzoną SÄPO?

Gabriella się pochyła, bierze ją za rękę i ciągnie z powrotem na kanapę.

– Musisz mi zaufać. Właśnie to próbuję zrobić: uratować twojego brata.

W oczach Gabrielli, w całym tym miejscu jest coś, co sprawia, że Yasmine przestaje protestować. Kontynuuje swoją opowieść, ale niewiele jej zostało: to, o czym się dowiedziała od Mehdiego, i to, co napisał jej w liście Fadi. Nawet nie zdążyła z nim o tym porozmawiać.

– Co jeszcze? – pyta Gabriella. – Kiedy wczoraj byliście w mieszkaniu u ludzi, których nazywacie dżihadystami, zrozumieliście, że zdrajcą jest al-Amin?

– Tak. Sam się przyznał, że pracuje dla SÄPO. Tamci wydawali się zszokowani całą sytuacją.

– A więc odniosłaś wrażenie, że al-Amin dokonał infiltracji grupy i wykorzystał

Fadiego, aby przy jego pomocy zabić bojowników w Syrii? Na dodatek chciał też doprowadzić do śmierci twojego brata?

Yasmine kiwa niecierpliwie głową.

– Czy jesteś gotowa porozmawiać o tym wszystkim z prasą?

Yasmine kręci głową.

– Wiem, że chce pani pomóc, ale zależy mi tylko na uratowaniu brata.

– Gdyby jednak mogło to pomóc Fadiemu, rozumiem, że byłabyś gotowa stanąć w świetle reflektorów i opowiedzieć całą tę historię dziennikarzom z „Aftonbladet”? Nie sądzę, żeby to było konieczne, ale muszę wiedzieć.

– Gdyby miało mu to pomóc, to tak. Jasne. Zrobię wszystko.

Gabriella się uśmiecha i głaszcze ją po rękę.

– To dobrze. W takim razie mamy punkt zaczepienia. Teraz trochę podzwonię, a potem będziemy kontynuować.

69. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Gabriella wychodzi z pokoju, nie ma jej przez kwadrans. Z każdą chwilą Yasmine coraz bardziej traci nadzieję. Przestała nawet sprawdzać godzinę w telefonie. Siedzi ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt, a na podejmowane przez Klarę próby rozpoczęcia rozmowy reaguje monosylabami.

Klarze trudno jest objąć umysłem wszystko, co powiedziała im Yasmine. Nawet na podstawie lektury notatek, które Gabriella zrobiła w swoim laptopie. Brat dziewczyny stał się radykalnym muzułmaninem i został brutalnie wykorzystany. Patrzy na Yasmine. Na jej widok dostaje skurczów żołądka. Jak by zareagowała, gdyby przeczytała w gazetach, że SÄPO we współpracy z amerykańskimi służbami wywiadowczymi dokonała infiltracji grupy dżihadystów, a potem doprowadziła do wyeliminowania przywódcy Państwa Islamskiego? Być może uznałaby, że operacja zakończyła się sukcesem. Tymczasem słysząc historię Yasmine i jej brata, czuje obrzydzenie na myśl o metodach, jakimi posłużyła się SÄPO. Czy to możliwe, że funkcjonariusze tych służb są tak bezwzględni, że potrafią zwerbować do współpracy obywatela Szwecji, aby potem wysłać go na śmierć?

Do tego jeszcze Lööv i Stirling Security.

Klara opiera się o krzesło i próbuje zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Czy to możliwe, że firma posunęła się aż tak daleko? Korumpowanie ludzi to nic nowego. W tym konkretnym przypadku wszystko odbywa się jawnie, ponieważ pieniądze zostały przelane na konto w Lichtensteinie. A Patrick? Czy został zamordowany, bo był blisko prawdy? Czy stawka, o którą ci ludzie grają, jest aż tak wysoka?

Jeszcze raz zastanawia się nad historią Yasmine. Zamieszki na przedmieściach zaaranżowała firma Stirling Security. Jej pracownicy wymyślili nawet symbole malowane na ścianach i przygotowali kominiarki, którymi posługiwała się młodzież uczestnicząca w nocnych burdach.

Powoli zaczyna rozumieć, czego dowiedział się Patrick. Obraz staje się coraz wyraźniejszy.

Wygląda na to, że Stirling Security chciało stworzyć popyt i nowy rynek prywatnych usług ochroniarskich. Firma zamierzała go zdominować. Jeśli uda jej się uzyskać polityczne

poparcie, by sprywatyzować pewne zadania należące dziś do policji, zyska szansę na zarobienie olbrzymich pieniędzy poprzez oferowanie tego rodzaju usług. Dlatego tak ważny jest raport przygotowywany przez Charlotte, która występuje z pozycji „niezależnego eksperta”.

Jeśli na dodatek firmie uda się pokazać, że policja nie jest w stanie wypełniać swoich zadań, a ludzie będą codziennie karmieni obrazami płonących samochodów i grup agresywnych, bezwzględnych demonstrantów, to istnieje szansa, że społeczeństwo samo w końcu uzna, że nie ma innego sposobu, jak tylko wydać zgodę na stworzenie „prywatnej policji”.

Czy właśnie o to w tym wszystkim chodzi?

Klara przypomina sobie fragmenty reportażu emitowanego na ekranach monitorów w pociągu jadącym z lotniska Arlanda do centrum Sztokholmu. Program przerywany był reklamami firmy Stirling Security, która oferowała rozwiązanie tych problemów. Nie musi to być prawda, wystarczy, że reklama będzie wyglądać sensownie. Na domiar złego firma ma podobno jakieś powiązania z Kremlen.

Serce bije jej gwałtownie. Musi natychmiast porozmawiać z Charlotte i przyznać się, że wie, o co toczy się gra. Musi jej przeszkodzić w prezentacji raportu, bo z chwilą, gdy zostanie opublikowany, ziarno zostanie posiane, niezależnie od tego, czy uda im się ujawnić, kto i co się za nim kryje.

Patrick oddał za to życie, Yasmine znalazła się w niebezpieczeństwie. Czy jej, Klarze, też coś zagraża? Na co jest narażona?

Nie ma innego wyjścia, musi porozmawiać z Charlotte. I z Lööwem.

Wyjmuje telefon, żeby zadzwonić, ale w tym samym momencie do pokoju wchodzi Gabriella i siada na kanapie obok Yasmine.

– Yasmine – zwraca się spokojnym tonem do dziewczyny. – Od tej chwili zaczynamy działać błyskawicznie. Będzie trochę zamieszania, ale uwolnimy twojego brata.

70. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Gabriella kończyła właśnie wyjaśniać, na czym polega jej plan, gdy Klara, która stała przy oknie, zawołała w ich stronę:

– Chyba już są.

Gabriella głaszcze Yasmine po policzku, wstaje z kanapy i wychodzi z pokoju, żeby otworzyć drzwi i wpuścić do budynku gości.

Yasmine czuje się nieswojo, odczuwa fizyczny ból. Co za potworny błąd! W głowie jej szumi, myśli bulgoczą w niej jak wrzątek w czajniku. Przywiozły ją tutaj i widać, że chcą dla niej jak najlepiej, ale żadna nie kapuje, że to, co chcą zaproponować, to metoda dobra na Szwedoli. W Bergort załatwia się takie sprawy zupełnie inaczej. Czy nie widzą, że na Przedmieściu panuje chaos? Chciałaby im wykrzyknąć w twarz: „Posłuchajcie mnie! Nie macie pojęcia, jak to działa!”.

Niestety, słowa grzęzną jej w gardle. Nie jest w stanie ich z siebie wykrztusić, bo nadal leżą wciśnięte na samo dno żołądka. Yasmine wie, że jest tylko jeden sposób, aby to się udało – musi się oddać w ręce tych, którzy mają jej brata, postąpić według starej zasady obowiązującej na Przedmieściu: oko za oko, ząb za ząb. Nie ma drogi na skróty. Przedmieście zadowolili się tylko krwią. Ona to wie i wszyscy inni też to wiedzą. Zaczyna nienawidzić siebie za to, że pozwoliła tym amatorkom przejąć inicjatywę. Nie mają zielonego pojęcia ani o Przedmieściu, ani o zasadach. Nienawidzi ich, bo rozпалиły w niej isierkę nadziei, zaproponowały rozwiązanie, które w niczym jej nie pomoże. Nienawidzi ich, bo zepchnęły ją z krętej, mrocznej ścieżki – jedynej, jaka prowadzi do celu.

Niestety, na wszystko jest już za późno, bo do pokoju wchodzi dwaj gliniarze w wyprasowanych dżinsach i skórzanych kurtkach. Mają krótko ostrzyżone włosy i pokrowce z telefonami przy paskach. Otwierają usta i swoim wieśniackim dialektem dokonują prezentacji: Bronzelius i Landeskog z policji bezpieczeństwa. Głosy mają spokojne, siadają obok niej na kanapie i udają jej przyjaciół, chociaż wszyscy wiedzą, że nie tolerują takich jak ona.

– Z tego, co słyszałem, termin upływa za kilka godzin? – pyta ten, który przedstawił się jako Bronzelius.

Yasmine nie odpowiada, tylko wpatruje się przed siebie sztywnym wzrokiem. Głowę ma

pełną myślą, oczy zaszyły jej łzami. Jest już zrozpaczona tym zamieszanym. Gabriella siada obok niej.

– Yasmine, rozumiem, że nie ufasz ani mnie, ani tym panom. Obiecuję jednak, że nie wyrządzą ci żadnej krzywdy. Wyjaśniłam panu Bronzeliusowi, jaki los spotkał Fadięgo, i stwierdził, że jeśli to prawda, mamy do czynienia z prawdziwym skandalem. Powiedziałam mu, że jeśli coś stanie się tobie albo twojemu bratu, od razu pójdę z tym do prasy. Zapewniam cię jednak, że to ostatnia rzecz, na której im zależy. Nie licz więc na to, że będą dla ciebie uprzejmi, ale możesz być pewna, że cię nie skrzywdzą. Mamy więcej na nich niż oni na nas, rozumiesz? Uważają, że to, co przytrafiło się Fadięmu, to prawdziwy skandal.

– Ale oni nie mogą mu pomóc – odpowiada Yasmine. – Nie rozumiecie tego?

Yasmine patrzy na Gabriellę. Chciałaby jej zaufać, chociaż prawda jest taka, że wysłałaby ich wszystkich do diabła. Ale przez cały czas tli się w niej isierka nadziei, że po raz pierwszy wszyscy wygrają i nikt nie przegra. Wie, że to fałszywa nadzieja, ale czy ma inne wyjście? Może oczywiście pojechać pod szkołę i oddać się w ręce tamtych pieprzonych palantów, ale istnieje ryzyko, że zabiją i ją, i Fadięgo.

– *Fuck it!* – odpowiada cichym głosem. – Co robimy?

– Najważniejszy jest twój telefon – odpowiada Bronzelius. – Jest nam potrzebny. Potem znajdziemy dla ciebie bezpieczne miejsce i omówimy szczegóły.

Na dźwięk słowa „bezpieczne” Yasmine wzdycha, ale w końcu wyjmuje komórkę i oddaje ją Bronzeliusowi.

– Czy możesz go włączyć i pokazać SMS-a z filmem, o którym rozmawiałaś z Gabriellą?

Yasmine obserwuje, jak Bronzelius wpisuje w swój telefon numer, z którego film został wysłany.

– Miejmy nadzieję, że nasi technicy go namierzą – wyjaśnia.

Potem wyciąga zza pleców kajdanki i kładzie je na stole. Yasmine cofa się gwałtownie.

– Czy jesteś uzbrojona? – pyta Bronzelius.

Yasmine przez chwilę się waha, ale w końcu kładzie pistolet Fadięgo obok kajdanek. Oczy Klary, która stoi po drugiej stronie pokoju, robią się coraz większe.

– Muszę ci założyć kajdanki – wyjaśnia Bronzelius. – To na pokaz, na wypadek, jeśli ktoś cię obserwuje. Lepiej, żeby zobaczył, jak cię aresztujemy, niż gdybyś pojechała z nami dobrowolnie. Rozumiesz?

Yasmine odwraca głowę i patrzy Gabrielli w oczy.

– Co tu jest, kurna, grane? – pyta. – Wcześniej nie było mowy o kajdankach.

Gabriella spogląda na nią ze spokojem.

– To dla twojego bezpieczeństwa – wyjaśnia. – Jeśli ktoś cię śledził, pomyśli, że zostałeś aresztowana. Jeśli potem coś pójdzie nie tak, będziesz miała wytłumaczenie, dlaczego o piątej nie przyszaś pod szkołę. Rozumiesz?

Nie! – krzyczy w myślach Yasmine. Niczego nie rozumiem! Nikomu z was nie ufam! Teraz nic nie ma prawa pójść „nie tak”! To wykluczone!

Ale nie mówi tego głośno, tylko wyciąga ręce, żeby Bronzelius mógł ją skuć. Potem sprowadza ją na dół pustym korytarzem i klatką schodową. Ich kroki rozchodzą się głośnym echem. Bronzelius wsadza ją do ciemnego volva, a gdy samochód rusza i skręca za róg, Yasmine czuje całkowitą pustkę. Ma wrażenie, że jest prawie martwa.

Fadi, *habibi*, co tu się dzieje?

71. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Kilka minut po odjeździe samochodu Klara i Gabriella idą na dół. Klara zapala papierosa, dym wisi prawie nieruchomo w powietrzu.

– Co tu się stało? – pyta Klara. – Czy oni naprawdę jej pomogą?

Kilka minut wcześniej ciemne volvo odjechało spod domu, kierując się w kierunku Slussen.

– Tak myślę – odpowiada Gabriella.

– Co będzie potem, gdy już uwolnią jej brata? Co się z nimi wtedy stanie? Chłopak jest dżihadystą, oboje dopuścili się w ostatnich dniach kilku przestępstw. Chyba mają powody, żeby unikać kontaktów z policją.

– Owszem, ale na tym to właśnie polega: mają na SÄPO takie haki, że jak już wszystko się skończy, to tamci będą mogli im nagwizdać. Wystarczyło, że wspomniałam o „Aftonbladet” i o naocznych świadkach. Teraz policja będzie próbować zatuszować sprawę.

– Sądzisz, że SÄPO naprawdę to zrobiła? To jakaś pokręcona sprawa.

– Nigdy się nie dowiemy, ile świństw kryje ta instytucja. Myślę, że całe mnóstwo.

Gabriella wyciąga rękę, prosząc Klarę o papierosa.

– To ostatni – mówi Klara. Gabriella zaciąga się dwa razy i oddaje go Klarze.

Przez chwilę czują się jak dawniej, gdy w czasach studenckich, kompletnie spłukane, też tak stały na schodach przed wejściem do Carolina Rediviva w Uppsali, dzieląc się ostatnim papierosem. To było tak dawno... Od tamtej pory tyle się wydarzyło.

– A ja myślę, że tak właśnie jest – kontynuuje Gabriella. – A wiesz dlaczego? Bo Bronzelius tak szybko zareagował. Ale zgadzam się z tobą: to, że niby współpracowali z Amerykanami i infiltrowali komórkę dżihadystów, aby wyeliminować przywódcę terrorystów, brzmi mało wiarygodnie. Chodzi mi o to, że złamali prawa człowieka i wszelkie zasady, jakie regulują ich działania.

– Czy to się w ogóle mieści w zakresie ich działalności? Przecież ich obowiązkiem jest chronienie Szwecji, a nie uczestnictwo w misjach na Bliskim Wschodzie. Jak myślisz, czy minister sprawiedliwości wie o takich sprawach?

Gabriella wzrusza ramionami.

– Może tak, a może nie. Ale po mojej rozmowie z Bronzeliusem zareagowali błyskawicznie. To dowód, że tego typu działania nie są im obce. Może to jakaś szersza akcja? Może istnieje więcej takich osób jak Fadi?

Gabriella jeszcze raz bierze od Klary papierosa, zaciąga się i opiera o ścianę.

– Czy wyobrażasz sobie nagłówki w gazetach i artykuły o tej sprawie?

Klara kiwa głową. Faktycznie, trudno to sobie wyobrazić. Przypomniało jej się spotkanie z Bronzeliusem po tym, co wydarzyło się na wyspie. Przeciętny facet w skórzanej kurtce i dżinsach, z krótko ostrzyżonymi włosami. Wygląda jak tatuś. Tymczasem okazało się, że w rozgałęzionej sieci SÄPO jest jak pająk, który ma wielkie możliwości i tka swoją nić tajemnic. To on skojarzył ich z amerykańskimi służbami i to dzięki niemu uszli z życiem podczas tych strasznych wydarzeń, w wyniku których zginął Mahmoud i jej ojciec.

Nawiązanie kontaktu z Bronzeliusem było genialnym posunięciem Gabrielli. Klara nie mogła zrozumieć, że sama na to nie wpadła. Ale to właśnie dlatego Gabriella jest współnikiem w kancelarii adwokackiej, chociaż ma niewiele ponad trzydzieści lat, podczas gdy ona jest wiecznym nieudacznikiem, który ciągle stwarza jakieś problemy.

– Przepraszam – odpowiada Klara. Rzuca niedopałek na chodnik i nie patrzy na Gabriellę. Nie potrafi spojrzeć przyjaciółce w oczy. Nie radzi sobie z jej szybkim rozumowaniem i energią. Ze sobą też zresztą sobie nie radzi.

– Za co? – dziwi się Gabriella.

– Za wszystko – odpowiada Klara i opiera się o ścianę. – Że nie odpowiadałam na twoje maile i nie dzwoniłam, że nie podziękowałam ci za to, co dla mnie wtedy zrobiłaś, i że cię unikałam. Boże, przecież gdyby nie ty, nigdy bym się z tego nie podźwignęła. A teraz znowu ratujesz sytuację.

Gabriella opiera się o ścianę w taki sposób, że ich ramiona się stykają. Mruży oczy i spogląda w stronę słońca.

– To jeszcze nie koniec – mówi. – Miejmy nadzieję, że Bronzelius jakoś rozwiąże kłopoty Yasmine i Fadięgo. Sprawę Lööwa musisz rozegrać już sama.

Klara kiwa głową. Mimo lekkiego bólu czuje się w pewnym sensie bezpieczna. Tutaj i teraz, z Gabriellą. Wbrew temu, co się stało i co się jeszcze może wydarzyć.

– Kiepsko się czuję.

Gabriella głaszcze ją po włosach i policzku.

– Wiem – odpowiada cichym głosem. – Ale z tym też sobie poradzimy. Obiecuję.

72. Bergort – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

Nie pozwalają mi zdjąć kaptura, ale i tak wiem, gdzie jesteśmy. Nie muszę widzieć, bo nawet jeśli wydlubią mi oczy, i tak się zorientuję. Znam przecież Bergort jak własną kieszeń. Poznałem tu każdy dźwięk, zapach harissy, kminku i szwedzkiej kiełbasy. Znam schody i bramy, rozpoznaję głosy między blokami, pamiętam każde pęknięcie na asfalcie i wiem, ile kroków dzieli parking samochodowy od wejścia do budynku. O Bergort wiem wszystko. Dosłownie.

Jesteśmy teraz w dziesięciopiętrowym bloku, w jakimś mieszkaniu na ostatniej kondygnacji, w którym pachnie weedem i smażonym popcornem. Zamknęli mnie w sypialni na klucz, sami siedzą w sąsiednim pokoju, grają w *FIFĘ* i rozmawiają po serbsku. Czasem jeden z nich uchyla drzwi, żeby sprawdzić, czy nadal tu jestem, jak gdybym mógł uciec.

Po nakręceniu filmu zostawili mnie w spokoju, a ja zacząłem odliczać czas. Nie wiem po co, pewnie żeby się czymś zająć: wyjść poza ciemność, nie zagłębiać się w niej, nie pozwolić myślom krążyć zgodnie z ich wolą.

Potem przypomniało mi się, co w Syrii powiedział brat Shahid, gdy pewnego wieczoru siedzieliśmy wokół kuchenki w naszym chłodnym mieszkaniu. Dyskutowaliśmy o niewoli i męczeństwie, o wszystkim, co teraz wydaje mi się tak odległe i przypomina sen, życie, którego doświadczył ktoś inny. Brat Shahid powiedział, że jeśli psy al-Asada wezmą nas do niewoli, powinniśmy to olać, bo zanim zajdzie słońce, staniemy się męczennikami. Jeśli jednak wpadniemy w ręce jednego ze zbuntowanych oddziałów, możemy u nich spędzić długie tygodnie, miesiące, a nawet lata. Dlatego im szybciej odejdziemy ze świata, żeby spotkać się z Allahem, tym większa jest szansa, że nie stracimy rozumu.

Teraz nie mam już ani Allaha, ani marzeń o sprawiedliwości, ani dżihadu. Nie mam nic z wyjątkiem zwykłego pragnienia, żeby żyć.

Spaliłem za sobą wszystkie mosty i marzę tylko o powrocie. Niestety, takie myśli mają zbyt wielką moc jak na ciemność pod kapturem. Potrzebuję światła. Jeśli nie mogę pojednać się ze śmiercią, to przynajmniej pogodzę się z życiem.

Zaczynam więc myśleć o tobie: że tak szybko to rozumiałaś i próbowałaś mnie tego uczyć. Myślę, że właśnie po to potrzebowałaś słowników, graffiti i muzyki. Być może z tego samego powodu potrzebowałaś też tamtego *losera*, Davida.

Żyj!

Myślałem, że uciekłaś nie tylko z Bergort, ale i ode mnie. Ale chciałaś tylko żyć, stać się lepsza, stworzyć coś, co będzie lepsze od warunków, jakie nam stworzono. Ja jedynie się dopasowałem, spełniłem każde, nawet najmniejsze oczekiwanie.

To popołudnie trwa już długo, a ja staram się uporządkować myśli. Nie zastanawiam się nad tym, co robisz, co myślisz albo planujesz. Zmuszam się do myślenia, że będziemy w końcu wolni, że to nie może skończyć się tutaj, że musi istnieć coś jeszcze, co jest większe i piękniejsze: bardziej niebieskie niebo, po którym możemy lecieć, dopóki nie staniemy się dwiema kropkami i kreskami niknącymi powoli w dali, aż znikną na zawsze. Gdzieś musi istnieć morze, a na nim łódź, która pomieści i ciebie, i mnie.

Nagle cały świat wylatuje w powietrze.

Przedtem jednak słyszę jakiś dziwny dźwięk. Możliwe, że dobiega z któregoś balkonu i przypomina drapanie. Odwracam głowę w tamtą stronę, ale nic nie widzę. To zwykły odruch. Dochodzę do wniosku, że to gołąb, mewa albo inny ptak, który usiadł na poręczy. Potem znowu słyszę ten dźwięk, raz i drugi. Nie wiem dlaczego, ale działa mi na nerwy. Może dlatego, że oczy mam zasłonięte, a ręce związane na plecach. Dźwięk staje się coraz bardziej niepokojący, serce bije mi coraz szybciej. Potem na kilka sekund – a może na kilka minut? – zapada cisza.

W końcu następuje wybuch. Cały pokój i całe mieszkanie wypełnia tak potężny huk, że głowa odskakuje mi do tyłu. Otwieram usta i zaczynam krzyczeć. Chwilę później następuje cały szereg mniejszych eksplozji. Są tak ogłuszające, że przez moment naprawdę nic nie słyszę. Po nich następuje błysk, który jest tak jasny, że widzę go przez kaptur. Nie wiem, co robić, tracę nad sobą kontrolę, w końcu gramolę się na łóżko i leżę na nim jak dziecko albo niemowlę.

W uszach mi dzwoni, ale i tak słyszę, jak pokój wypełnia się ludźmi. Ktoś chwyta mnie za ramiona i ściąga z łóżka na podłogę, ktoś inny coś do mnie krzyczy. Potem dzwonienie ustaje albo słabnie. Słyszę krzyki, trzaski i dźwięk kruszonego szkła. Tuż obok mnie ktoś krzyczy na cały głos:

– Policja! Na ziemię! Nie ruszać się! Policja!

Mężczyzna wykrzykuje na okrągło te same słowa, nie wiem po co. Przecież się nie ruszam. Leżę nieruchomo i słyszę, jak wszystko wokół mnie wali się na podłogę.

Nagle ciemność ustępuje, ktoś ściąga mi kaptur z głowy. Chwytam gwałtownie

powietrze i mrużę oczy, żeby uchronić je przed gwałtownym uderzeniem światła.

W pokoju jest już cicho, słychać tylko kroki i pojedyncze rozkazy dochodzące z sąsiedniego pokoju:

– Na ziemię!

– Patrz na mnie!

Otwieram oczy i widzę przed sobą mężczyznę, który przy mnie kuca. Na głowie ma kominiarkę i kask, ubrany jest w granatową kamizelkę z kevlaru. Na podłodze leży broń i maska gazowa. Po lewej stronie ma naszywkę ze złotym napisem POLICJA.

Mężczyzna ostrożnie rozpina kask, ściąga z twarzy kominiarkę i uśmiecha się do mnie. Twarz ma ciemną, prawie czarną, co kompletnie mnie zaskakuje. Myślałem, że wszyscy gliniarze są blondynami, a on tymczasem wygląda jak my. Po twarzy ścieka mu strużka potu.

– Spokojnie, bracie – mówi z uśmiechem. – Już po wszystkim. Jesteś wolny.

Przez otwarte drzwi prowadzące do dużego pokoju widzę jego kolegów. Wszyscy mają na głowach kaski i kominiarki. Właśnie wyprowadzają do przedpokoju moich porywaczy. Zamykam oczy, a kiedy je znowu otwieram, już ich nie ma. W pomieszczeniu zostaje tylko nieruchome ciało leżące na podłodze.

Świat wokół mnie porusza się w zwolnionym tempie. Wydaje mi się, że potrzebuję wielu sekund, aby podnieść się na kolana, i kolejnych, żeby dotrzeć do drzwi. Policjant prostuje się, kładzie mi ręce na ramiona, wpycha mnie z powrotem do pokoju, z którego chciałem wyjść, i nogą zamyka za nami drzwi.

– Spokojnie – mówi. – Musieliśmy trochę pohłasować, ale teraz jesteś już bezpieczny.

Ja się jednak domyślam, przed czym chciał mnie uchronić. Zdążyłem zobaczyć twarz Mehdiego i jego martwe, niewidzące oczy.

73. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku

No tak, okłamali ją. Teraz leży w celi na pryczy i gapi się w szary sufit. Tacy jak oni zawsze kłamią. Głowa jej płonie, czuje się bezradna i przestraszona. To już koniec, pozamiatane.

Zamyka oczy, przykłada do nich pięści i przyciska je z całej siły, aż do bólu.

Jak mogła im zaufać? Jak to się stało? Przecież tyle razy przeżyła to w kontaktach z pedagogami wolontariuszami, nauczycielami i street walkerami? Szwedole z mieszkań wynajmowanych w Bagarmossen albo w Aspudden, którzy bardzo chcą pomóc, ale zamiast tego niszczą wszystko swoimi pustymi obietnicami i fałszywymi nadziejami. Przez całe dzieciństwo i młodość starała się unikać ich naiwności i bredni, w i a r y w j e d n o s t k ę i pieprzonego współczucia. Jak gdyby mieli prawo im współczuć, chociaż ich własne życie składa się z odprowadzania dzieci do przedszkola i kolejnych butelek wina. Co z tego, że przychodzą na Przedmieście ze swoimi metodami i propozycjami na inne życie i dalszy rozwój, skoro panuje tu tylko chaos?

Tym razem bardzo chciała im uwierzyć. Zmusiła się do tego, chociaż plan był głupi i wymagał, aby powierzyła życie Fadiego obcym ludziom. A teraz leży w tej celi i woli nie myśleć, co stanie się z Fadim albo z nią.

Wie tylko tyle, że ją przesłuchiwali. Wypytywali o Mehdiego i jego kumpli, kazali jej opowiedzieć wszystko, co wie. Umówiła się z Gabriellą, że na razie nie wspomni o Lööwie. Zrobi to później, żeby nie wprowadzać zamieszania, bo najważniejsze jest uratowanie Fadiego. Kiedy opowiedziała Bronzeliusowi okrojoną wersję swojej historii, wyszedł z pokoju i zostawił ją samą. Po jakimś czasie zjawił się Szwedol o typowym szwedzkim wyglądzie i zaprowadził ją do tej celi. Nie reagował na jej pytania i protesty, chociaż krzyczała i biła rękami. Popchnął ją na pryczę, a potem zamknął drzwi na klucz i zostawił ją samą.

Nawet nie wie, ile czasu spędziła w celi. W pewnej chwili słyszy szcęk klucza przekręcanego w zamku. Siada na pryczy i spuszcza nogi na podłogę. W progu staje ten sam gruby glina co przedtem. Na mundurze ma okruchy ciasta.

– Przesłuchanie – mówi i patrzy na nią takim wzrokiem, jakby jej tu w ogóle nie było. – Wstań i chodź ze mną. Wyciągnij rękę.

– Po co? – pyta Yasmine i wstaje z pryczy. Policjant pokazuje kajdanki.

– Nie słyszałaś? Przesłuchanie. Wyciągnij ręce.

Co za upokorzenie! Yasmine jest coraz bardziej zaniepokojona o los Fadiego. Ale nie ma innego wyboru. Zresztą wszystko jest lepsze od siedzenia w celi. Wyciąga więc posłusznie ręce, a policjant zakłada jej kajdanki jak jakiejś niewolnicy. Potem idą czystym szarozielonym korytarzem do tego samego pokoju przesłuchań, w którym była wcześniej.

– Która godzina? – pyta Yasmine.

Ale policjant udaje, że nie słyszy jej pytania. Otwiera drzwi pokoju i popycha ją przed sobą.

– Siadaj. Niedługo przyjdą.

Czas płynie, kajdanki coraz bardziej wrzynają jej się w nadgarstki. Atmosfera panująca w pokoju przepełnia ją poczuciem beznadziei, odbiera jej wszystkie siły. Nie potrafi nawet siedzieć ani zapanować nad myślami, które krążą jej chaotycznie po głowie. W końcu ktoś otwiera drzwi. Yasmine prostuje się, cała sztywnieje, jest przygotowana na najgorsze. Brakuje jej odwagi, żeby się odwrócić, więc tylko siedzi plecami do drzwi.

– Gdzie jest mój brat? – pyta spokojnym głosem.

Ktoś wchodzi do pokoju i staje po drugiej stronie stołu. Kątem oka dostrzega Bronzeliusa.

– Kto ci założył te pieprzone kajdanki? – pyta.

Ale ona go nie słyszy. Czuje, że ogarnia ją panika. To jest jak przyspieszający odrzutowiec i wymyka się spod kontroli.

– Gdzie jest mój brat?! – krzyczy. – Gdzie jest Fadi?

Yasmine uderza pięściami w blat i wstaje tak gwałtownie, że krzesło przewraca się na podłogę. Bronzelius robi krok w jej stronę i unosi ręce, żeby ją uspokoić.

– Twój brat żyje. Zawieźliśmy go do szpitala, żeby go przebadać. To rutynowe czynności, nie ma powodów do niepokoju.

Jego głos dochodzi jak z puszeki albo z tunelu, jest głuchy i wraca echem. Aż trudno uwierzyć w to, co mówi.

Yasmine osuwa się na podłogę, nagle opuszczają ją wszystkie siły. Czuje pod sobą chłodną, śliską wykładzinę. Bronzelius kuca przy niej.

– Oddychaj spokojnie. Twój brat jest bezpieczny.

Bronzelius prostuje się i otwiera drzwi.

– Jest tu który? – woła. – Natychmiast zdejmijcie jej te pieprzone kajdanki.

Pół godziny później Yasmine siedzi przy stole, ale już bez kajdanek na rękach. Obok niej jest Gabriella. Przed dwiema godzinami w oczach przyjaciółki było tyle ciepła, że Yasmine zgodziła się na jej plan. Teraz te same oczy są twarde, można odnieść wrażenie, że przeszywa nimi Bronzeliusa na wskroś.

– Dla mnie to kompletnie niezrozumiałe – mówi spokojnym głosem Gabriella. – Czy istnieją granice waszej niekompetencji? Zamknęliście ją w celi? Odmówiliście mi widzenia z nią? Założyliście jej kajdanki? Po tym wszystkim, co moja klientka przeszła? Jak to w ogóle możliwe?

Yasmine odczuwa każde wypowiedziane słowo całym swoim ciałem. Nieustannie walczy ze sobą, żeby się nie rozpłakać. Czy ktoś stanął kiedykolwiek po jej stronie w tak zdecydowany sposób? Czy ktoś bronił kiedykolwiek jej interesów?

– Podejźmy do tego spokojnie – odpowiada Bronzelius, świdrując ją wzrokiem ponad stołem. – Wypadałoby nam chyba podziękować. Rozwiązaliśmy problem, jeśli wolno mi to tak określić.

– Spokojnie – szepcze Yasmine do Gabrielli. – Naprawdę. Fadi jest bezpieczny i to jest najważniejsze.

– Twojego brata nie trzeba byłoby ratować, gdyby nie te patałachy – odpowiada Gabriella.

Bronzelius mierzy je chłodnym wzrokiem.

– Fadi Ajam jest terrorystą – mówi sucho. – Na waszym miejscu powstrzymałbym się z takimi oskarżeniami.

– Terrorystą, którego sami stworzyliście – stwierdza Gabriella, przebijając go wzrokiem.

Bronzelius nie unika jej spojrzenia. Po kilku sekundach zwraca się do Yasmine:

– Nasi zwiadowcy ustalili, że cała grupa przebywa w mieszkaniu w Bergort. W tej sytuacji włączyliśmy do akcji jednostkę specjalną, ponieważ uznaliśmy, że porywacze nie są skłonni do negocjacji, a szturm na mieszkanie wiąże się z niewielkim ryzykiem.

Yasmine opiera się o krzesło. Powoli zaczyna rozumieć, że Fadi naprawdę żyje. Nieważne, co się teraz stanie. Liczy się tylko to, że udało się go uratować. Świadomość tego powoli do niej dociera, uwalnia ją z matni, w której znajdowała się od dłuższego czasu. Znowu ogarnia ją fala zmęczenia. Oboje żyją. Wszystko inne może poczekać.

– Niestety, szturm na mieszkanie okazał się trochę bardziej skomplikowany, niż nasi koledzy w kevlarowych mundurach próbowali nam wmówić – kontynuuje Bronzelius.

– Co takiego? – pyta Yasmine. Spogląda na niego uważnym wzrokiem, po czym odwraca się do Gabrielli. – O czym on mówi?

Gabriella daje Bronzeliusowi znak, żeby kontynuował, i bierze Yasmine za rękę.

– Z tego, co wiem, Mehdi Fahim był przyjacielem twojego brata.

Yasmine przełyka ślinę i zamyka oczy. Oczami wyobraźni widzi Parisę z dzieckiem na ręku. Ciasne mieszkanie bez zamka w drzwiach, niebieskie niebo, płonące samochody, marzenia, które nigdy się nie spełniają.

– Mehdi był w tamtym mieszkaniu, sprawdzamy, jak mogło do tego dojść. W czasie akcji oddano tylko dwa strzały, które z niewiadomych powodów trafiły właśnie jego. Prawdopodobnie doszło do pomyłki. Nie miał broni, a z tego, co udało nam się ustalić, wynika, że w pewnym sensie też był zakładnikiem. Trudno mi w tej chwili powiedzieć coś więcej.

Yasmine nie może się już powstrzymać od płaczu. Łzy płyną jej strumieniem po policzkach. Czuje żal i ulgę, nadzieję i zwykłą bezradność. Mehdi ich zdradził, ale chronił także Fadię. Parisa też ich zdradziła, ale wcześniej tyle razy ją broniła. Oko za oko, ząb za ząb. Ktoś musiał zapłacić wysoką cenę.

W tym momencie rozlega się pukanie do drzwi.

– Yasmine Ajam?

Yasmine odwraca się i widzi policjantkę w mundurze, która patrzy na nią przez uchylone drzwi.

– Jeśli państwo skończyli, zawiozę cię do brata.

Yasmine ma jeszcze na tyle sił, żeby skinąć głową i spojrzeć pytającym wzrokiem na Gabriellę. Łzy nadal płyną jej po twarzy. Gabriella podaje jej chusteczkę.

– Jedź. Ja muszę jeszcze porozmawiać o pewnych sprawach z panem Bronzeliusem.

74. Sztokholm – niedziela, 23 sierpnia 2015 roku

Na dworze siąpi deszcz. Taksówka zjeżdża z trasy E4 w kierunku Brunnsviken i kieruje się w stronę hotelu SAS Radisson Blue, gdzie ma się odbyć konferencja. Serce Klary bije w przyspieszonym rytmie. Nie spała prawie całą noc z powodu zdenerwowania wywołanego raportem i tym, co zamierza powiedzieć Charlotte. A przecież już prawie zapomniała, co to ból głowy.

Wczoraj do późnego wieczoru siedziały z Gabriellą w jej nowym dwupokojowym mieszkaniu w Mariahöjden i zastanawiały się, jak powinien wyglądać ich następny krok. Dzięki temu, że Gabriella została współnikiem w kancelarii adwokackiej, mogła sobie pozwolić na zakup mieszkania z pięknym widokiem na Sztokholm. Spędziły na balkonie kilka godzin. Klara rzadko miała okazję podziwiać coś tak pięknego. Sierpniowe niebo stawało się coraz bardziej błękitne, tysiące świateł rozjaśniało Kungsholmen i starówkę. I ta woda iskrząca się światełkami... Siedziały na balkonie otulone kocami, z kubkami herbaty w ręce. Herbaty, nie wina – po raz pierwszy od wielu tygodni Klara nie czuje potrzeby, żeby napić się alkoholu.

Niestety, sama rozmowa nie była równie przyjemna. Przeanalizowały to, co wydarzyło się po południu, i szczegółowo przedyskutowały zdarzenia, do których doszło w Londynie. Gabriella opowiedziała o frustrującym spotkaniu z Bronzeliusem w komendzie policji. Przekazała mu całą posiadaną wiedzę o Stirling Security i Lööwie, o Bergort i konferencji z udziałem ministrów sprawiedliwości. Odniosła wrażenie, że słucha jej jednym uchem. W końcu określił jej teorie mianem spekulacji i spytał poirytowanym tonem, co jej zdaniem powinien z tym wszystkim zrobić.

– W zasadzie ma rację – stwierdziła Gabriella. – Prawda jest taka, że nie mamy nic konkretnego. No, może przelewy bankowe... Ale pieniądze przekazano z konta w Szwajcarii na konto w Lichtensteinie, a w mailu nie ma ani słowa o tym, czego te przelewy dotyczą. Możemy przyjąć, że twój kolega z pracy został wepchnięty pod pociąg, ale nikt tego nie widział. Na dodatek wasz instytut mieści się w Londynie... Jeśli zaś chodzi o Lööwa...

Gabriella pokręciła z rezygnacją głową.

– W jego sprawie też nic nie da się na razie zrobić. Wprawdzie mamy zeznania

naocznego świadka, który widział, jak Lööw wypłaca pieniądze komuś, kto podobno kieruje zamieszkami, ale to nie jest sprawa ani dla Bronzeliusa, ani dla jego ludzi.

– Czy policja nie powinna wyprzedzić przestępców o krok? Działać, zanim będzie za późno?

– Ja też zwróciłam mu na to uwagę. Bronzelius obiecał, że prześwietli Stirling Security i jutro da mi znać. Ale najciekawiej zrobi się dopiero wtedy, gdy twoja szefowa pojawi się na konferencji i przedstawi tezy swojego raportu w obecności ministrów sprawiedliwości. Jeśli stwierdzi, że niektóre zadania policji mogą wykonywać firmy prywatne, cała ta sprawa ukaże się w zupełnie innym świetle, prawda? Mam na myśli maile, przelewy i inne rzeczy. To dopiero będzie skandal! Myślę, że powinniśmy poczekać do jutra i dopiero wtedy przedstawić całą sprawę.

Taksówka sunie powoli w kierunku hotelu. Klara rozgląda się po zielonym parku. Niebo zasnuwane jest ciężkimi, szarymi chmurami. Temperatura spadła prawie o dziesięć stopni. Lato skończyło się w ciągu jednej nocy. W powietrzu czuć zapach jesieni.

Taksówka zatrzymuje się przed wejściem do sali konferencyjnej, w której ma się odbyć spotkanie.

– Jak pani myśli, czy wystarczy tu dziś tych policjantów? – pyta kierowca, wskazując głową barierki wokół budynku.

Klara uśmiecha się krzywo i płaci za kurs.

– Miejmy nadzieję – odpowiada.

Facet ma rację, pomyślała, wysiadając z taksówki. Na parkingu stoi przynajmniej dziesięć radiowozów i policyjnych busów. Wejścia do budynku chronią barierki, jakich używa się podczas demonstracji. Dwaj policjanci wyjmują z busa tarcze i kaski. Już wiadomo, że konferencja pod auspicjami UE poświęcona skutkom liberalizacji stanie się celem antyglobalistów. Jutro Hagaparken zaroi się od lewaków.

Dzisiaj odbędzie się spotkanie przygotowawcze. Ministrowie zjawią się dopiero jutro. Klara wie jednak z doświadczenia, że ważne są właśnie spotkania przygotowawcze, bo wysokiej rangi urzędnicy i politycy określają na nich agendę i ustalają główne kierunki działania. To na nich podejmowane są decyzje i tworzone fundamenty przyszłych zasad. To dlatego raport Charlotte jest taki ważny.

Wpół do ósmej. Klara ustawia się w kolejce razem z ubranymi w garnitury przedstawicielami zebranej tu i wzbudzającej tyle wątpliwości demokracji europejskiej.

Kontrola bezpieczeństwa przeprowadzana jest w sposób rygorystyczny, jak na lotnisku albo w Parlamencie Europejskim. Torby są prześwietlane i przepuszczane przez detektory metali. Dopiero potem wszyscy wchodzi do dawnego magazynu wojskowego przerobionego na liczącą pięćset metrów kwadratowych salę konferencyjną. Jej wystrój utrzymany jest w typowym chłodnym skandynawskim stylu. Sala wyłożona jest panelami z białego i jasnego drewna.

Klara rejestruje się i otrzymuje plakietkę ze swoim imieniem i nazwiskiem.

– Czy pani Charlotte Anderfeldt już się akredytowała? – pyta młodą, jasnowłosą praktykantkę stojącą za kontuarem.

Dziewczyna przesuwa palcem po liście z nazwiskami.

– Nie, pani profesor jeszcze się nie zjawiła. Ale według programu jej wystąpienie ma się rozpocząć o wpół do dziewiątej, tuż po otwarciu konferencji, więc zaraz powinna tu być.

Klara dziękuje skinieniem głowy i rusza w kierunku stołu z kawą i kanapkami z serem. Zerka na telefon, ale nie ma żadnych nieodebranych rozmów. Jest za piętnaście ósma. Za kwadrans wszystko się zacznie, a pół godziny później Charlotte ma przedstawić swój referat. Gdzie ona jest? Klara zaczyna się niepokoić. To nie w jej stylu. Charlotte nigdy nie zjawia się na ostatnią chwilę.

Nagle ktoś chwyta ją delikatnie za łokieć. Klara odwraca się tak gwałtownie, że wylewa trochę kawy na spodeczek. Przed nią stoi Lööw.

– Klaro, musimy porozmawiać.

Lööw wygląda tak jak zawsze – jest świeżo po kąpieli, pachnie perfumami. Garnitur też ma chyba nowy. Do tego biała koszula i czerwony krawat. Jakiś uczestnik konferencji, mniej więcej czterdziestoletni otyły mężczyzna, wita się z nim w biegu.

– George! Uważaj! Wpuścili lisy do kurnika! – woła. Ma silny niemiecki akcent i śmieje się hałaśliwie.

Lööw udaje, że też się śmieje, i klepie go przyjaźnie po ramieniu.

– Otto! Cieszę się, że cię widzę!

Wykonuje przy tym gest, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że w tym momencie jest zajęty, ale chętnie porozmawia później. Wraz z Klarą przeciska się przez tłum ludzi w stronę punktu kontroli, a jednocześnie drugą ręką – którą nie trzyma Klary za łokieć – pozdrawia znajomych, uśmiecha się do nich i zachęca odpowiednim gestem, żeby

„zadzwonili do niego później”. Widać, że jest w swoim żywiole.

W końcu docierają do foyer, gdzie uczestników konferencji jest mniej.

– Dawno się nie widzieliśmy – mówi Klara, zmuszając się do uśmiechu.

– To prawda – odpowiada George z równie wymuszonym uśmiechem. – Ale o dawnych czasach porozmawiamy później. Teraz musimy się skoncentrować na pewnym problemie.

– Jasne. Muszę jednak przyznać, że jestem zaskoczona twoją obecnością w tym miejscu.

– Naprawdę? – pyta Lööw, patrząc na nią ze zdziwieniem. – Charlotte nie wspominała, że się tu wybieram?

Klara marszczy czoło i chce mu spojrzeć w oczy, ale Lööw błądzi wzrokiem po foyer. Nerwowym ruchem przeciąga dłonią po włosach.

– Nie – odpowiada Klara. – W ogóle o tobie nie mówiła.

– Naprawdę?

Po jego głosie i minie widać, że jest tym faktem szczerze zdumiony. Dopiero teraz patrzy jej prosto w oczy.

– Zaczniemy od tego, że to ja poleciłem cię do tego projektu. Myślisz, że beze mnie dostałabyś tę pracę u Charlotte?

Klara cofa się o krok, w głowie jej szumi.

– Słucham? Co powiedziałeś?

Ale Lööw jest zbyt podenerwowany i podekscytowany, żeby kontynuować ten temat.

– Gdzie jest Charlotte? – pyta, wbijając w nią wzrok.

Ale Klara nie odpuszcza:

– Chwileczkę. Co miałeś na myśli, mówiąc, że to ty załatwiłeś mi pracę u Charlotte?

– W tej chwili to nieważne – odpowiada coraz bardziej zniecierpliwionym tonem Lööw.

– Potrzebowała kogoś ze znajomością szwedzkiego, więc podałem jej twoje nazwisko. To wszystko. Gdzie ona jest? Przecież to bardzo ważna sprawa! Nie masz pojęcia, o co toczy się gra.

Klara już chce powiedzieć, że doskonale wie, o co w tym wszystkim chodzi i jak ważna dla niego jest ta sprawa, ale w ostatnim momencie gryzie się w język.

– Rzeczywiście, nie mam pojęcia. Charlotte powinna się zjawić lada chwila. À propos, jak się poznaliście?

Zanim jednak zdąży dokończyć zdanie, Lööw odwraca się i znika w tłumie ubranych w podobne garnitury mężczyzn.

75. Sztokholm – niedziela, 23 sierpnia 2015 roku

Pół godziny później prezentacja zasad, według których będzie przebiegać konferencja, dobiega końca. Prelegent – światowej sławy finansista ze świeżo rozbudzonym zainteresowaniem dla kwestii demokracji – zbliża się powoli do końca swojego wystąpienia. Za jakieś dziesięć minut Charlotte powinna rozpocząć swoją prezentację.

Klara jest coraz bardziej zaniepokojona. Co się stanie, jeśli Charlotte się nie zjawi? Raport jest już gotowy i zostanie opublikowany w trakcie lunchu, bez względu na to, czy Charlotte go zaprezentuje, czy nie. Nagle podchodzi do niej kobieta z krótkimi jasnymi włosami, w wieku pięćdziesięciu kilku lat.

– Czy to pani współpracuje z Charlotte Anderfeldt? – pyta po angielsku z lekkim francuskim akcentem. – Jestem odpowiedzialna za przebieg konferencji. Jej nieobecność to prawdziwa katastrofa!

Kobieta wypowiada te słowa szeptem, ale i tak słysząc, że jest zrozpaczona.

– Czy profesor Anderfeldt się z panią kontaktowała?

Klara kręci głową.

– Próbowałam się do niej dodzwonić, ale bez powodzenia.

– W takim razie nie widzę innego wyjścia. To pani przedstawi raport. Rozumiem, że pracowały panie nad nim wspólnie.

Klara czuje, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Energicznie kręci głową.

– Ja przygotowałam tylko niewielki fragment – odpowiada, starając się nie podnosić głosu. – Ten, który dotyczył ograniczeń prawnych. Gotowej wersji nie widziałam. Poza tym myślę, że wyciągnęłyśmy zupełnie przeciwne wnioski.

Kobieta patrzy na nią w milczeniu.

– Katastrofa! – syczy po dłuższej chwili. – Kompletna katastrofa!

Prelegent skończył już swoje wystąpienie. Stoi na podeście i rozgląda się zmieszany wzrokiem.

– Czas na pierwsze wystąpienie – mówi, przesuając niespokojnie wzrokiem po sali. – Będzie to prezentacja raportu na temat warunków prywatyzacji niektórych zadań policji z punktu widzenia ustawodawstwa europejskiego. Raport przygotowała pani profesor Charlotte Anderfeldt z King's Centre for Human Rights w Londynie. Zostałem jednak

poinformowany, że pani profesor nie dotarła na miejsce. Dlatego proponuję, abyśmy przenieśli jej wystąpienie na później. Teraz proszę o zabranie głosu...

W tym momencie mężczyzna przerywa, bo otwierają się drzwi. Wszyscy zebrani odwracają się w tamtą stronę. W progu stoi Charlotte. Przez salę przechodzi cichy pomruk.

– Wracamy do uzgodnionego porządku – mówi prowadzący. – Wygląda na to, że pani profesor dotarła do nas na czas!

– Bardzo państwa przepraszam za to zamieszanie – zaczyna Charlotte, zajmując miejsce między prowadzącym a innymi uczestnikami panelu dyskusyjnego.

Klara wpatruje się w nią ze zdumieniem. Nie wierzy własnym oczom. Charlotte wygląda na rozluźnioną, ale jej oczy mówią coś innego. Rozkłada laptopa i spogląda na uczestników konferencji wzrokiem, którego Klara nigdy u niej nie widziała. Głęboko wzdycha, jak gdyby szykowałą się do zabrania głosu, a na ekranach rozwieszonych w sali pojawia się pierwszy element jej prezentacji.

– Poproszono mnie, abym zaprezentowała państwu *study case*, który ma się stać przedmiotem dyskusji na tej konferencji – zaczyna. – Dotyczy on kwestii budzącej w ostatnim czasie duże zainteresowanie w państwach unijnych: czy i na jakich zasadach można sprywatyzować niektóre dziedziny działalności policji. Sprawa stała się niezwykle aktualna w kontekście gwałtownych protestów społecznych, których świadkami byliśmy w ostatnim czasie.

Charlotte unosi wzrok i wodzi nim po sali.

– Sztokholm stanowi znakomity przykład, ponieważ od tygodnia obserwujemy regularne rozruchy, do których dochodzi na przedmieściach. Liczba policjantów skierowanych do stłumienia tych zamieszek była niedostateczna i niedostosowana do sytuacji, przez co nie mogli oni skutecznie zająć się tym problemem.

Charlotte rozkłada ręce.

– Ta konferencja też może stać się celem społecznych protestów i aktów przemocy, o czym świadczy znaczna liczba jednostek policji skierowanych w to miejsce.

Na sali rozlega się pomruk zrozumienia. Widać, że już pierwsze zdania wypowiedziane przez Charlotte przykuły uwagę słuchaczy. Klara dostaje gęsiej skórki. To wprost niewiarygodne, jak zręcznie Lööw i jego klienci wygenerowali atmosferę wspierającą tezy, które za chwilę przedstawi Charlotte. Jak można obronić się przed tak totalnym lobbingsiem? Co zrobić, jeśli jakaś firma poprzez potęgowanie i wykorzystywanie chaosu

panującego na przedmieściach stworzy własną rzeczywistość, a na dodatek kupi sobie „niezależnego eksperta”, który zaprezentuje rozwiązanie zgodne z interesem tejże firmy?

Cynizm takiego postępowania jest wprost niewiarygodny i brutalnie bezwzględny. Klara odwraca się do Lööwa, ich spojrzenia krzyżują się na chwilę. Widać po nim, że trochę się uspokoił.

Tymczasem Charlotte kontynuuje swoje wystąpienie.

– To oczywiste, że nasze społeczeństwa stoją wobec wielkich wyzwań, takich jak podział środków i skuteczność działań policji. Dlatego jest rzeczą całkiem naturalną, że rodzą się pytania dotyczące innych rozwiązań.

Charlotte wypowiada te zdania tak oczywistym i pewnym siebie tonem, że Klarze zbiera się na wymioty.

– W niektórych państwach członkowskich pojawiły się głosy, jakoby firmy prywatne były bardziej elastyczne i sprawniej zarządzały kosztami. Mówiono o korzystnych rozwiązaniach ekonomicznych, które dzięki prywatyzacji wprowadzono w życie w ciągu ostatnich lat na całym świecie, między innymi w Szwecji.

Charlotte unosi głowę i patrzy na Klarę. Na chwilę zawiesza głos, a potem znowu rozgląda się po sali.

– Ale nasze badania pokazują, że z punktu widzenia zasad demokracji problemy z prywatyzowaniem policji są prawie nie do przewyciężenia.

Klara z trudem łapie oddech. Nie wierzy własnym uszom. O czym ona mówi? Przecież stoi to w jawnej sprzeczności z tym, za co zapłacili jej ludzie ze Stirling Security. Czyżby przeszła na drugą stronę?

– W naszej analizie postanowiliśmy skupić się na problematyce prawnej i zagrożeniach dla demokracji, do których dochodzi w sytuacji, gdy ktoś zaczyna się zastanawiać nad prywatyzacją zadań centralnych instytucji państwowych, takich jak policja. Chciałabym w tym momencie podziękować mojej asystentce, Klarze Walldéen, za jej szczegółowe i dokładne badania, dzięki którym udało nam się naświetlić problematykę prawną, jak również za wkład, jaki wniosła ona w opracowanie konkretnych *study cases* w tym zakresie.

W tym momencie Klara zaczyna się czuć jak w kalejdoskopie, w którym obracające się obrazki tworzą wzory różniące się od tych, które – jak nam się zdaje – widzimy. Siedzi nieruchomo z rozszerzonymi ze zdziwienia oczami i słucha, jak Charlotte cytuje

szczegółowo jej część raportu.

W pewnym momencie Klara odwraca się, żeby zobaczyć reakcję Lööwa. Ale jego krzesło jest puste. Spogląda w stronę wyjścia i widzi, jak Lööw kieruje się do lobby z telefonem przyłożonym do ucha.

Na ekranach rozwieszonych w sali widzi kolejne swoje wnioski. Charlotte omawia je pewnym siebie, pozbawionym jakichkolwiek wątpliwości głosem. Skupia się na podstawowych zagadnieniach i demokratycznych ograniczeniach.

Klarze wydaje się przez moment, że wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatniego tygodnia, po prostu sobie wmówiła: maile między Lööwem a Charlotte, pieniądze przelane na jej konto w Lichtensteinie, rozruchy na Przedmieściu i symbole na ścianach, o których opowiadała jej Yasmine. A teraz co, wszystko na nic?

– Raport zostanie w całości opublikowany po południu na stronie internetowej konferencji – kończy swoje wystąpienie Charlotte.

Prezentacja dobiega końca. Klara nawet nie widzi, że ekrany zostały wygaszone, moderator ogłosił przerwę, a siedzący wokół niej uczestnicy konferencji wstają z foteli i kierują się powoli w stronę stołu, przy którym serwowana jest kawa. Nadal dźwięczy jej w uszach ostatnie zdanie wypowiedziane przez Charlotte: „Prywatyzacja działalności policji, z wyjątkiem czysto administracyjnych zadań, takich jak archiwizacja i ogólne wsparcie, wydaje się zarówno z demokratycznego, jak i prawnego punktu widzenia bardzo trudna do obrony”.

Wnioski wynikające z raportu Charlotte są w pełni zgodne z tym, co napisała Klara. Jeśli więc ludzie ze Stirling Security próbowali stworzyć pozytywny obraz prywatyzacji policji, to można stwierdzić, że zamiar ten im się nie powiódł.

Klara zastanawia się, o co tu chodzi. Przecież na własne oczy widziała maila z potwierdzeniem przelewów dokonanych na konto Charlotte. Widziała, jak spotkała się z Lööwem, który przecież pracuje dla Stirling Security. Wszystko wskazywało na to, że dostaną to, na czym im tak zależy, że mają Charlotte w kieszeni. Czy jest coś, o czym nie wie?

Jak we mgle idzie w stronę wyjścia, przeciskając się przez tłum uczestników konferencji. Gdzie jest Charlotte? Klara była tak rozkojarzona, że tuż po zakończeniu prezentacji straciła ją z oczu. Nagle widzi ją w foyer, Charlotte kieruje się do wyjścia. Widać, że jej się spieszy, więc Klara również przyspiesza kroku.

Dokąd Charlotte ucieka? Przecież zazwyczaj jest tak, że autor raportu zostaje dłużej, aby odpowiedzieć na ewentualne pytania.

Klara wychodzi na ulicę, od Charlotte dzieli ją nie więcej niż dwadzieścia kilka metrów. Otwiera usta, żeby ją zawołać, ale w tym samym momencie Charlotte wsiada do czekającej na nią taksówki. W pewnej chwili unosi wzrok i przez moment ich spojrzenia się spotykają. Charlotte szybko odwraca głowę, nie kiwnąwszy jej nawet na pożegnanie. W jej postawie nie ma już dawnej pewności siebie. Zostało poczucie klęski i coś, co przypomina strach. Klara stoi nieruchomo, łzy płyną jej po policzkach. Co tu się dzieje? O co w tym wszystkim chodzi?

Odwraca się i widzi przed sobą Lööwa. Jest tak zdumiona jego widokiem, że cofa się o krok. Lööw nie wygląda już tak, jak godzinę temu. W jego oczach nie widzi już niepokoju ani paniki – teraz są po prostu stare i prawie smutne.

– Chodź ze mną – mówi, wskazując zaparkowane przed podjazdem audi. – Musimy naprawdę porozmawiać.

76. Sztokholm/Bergort – niedziela, 23 sierpnia 2015 roku

Budzą mnie bracia. Tkwiałem w głębokich ciemnościach, ale nagle słyszę, jak szepczą i poruszają się wokół mnie. Otwieram oczy, jestem na placu Piratów, mam przed sobą kilka dziesięciopiętrowych budynków. Ich spękane betonowe płyty pokryte są czerwonym piaskiem, który unosi się w powietrzu i zabarwia cały świat na czerwono. Przede mną leżą rzędy rozerwanych na strzępy ciał, za sobą słyszę świszczące płuca Mehdiego, jak po meczu piłkarskim na naszym Camp Nou. Odwracam się do niego, a on się uśmiecha i mi macha, a potem znika w tumanach czerwonego wiatru. Później zjawiają się pozostali: Bounty, Lis, Dakhil, al-Amin i Umar. Stoję przed rzędami ciał martwych braci, jakbym ich reprezentował albo był ich strażnikiem. Wszyscy milczą. Wiatr się wzmacnia, piasek barwi wszystko na czerwono. Trwa to do momentu, aż tracę ich z oczu, zostaje tylko piasek. Zaciskam oczy i osuwam się na kolana z rękami przyciśniętymi do uszu.

I nagle słyszę twój szept.

– *Habibi*, obudź się, nie śnij.

Kiedy otwieram oczy, czerwony piasek znika, podobnie jak plac Piratów, betonowe ściany i bracia. Leżę na łóżku w białym pokoju pełnym kabli, przewodów i parawanów. Pokój wypełniony jest rannym blaskiem, oddechem ludzi i głosami, które szepczą jakieś słowa. Odwracam się w twoją stronę i odnoszę wrażenie, że widzę cię po raz pierwszy w życiu. Włosy masz rozpuszczone, gęste i dzikie, po opuchliznie nad okiem nie został nawet ślad. Pochylasz się nade mną, kładziesz swoją chłodną dłoń na moim czole i przyciskasz ją w taki sposób, jak robiłaś to dawniej, gdy byłem mały, a ty myślałaś, że mam gorączkę.

Chwytam cię delikatnie za nadgarstek i przyciskam twoją chłodną dłoń do czoła. Pamiętam, że w dzieciństwie też taka była. Kiedy chorowałem, wagarowałaś, żeby całe dnie spędzać przy moim łóżku. Jak mogłem o tym zapomnieć? Albo o bajkach, które czytałaś wam pani w szkole; potem opowiadałaś mi je na okrągło, aż w końcu byłem prawie pewien, że sama je wymyśliłaś. Nadal je pamiętam. Pamiętam wszystko, ale czuję, że nie potrafię tego w sobie utrzymać, tak samo jak nie potrafię nawet przez minutę być sam.

– Pamiętasz, co Birk powiedział Ronji? – pytam niewyraźnym głosem. Zaciskam oczy, żebyś nie widziała, że płaczę jak dziecko.

Zdejmujesz dłoń z mojego czoła i pochylasz się nade mną. Dotykasz policzkiem mojej

twarzy, przytakujesz.

– Ile razy uratujesz mi jeszcze życie, siostrzyczko?

W odpowiedzi jeszcze mocniej przyciskasz policzek do mojej twarzy. Leżymy tak blisko siebie, że przez skórę czuję uderzenia twojego serca. Nie odpowiadasz jednak na moje pytanie, co Birk powiedział Ronji. Nie mówisz, że uratujesz mi życie tyle razy, ile razy ja uratuję twoje. Nie potrafię dłużej powstrzymać łez, więc płyną mi po policzkach prosto na poduszkę. Nie płaczę z powodu braci ani tego, co się stało. Płaczę, bo odczuwam ulgę, że jesteś moją siostrą i niczego w zamian nie żądasz. Płaczę, bo tylko w bajkach o miłości panuje równowaga i tylko w nich ofiara jest symetryczna.

Z oddziału wypisują mnie wczesnym rankiem. Właściwie mogłem wyjść poprzedniego dnia, ale nie pozwoliłaś lekarzom mnie budzić. Przekonałaś ich, że powinienem zostać do dzisiaj. Pewnie dlatego, że nie mielibyśmy dokąd pójść.

Przed drzwiami czeka policjant. Znowu ogarnia mnie ciemność. Widząc, że zmierza w naszym kierunku, bierzesz mnie za rękę.

– Wszystko będzie w porządku – mówi policjant. – Czy ktoś może się wami zaopiekować? Możemy was tam zawieźć.

Ale ty kręcisz odmownie głową.

– Żadnych policjantów. Dzięki za pomoc.

– Co tu robią gliny? – pytam, gdy jedziemy windą na parter.

– Chcieli się upewnić, że u nas wszystko w porządku. Chyba nie zapomniałeś, że zostałeś porwany? Przy okazji, mamy adwokata.

Patrzę na ciebie pytającym wzrokiem, a ty się do mnie uśmiechasz.

– Później ci opowiem. To kobieta. Wszystko za nas załatwiła. To, co się wydarzyło, należy już do przeszłości.

Przed wejściem do szpitala Södersjukhuset czeka twój kumpel, Igge. Stoi obok starego, zakurzonego bmw. Nawet nie wiedziałem, w którym szpitalu leżę, po prostu się nad tym nie zastanawiałem. Igge cię obejmuje i otwiera mi tylne drzwi samochodu.

– *Wallah* – mówi, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Jesteście chudzi jak patyki. Dokąd mam jechać?

Siadasz w fotelu obok niego.

– Na lotnisko. Ale najpierw pojedziemy do domu.

Zatrzymujemy się przed domem, Igge idzie na górę do mieszkania Parisy. Wraca już po

pięciu minutach, niesie twoje rzeczy, które przechowywał Mehdi. W jednej ręce trzyma torbę, w drugiej mój paszport. Podaje mi je i dopiero w tym momencie widzę, że oczy ma ciemne i smutne.

– Miałaś rację – mówi cichym głosem. – Parisa nie chce cię widzieć. Pogrzeb odbędzie się już jutro. Sama wiesz, jak to jest: chcą to załatwić jak najszybciej, zgodnie z Koranem. Chyba nie jesteście tam mile widziani.

Kiwasz w milczeniu głową, a ja z trudem oddycham, widząc, jak się odwracacie i idziecie z powrotem alejką w stronę parkingu. Mam wrażenie, że nogi wrosły mi w beton. Zadzieram głowę i zaczynam szukać ich okien na spękanej fasadzie.

– *Jalla*, Fadi! – wołasz. – Chodź już!

W końcu je znalazłem. W chwili gdy się odwracam, za firankami pojawia się twarz Parisy. Na rękach trzyma dziecko. Nasze spojrzenia krzyżują się na moment, a potem Parisa znika. To nie był gest przebaczenia ani cokolwiek innego, ale mnie to wystarczy. Powoli się odwracam i zostawiam wszystko za sobą.

– Jeszcze jedna rzecz, Ignacio – mówisz. – Potem już nas nie ujrzysz.

Ignacio kiwa głową. Rozumie, nie musisz mu nic wyjaśniać. Jego brudne bmw skręca w boczną ulicę, przejeżdżamy koło szkoły i lasu, mijamy Camp Nou. Jedziemy pośród pięciopiętrowych budynków, wjeżdżamy na ścieżkę rowerową i zatrzymujemy się przed wejściem do naszego domu. Przez cały czas zmierzaliśmy z powrotem do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło.

Teraz, kiedy już tu jesteśmy, nie potrafimy się zmusić do wyjścia z samochodu. Pochylamy się tylko, żeby zobaczyć coś przez szybę. Niestety, tak się nie da. Wszystko jest ciemnością, odbiciem jodeł i słonecznych promieni.

– Te pieprzone żaluzje – mówisz cicho.

– Ona jest w pracy – odpowiadam. – A on jeszcze się pewnie nie obudził.

Kiwasz głową, opierasz się o siedzenie i patrzysz na mnie.

– Czy to się właśnie tak kończy? – pytam.

Kręcisz przecząco głową, pochylasz się i głaszczesz mnie po policzku.

– Nie, *habibi*. To się tak zaczyna.

77. Sztokholm – niedziela, 23 sierpnia 2015 roku

Podczas jazdy nie rozmawiają ze sobą. Lööw przejeżdża przez policyjne barierki i kieruje się w stronę wjazdu na trasę E4. W samochodzie cicho gra radio, lecą akurat wiadomości. Rozruchy na przedmieściach powoli dogasają. Ostatniej nocy nie były już tak gwałtowne. Lööw wyłącza radio.

– Niech to szlag – mówi. – Ale się działo! Prawdziwy odjazd!

Wygląda na zmęczonego i o wiele starszego, niż Klara go zapamiętała z poprzednich spotkań.

– O co tu chodzi? – pyta. – Może mi w końcu wyjaśnisz? Na przykład co się stało na sali konferencyjnej? Chodzi mi o Charlotte i jej raport.

Lööw zerka na nią z ukosa i od razu przenosi wzrok z powrotem na drogę.

– To dość skomplikowane – odpowiada.

Klara patrzy na niego z powątpiewaniem. To dziwne, że siedzi w jego samochodzie. Nagle zaczyna się czuć tak jak wtedy, gdy w czasie zadymki śnieżnej płynęli motorówką dziadka z archipelagu Świętej Anny.

– Jesteś mi winien wyjaśnienie – mówi spokojnym tonem Klara.

– Tak, chyba masz rację. Co już wiesz?

– Stirling Security zapłaciło Charlotte za raport i młodzieży z przedmieść za wywołanie zamieszek. Wiem też, że jesteś w to wszystko zamieszany. Czy możemy jednak zacząć od tego, co wydarzyło się na sali konferencyjnej?

– Ktoś przekonał Charlotte, żeby nie prezentowała raportu w wersji napisanej dla Stirling Security. Kiedy zrozumiała, że sprawa się wydała, postanowiła ratować skórę. Zawsze była w tym dobra. Można powiedzieć, że instynkt zawsze jej podpowiada, co jest dla niej dobre, a co nie.

Lööw uśmiecha się krzywo. Klara kręci z powątpiewaniem głową.

– Jak to „przekonał”? Pracujesz dla Stirling Security, ale nie wyglądasz na wzburzonego.

Lööw nabiera głęboko powietrza i wzdycha.

– Stirling Security to typowa rosyjska firma mająca powiązania z Kremlen. Teraz tych firm jest tam trochę więcej niż kiedyś. Skontaktowali się z nami... to znaczy z moją firmą, Merchant & Taylor, prawie rok temu, kiedy w Unii Europejskiej pojawiły się pierwsze

sygnały, że trzeba taki raport napisać i zwołać konferencję. Sama zresztą wiesz. Potrzebowali porządnej firmy lobbystycznej, która nie będzie zadawać trudnych pytań. Moi szefowie byli wniebowzięci. Rosjanie zawsze dobrze płacą... Wiesz, o czym mówię. Właśnie po to, żeby nie zadawać zbędnych pytań. Zacząłem dla nich pracować po pamiętnych świętach Bożego Narodzenia, półtora roku temu. To było jedno z moich pierwszych spotkań po powrocie z... No wiesz, po tym, co wydarzyło się na wyspie.

– Widzę, że posiadasz umiejętność przyciągania pewnego rodzaju klientów.

Lööv wzrusza ramionami.

– To część mojej pracy... Jednak po tym, co wydarzyło się półtora roku temu, stałem się bardziej... hm, jak by to określić... rozważny przy wyborze klientów.

Lööv uśmiecha się chłodno i znowu zerka na Klarę. Więcej nie musi jej wyjaśniać. Przecież do śmierci osób, które zostały zamordowane w poprzednim tygodniu, przyczynili się jego pierwotni klienci.

– Wtedy utrzymywaliśmy już kontakty z SÄPO. Sama zresztą pamiętasz, prawda?

– Tak, z Bronzeliusem – potwierdza cichym głosem Klara.

– No właśnie. Nie miałem ochoty wejść znowu w jakieś bagno, więc postanowiłem opowiedzieć SÄPO o Stirling Security. Wyjawiłem im, że w tamtym okresie firma nie była jeszcze oficjalnie zarejestrowana na terenie Szwecji i wynajęła lokal pod inną nazwą. Ich dyrektor zarządzający był chyba jakimś *attaché* w rosyjskiej ambasadzie. Bronzelius uznał tę historię za ciekawą.

Klara kiwa głową, ale nie wierzy własnym uszom. Przecież niecałą dobę temu Gabriella powiedziała to samo Bronzeliusowi, a on uznał jej historię za nieciekawą.

– Miałem nadzieję, że coś z tą sprawą zrobią, na przykład kogoś aresztują albo przynajmniej zwolnią mnie z tego pokręconego zadania.

– I co?

– Tymczasem poprosili mnie, żebym rozpoczął współpracę z Rosjanami, jak gdyby nic się nie stało. Współpracowałem więc z Charlotte. Nie było to aż tak trudne, bo znałem jej cel. Jest ambitna i łasa na pieniądze. A Rosjanie, jak już wspomniałem, dobrze płacą. Potrzebny im był raport, ale niezbyt jasny, tylko taki, który będą mogli swobodnie interpretować.

Klara kiwa głową i zamyka oczy. Zbyt dużo wrażeń jak na jeden raz. Zbyt dużo, żeby siedzieć tu z George'em na A4 w drodze do... No właśnie, dokąd?

– Niestety, w ciągu ostatnich tygodni sytuacja wymknęła się spod kontroli, bo Stirling Security zaczęło podgrzewać nastroje w Bergort. Wprawdzie rozruchy trwały już od pewnego czasu, ale postanowili je wykorzystać dla własnych celów. Wysłali mnie na przedmieścia z szablonami, żeby młodzież malowała je na ścianach. Widziałaś zaciśniętą pięść z gwiazdą? Nieważne, to i tak chora sprawa. Niedawno pojawiła się dziewczyna, która widziała mnie na przedmieściu. Bronzelius się wkurzył, a gdy umówiłem się z nią na spotkanie przy Bibliotece Miejskiej, wysłał tam swoich tajniaków, żeby ją zgarnęli. Tymczasem skończyło się na tym, że groziła mi pistoletem! Pewnie mi nie uwierzysz, ale to naprawdę popieprzona historia!

Klara kiwa głową. Nie chce mu przerywać, chociaż już wie o niektórych sprawach.

– Jak skomentowali to ci w SÄPO? – pyta.

– Byli nieustępliwi. „Rób to, o co cię poproszą”.

– Ale jak to możliwe? – dziwi się Klara. – Nie zrobili nic, żeby zapobiec rozruchom w Bergort, chociaż mogli je łatwo skończyć? To tak cyniczne, że robi mi się niedobrze.

Lööv tylko kiwa głową.

– Powiedzieli mi, że najważniejsze jest zebranie dowodów. Nie interesowały ich jakieś gnojki rzucające kamieniami, bo chcieli dopaść kogoś z góry. Ale udało się tylko z Orłowem, który w ambasadzie jest dyplomatą średniego szczebla. Ci ludzie potrafią działać pod przykrywką.

Klara czuje, że narasta w niej złość – na bezwzględność i obojętność szwedzkiej policji bezpieczeństwa. Jak to możliwe, że SÄPO sięgnęła po takie metody? Najpierw posłużono się Fadim, a teraz jeszcze ta sprawa.

– O co właściwie chodzi Rosjanom? O kasę? Jakaś firma chce zarobić wielkie pieniądze? A może mają inne cele?

Lööv wzrusza ramionami.

– Pewnie chodzi o jedno i drugie. Te rosyjskie firmy są zawsze jakoś powiązane z wielką polityką. Jeśli Unia Europejska zgodzi się na prywatyzację policji, Stirling Security będzie mogło zarabiać u nas duże pieniądze. W pewnej chwili może się okazać, że rosyjskie firmy kontrolują naszą policję. Łapiesz?

– Brzmi to dość abstrakcyjnie.

– Tak, ale Bronzelius twierdzi, że to jak z naruszeniem wód terytorialnych przez łódź podwodną. Nie chodzi o bezpośrednią inwazję, tylko o sygnał ostrzegawczy: „Popatrzcie,

na co nas stać. Mamy wystarczające środki, żeby wywołać u was prawdziwy polityczny chaos”.

– Nie chce mi się wierzyć, że Charlotte dała się przekupić – mówi Klara.

– Płacenie za napisanie raportu nie jest niczym nowym. Ale wczoraj, kiedy Bronzelius zabrał ją do siebie i wyłożył karty na stół, nie była już taka pewna siebie. Na początku wszystkiemu zaprzeczała. Przysięgała, że pieniądze, które dostała z Lichtensteinu, nie wpływają na jej akademicką niezależność.

Lööv wybucha gorzkim śmiechem.

– Po tych słowach Bronzelius pokazał Charlotte brudnopis pracy, który dała mi podczas naszego wczorajszego spotkania. W tej wersji jej wnioski różniły się całkowicie od tych, które zaprezentowała dzisiaj. Podobno zbladła jak kreda, a potem wróciła do domu i przez całą noc poprawiała końcową wersję raportu. Jak już mówiłem, Charlotte wie, co jest dla niej najlepsze.

– Czy na tym polegał plan od samego początku? Czy chodziło o to, żeby ją zaskoczyć tuż przed konferencją? A może Bronzelius zamierzał ciągnąć to dłużej, ale w ostatniej chwili się wycofał, bo zaczęło robić się gorąco?

– Z tego, co wiem, plan polegał na tym, żeby przerwać to teraz, na tym etapie, zanim Rosjanie uruchomią swoje wpływy. Wydaje mi się, że zamierzali pociągnąć całą sprawę tak daleko, jak tylko można, bez osiągnięcia konkretnego efektu, żeby sprawdzić, ile informacji uda im się zdobyć.

Klara kiwa głową w zamyśleniu.

– Co się teraz stanie z Charlotte?

Lööv marszczy czoło.

– Pewnie wróci do Londynu i będzie lizać rany do następnego razu – odpowiada ze śmiechem. – W przypadku kogoś takiego jak Charlotte potrzeba chyba czegoś więcej, żeby prawda ujrzała światło dzienne. W przeciwieństwie do takiego zera jak ja.

– Ale przecież tutaj ginęli ludzie – oburza się Klara. Przypomina sobie metro w Londynie i sztywne, blade ciało Patricka na torach.

Lööv kiwa ostrożnie głową.

– O wszystkim dowiedziałem się dopiero wczoraj. Stirling Security nie przewidziało, że jakiś błazen z Anonymusa wyniucha, czym zajmuje się Charlotte. Albo że zaczniesz w tej sprawie grzebać. Rosjanie są cholernie wkurzeni.

– A dlaczego mnie w to wkręciłeś? Przecież wiedziałeś, co jest grane.

Lööw wzrusza ramionami i zerka na nią ostrożnie.

– Chciałem ci tylko pomóc. Wiedziałem, że chcesz dokończyć rozprawę Mahmouda, i przekonałem Charlotte, żeby cię zatrudniła, bo to ja jej płaciłem. Nie wiedziałem, że wszystko zajdzie tak daleko i zostaniesz w to wciągnięta. Bronzelius dawał do zrozumienia, że mogliśmy rozwikłać całą sprawę jeszcze na początku lata, ale potem postanowił pociągnąć ją dalej.

W samochodzie zapada cisza. Dotarli już do placu Sergela i skręcają w opustoszałą jak w każdą niedzielę Sveavägen.

– Dokąd jedziemy? – pyta Klara.

– Zobaczysz. Ktoś chce się z tobą spotkać.

Lööw zatrzymuje samochód przy chodniku przed wejściem do jednej z wież.

– Piętnaste piętro – dodaje. – On już na ciebie czeka.

– Nie pójdziesz ze mną?

Lööw wzdrygnął się i szybko wrzucił bieg.

– Nigdy w życiu. Mam już po dziurki w nosie widoków z tego biura.

– Zobaczymy się później?

– Kiedy tylko zechcesz – śmieje się głośno Lööw. – Myślę, że po tym wszystkim oboje będziemy mieli mnóstwo wolnego czasu.

– Jak to? Myślisz, że cię wyleją?

Lööw wzrusza ramionami.

– Kto wie? Przecież polityka firmy nie polega na tym, żeby aktywnie występować przeciwko własnym klientom. Bez względu na to, kim są, Rosjanami czy kimś innym. Zobaczmy. Jakoś sobie poradzę. Zadzwoń, jeśli poczujesz taką potrzebę – dodał, podając jej wizytówkę.

78. Sztokholm – niedziela, 23 sierpnia 2015 roku

Drzwi prowadzące do jednego z biur na piętnastym piętrze należą prawdopodobnie do kancelarii adwokackiej. Na drugich, uchylonych, nie ma żadnej tabliczki. Klara otwiera je ostrożnie.

– Halo? – woła, wchodząc do ciemnego przedpokoju.

– Tutaj! – słyszy w odpowiedzi.

Ostrożnie przechodzi do dużego pokoju z pięknym widokiem na Sztokholm. Pomieszczenie jest prawie puste, tylko w rogu stoi biurko i dwa krzesła. Na jednym z nich siedzi Bronzelius. Na jej widok wstaje od biurka.

– Witamy w Stirling Security!

Klara rozgląda się niepewnie. Bronzelius ubrany jest w swój typowy zestaw złożony z granatowych dżinsów i kraciastej koszuli z krótkim rękawem. Błyszcząca skórzana kurtka leży na parapecie okna.

– Przecież tu jest zupełnie pusto – dziwi się Klara.

Bronzelius kiwa głową.

– Ale nie dlatego, że nic tu wcześniej nie było – odpowiada. – Wygląda na to, że kiedy wczoraj wieczorem się pakowali, bardzo im się spieszyło.

– Pozwoliliście im uciec?

Klara czuje, że znowu ogarnia ją złość. Po tym wszystkim, przez co musieli przejść, po tylu cierpieniach, Bronzelius stoi sobie jak gdyby nigdy nic, uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– Człowiek, który to wszystko zorganizował, opuścił nasz kraj samolotem prawie dobiegł temu. Miał paszport dyplomatyczny. Reszty pracowników Stirling Security też już nie ma w Szwecji. Firma nie była tu nawet zarejestrowana. Oprócz tabliczki na drzwiach nic nie świadczy, że działała w Szwecji. A teraz zabrali nawet tabliczkę.

– Ale... przecież to nie powinno się tak skończyć. Boże, ci ludzie wywołali zamieszki w Bergort, przekupili profesor Anderfeldt i mają na sumieniu śmierć mojego kolegi z pracy!

– Zdaje się, że to Lööw płacił młodzieży na przedmieściach. I to on przelał pieniądze na konto pani Anderfeldt. Jeśli zaś chodzi o śmierć pani kolegi z pracy, to jesteśmy w stałym kontakcie z naszymi angielskimi partnerami, którzy znają wszystkie szczegóły tej sprawy.

Niestety, wygląda na to, że nie traktują jej priorytetowo.

– No to o co tu, do cholery, chodzi? – woła Klara podniesionym głosem. Przestała nad sobą panować, ale jest jej to najzupełniej obojętne.

Bronzelius czeka, aż echo jej głosu przestanie nieść się po pokoju.

– Jak to o co? O wysłanie czytelnego sygnału, pokazanie, że wiemy, czym ci ludzie się zajmują. Nie chodzi tu tylko o nas, bo to była próba zakłócenia funkcjonowania Unii Europejskiej, dlatego współpracowaliśmy przy tej sprawie z naszymi kolegami z innych krajów. Fakt, że Rosjanie zamknęli tę firmę i odwołali do kraju dyplomatę ze swojej ambasady, który był za to odpowiedzialny, uważamy za nasz sukces. Wyszli z tego z twarzą, ale zrozumieli, że mamy ich na oku, podobnie jak wtedy, gdy nasza flota wojenna ściga ich łodzie podwodne u wybrzeży Szwecji. Najgorzej, gdy sprawa wychodzi na jaw, bo dopiero wtedy zaczynają się problemy. Nasza praca polega na zapobieganiu, udaremnianiu, ale bez żadnego rozgłosu. I właśnie to należy uznać za prawdziwe zwycięstwo.

Klara kręci głową. Wszystko na nic.

– A Yasmine i Fadi? – pyta zaciętym głosem.

Bronzelius podchodzi do okna i patrzy na dachy błyszczące od słońca.

– Moja operacja ich nie obejmuje. Nic o nich nie wiedziałem, dopóki Yasmine nie opowiedziała mi wczoraj swojej historii.

– Ale to prawda? – dopytuje się Klara. – Czy SÄPO naprawdę infiltrowała ekstremistów i pomagała im radykalizować społeczeństwo? Czy to prawda, że współpracowaliście z USA? I kto, do diabła, kieruje dronami?

Bronzelius milczy, stoi plecami do niej. Po kilku sekundach odwraca się i patrzy na nią swoimi obojętnymi niebieskimi oczami.

– To wszystko było konieczne. Nie rozumie pani, że te ugrupowania rekrutują przyszłych terrorystów? Ogląda pani od czasu do czasu wiadomości w telewizji? Naszą operację uważamy za udaną.

– Udaną? Sprawiliście, że Fadi został radykałem, i zwabiliście go do Syrii na pewną śmierć. I to nazywacie udaną operacją?

– Udało nam się wyeliminować wysokiej rangi przywódcę Państwa Islamskiego i dwudziestu kilku jego fanatycznych zwolenników. Tak, to była udana operacja, jakkolwiek na nią spojrzeć.

Bronzelius nadal wpatruje się uważnie w Klarę.

– Jeśli zaś chodzi o Fadięgo Ajama, to nie my przyczyniliśmy się do radykalizacji jego poglądów. On sam szukał kontaktów z radykałami. To nie my chcieliśmy go zabić, sam się zgłosił.

Klara zastanawia się nad słowami Bronzeliusa. Kiedyś jej pomógł, na archipelagu Świętej Anny. SÄPO ścigała nie tylko ją, ale także Gabriellę, ale Bronzelius znalazł sposób, żeby im pomóc. Uwierzyła, że zrobił to z dobroci serca, że mu na nich zależało. Teraz już wie, że chodziło mu tylko o jego własne interesy, które akurat wtedy splotły się z jej losem. To zwykły cynik i oportunist.

– Kiedyś siedziałam cicho – mówi Klara spokojnym głosem. – Milczałam na temat tego, co wydarzyło się półtora roku temu. I nadal będę milczeć. Ale nie w tej sprawie. Nie wiem, jak zachowają się Fadi i Yasmine, to ich prywatna decyzja. Ale co do tego, co przydarzyło się mnie, nie zamierzam milczeć. Jestem to winna Patrickowi i sobie samej.

W twarzy Bronzeliusa coś drgnęło. Robi krok w jej stronę i jeszcze uważniej patrzy jej w oczy.

– Zdecydowanie zalecam, aby zachowała pani wszystko w tajemnicy – mówi powoli. – Lepiej nie mieć we mnie wroga.

Klara nie rusza się z miejsca, nie ucieka wzrokiem.

– Niech pan robi, co do pana należy – odpowiada. – Ja zajmę się tym, co należy do mnie.

79. Arkösund – poniedziałek, 24 sierpnia 2015 roku

Klara i Gabriella siedzą na pomoście i trzęsą się z zimna smagane ostrymi porywami wiatru. Niebo i port są szare, tak samo jak skały. Drzewa i krzewy będą zielone jeszcze przez kilka tygodni, ale lato już się skończyło. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Klara zapina przeciwdeszczową kurtkę pod samą szyję i zerka na Gabriellę.

– Jesteś najzupełniej pewna, że tego chcesz? – pyta Gabriella.

Zanim Klara odpowie, rozgląda się po okolicy. Nad wyspą Hästö wiszą nieruchomo dwie mewy. Pierwszy raz od dwóch lat jest czegokolwiek pewna. Patrzy na Gabriellę i kiwa na potwierdzenie głową.

– Tak. Jestem absolutnie pewna.

– Czy jesteś pewna, że nie chcesz, aby wymieniano twoje imię i nazwisko i żeby ktokolwiek się z tobą kontaktował?

Klara znowu potwierdza skinieniem głowy.

– Tu nie chodzi o mnie – wyjaśnia. – Uważam jednak, że zwracanie na siebie uwagi to w tym momencie niezbyt dobry pomysł. Jak wiesz, nie jestem w najlepszej kondycji.

Uśmiecha się krzywo i obejmuje Gabriellę.

– Zresztą zawsze byłaś bardziej wygadana niż ja. Prawda, współniczko?

Mówiąc to, opiera ukrytą pod kapturem głowę o ramię Gabrielli.

– Najważniejsze jest to, żeby wszystko wyszło na jaw. Ludzie powinni się dowiedzieć, jak cynicznie działa SÄPO. Mogli nie dopuścić do zamieszek na przedmieściach, ale tylko się przyglądali, jak osoby odpowiedzialne za tę rozróbę podburzają do niej, a przed posiedzeniem ministrów Unii Europejskiej przekupują niezależnych ekspertów. Na dodatek nikt ani słowem nie wspomina o tym, co przydarzyło się Yasmine i jej bratu.

Gabriella kręci głową.

– Cholera, to jeszcze większy skandal, okropna wpadka. Nie wolno dopuścić, żeby im to uszło na sucho.

Klara się prostuje i kiwa głową.

– Ale oboje przeżyli, choć nie było to oczywiste, zwłaszcza w przypadku chłopaka. Zajmijmy się tylko tym, czym wolno nam się zająć. To ich historia. Nie mamy prawa opowiadać o niej innym ludziom.

– A Bronzelius?

Klara wzrusza ramionami.

– Groził mi. Ale co innego mu pozostało? Myślę, że tylko tak gada. Czasem warto zrobić to, co słuszne, i nie myśleć za dużo. Prawda?

Klara wstaje z pomostu i wodzi wzrokiem od wyspy do wyspy. Nagle widzi znaną sobie łódź, która płynie w ich kierunku, kołysząc się na falach. Serce zaczyna jej bić w przyspieszonym tempie, ogarnia ją dziwny spokój. Może i tym razem wszystko się jakoś ułoży?

– W takim razie zrobimy tak – mówi Gabriella, wstając z pomostu. – Zadzwoń z samochodu do Lööwa i sprawdź, jak daleko gotów jest pójść na współpracę z nami. Mam nadzieję, że zgodzi się wystąpić przynajmniej w charakterze anonimowego źródła. Potem pogadam ze znajomym w „Dagens Nyheter” i dopiero wtedy nadamy bieg sprawie.

Motorówka jest już przy pomoście. Klara dostrzega w niej okrągłą twarz swojego kolegi z lat dzieciństwa. Bosse stoi za kołem sterowym. Klara unosi rękę w geście pozdrowienia i robi ruch, jakby chciała zeskoczyć do łodzi. Nagle się odwraca i mocno obejmuje Gabriellę.

– Dziękuję. Za wszystko. Za to, że się mną zajmujesz.

Gabriella dotyka jej policzka zimnymi wargami.

– Trzymaj się. Zadzwoń, kiedy dowiem się czegoś więcej. Do czasu publikacji nie wyłączaj telefonu. Potem najlepiej go wyłącz.

Klara kiwa głową i zręcznym ruchem wskakuje do łodzi. Pachnie w niej mocno ropą, smołą i wodorostami. Po prostu domem.

80. Brooklyn, Nowy Jork – środa, 26 sierpnia 2015 roku

Wiatr, który wieje od East River, ciągle jeszcze jest ciepły, ale jest w nim też coś, co pachnie suchymi liśćmi; podrywa kartki z menu w ogródku piwnym restauracji The Ide i sprawia, że Yasmine dostaje gęsiej skórki. Yasmine unosi wzrok i rozgląda się po Manhattanie. Na każdym kroku pachnie tu pieniędzmi. Nie było jej tylko tydzień, a okazuje się, że wszystko wygląda inaczej – z wyjątkiem karty kredytowej Shrewd & Daughters, którą zapłaciła za bilety lotnicze i pokój w hotelu The Wythe w Williamsburgu. Istnieje obawa, że szybko może ją stracić, kiedy się okaże, że nie ma nic do powiedzenia o symbolach w Bergort, a zwłaszcza o tym, że tak naprawdę niczego nie symbolizują.

– *Wallah* – mówi Fadi, który siedzi po drugiej stronie stołu. – Widzę, że żyłaś zupełnie inaczej niż ja.

Fadi nie może oderwać wzroku od drapaczy chmur widocznych na tle granatowego nieba. Jest oczarowany światłami i życiem na drugim brzegu rzeki.

Yasmine zerka na niego ponad stołem i dostrzega w nim siebie z czasów, gdy przyjechała tu pierwszy raz. Chciałaby go po prostu objąć i sprawić, żeby ten czarodziejski nastrój i szalone dni, gdy wszystko jest jeszcze możliwe, nigdy się nie skończyły.

– Zapewniam cię, że moje życie wcale tak nie wyglądało – stwierdza Yasmine. – Mieszkałam z Davidem w małej kawalerce na Crown Heights. Spałam na betonowej posadzce, a on głośno chrapał. To nie było *skyline lifestyle*.

Fadi kiwa głową, ale minę ma taką, jakby w ogóle jej nie usłyszał. Są tu od dwóch dni, a on nawet przez moment nie zastanawiał się nad przyszłością. Przez cały czas walczył z objawami zmiany czasu, chodził ulicami i mostami i powoli wracał do rzeczywistości. Czasem nawet ze sobą nie rozmawiają, tylko wychodzą o świcie i idą obok siebie, obserwując, jak miasto budzi się do życia. Jak gdyby wystarczało im, że nadal żyją.

– Tak czy inaczej, jesteśmy bardzo daleko od naszego Bergort – zauważa Fadi.

Zapada zmrok. Światła Manhattanu odbijają się w rzece przy magazynie i galeriach. Na taras wchodzi Brett. Yasmine czuje klucie w piersi i rosnący strach.

– *Jalla* – mówi do Fadiego. – Popatrz, to z nim jestem umówiona na spotkanie. Ma na imię Brett. Pracuję dla niego. Niech to szlag! Facet będzie zszokowany, gdy usłyszy, że nic

dla niego nie mam.

Fadi prostuje się na krześle. Yasmine wszystko mu powiedziała: o symbolach, które wysłała jej mama, i o tym, jak je wykorzystwała, żeby namówić Shrewd & Daughters do opłacenia jej podróży do Sztokholmu. To Brett jej wszystko załatwił. Teraz się okaże, że go zawiodła.

Brett podchodzi do stolika z teczką w jednej i szklaneczką whisky w drugiej ręce. Pochyla się i całuje Yasmine w policzek.

– Cieszę się, że znowu cię widzę – mówi, obnażając w uśmiechu swoje równe białe zęby.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – odpowiada z trochę mniejszym entuzjazmem Yasmine.

– To mój brat, Fadi.

Podają sobie ręce, Brett siada przy stoliku i kładzie na nim swojego laptopa.

– Pierwszy raz w Nowym Jorku? – pyta z uśmiechem Fadiego.

– Tak. Skąd pan wiedział?

Brett opiera się o krzesło, wypija trochę trunku i patrzy na Manhattan.

– Zdradziły cię oczy. Nadal są wielkie jak spodki.

– Brett – przerywa mu Yasmine – lepiej będzie, jeśli od razu się przyznam. W Sztokholmie wydarzyło się mnóstwo dziwnych rzeczy.

Yasmine oddycha głęboko. Lepiej będzie, jeśli od razu to z siebie wyrzuci. Nie może mu jednak powiedzieć, że symbol wymyśliła jakaś rosyjska firma, która próbowała wzniecić zamieszki w Bergort, bo sama nie rozumie sensu tych działań. Lepiej się przyzna, że nic dla niego nie ma, że o nic w tym wszystkim nie chodziło. Niech się stanie, co ma się stać. Jeśli Shrewd & Daughters zażądają od niej zwrotu kosztów wyjazdu, znajdzie jakiś sposób i odda im pieniądze. Najważniejsze, że Fadi żyje, tylko to się liczy. Ale Brett jej nie słucha. Otworzył laptopa i szuka czegoś na YouTube.

– Popatrzcie na to – mówi, odwracając laptopa w taki sposób, żeby Yasmine i Fadi mogli zobaczyć obraz na ekranie.

Na nagraniu widać scenę w jakimś podziemnym lokalu. Z maleńkich głośników wbudowanych w laptopa dobiegają wibrujące basowe dźwięki. Jakiś mężczyzna stoi odwrócony plecami do publiczności. Ubrany jest w wytarte dżinsy i czarny T-shirt, na głowę ma naciągniętą kominiarkę. Monotonny dźwięk basu przechodzi w ogłuszający, mroczny *beat*, publiczność tłoczy się pod sceną, krzyczy i skacze z uniesionymi rękami.

Muzyka na chwilę milknie, słycać tylko krzyki i aplauz publiczności. Salę wypełnia elektryzująca atmosfera, oczekiwanie na coś, co może się wymknąć spod kontroli i zamienić w rozróbę. Zanim jednak dojdzie do eksplozji i ogólnej bijatyki, znowu rozlega się muzyka. Tym razem jest dwa razy szybsza. Mężczyzna w kominiarce odwraca się do publiczności i nagle przechodzi na szybki, synkopowany rap, który jest jednak na tyle wyraźny, że jeśli dobrze się wsłuchać, można bez problemu zrozumieć każde słowo.

– Co to jest? – pyta Yasmine.

Wsłuchuje się w kilka taktów i zerka na Fadięgo, który potrząsa głową.

– Jakiś pieprzony koncert – odpowiada.

Raper podchodzi do publiczności, ostrożnie dotyka wyciągniętych w jego stronę rąk albo przybija piątki. Podskakuje i kopie, zwija się i rzuca na scenie. Jego styl bardziej przypomina punk niż hip-hop. Brett zatrzymuje film i odwraca się do Yasmine.

– Popatrz na jego koszulkę – mówi.

Yasmine pochyla się w stronę ekranu. Na koszulce rapera widać zaciśniętą pięść i wkomponowaną w nią pięcioramienną czerwoną gwiazdę.

– Co jest... – zaczyna Yasmine, ale przerywa, widząc uśmiech na twarzy Bretta.

– To cholernie prosty symbol, prawda? I mocny raper. Przypomina trochę młodego Eminema, który zachowywał się jeszcze gorzej. Ma na imię Starfist.

– Starfist? – dziwi się Yasmine. – To znaczy Gwiazdna Pięść? Tak jak ten symbol? Nic nie rozumiem.

Brett wybucha śmiechem i zamyka laptopa.

– Shrewd & Daughters od dawna mieli go na oku. Raper pochodzi z Baltimore i jest bardzo zaangażowany politycznie. Przez dwa miesiące występował anonimowo. Geneviève puszczała nieoficjalnie jego piosenki na Soundcloud i na YouTubie, ale nie informowała, jak się nazywa. Promowała go na zasadzie *no brand*, rozumiesz? Podczas wiosennych zamieszek w Baltimore raper stał się w pewnych kręgach ich anonimowym symbolem. To był pomysł Geneviève, która chciała wzniecić *hype* u właściwych ludzi. Teraz mają już, że tak powiem, „wyraźnie zarysowany projekt”, więc uznali, że nadszedł czas, aby zacząć go lansować w bardziej konwencjonalny sposób. Musi więc mieć jakieś imię i coś, z czym ludzie będą go utożsamiać. I właśnie wtedy pojawił się ten symbol... Sytuacja idealna, symbol stał się znakiem handlowym rapera, choć właściwsze byłoby stwierdzenie, że to on stał się twarzą symbolu. Nieważne. Facet jest „gorący” i niedługo

będzie prawdziwą gwiazdą. Udzielił już wywiadów dla CNN, a Vice wyprodukowała o nim film dokumentalny. Zawsze ma na sobie ten T-shirt z symbolem i kominiarkę na głowie. To naprawdę robi duże wrażenie.

Brett bierze szklanę i wznosi toast za Yasmine.

– Nikogo już nie obchodzi, skąd wziął się ten symbol. Otrzymaliśmy polecenie, żeby o tym nie rozmawiać. Ludzie malują go sprejem na ścianach. Starfist pochodzi z Baltimore. Dyrektorzy wytwórni płytowych oszaleli na jego punkcie. To może być najlepszy biznes od czasu, gdy padła branża płytowa.

Brett wybucha śmiechem i wypija resztę whisky ze szklanki.

– Nic z tego nie rozumiem – mówi Yasmine. – Kiedy to wszystko się stało? I jaki zysk będzie miała z tego firma Shrewd & Daughters?

– Jak już powiedziałem, firma współpracuje z nim od wczesnej wiosny, ale dopiero od niedawna wszystko toczy się w błyskawicznym tempie. Chyba pisałem ci o tym w mailu? Od pewnego czasu w Baltimore i w innych miastach dochodzi do zamieszek. Po naszym *pitchu* Geneviève doszła do wniosku, że w końcu mają coś, dzięki czemu będą go mogli wylansować. Dlatego wymyślili mu pseudonim artystyczny Starfist, a Geneviève została jego oficjalną agentką. Zapowiada, że zrobi z niego gwiazdę, pod warunkiem, że raper pozwoli jej zadbać o PR. Weźmie za to dwadzieścia pięć procent od wszystkich jego dochodów. Niezła kasa, bo zanoszą się na to, że kontrakt na trzy płyty będzie wart jakieś dziesięć milionów dolarów. A to dopiero początek.

Brett wstaje i szuka czegoś w teczce.

– A jak już mowa o pieniądzach, to mam dla ciebie twój udział. Oczywiście potrąciłem z niego moje dwadzieścia pięć procent. Tym razem naprawdę na nie zasłużyłem. Dla twojej wiadomości: to jednorazowa wypłata, coś w rodzaju *finder's fee*, znaleźnego. Jestem jednak pewien, że i tak będziesz zadowolona.

Brett znajduje w końcu to, czego szukał, i podaje Yasmine czek.

– To tyle, kochani. Na mnie już czas. Pomieszkajcie tu sobie jeszcze kilka dni. Geneviève jest z was bardzo zadowolona, więc chętnie zapłaci. Yasmine, dzwoniemy się w przyszłym tygodniu, okej? Mam dla ciebie kilka nowych zleceń.

Brett pochyła się, całuje Yasmine w policzek, podaje Fadiemu rękę, a potem się odwraca i rusza w stronę baru. Po chwili znika im z oczu. Zostają sami z widokiem na Manhattan. Nie mają żadnych planów, nie mają też dokąd wrócić. Czeka ich nowe życie,

mają siebie i czek na sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, który porusza się lekko w pierwszych powiewach jesiennego wiatru.

Dziękuję:

Mojemu wydawcy, Helene Atterling, redaktorowi Jacobowi Swedbergowi, agentom Astri von Arbin Ahlander i Christine Edhäll – za wszystkie dyskusje, lekturę rękopisu i nieocenione uwagi.

Profesorowi Leifowi Stenbergowi z Centre for Middle Eastern Studies w Lund – za interesujące rozmowy na temat radykalizmu i Państwa Islamskiego, jak również za pomoc dotyczącą terminologii i języka arabskiego.

Niedawnym dziesięcioklasistom ze szkoły Värner Rydénskolan w Rosengård – za to, że wiosną mogłem z wami czasem pobycć.

Wszystkim z Södra Esplanaden w Lund – że nauczyliście mnie systemu rosyjskiego sposobu walki wykorzystywanego przez Specnaz, i wielu innych rzeczy.

Tobiasowi Almborgowi – za przyjaźń i za to, że przeczytałeś pierwszy rozdział, zanim sam sobie uświadomiłem, w którym jestem miejscu.

Johanowi Jarnvikowi – za przyjaźń i śmiech.

Danielowi Zanderowi – za to, że jesteś moim bratem.

Liisie, Milli i Lukasowi. Bez Was nic bym nie zrobił.

Spis treści

1. Przedmieście Sztokholmu, Bergort – 2011 rok
2. Brooklyn, Nowy Jork – czwartek, 13 sierpnia 2015 roku
3. Bergort – jesień 2000 roku
4. Manhattan, Nowy Jork – sobota, 15 sierpnia 2015 roku
5. Bergort – wiosna 2007 roku
6. Manhattan, Nowy Jork – sobota, 15 sierpnia 2015 roku
7. Bergort – zima 2011 roku
8. Manhattan, Nowy Jork – sobota, 15 sierpnia 2015 roku
9. Bergort – wiosna 2014 roku
10. Manhattan, Nowy Jork – sobota, 15 sierpnia 2015 roku
11. Londyn – niedziela, 16 sierpnia 2015 roku
12. Sztokholm – poniedziałek, 17 sierpnia 2015 roku
13. Bergort – lipiec–październik 2014 roku
14. Londyn – poniedziałek, 17 sierpnia 2015 roku
15. Bergort – październik 2014 roku
16. Londyn – wtorek, 18 sierpnia 2015 roku
17. Sztokholm – wtorek, 18 sierpnia 2015 roku
18. Bergort – luty 2015 roku
19. Londyn – środa, 19 sierpnia 2015 roku
20. Sztokholm – środa, 19 sierpnia 2015 roku
21. Bergort – luty 2015 roku
22. Bergort – środa, 19 sierpnia 2015 roku
23. Londyn – środa, 19 sierpnia 2015 roku

- [24. Turcja – luty–marzec 2015 roku](#)
- [25. Londyn – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku](#)
- [26. Sztokholm – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku](#)
- [27. Syria – marzec 2015 roku](#)
- [28. Londyn – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku](#)
- [29. Sztokholm – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku](#)
- [30. Syria – maj i czerwiec 2015 roku](#)
- [31. Londyn – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku](#)
- [32. Bergort – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku](#)
- [33. Syria – czerwiec 2015 roku](#)
- [34. Londyn – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku](#)
- [35. Syria – czerwiec 2015 roku](#)
- [36. Sztokholm – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku](#)
- [37. Syria – czerwiec 2015 roku](#)
- [38. Sztokholm/Bergort – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku](#)
- [39. Bergort – sobota, 8 sierpnia 2015 roku](#)
- [40. Sztokholm – piątek, 21 sierpnia 2015 roku](#)
- [41. Londyn – piątek, 21 sierpnia 2015 roku](#)
- [42. Bergort – niedziela, 9 sierpnia – niedziela, 16 sierpnia 2015 roku](#)
- [43. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku](#)
- [44. Bergort – poniedziałek, 17 sierpnia – czwartek, 20 sierpnia 2015 roku](#)
- [45. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku](#)
- [46. Londyn – piątek, 21 sierpnia 2015 roku](#)
- [47. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku](#)
- [48. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku](#)
- [49. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku](#)

50. Londyn – piątek, 21 sierpnia 2015 roku
51. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku
52. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku
53. Londyn – piątek, 21 sierpnia 2015 roku
54. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku
55. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku
56. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku
57. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku
58. Bergort – piątek, 21 sierpnia 2015 roku
59. Sztokholm – piątek, 21 sierpnia 2015 roku
60. Sztokholm – piątek, 21 sierpnia – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
61. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
62. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
63. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
64. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
65. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
66. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
67. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
68. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
69. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
70. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
71. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
72. Bergort – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
73. Sztokholm – sobota, 22 sierpnia 2015 roku
74. Sztokholm – niedziela, 23 sierpnia 2015 roku
75. Sztokholm – niedziela, 23 sierpnia 2015 roku

76. Sztokholm/Bergort – niedziela, 23 sierpnia 2015 roku

77. Sztokholm – niedziela, 23 sierpnia 2015 roku

78. Sztokholm – niedziela, 23 sierpnia 2015 roku

79. Arkösund – poniedziałek, 24 sierpnia 2015 roku

80. Brooklyn, Nowy Jork – środa, 26 sierpnia 2015 roku

Podziękowania od autora

Przypisy

[1](#) Na Allaha!

[2](#) Oryginalne nazwy ulic, które brzmią poważnie, zastąpiono nazwami wymyślonymi, nadając im zabawne bądź ironiczne brzmienie: Skutvägen (ulica Okrętowa) stała się Shootvägen (ulica Wystrzałowa), Fregatten (Fregata) przemianowano na Fittan (pizda), Vasatorget (plac Wazów) zamieniono na Pirattorget (plac Piratów) – przyp. tłum.

[3](#) Tak nazywają to miasto Kurdowie, arabska wersja tej nazwy brzmi Ajn al-Arab (przyp. red.).